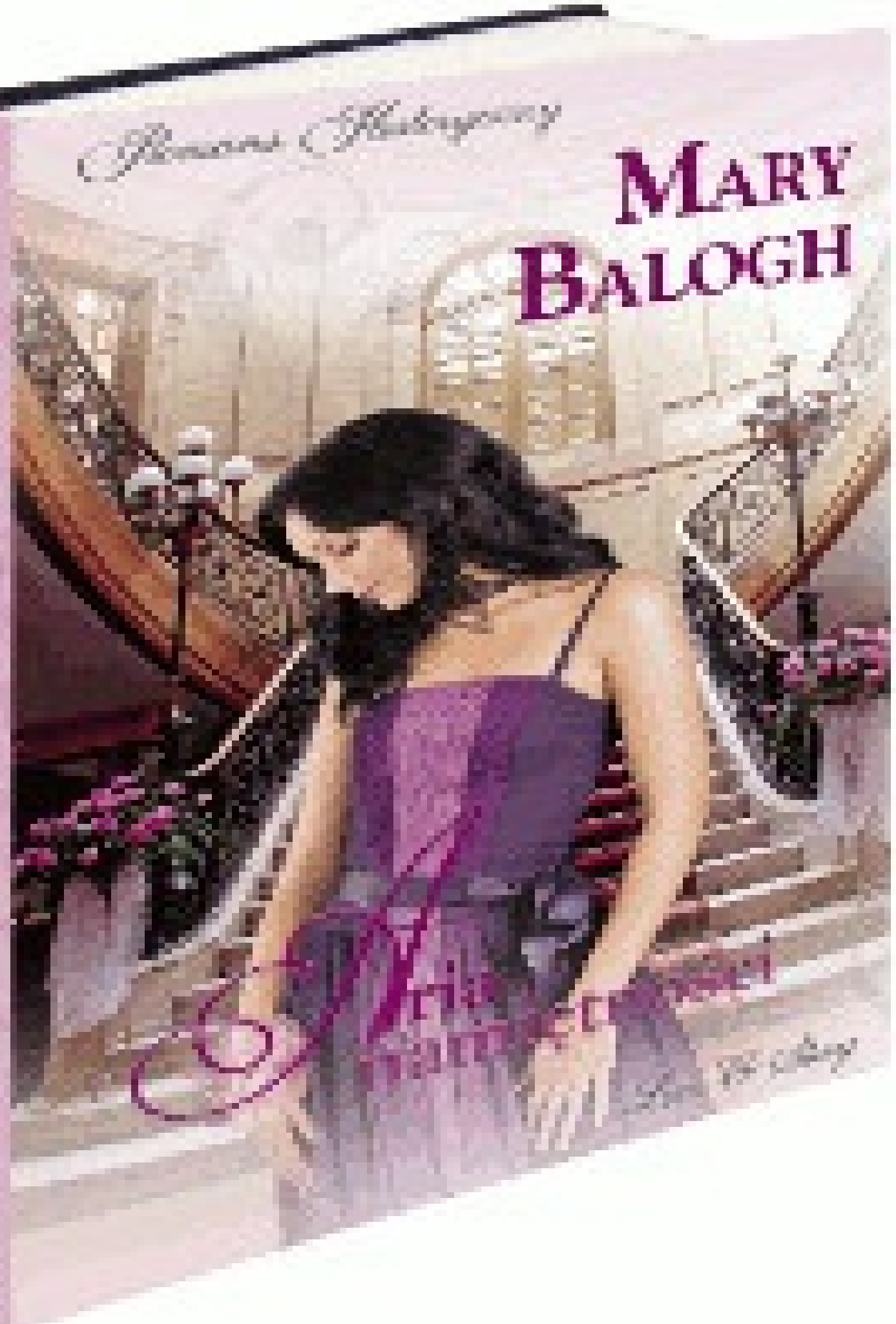


MARY BALOGH

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS



*THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS*  
**MARY  
BALOGH**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

**MARY BALOGH**

**ARIA NAMIĘTNOŚCI**

W Boże Narodzenie śnieg nigdy nie pada. Jeśli już, to pada przed świętami, kiedy ludzie próbują dotrzeć na rodzinne spotkania lub domowe przyjęcia, albo długo po świętach -

ale wtedy już tylko utrudnia codzienne życie. Tak więc w same święta nigdy nie pada. A szkoda, bo śnieg dodałby Gwiazdce uroku i magii.

Tak właśnie wygląda smutna angielska rzeczywistość.

Ten rok nie różnił się od innych. Przez całe ferie niebo uparcie pozostawało szare, nieco złowieszcze. Było chłodno i wietrznie. Na ziemię nie spadł nawet jeden biały płatek.

Szczerze mówiąc, to były ponure święta.

Żeby dotrzeć do swoich dwóch ciotek mieszkających w pobliżu wsi Mickledean w Somersetshire, Frances Allard musiała prawie cały dzień podróżować z Bath - gdzie pracowała w szkole dla dziewcząt panny Martin, na rogu ulic Sutton i Daniel. A spieszno jej było znaleźć się na wsi. Marzyła o długich spacerach i wdychaniu rześkiego powietrza, o czystym niebie i o wyprawach po zaśnieżonych drogach do kościoła i na wieczorki w miejscowej sali spotkań.

A jednak, kiedy przybyła już na miejsce, z powodu złej, wietrznej pogody musiała ograniczyć spacer, a co do sali spotkań, to ta przez całe święta była zamknięta. Wyglądało na to, że tego roku wszyscy zadowolają się spędzaniem Bożego Narodzenia w gronie rodziny i przyjaciół i wcale nie mają ochoty na przyjęcia i bale.

Frances czuła się lekko zawiedziona.

Wprawdzie wraz z ciotkami, panną Gertrudę Driscoll i jej owdowiałą siostrą, panią Marthą Melford - które mieszkały w małym domu w Wimford Grange - spędziła pierwszy dzień świąt w głównej rezydencji Wimford na zaproszenie jej obecnego właściciela, barona Cliftona, jednak poza tym nigdzie więcej się nie wybrała. Ciotki nie skorzystały z licznych zaproszeń, wymawiając się pogodą, twierdziły przy tym, że zupełnie wystarcza im towarzystwo ulubionej bratanicy. A co do kuzyna i jego rodziny, mogą ich przecież odwiedzić każdego innego dnia roku. Na dodatek ciotka Gertrudę niezbyt dobrze się czuła i choć nie miała żadnych szczególnych dolegliwości, wołała nie oddalać się od ciepłego kominka.

Nikt nie zainteresował się tym, czego pragnie Frances.

Dopiero kiedy przerwa świąteczna dobiegła końca, gdy obie damy ze łzami w oczach ścisnęły i całowały bratanicę na pożegnanie, odprowadzając ją do wysłużonego powozu, przyszło im do głowy, że być może postąpiły samolubnie, pozostając przez całe święta w domu. Powinny pamiętać, że droga Frances ma tylko dwadzieścia trzy lata i prawdopodobnie z chęcią wybrałaby się na kilka przyjęć, by zabawić się w towarzystwie osób w swoim wieku, zamiast nudzić się przez całe Boże Narodzenie z dwiema starszycami.

Frances wyściskała serdecznie ciotki, też trochę popłakując, po czym zapewniła je -

niemal w to wierząc - że ich towarzystwo było wszystkim, czego potrzebowała, aby święta się udały. Dziękowała za możliwość odpoczynku po długim szkolnym semestrze - a w zasadzie po dwóch semestrach, bo na prośbę panny Martin pracowała także w czasie przerwy letniej, opiekując się biedniejszymi wychowankami szkoły, których nie stać było na wyjazd na wakacje. Zresztą sama też nie miała gdzie wtedy pojechać.

I tak, niestety, w Boże Narodzenie nieźle się wynudziła. Niemniej spokój panujący w domu ciotek stanowił miłą odmianę po szkolnym harmidrze. Poza tym bardzo lubiła ciotki, one otworzyły przed nią swe ramiona i serca od pierwszej chwili, gdy przybyła do Anglii -

jako dziecko pozbawione matki, z ojcem, francuskim uchodźcą, który uciekł z Francji przed rządami terroru. Oczywiście nie pamiętała tamtych czasów, wiedziała, że ciotki, gdyby tylko ojciec na to przystał, zabrałyby ją do siebie na wieś. Ale ojciec się na to nie zgodził.

Zatrzymał ją przy sobie w Londynie i otoczył niańkami, guwernantkami oraz nauczycielami śpiewu, obsypując wszystkim, co tylko da się kupić za pieniądze. A że bardzo ją kochał, zapewnił jej szczęśliwe, dostatnie, bezpieczne dzieciństwo i wczesną młodość - aż do jego nagłej śmierci. Miała wtedy dopiero osiemnaście lat.

A jednak ciotki odegrały pewną rolę w latach jej dorastania. Zapraszały ją do siebie na wakacje, często też zjawiały się w Londynie i zabierały bratanicę na zakupy i lody. Od chwili, gdy tylko nauczyła się pisać i czytać, co miesiąc wymieniała się z nimi listami. Szczerze lubiła swoje ciotki i była naprawdę szczęśliwa, że mogła z nimi spędzić Boże Narodzenie.

Mimo że nie spadł wtedy śnieg.

Za to nie zabrakło go później. A nawet było go za dużo.

Zaczął się w chwili, gdy powóz znalazł się jakieś dwanaście kilometrów za Mickledean. Frances zastanawiała się, czy nie zapukać w dach i nie kazać starszemu woźnicy zawracać. Uznała jednak, że śnieg nie sypie aż tak intensywnie, a jej przecież spieszy się do szkoły. I rzeczywiście przez jakąś godzinę lekko tylko prószyło, lecz kiedy było już za późno, żeby zawrócić, płatki zrobiły się większe i grubsze, a potem, w alarmująco krótkim czasie, okolica pokryła się grubą białą pierzyną.

Powóz podążał powoli, a Frances przekonywała się w duchu, że nie powinna się denerwować i nic jej nie grozi, zwłaszcza że Thomas, woźnica, jedzie bardzo ostrożnie.

Wkrótce śnieg przestanie padać i rozpuści się, tak zawsze jest w Anglii.

Postanowiła skupić myśli na szkole i czekających ją zajęciach. Zastanawiała się nad wyborem utworu dla chóru, który tworzyły uczennice starszych klas. To powinno być coś swobodnego, wesołego i elżbietańskiego. I nieco trudniejszego niż dotychczas, choć dziewczęta mogą mieć z tym kłopoty.

Na wspomnienie uczennic uśmiechnęła się.

Miała nadzieję, że zgodzą się na trochę więcej wysiłku.

Po następnej pół godzinie dokoła widziała już tylko białe zasy. Nie potrafiła dłużej myśleć ani o szkole, ani o niczym innym. Śnieg sypał teraz bez przerwy, gruby i gęsty. Kiedy przycisnęła twarz do szyby, nie umiała nawet odróżnić drogi od rowów i pól na poboczu.

Ogarnęła ją panika.

Czy Thomas widzi coś ze swojego miejsca na koźle? Śnieg pada mu zapewne prosto w twarz. Musi być dwa razy bardziej zmarznięty od niej. Wcisnęła dłonie w futrzaną mufkę -

gwiazdkowy prezent od ciotki Marthy. Pomyślała, że oddałaby majątek za filiżankę gorącej herbaty.

I co jej przyszło z tęsknoty za śniegiem? Jak nazywał się mędrzec, który powiedział, że trzeba uważać, czego się pragnie, bo marzenia mogą się spełnić?

Usiadła wygodniej, ufając, że Thomas jakoś sobie jednak poradzi. W końcu chyba od zawsze pracuje u ciotek jako woźnica, a przynajmniej tak długo, jak daleko sięga jej pamięć.

Nigdy nie słyszała, żeby miał jakiś wypadek. Tak czy inaczej tęsknie wspominała przytulny dom ciotek i swoją gwarną szkołę. Claudia Martin już pewnie na nią czeka. Anne Jewell i Susanna Osbourne, dwie inne, mieszkające w szkole na stałe nauczycielki, też jej prawdopodobnie wyglądają. Kiedy tylko dotrze na miejsce, wszystkie udadzą się do prywatnego saloniku Claudii i spędzą w nim miły wieczór przy kominku i gorącej herbacie, wymieniając się wspomnieniami ze świąt. Wtedy opowie im ze szczegółami o tej śnieżnej zawierusze. Upiększy opowieść i wyolbrzymi zagrożenie oraz własny strach, i wszystkie będą się z tego śmiały aż do bólu brzucha.

Na razie jednak wcale nie było jej do śmiechu. Wcale a wcale.

Powóz zwolnił i się zachwiał. Koła ślizgały się na oblodzonej nawierzchni. Frances wyrwała jedną dłoń z mufki i chwyciła skórzany pasek przy oknie, przekonana, że za chwilę wylądują w rowie. Całe życie przepłynęło jej przed oczami, zaczęła mamrotać słowa modlitwy. Zdusiła krzyk, żeby nie wystraszyć Thomasa, który mógłby zupełnie stracić kontrolę nad końmi. Za to on darł się za dziesięciu.

W końcu zamiast zacisnąć oczy i czekać na śmierć, spojrzała w okno i ujrzała konie biegnące nie z przodu, a tuż obok. Po chwili minęły jej powóz.

Mocniej zacisnęła rękę na skórzanym pasku i się pochyliła. To nie były ich konie.

Wielkie nieba, ktoś ich wyprzedzał - w taką pogodę! Na koźle, nisko pochyłony, siedział

woźnica; wyglądał jak zgarbiony bałwan. Wykrzykiwał głośno przekleństwa prawdopodobnie pod adresem biednego Thomasa.

Niebieski powóz minął ich wreszcie. Frances zdążyła dojrzeć sylwetkę pasażera -

mężczyzna w grubym płaszczu i bobrowej czapie na głowie rzucił jej krótkie spojrzenie pełne wyniosłej pogardy. Jedną brew miał wysoko uniesioną.

Czyżby śmiał mieć do niej o coś pretensje?!

W końcu jego pojazd pomknął w dal. Powóz Frances jeszcze raz czy dwa zachwiał się, a potem, odzyskawszy równowagę, znów wolno potoczył się przed siebie.

Frances już się nie bała, była wściekła. Gotowała się ze złości. Jak można postępować w tak ryzykowny, nieprzemyślany, samobójczy, niebezpieczny, głupi sposób! Na Boga, przecież nawet kiedy przyciska twarz do szyby, nie widzi dalej niż na półtora metra. A jednak ten zgarbiony woźnica i jego zarozumiały pan o arogancko uniesionej brwi tak się spieszyli, że za nic mieli niebezpieczeństwo, na jakie narażali siebie, ją i Thomasa, tylko po to, żeby ich prześcignąć?

Kiedy się nieco uspokoiła, przypomniała sobie, że jest sama, otoczona morzem bieli.

Znów poczuła, że ze strachu kurczy się jej żołądek. Puściła skórzany pasek i wsunęła dłoń do mufki. Nie ma sensu tragizować. Lepiej wierzyć, że Thomas sobie poradzi.

Biedny Thomas. Nie jest już najmłodszy. Pewnie kiedy dotrą wreszcie na miejsce, z chęcią napije się czegoś gorącego - a raczej mocnego i gorącego.

Nucąc pod nosem, palcami prawej ręki zaczęła wygrywać na lewej dłoni takty melodii madrygału Williama Byrda, jakby jej dłoń była klawiaturą pianina.

Nagle znowu poczuła, że powóz chwieje się i ślizga, szybko więc chwyciła za skórzany pasek. Wyrzała przez okno, przekonana, że niczego nie zdoła zobaczyć, a jednak coś dojrzała: ciemną sylwetkę powozu. Stał w poprzek, blokując drogę. Pomyślała, że to ten sam powóz, który jakiś czas temu ich mijiał.

Mimo że Thomas natychmiast powściągnął konie, powóz nie od razu się zatrzymał.

Pochylił się lekko najpierw na jeden bok, potem na drugi. A ponieważ koło o coś zahaczyło, już się nie wyprostował, tylko opadał na pobocze drogi.

Frances patrzyła ze zdziwieniem na kanapę, która nagle znalazła się naprzeciwko nad nią. W szybach po obu stronach widziała tylko biały śnieg.

O dziwo, z całkowitym spokojem stwierdziła, że powóz musiał zapaść się w zaspę.

Z zewnątrz dochodziły ją różne odgłosy - rzenie i sapanie koni, okrzyki ludzi.

Nim zdążyła zebrać się w sobie, ktoś pociągnął za tylne drzwiczki - przy wtórze szokujących przekleństw - i do środka wsunęła się dłoń w eleganckiej rękawiczce. Nie była to dłoń Thomasa. Ani twarz, którą po chwili ujrzała - orzechowe oczy, kwadratowa szczęka, zmarszczone brwi i usta wykrzywione w grymasie irytacji.

Tę twarz widziała przed dziesięcioma minutami.

Do tego kogoś od razu poczuła ogromną niechęć.

Przyjęła jednak pomocną dłoń, próbując wydostać się z powozu z taką gracją, na jaką tylko w tych warunkach było ją stać. Ale nieznajomy wcale nie przejmował się dobrymi manierami - wyciągnął ją z budki jak worek kartofli i postawił na ziemi. W tej samej chwili jej nogi zapadły się w śniegu aż po łydki. Zmroził ją chłodny wiatr.

Podobno kiedy człowiek jest wściekły, widzi przed oczami czerwone plamy, ale Frances widziała tylko biel.

- Należałoby pana, sir - powiedziała głośno, starając się przekrzyczeć rzenie koni i odgłosy zażartej kłótni między zgarbionym woźnicą i Thomasem - powiesić, utopić lub poćwiartować. Spalić na stosie albo najlepiej ugotować we wrzącym oleju.

Brew, która już wcześniej obraźliwie się unosiła, znowu podskoczyła w górę, a po chwili uniosła się też druga.

- A pani, madame - odparł mężczyzna twardym głosem, który pasował do wyrazu jego twarzy - za to, że pozwala sobie na podróżowanie po królewskich drogach tym starym pudłem, zasługuje na zamknięcie w ciemnym lochu. Toż to istny relikw. Nawet w muzeum nie chciano by tego czegoś wystawiać.

- A więc uważa pan, że z powodu wieku powozu i ostrożności mojego woźnicy ma pan prawo narażać na niebezpieczeństwo nasze życie, ścigając się z nami w tak trudnych warunkach? Być może, sir, ktoś powinien opowiedzieć panu historię o żółwiu i zającu.

- To znaczy? - Brwi mężczyzny opadły, ale zaraz jedna znów się uniosła.

- Pański nierozsądny pośpiech spowodował na pana katastrofę - wyjaśniła, wskazując palcem w kierunku niebieskiego powozu, który całkowicie blokował drogę przed nimi. - Nic panu z niego nie przyszło.

- Gdyby zechciała pani, madame, wyteżyc oczy, zamiast rzucać nimi na mnie gromy, zobaczyłaby, że jesteśmy na zakręcie drogi i mój woźnica, a ja wraz z nim, usuwaliśmy z drogi zaspę śnieżną, dopóki nie oderwał mnie od tego pani woźnica, który nawet nie potrafi porządnie zatrzymać powozu. I to pani żółw tkwi teraz w śniegu i przez jakiś czas nigdzie się stąd nie ruszy. A już z pewnością nie dzisiaj.

Obejrzała się przez ramię. Nagle, oszołomiona, zdała sobie sprawę, że nieznajomy ma rację. Ze sterczącej pionowo skrzyni powozu widać było tylko jej przód. Reszta utonęła w śniegu.

- I niech mi pani teraz powie, kto z nas wygrał wyścig?

Co ona teraz, na Boga, pocnie? Miała przemoczone stopy, płaszcz cały w śniegu, drżała z zimna i bezradności. Poza tym bała się.

I była wściekła.

- A czyja to wina? - rzuciła gniewnie. - Gdyby nie okładał pan batem koni, mój powóz nie leżałby teraz w rowie.

- Okładał batem? - Nieznajomy spojrział na nią ze zdumieniem i zarazem pogardą, po czym krzyknął przez ramię: - Peters! Właśnie dowiedziałem się od eksperta, że kiedy mijaliśmy ten relikw, okładałeś batem konie. Mówiłem już, że podczas burzy śnieżnej nie wolno ci okładać koni. Jesteś zwolniony.

- Proszę dać mi chwilę, żebym do końca usunął tę zaspę, sir, a potem pójdę sobie precz! - odkrzyknął woźnica.

- Rozmyśliłem się, nie rób tego, bo inaczej sam będę musiał powozić. Przyjmuję cię na nowo.

- Zastanowię się jeszcze, sir!

Tymczasem Thomas zajęty był uwalnianiem koni z uprzęży.

- Gdyby pani powóz, madame, poruszał się szybciej, a nie włókł - dżentelmen znów zwrócił się do Frances - nie stanowiłby zagrożenia dla poważnych i odpowiedzialnych podróżnych, którzy pragną dotrzeć do celu za dnia, zamiast spędzać w drodze całą wieczność.

Frances posłała mu wściekłe spojrzenie. Założyłaby się o miesięczną pensję, że dzięki grubemu płaszczowi, z licznymi pelerynami, nieznajomy prawie w ogóle nie odczuwa smagań zimnego wiatru i nawet najmniejsza drobina śniegu nie dostała się do jego wysokich butów.

- Sir, jesteśmy gotowi do drogi - zawołał woźnica. - Chyba że woli pan stać tu i podziwiać widoki.

- Gdzie pani pokojówka? - Oczy mężczyzny zwęziły się w szparki.

- Nie mam pokojówki - odparła Frances. - To chyba oczywiste. Jestem sama.

Widziała, że nieznajomy bacznie się jej przygląda. Miała na sobie porządne ubranie, odpowiednie na powrót do szkoły, choć temu elegancko odzianemu dżentelmenowi z pewnością musiało wydać się dość biedne i niezbyt modne. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Będzie pani musiała pojechać ze mną - stwierdził chłodno.

- Ani myślę!

- Świetnie - mruknął nieznajomy, odwracając się. - Może sobie pani tu zostać w tej całkowitej pustce.

Rozejrzała się i tym razem nie tylko żołądek ścisnął się jej ze strachu - ugięły się też pod nią kolana.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała. - Orientuje się pan?



- Gdzieś w Somersetshire - odparł. - Poza tym nic więcej nie wiem, może oprócz tego, że doświadczenie nauczyło mnie, iż wszystkie drogi zawsze dokądś prowadzą. To pani ostatnia szansa, madame. Czy odważy się pani wyruszyć w moim nikczemnym towarzystwie na podbój nieznanego, czy woli pani zostać tu i zamarznąć na śmierć na tym pustkowiu?

Irytowało ją, że tak naprawdę nie ma wyboru. Dwóch woźniców znowu się kłóciło.

- Może się pani decydować jeszcze przez godzinę lub nawet dwie - powiedział

dżentelmen z bardzo wyraźną ironią, unosząc brew. - Mnie się nie spieszy.

- A co z Thomasem? - zapytała.

- Jakim Thomasem? - mruknął nieznajomy. - Ach, to zapewne pani woźnica? Pojedzie za nami konno.

- W takim razie, dobrze - zgodziła się ze złością, zaciskając usta. Mężczyzna ruszył

energicznie przez śnieg w stronę niebieskiego powozu. Frances poszła za nim, ale o wiele ostrożniej, starając się stawiać stopy w koleinach po kołach pojazdów.

Co za upokorzenie!

Mężczyzna podał jej dłoń i pomógł wsiąść do powozu. Był nowiuteńki, a siedzenia miał obite pluszem. Usiadła, stwierdzając, że są bardzo wygodne, co zapowiadało przyjemną podróż. Poza tym w środku było niemal gorąco w porównaniu z chłodem na zewnątrz.

- Na podłodze leżą dwie cegły. Obie są jeszcze ciepłe - rzucił od drzwi nieznajomy. -

Proszę postawić na nich stopy i przykryć nogi kocem. Ja tymczasem dopilnuję, by przeniesiono pani bagaże.

Jego słowa wydawały się uprzejme i pełne troski, ale ton, jakim zostały wypowiedziane, zupełnie do nich nie pasował, podobnie jak stanowczość, z jaką nieznajomy zatrzasnął za sobą drzwi. Frances posłuchała jednak jego rady. Szczękała zębami, dosłownie.

Prawie nie czuła palców u rąk, a mufkę, niestety, zostawiła w swoim powozie.

Jak długo będzie musiała znosić tę okropną sytuację? Z natury życzliwa ludziom, nie odnosiła się do nowo poznanych osób z niechęcią czy nienawiścią. Ale myśl, że przyjdzie jej przebywać choćby tylko pół godziny w towarzystwie tego aroganckiego, nieuprzejmego, sarkastycznego, zarozumiałego mężczyzny, wcale jej nie ucieszyła. Wzdrygnęła się.

Może uda jej się znaleźć jakiś transport w pierwszej wsi, do której dotrą? Inny dyliżans? I natychmiast uzmysłowiła sobie, jak absurdalne są te pytania. Będą mieli szczęście, jeśli w ogóle dotrą do jakiejś wsi, zapewne także zakopanej w śniegu.

Zanosilo się na to, że utknie gdzieś na noc - bez przyzwoitki i praktycznie bez żadnych pieniędzy, bo

nie przyjęła od ciotek tego, co, żegnając się z nią, starały się jej wcisnąć w rękę.

Miała tylko nadzieję, że to „gdzieś” nie okaże się niebieskim powozem.

Na samą myśl o tym zabrakło jej tchu.

A jednak powinna brać taką ewentualność pod uwagę. Na własne oczy mogła się przekonać, że droga jest prawie niewidoczna.

Przewyciężyła panikę, skupiając się na stopach, które postawiła na ceglach.

Ramionami objęła kolana.

Musi zaufać umiejętnościom tego dziwaczego i impertynenckiego Petersa, który jak się okazało, wcale nie jest garbaty.

Ależ koleżanki się zdziwią, kiedy opowie im o całym wydarzeniu po dotarciu do Bath.

Może nawet trochę podkoloryzuje fakty i opisz nieznajomego jako mężczyznę wysokiego, ciemnowłosego i przystojnego - czyli przysłowiowego rycerza w lśniącej zbroi. Susanna wybałuszy oczy, a oczy romantycznej Anne zwilgotnieją od łez. Claudia natomiast zaciśnie mocno usta i zrobi podejrzliwą minę.

A jednak, o Boże, trudno będzie jej doszukać się czegoś zabawnego, a tym bardziej romantycznego we wspomnieniach tej sytuacji, nawet kiedy znajdzie się już w bezpiecznych murach szkoły.

A przecież matka ostrzegała, że spadnie śnieg. To samo mówili siostra i dziadek.

No i zdrowy rozsądek.

I właśnie dlatego, że rzadko słucha rad - zwłaszcza tych udzielanych przez członków rodziny - i równie rzadko kieruje się rozsądkiem, ma teraz przed sobą, znalazłszy się w samym środku śnieżnej burzy, niezbyt zachęcającą perspektywę spędzenia nocy w jakimś obskurnym zajeździe. Jeśli tylko go znajdzie. Co zresztą byłoby lepsze niż noc w przydrożnej chałupinie albo - co gorsza - w powozie.

I pomyśleć, że przed podróżą sądził, iż jego nastrój nie może być już gorszy! Wsiadł

do powozu i spojrzął na pasażerkę. Okryła się jednym z wełnianych koców, ręce schowała do muffki, którą jakieś dziesięć minut wcześniej przyniósł jej z drugiego pojazdu. Zauważył, że stopy postawiła na ceglach. Jej postawa nadal wyrażała wrogość, dumę i urazę. Siedziała sztywno wyprostowana i nawet na niego nie spojrzała, kiedy wsiadał.

Wygląda jak wyschnięta śliwka, pomyślał. Z jej twarzy, schowanej pod szkaradnym brązowym czepkiem, widać było tylko czubek zaczerwienionego nosa, aż dziw, że nie drżał z oburzenia. Tak jakby sytuacja, w której się znalazła, była jego, Luciusa Marshalla, winą!

- Lucius Marshall, do pani usług - przedstawił się nie bez wdzięku.

Przez chwilę myślał, że kobieta nie zrewanżuje mu się grzecznością, zaczął więc całkiem serio zastanawiać się, czy nie zapukać w dach, zatrzymać powozu i przenieść się na kozioł obok Petersa. Lepszy śnieg, zacinający w oczy niż lodowate towarzystwo.

- Frances Allard - odpowiedziała w końcu.

- Należy tylko mieć nadzieję, panno Allard - chciał jakoś podtrzymać rozmowę - że właściciel najbliższego zajazdu ma pełną spiżarnię. Z wielkim apetytem pochłonę placek z mięsnym nadzieniem. Mogą być też ziemniaki i warzywa. No i oczywiście kufel piwa. A na deser słodki pudding. A co do tych kufli piwa, może być ich kilka. A pani?

- Mnie wystarczy filiżanka herbaty.

Mógł się tego domyślić. Herbatka i robótki ręczne przy kominku.

- Dokąd się pani udaje? - zapytał.

- Do Bath - mruknęła. - A pan?

- Do Hampshire. Zamierzałem zatrzymać się na noc w jakimś zajeździe, ale sądziłem, że nastąpi to bliżej celu podróży. Cóż, nieważne. Gdyby nie doszło do tego niespodziewanego wydarzenia, nie miałbym przyjemności poznania pani, a pani mnie.

Pasażerka odwróciła głowę w jego stronę i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Było oczywiste, że zauważyła pobrzmiewającą w jego głosie ironię.

- Sądzę, panie Marshall, że mogłabym żyć całkiem szczęśliwie bez takich doświadczeń.

- Wet za wet.

Teraz, kiedy mógł się jej lepiej przyjrzeć, ze zdziwieniem stwierdził, że jest o wiele młodsza, niż myślał. Mijając ją powozem i później, w bezpośrednim kontakcie, uznał, że ma do czynienia z chudą, ciemnowłosą kobietą w średnim wieku. Ale się pomylił. Gdy już przestała marszczyć brwi i wykrzywiać twarz w grymasie złości, wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Z pewnością była młodsza od niego.

Ale i tak uznał, że to jędza.

W dodatku chuda! A może tylko bardzo szczupła - trudno to było stwierdzić z powodu pozbawionego kształtu zimowego palta. Miała chude nadgarstki i długie szczupłe palce -

zauważył to, kiedy wyjęła dłonie z mufki. Jej twarz była pociągła, z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, o lekko oliwkowej skórze, tylko nos poczerwieniał. Ciemna karnacja, ciemna oprawa oczu i ciemne włosy - wszystko to wskazywało, że w żyłach kobiety płynie domieszka obcej krwi. Może włoskiej, a już z pewnością śródziemnomorskiej. To by tłumaczyło jej porywczosć. Ukryte pod czepkiem włosy rozdzielone były na środku przedziałkiem i starannie zaczesane do tyłu.

Wygląda na guwernantkę, pomyślał Lucius. Niech Bóg ma w opiece jej uczniów.

- Przypuszczam - powiedział - że ostrzegano panią przed podróżowaniem w taki dzień jak dzisiaj?

- Nie - odparła. - Miałam nadzieję na śnieg w czasie świąt. Byłam wręcz przekonana, że spadnie. Ale dzisiaj wreszcie przestałam na niego czekać. I, oczywiście, dlatego właśnie spadł.

Chyba nie bardzo chciała z nim rozmawiać. Stanowczo odwróciła głowę, pozostawiając Luciusowi do podziwiania tylko czubek nosa. Poczul się więc zwolniony -

zresztą wcale o tym nie marzył - z podtrzymywania konwersacji.

Pomyślał tylko, że jeśli już musiało się wydarzyć to, co się wydarzyło, los mógł

przynajmniej obdarzyć go towarzystwem niebieskookiej blondynki, z dołeczkami w policzkach, a nie takiej jędzy! Życie bywa bardzo niesprawiedliwe.

Przypomniał sobie, co wywołało jego zły nastrój, utrzymujący się nieprzerwanie przez całą Gwiazdkę.

Jego dziadek umierał. Och, wprawdzie nie leżał jeszcze na łożu śmierci, a nawet bagatelizował diagnozę londyńskich lekarzy, których odwiedził na początku grudnia, niemniej faktem było, iż dowiedział się od nich, że jego serce słabnie coraz bardziej i nie da się nic zrobić, by temu zapobiec.

- Jest stare i gotowe na to, by zastąpiło je nowe - oświadczył z szorstkim śmiechem w odpowiedzi na pytania rodziny. Synowa i wnuczki po usłyszeniu przygnębiających wieści, zdruzgotane, prawie się popłakały. Lucius natomiast ukrył się w ciemnym kącie pokoju, nie chcąc pokazać po sobie emocji, które wprawiłyby w zakłopotanie zarówno jego, jak i inne obecne przy rozmowie osoby. - Tak jak i cała reszta mojego ciała.

Nikogo, oprócz samego staruszka, nie rozbawiły jego żarty.

- Tak naprawdę ci zrzędlivi lekarze chcieli mi tylko powiedzieć - dodał lekceważąco -

że powinienem uporządkować swoje sprawy i przygotować się na spotkanie ze Stwórcą.

W ciągu minionych dziesięciu lat Lucius nie spędzał wiele czasu ani z dziadkiem, ani z resztą rodziny. Pochłonęło go hulaszczę życie kawalera w mieście. Nawet wynajął pokoje na St. James's Street w Londynie, choć mógł spokojnie mieszkać w Marshall House, rodzinnej rezydencji położonej przy Cavendish Square, wraz z matką i siostrami, przybywającymi tam, kiedy nadchodził sezon towarzyskich przyjęć.

Dopiero szokujące wieści o stanie zdrowia dziadka uświadomiły mu, jak w gruncie rzeczy bardzo kocha hrabiego Edgecombe'a z Barclay Court w Somersetshire, a także resztę swojej rodziny. Tragiczna sytuacja sprawiła, że zrozumiał, jak bardzo ich zaniedbywał.

Poczucie winy i żal zepsuły mu Boże Narodzenie. Ale nie tylko one.

Tak się składa, że on, Lucius Marshall, wicehrabia Sinclair, jest spadkobiercą tytułu hrabiego Edgecombe'a.

Oczywiście ten fakt w żadnym razie go nie zasmucał. Musiałoby mu brakować piątej klepki, gdyby nienawistna mu była myśl o odziedziczeniu Barclay, gdzie się wychował, i Cleve Abbey w Hampshire - rezydencji, która, między wypadami do Londynu, stanowiła jego główne miejsce zamieszkania - oraz innych posiadłości i olbrzymiego majątku, nawet jeśli otrzymać je miał za cenę śmierci dziadka. Nie przeszkadzało mu także to, że gdy przyjdzie odpowiedni czas, przejmie miejsce w Izbie Lordów, a wraz z nim dodatkowe obowiązki. W

końcu już od śmierci ojca przed kilku laty zdawał sobie sprawę, że jeśli życie potoczy się naturalnym torem, pewnego dnia stanie się dziedzicem tego wszystkiego. Rozumiał to i był na to przygotowany. Poza tym próżniacze życie może się kiedyś znudzić. Wejście do polityki nada jego egzystencji bardziej konstruktywny i aktywny charakter.

Nie zadręczał się tym. Tak naprawdę niepokoiło go coś innego: w opinii matki, zamężnej siostry, a także prawdopodobnie jej męża - choć z Taitem nigdy nic nie wiadomo -

oraz zdaniem pozostałych trzech sióstr i dziadka, mężczyzna, który ma wkrótce zostać hrabią, powinien się ożenić, i to raczej szybko. Innymi słowy, hrabia powinien znaleźć sobie hrabinę.

Lucius potrzebował narzeczonej.

Rodzina była o tym mocno przekonana. Oczywiście poza nim samym, choć tak naprawdę nie bardzo wiedział, co myśleć. Doceniał wagę odpowiedzialności, mimo że całe życie ją ignorował, wręcz przed nią uciekał. Do tej pory mógł robić wszystko, na co tylko miał ochotę. Nikt też specjalnie nie sprzeciwiał się jego stylowi bycia. Wiadomo, że młody człowiek musi się wyszumieć, byleby tylko nie stoczył się na dno. Można więc powiedzieć, że żył tak, jak się tego po nim spodziewano.

Ale teraz wszystko miało się zmienić. I gdyby spojrzeć na to okiem filozofa, trzeba by przyznać, że taka zmiana wcześniej czy później czeka każdego młodego mężczyznę - tak to już jest. Dla niego ta chwila właśnie nadeszła.

Członkowie rodziny, każdy z osobna, poruszali ten temat przez całe święta, kiedy tylko udało im się wciągnąć Luciusa w kameralną rozmowę.

Nigdy w przeszłości - i miał szczerą nadzieję, że nie powtórzy się to też w przyszłości

- nie odbył tylu intymnych rozmów.

Oczywiście wszyscy się zgadzali, że Lucius musi jak najszybciej wybrać sobie narzeczoną.

I to doskonałą, jeśli ktoś taki w ogóle istnieje - a wyglądało na to, że tak.

Faworytką rodziny była Portia Hunt - dziewczyna podobno bez skazy.

Wprawdzie pozostała w stanie panińskim do dość późnego wieku dwudziestu trzech lat, ale jej matka tłumaczyła, że stało się tak, ponieważ Portia wierzyła, iż pewnego dnia zostanie wicehrabiną Sinclair, a następnie hrabiną, no i matką przyszłego hrabiego.

Będzie z niej wspaniała żona, zapewniała Luciusa Margaret, lady Tait, jego starsza siostra, ponieważ Portia jest dojrzała, zrównoważona i posiada wszelkie cechy potrzebne przyszłej hrabinie.

To diament pierwszej wody, twierdziły Caroline i Emily, młodsze siostry Luciusa -

całkiem słusznie, mimo że wyrażały swoje opinie za pomocą komunałów. Nie ma drugiej tak pięknej, eleganckiej, wyrafinowanej i tak utalentowanej kobiety jak Portia.

Co więcej, panna Hunt, córka barona i lady Balderston, jest też wnuczką markiza Godsworthy'ego, jednego z najstarszych i najbliższych przyjaciół dziadka. Hrabia przypominał o tym Luciusowi nieustannie, dając do zrozumienia, że jego zdaniem związek z panną Hunt byłby bardzo rozsądnym, a także pożądanym posunięciem, choć oczywiście, jak zapewniał, nie zamierza wywierać na wnuku żadnej presji.

- Sam musisz sobie wybrać narzeczoną, Luciusie - twierdził. - Ale jeśli w twoim sercu nie znalazła sobie miejsca żadna inna kobieta, powinieneś poważnie zastanowić się nad wyborem panny Hunt. Byłbym szczęśliwy, gdybyście pobrali się jeszcze przed moją śmiercią.

Rzeczywiście ani śladu presji!

Tylko w głosie Amy słyszał pewien sprzeciw, choć głównie dotyczył on kandydatki, a nie samego faktu, że musi w ciągu następnych kilku miesięcy znaleźć sobie narzeczoną.

- Nie rób tego, Luce - powiedziała pewnego dnia, kiedy wybrali się na przejażdżkę. -

Panna Hunt jest taka nużąca. Ostatniego lata poradziła mamie, żeby nie dopuszczała mnie do debiutu w tym roku, mimo że już w czerwcu kończę osiemnaście lat. I to tylko dlatego, że Emily w minionym roku złamała rękę i przez to jej debiut musiał zostać przesunięty. Panna Hunt mogła się za mną wstawić, bo przecież zamierza za ciebie wyjść, a wtedy będzie moją szwagierką, lecz ona tego nie zrobiła, za to z zarozumiałym uśmiechem zapewniła, że będę zadowolona w przyszłym roku, kiedy to cała rodzina skupi uwagę tylko na mnie.

Problem w tym, że Lucius znał Portię od dawna - jej bliscy często bywali w Barclay Court. Poza tym, czasami dziadkowie zabierali go ze sobą do markiza Godsworthy'ego, do którego zazwyczaj przyjeżdżali też Balderstonowie z córką. Nie ulegało wątpliwości, że obie rodziny pragną, by młodzi stali się parą. Sam Lucius nie zachęcał Portii do tego, by po debiucie poświęciła się i czekała na niego, odrzucając inne oferty, ale nigdy też jej do tego nie zniechęcał. A to dlatego, że nie mając szczególnie romantycznego charakteru oraz wiedząc, iż pewnego dnia i tak będzie musiał się ożenić, założył, że prawdopodobnie tak czy inaczej skończy się na ożenku właśnie z Portią. Jednak świadomość czegoś, co ma się wydarzyć w odległej przyszłości, to zupełnie co innego niż perspektywa, że nastąpi to już wkrótce.

Tak więc przez całe święta nieustannie doznawał lekkich ataków paniki. Zwłaszcza wtedy, kiedy próbował sobie wyobrazić siebie i Portię w łóżku. Wielki Boże! Pewnie będzie oczekiwała, że nawet w tak intymnej sytuacji zachowa dobre maniery.

Sen z powiek spędzała mu jeszcze jedna sprawa, przez co jego przygnębienie tylko się pogłębiało. Wyraźnie słyszał samego siebie, jak przyrzeka dziadkowi - a zdarzyło się to w pierwszy dzień świąt wieczorem, gdy reszta rodziny udała się już na spoczynek i tylko on i dziadek raczyli się jeszcze w bibliotece mocnymi trunkami, od których umysł Luciusa nieco się zmącił - że w czasie nadchodzącego wiosennego sezonu poważnie rozejrzy się za narzeczoną i weźmie ślub przed końcem lata.

Wprawdzie nie przyrzekł, że będzie to Portia Hunt, ale jej imię nieuchronnie wypłynęło w trakcie rozmowy.

- Panna Hunt ucieszy się, kiedy zobaczy cię w mieście w tym sezonie - stwierdził

hrabia, co było raczej zaskakujące, biorąc pod uwagę fakt, że Lucius prawie bez przerwy przebywał w mieście. Ale starszy pan miał na myśli oczywiście to, że Portia ucieszy się, iż Lucius będzie jej wreszcie towarzyszył na balach, rautach i innych imprezach towarzyskich, których zazwyczaj unikał jak zarazy.

Czuł się teraz jak skazaniec. Co za sens się oszukiwać? Dni jego beztróskiej kawalerskiej wolności są policzone. Od samego początku świąt odnosił wrażenie, że ma na szyi pętlę i z każdym dniem zaciska się ona coraz mocniej.

- Pański woźnica zasługuje na rozstrzelanie - niespodziewanie odezwała się oschłym głosem panna Frances Allard, ta czarująco delikatna dama, i w tej samej chwili jej palce zmięły skraj rękawa jego palta. - Znowu jedzie zbyt szybko.

Powóz, przedzierając się przez śnieg na drodze, rzeczywiście ślizgał się i chybotał niepokojąco. Lucius pomyślał, że Peters zapewne już dawno tak dobrze się nie bawił.

- Obawiałem się tego, że będzie pani narzekała na prędkość. Nic dziwnego, skoro swojego woźnicę nauczyła pani prowadzić powóz w tempie, w jakim poruszają się schorowani osiemdziesięcioletni staruszkowie. Ale sprawdźmy, co się dzieje.

Wyjrzał przez okno i stwierdził, iż pojazdem trzęsie dlatego, że Peters próbuje go zatrzymać. Właśnie podjeżdżali do jakiejś gospody, która już na pierwszy rzut oka wyglądała dość obskurnie. Była to raczej wiejska karczma niż miejsce, w którym zatrzymują się eleganccy podróżni, ale jak mówi stare porzekadło, żebrak nie powinien być wybredny.

Zajazd wydawał się opuszczony. Nikt nie wymiółł śniegu sprzed drzwi. Stajnie znajdujące się z boku budynku były zamknięte na głucho. W oknach nie paliło się żadne światło, a z komina nie wydostawała się nawet najmniejsza smużka dymu.

Lucius poczuł ulgę, kiedy po kilku niezrozumiałych okrzykach Petersa drzwi do gospody otworzyły się, skrzypiąc, i pojawiła się w nich czyjaś nieogolona twarz. Mężczyzna -

z nocną czapką na głowie, choć było dopiero wczesne popołudnie - coś mu odpowiedział.

- Czas wkroczyć do akcji - mruknął Lucius. Otworzył drzwiczki powozu, wyskoczył

na śnieg i zapadł się w nim po kolana. - Jakieś problemy, panowie?

Przerwał tym pytaniem przemowę Petersa, który z kozła informował człowieka w mycce, kto przyjechał.

- Parker i jego pani wyjechali i jeszcze nie wrócili! - krzyczał mężczyzna od drzwi. -

Nie możecie się tu zatrzymać.

Peters zaczął mówić, co myśli o nieobecnym Parkerze i nieogolonych, źle wychowanych wieśniakach, ale Lucius, uniósłszy dłoń, znowu mu przerwał.

- Czy w pobliżu znajduje się jakiś inny zajazd? - zapytał.

- Cóż, nie, ale to nie mój problem - odparł parobek, robiąc gest, jakby chciał zamknąć przed nimi drzwi.

- W takim razie obawiam się, że masz, człowieku, gości na noc. Lepiej się ubierz i wciągnij buty, chyba że wolisz wziąć się do pracy, tak jak stoisz. Trzeba rozpakować bagaże i zająć się końmi.



Zwawo.

Odwrócił się, żeby podać rękę towarzysze.

- Jak to dobrze, że zmienił pan obiekt swoich docinków - powiedziała.

- Niech mnie pani nie prowokuje - ostrzegł. - I proszę lepiej objąć mnie ramieniem za szyję. Wniose panią do środka, bo nie była pani na tyle rozsądna, żeby włożyć odpowiednie do pogody obuwie.

Potraktowała go jednym ze swoich jędzowatych spojrzeń, a poczerwieniały koniuszek jej nosa tym razem naprawdę zdrzął ze wzburzenia.

- Dziękuję, panie Marshall - odparła - ale dotrę do zajazdu na własnych nogach.

- Jak pani sobie życzy. - Wzruszył ramionami, po czym z uciechą przyglądał się, jak nie czekając na rozłożenie schodków, skacze na ziemię i zapada się w śnieg.

W milczeniu obserwował, jak starając się zachować godność, brnie przez głębokie zasy do wejścia. Bezpiecznie dotarła do drzwi, choć tuż przed nimi pośliznęła się i żeby się nie przewrócić, musiała dla zachowania równowagi w mało elegancki sposób rozłożyć szeroko ramiona. Wreszcie stanęła na progu.

Lucius za jej plecami uśmiechnął się rozbawiony.

- Wzięliśmy sobie na głowę niezłego ptaszka, sir - zażartował Peters.

- Uważaj, jak się wyrażasz, kiedy mówisz w mojej obecności o damach - skarcił służącego Lucius, patrząc na niego surowo.

- Tak jest, sir. - Woźnica, wyraźnie mało poruszony naganą, zeskoczył na śnieg.

- Wygląda więc na to, że jednak napiję się piwa - stwierdził Lucius. - A pani herbaty, jeśli tylko uda nam się rozpalić ogień i w kuchni znajdziemy jakąś herbatę. Nie mogę tylko odżałować tego placka z mięsem i... puddingu.

Stali w obskurnej, ponurej sali - w końcu, choć z oporami, ponury typ wpuścił ich do gospody, w której było prawie tak zimno jak w powozie, bo kominiek jej nie ogrzewał.

Do środka, nanosząc śnieg, z walizką Frances w ręce wszedł parobek. Postawił bagaż tuż przy wejściu.

- Nie wiem, co powiedzą na to Parker i jego pani - wymamrotał ponurym głosem.

- Bez wątpienia okrzykną cię bohaterem za to, że przysporzyłeś im zarobku, i zapewne podniosą ci pensję - uśmiechnął się Lucius. - Zostawili cię tu na święta zupełnie samego?

- Tak. Właściwie to wyjechali dopiero w pierwszy dzień świąt, a wracać mają jutro.

Wyraźnie zakazali mi wpuszczać tu kogokolwiek podczas ich nieobecności. I wcale nie myślę, że podniosą mi pensję. Za to wiem, że pani będzie wściekła. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki ma niewyparzony język. Nie możecie tu zostać na noc i koniec.

- Jak się nazywasz? - zapytał Lucius.

- Wally.

- Wally, sir! - poprawił go.

- Wally, sir - powtórzył posępnie parobek. - Nie możecie tu zostać, sir. Pokoje nie są gotowe, nie ma drewna na opał, nie ma kucharki i nie ma nic do jedzenia.

Wszystko to było straszne dla Frances, tak nieszczęśliwej, jak jeszcze nigdy w życiu.

Jedynym pocieszeniem - naprawdę jedynym - był fakt, że przynajmniej żyje i stoi pewnie na własnych nogach.

- Widzę, że w kominku leżą polana - zauważył Lucius. - Rozpal ogień, a ja pójdę po resztę bagaży. Ale najpierw podaj pani jakiś szal albo koc, żeby nie marzła. Potem przygotujesz dwa pokoje. Co do jedzenia...

- Sama rozejrzę się po kuchni - wtrąciła się Frances. - Nie musi mnie pan traktować, jakbym była ze szkła. Bo nie jestem. Kiedy skończysz rozpalać w kominku, Wally, przyjdź

do mnie do kuchni. Pomożesz mi znaleźć produkty, z których przyrządzę jakiś posiłek dla pięciu osób, włącznie z tobą.

Lucius spojrział na nią, wysoko unosząc brwi.

- Potrafi pani gotować? - zdziwił się.

- Będę potrzebowała żywności, naczyń i pieca, żeby to udowodnić - odparła. - Ale znana jestem z tego, że nie przypalam wody w czajniku.

Przez chwilę wydawało jej się, że widzi w oczach Marshalla błysk rozbawienia.

- Przypominam, bo może mnie pani dobrze nie usłyszała, że mówiłem o placku z mięsem. Z dużą ilością cebuli i w sosie... bez grudek.

- Niewykluczone, że będzie się pan musiał zadowolić tylko jajkami w koszulkach.

Jeśli tylko są tu jakieś jajka.

- W tej chwili brzmi to jak godny substytut - odparł Lucius.

- Są jajka - burknął Wally. Klęczał przy kominku i próbował rozpalić ogień. -

Zostawili je dla mnie, ale nie mam pojęcia, co można z nimi zrobić.

- W takim razie pozostaje nam nadzieja, że wie to panna Allard i że, mówiąc o jajkach w koszulkach, się nie przechwalała.

Frances nic na to nie odpowiedziała. Pchnęła drzwi, które jak zgadywała, prowadziły do kuchni, Lucius zaś wyszedł z gospody, żeby pomóc Petersowi przenieść bagaże.

Budynek sprawiał wielce przygnębiające wrażenie. Przez małe okienka wpadało do środka niewiele światła, mimo że na dworze z powodu śniegu było bardzo jasno. Frances czuła, że jej stopy w butach są zimne i mokre. Nie mogła powiedzieć, iż zajazd jest brudny, ale też nie lśnił czystością. Z obawy przed zimnem nie odważyła się zdjąć palta ani czapki.

Poza niechlujnym, leniwym parobkiem nie było tu nikogo, kto by przygotował ciepły posiłek, zresztą jakikolwiek posiłek. I na dodatek utknęła w tym obrzydliwym miejscu w towarzystwie złośliwego, aroganckiego dżentelmena i trzech zrzędlivych służących.

Sytuacja zdecydowanie nie wyglądała dobrze.

W szkole na nią czekają. Myślą, że przyjedzie dzisiaj. Uczennice wracają ze świątecznej przerwy za dwa dni. Jeśli chce być gotowa do rozpoczęcia semestru, musi nadrobić sporo zaległości - choćby sprawdzić cały stos klasówek z francuskiego i angielskiego.

Tak niefortunny obrót spraw jej to uniemożliwi. Całkowita klęska.

Kiedy jednak rozejrzała się po kuchni, przeszukując, najpierw dość niepewnie, potem odważniej, wszystkie szuflady, szafki i spiżarnię i gdy w końcu, przywoławszy Wally'ego, kazała mu oczyścić z popiołu palenisko i rozpalić ogień, uznała, że jedynym rozsądnym sposobem poradzenia sobie z sytuacją jest odwołanie się do praktyczności.

I może, wspominając ten dzień, bezpieczna w szkole - kiedy już tam dotrze - dojrzy w nim bardziej przygodę niż katastrofę, a całą sytuację za zabawę. Teraz jednak trudno jej było wyobrazić sobie taką ewentualność, choć miała niekłamaną nadzieję, że kiedyś naprawdę wyda jej się to wszystko wspaniałą przygodą.

Gdyby tylko jej towarzyszem był przystojny, uśmiechnięty, czarujący rycerz w lśniącej zbroi...

Musiała jednak przyznać, że pan Marshall wcale nie jest szkaradny. Jej pierwsze wrażenie było błędne, przynajmniej pod jednym względem: wprawdzie sprawia wrażenie mężczyzny przy kości, ale twarz ma ładną, choć ciągle się krzywi, szyderczo uśmiecha i unosi jedną brew.

Ten gbur śmie wątpić w to, że ona potrafi ugotować jajka w koszulkach. O placku z mięsem mówił jak o czymś, o czym nie mogła nawet słyszeć. Ha! Z jaką radością udowodni mu, że się myli. Już w dzieciństwie zadziwiała ojca i innych domowników, całymi dniami przyglądając się, jak gotuje kucharka i nawet pomagając jej, jeśli tylko się na to zgodziła.

Uważała to za wspianiałą zabawę.

Obejrzała bochenek chleba i uznała, że choć w obecnym stanie nie nadaje się do jedzenia, po upieczeniu będzie w sam raz. Oprócz chleba znalazła jeszcze kawałek sera, który ktoś rozsądnie nakrył ściereczką i który wyglądał na jadalny, oraz pół kostki masła.

Wysłała Wally'ego po wodę, napełniła czajniczek i postawiła go na ogniu. Dopiero się rozpałał, więc nie spodziewała się, że woda szybko się zagotuje. Nie szkodzi, warto poczekać.

Zresztą w gospodzie pewnie znajdzie się jakieś piwo i czterej mężczyźni ugaszą pierwsze pragnienie. Nie widząc nigdzie brudnych naczyń ani śladów po przygotowaniach do posiłków, domyślała się, że Wally, kiedy został sam na włościach, odżywiał się właśnie tylko piwem. Prawdopodobnie zakopał się w pościeli i spał, zbyt leniwy nawet na to, żeby dla własnego komfortu przynajmniej napalić w piecu.

Weszła do głównej sali. Lucius Marshall akurat przysuwał stół i krzesła w stronę kominka. Płonął w nim już ogień, dzięki czemu w pomieszczeniu zrobiło się nawet przyjemnie. Widząc ją, Marshall się wyprostował.

Nie miał już na sobie palta i czapki. Zobaczywszy go bez wierzchniego ubrania, Frances stanęła jak wryta, niemal rozdziawiając usta. Wiedziała, że jest postawnym mężczyzną, ale sądziła, że jest też otyły. Teraz jednak, kiedy stał przed nią odziany w doskonale skrojony ciemnozielony surdut, jasną kamizelkę, obcisłe spodnie, wysokie jutowe buty i w białą koszulę ze starannie przewiązanym fularem, stwierdziła, że wcale nie jest gruby, a tylko bardzo dobrze umięśniony. Widząc jego silne uda, domyśliła się, że wiele czasu spędza w siodle. A włosy, bez bobrowej czapy, okazały się gęstsze, niż się spodziewała, i kręcone. Zgrabnie okalały jego głowę.

Miała przed sobą prawdziwego księcia.

Trzeba przyznać, że jest druzgocąco przystojny, pomyślała z niechęcią, przypominając sobie jednocześnie swoje rozbawienie, które czuła za każdym razem, gdy podsłuchiwała chichoczące uczennice, jak tęsknie wzdychając, opowiadały o młodzieńcach, co swoją urodą zawrócili im w głowach.

A teraz to ona sama z podziwem gapi się na takiego właśnie przystojniaka.

Arogancy mężczyźni powinni być brzydcy.

Ruszyła do stołu, żeby postawić na nim tacę.

- To tylko podwieczorek - zapowiedziała. - Choć domyślam się, że podobnie jak ja zapomniał pan o lunchu. Wkrótce ogień w piecu rozpali się na tyle, że będę mogła ugotować na nim porządną strawę, a na razie tosty, ser i pikle powinny wystarczyć. Przygotowałam też podwieczorek dla służących. Kazałam Wally'emu pobiec do stajni i ich sprowadzić.

- Jeśli tylko Wally zdolny jest do biegu - odparł Lucius, pocierając ręce i przyglądając się wygłodniałym wzrokiem tacy. - Zjadłbym nie tylko tosty i ser, ale nawet własną czapkę.

Kiedy przygotowywała podwieczorek, zastanawiała się, czy powinna dołączyć do Marshalla, czy raczej wypić herbatę w kuchni. Woląta to drugie, ale duma jej podpowiadała, że gdyby tak uczyniła, ustawiłaby się w pozycji służącej. A arogancki Marshall bez wątpienia z ochotą od razu by to wykorzystał. Jest wprawdzie nauczycielką, ale nie czyjąś pokojówką -

a już z pewnością nie jego.

Stała więc teraz w pokoju, sam na sam z Luciusem Marshallem, złośliwym, aroganckim i bardzo przystojnym mężczyzną. Każda dobrze wychowana dama w takiej sytuacji poczułaby się bardzo nieswojo.

Zdjęła palto i czepek i położyła je na drewnianym stołku. Chciała przeczesać włosy, lecz zauważyła, że jej walizka i torebka zniknęły spod drzwi. Poprawiła więc fryzurę tylko rękami, po czym zasiadła za przysuniętym do kominka stołem.

- Och, jak ciepło - zawołała radośnie. - Wreszcie.

Lucius usiadł naprzeciwko, przyglądając się jej zmrużonymi oczami.

- Niech zgadnę - powiedział. - Jest pani Hiszpanką? A może raczej Włoszką? Nie, Greczynką?

- Angielką - odparła stanowczo. - Ale moja matka była Włoszką. Niestety nie znałam jej, bo osierociła mnie w niemowlęctwie. Przypuszczam jednak, że jestem do niej podobna.

Tak przynajmniej zawsze twierdził mój ojciec.

- Czas przeszły? - zapytał. - Tak.

Nadal jej się przyglądał. Krępowalo ją to, ale z pewnością nie chciała tego po sobie pokazać. Przełożyła na talerz trochę jedzenia i odgryzła kęs tosta.

- Na herbatę musimy jeszcze poczekać. Choć domyślam się, że i tak wolałby pan piwo. Może gdzieś je pan tu znajdzie, bez zwracania głowy biednemu Wally'emu. Miał tyle roboty przez całe popołudnie.

- Może i biedny, ale na jednym się zna. Na mocnych trunkach. Już zdążył mi pokazać półki za kontuarem.

- Aha - mruknęła.

- Mają tu niezły wybór.

Frances nie odpowiedziała, tylko ugryzła chleb.

- Obszedłem piętro - ciągnął Marshall. - Są tam cztery pokoje. Albo pięć, jeśli liczyć duże i puste pomieszczenie, które moim zdaniem służy za salę taneczną. Jeden z mniejszych zajmuje pewnie ów

Parker i jego pani o ostrym języku, w drugim stoi tylko jeden mebel.

Chyba jest to łóżko, ale nie wiem, bo na nim nie siadałem ani się nie kładłem. Pozostałe dwie izby można od biedy nazwać pokojami gościnnymi. Wziąłem pościel z komody stojącej przy pokoju gospodarzy i posłałem dwa łóżka. Pani rzeczy wstawiłem do większego pokoju.

Trochę później, jeśli Wally nie zaśnie, każę mu tam napalić, żeby mogła się pani położyć i nie zmarznąć.

- Posłał pan łóżka?! - Tym razem to Frances uniosła wysoko brwi. - Chciałabym to zobaczyć.

- Ma pani ostry języczek, panno Allard - mruknął Marshall. - Chyba widziałem jedną lub dwie myszy wijące sobie gniazdko pod pani łóżkiem, ale nie wątpię, że i tak zdoła pani zasnąć snem sprawiedliwego.

Frances zastanawiała się, jak się odciąć, gdy nagle, niczym pięścią w brzuch, uderzyła ją paraliżująca myśl. Jeśli właściciele gospody - a przede wszystkim jej właścicielka - nie wrócą w ciągu kilku godzin, ona, Frances, zmuszona będzie spać bez przyzwoitki w pokoju sąsiadującym z pokojem Luciusa Marshalla, nadzwyczaj atrakcyjnego, choć zarazem strasznie nieuprzejmego mężczyzny.

Spuściła głowę i wstała.

- Pójdę sprawdzić, czy woda już wrze - poinformowała.

- Co? - zdziwił się Lucius. - Pozwala pani, żebym to ja miał ostatnie słowo?

Istotnie tak było.

Spiesząc do kuchni, czuła, że jej policzki robią się tak samo gorące jak woda w czajniku.

Tam do diaska - przeklął pod nosem Lucius, gdy został sam. Wstał i poszedł szukać piwa.

Myślał o pannie Allard i jej wyglądzie. Miała na sobie brzydką brązową suknię, kilka tonów jaśniejszą od jej palta. Zapinana pod samą szyję, z długimi rękawami, była to najmniej kobieca suknia jaką w życiu widział. Opinała szczupłe, a nawet chude ciało, które także nie wydawało się szczególnie zmysłowe. Włosy nauczycielki uczesane były tak, jak przypuszczał, kiedy jeszcze osłaniał je czepek: z przedziałkiem na środku, ściągnięte nad szyją w kok. Domyślał się, że panna Allard nie starała się rankiem przy układaniu fryzury dodawać do niej kilku loczków i skrętów, aby rozbudzić męską wyobraźnię. Jej włosy były ciemne, prawie czarne. Twarz pociągła, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, zgrabnym, prostym nosem i nieokreślonymi w kształcie ustami. Oczy ciemne, z gęstymi rzęsami.

Sprawiała wrażenie sztywnej i niedbającej o elegancję. Wyglądała - i zachowywała się - jak kwintesencja guwernantki.

A jednak bardzo się pomylił w jej ocenie.

Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie potrafił określić, musiał stwierdzić, że panna Frances Allard to piękna kobieta.

Piękna, lecz nie pociągająca. Musi jednak jakoś znieść jej towarzystwo i to prawdopodobnie jeszcze do następnego dnia.

Najlepiej by zrobił, gdyby zostawił ją w spokoju, skoro już postanowiła samotnie wypić herbatę w kuchni. Najwyraźniej zapalała do niego taką samą niechęcią jak on do niej i to dlatego stara się trzymać od niego z daleka.

Ale już po pół godzinie zaczęło mu się nudzić. Mógłby wprawdzie zajrzeć do stajni i sprawdzić, czy Peters i drugi woźnica znów skoczyli sobie do gardeł, lecz jeśli rzeczywiście do tego doszło, zmuszony byłby interweniować. Porzucił więc ten pomysł i... wkroczył do kuchni. Stał w drzwiach jak wryty, zdumiony widokiem i zapachami, których się nie spodziewał.

- Wielkie nieba! - zawołał. - Chyba nie robi pani placka z mięsem?

Frances stała przy dużym drewnianym stole, zajmującym cały środek pomieszczenia.

Z podwiniętymi rękawami i w obszernym fartuchu ugniatała coś, co wyglądało jak ciasto.

- Owszem - odpowiedziała. Lucius z lubością wdychał zapach duszonego mięsa i przypraw. - Sądził pan, że nie potrafię przygotować tak prostego dania? Postaram się nawet o to, żeby nie miał pan po nim niestrawności.

- Jestem zaszokowany - odparł oschle, choć w rzeczywistości był zdumiony. Nigdy nie przepadał za

jajkami w koszulkach.

Na zaróżowionym policzku Frances widniała biała smuga po mące. Dziewczyna prawie tonęła w fartuchu, który zapewne należał do właścicielki gospody, pani Parker. A jednak, o dziwo, wyglądała w nim bardziej pociągająco niż wcześniej - bardziej kobieco.

Lucius wyciągnął rękę, wziął ze stołu kawałek ciasta i włożył go do ust. Otrzymał za to klapsa po dłoni.

- Jeśli zamierza pan je zjeść, zanim zdąży się upiec - zezłościła się Frances - będę żałowała, że się tak wysilałam.

- Naprawdę, madame? - Uniósł brew. Nikt nie bił go po rękach chyba dobre dwadzieścia lat. - Znaczy się, że nawet kiedy już placek będzie gotowy, też nie będę mógł go tknąć, żeby nie poczuła się pani wykorzystana, tak?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale zaraz, niespodziewanie... wybuchnęła śmiechem.

Boże, o Boże! Och, do diabła! Nagle wydała mu się więcej niż atrakcyjna.

- Powiedziałam coś głupiego - przyznała z iskierkami rozbawienia w oczach. Kąciki ust, które w uśmiechu przestały wyglądać nijako, uniosły się. - Przyszedł pan pomóc? W

takim razie proszę obrać ziemniaki.

Nadal wpatrywał się w nią niczym skarcony uczeń. Dopiero po chwili dotarły do niego jej słowa.

- Obrąć ziemniaki?! - Zmarszczył czoło. - A jak to się robi? Wytarła ręce w fartuch, zniknęła w czymś, co jak się domyślał, było spiżarnią, po czym wyłoniła się z niej z siatką ziemniaków i położyła ją u jego stóp. Z szuflady wyjęła nóż i podała mu.

- Pewnie jest pan na tyle inteligentny, że sam się domyśli. Wcale nie było to tak proste, jak się wydawało. Kiedy obierał zbyt grubo, żeby nie było brzydkich plam, z ziemniaków zostawało niewiele. Jeśli zaś obierał cieniej, zabierało to więcej czasu.

Przyszło mu na myśl, że gdyby zobaczyli go teraz jego kucharz i reszta służby, z pewnością dostaliby zawału serca. Podobnie matka i siostry. Przyjaciele może nie, za to zwijałoby się ze śmiechu. Wicehrabia Sinclair, przystojniak, który śpiewem zarabia na kolację

- a raczej obieraniem ziemniaków, co jeszcze gorsze!

Lucius prawie nie spuszczał wzroku z panny Allard, która zręcznie poruszając szczupłymi palcami, wykładała głębokie naczynie ciastem. Później nałożyła na nie mięso, warzywa i sos, a na koniec przykryła wszystko następną warstwą ciasta i poprzekłuwała je w kilku miejscach widelcem.

- Po co pani to robi? - zapytał, wydrążając oczko z ziemniaka i następnie wskazując nożem na ciasto. - Czy przez te dziurki nadzienie nie wykipi?



- Jeśli nie będzie ujścia dla pary - wyjaśniała, pochylając się, by włożyć ciasto do pieca - wierzchnia warstwa wystrzeli w powietrze i cała zawartość placka znajdzie się na ściankach piekarnika.

Panna Allard prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, jak kusząco wygląda, kiedy tak pochyla się nad piecem, a suknia ładnie opina jej biodra - dowód na to, że jej ciało wcale nie jest aż tak bezkształtne, jak sądził. Domyślał się, że jego towarzysze ani razu od chwili, gdy się poznali, nawet przez myśl nie przeszło, żeby go uwodzić. Wręcz przeciwnie - jeśli pamięć go nie myli, natychmiast się nastroszyła.

No cóż - w tym względzie także się pomylił. Najpierw wydała mu się jędzowatą, zgorzkniałą starą panną, potem uznał, że jest piękna, ale mało pociągająca, a teraz powoli ulegał jej urokowi.

- Wystarczy już tych ziemniaków? - zapytał z irytacją.

Frances wyprostowała się i spojrzała na niego, lekko przekrzywiając głowę.

- Jeśli każdy z panów zadowoli się porcją nie jak dla całego pułku, a tylko dla połowy, to tak - odparła. - Coś mi się zdaje, że obierał pan ziemniaki po raz pierwszy?

- O dziwo, panno Allard, jakoś nie czuję się niemęsko, przyznając, że tak jest w istocie, mam też wielką nadzieję, że będzie to mój ostatni raz. A kto pozmywa?

Głupie pytanie, w ogóle nie powinien był go zadać.

- Ja - odpowiedziała. - Chyba że ktoś zgłosi się do pomocy. Thomasa nawet nie będę pytała. Wally'emu kazałam się ogolić i coś mi mówi, że zajmie mu to jeszcze co najmniej godzinę. Pozostaje tylko pański woźnica albo... - Uniosła brwi.

W jaki sposób, do diaska, dał się wciągnąć w tę niedorzeczną sytuację? Chyba panna Allard nie oczekuje... Na pewno nie. A jednak w jej oczach znowu dostrzegł błysk rozbawienia.

- Chce pani, żebym mył czy wycierał? - zapytał przesadnie uprzejmym tonem.

- Lepiej niech pan wyciera. Mógłby pan sobie zniszczyć swoje wypielęgnowane dłonie, gdyby zbyt długo trzymał je pan w wodzie.

- Gdyby tak się stało, mój lokaj byłby zrozpaczony. Wyruszył do domu dzień przede mną. Przypuszczam, że już nigdy nie zgodziłby się zostawić mnie na pastwę losu.

To wszystko robi się coraz bardziej dziwaczne, pomyślał, kiedy zabrali się do mycia i wycierania naczyń. W tym czasie ziemniaki wesoło bulgotały w garnku, a zapach z piekarnika sprawiał, że żołądek zaciskał mu się w proteście przeciwko temu, że musi czekać na posiłek. Co za dzień!

Po pierwsze, nigdy nie miał zwyczaju zatrzymywać się w innych zajazdach jak tylko tych najlepszych. Po drugie, rzadko podróżował bez lokaja - teraz było inaczej, ponieważ Jeffreys się zaziębił, a Lucius nie mógł znieść myśli, że będzie musiał przez całą drogę wysłuchiwać jego żalosego

pociągania nosem i kasłania. W kuchni nie postawił nogi od czasów dzieciństwa, a i wtedy zaglądał do niej tylko po to, żeby wyblagać od kucharki jakieś smaczne kąski. Lubił wygodę, a jeśli już się jej wyrzekał, na przykład, gdy wybierał się na konną przejażdżkę w deszczu, miał przynajmniej pewność, że robi to na własne życzenie i dyskomfort wydawał się bardziej zabawą niż udręką.

Natomiast ten dzień zapowiadał się katastrofalnie już od momentu, w którym Peters wyminął pojazd tak zabytkowy, że Lucius zastanawiał się nawet, czy z powodu burzy śnieżnej nie cofnął się w czasie. I nie wyglądało na to, żeby sytuacja miała zmienić się na lepsze. Postanowił więc zamiast na nią narzekać, zacząć się nią bawić.

- Zdaje sobie pan chyba sprawę - rzuciła Frances, przykrywając ścierką suche naczynia - że czeka nas to samo po kolacji?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Panno Allard - powiedział, zмирzając do drzwi. - Czy nikt nigdy nie wyjaśnił pani, od czego są służący?

Gdy po kolacji Marshall odesłał Wally'ego i dwóch woźniców do zmywania, Frances poczuła się znużona. Miała za sobą długi, bardzo męczący i dziwny dzień, a ciemność zimowego wieczoru sprawiała, że wydawało się, iż jest później niż było w rzeczywistości.

Wiatr uderzający o okiennice i wyjący w kominie, ciepło i buzujący ogień usypiały ją.

Podobnie jak gorąca herbata, którą spokojnie popijała.

Patrzyła na ogień, kątem oka jednak dostrzegając miękkie, wypolerowane na połysk skórzane botki Luciusa Marshalla - wyciągnął nogi i oparł stopy leniwie na brzegu kominka, przez co, nie wiadomo dlaczego, wydał jej się znacznie bardziej męski niż wcześniej.

Niebezpiecznie męski.

Nie umiała zdobyć się na śmiałość, żeby się pożegnać i udać na spoczynek. Musiałaby wstać i oświadczyć, że chce odejść do pokoju na piętrze, który przecież znajduje się tuż obok pokoju Marshalla. W drzwiach nie było nawet zasuwki. Oczywiście nie podejrzewała, że mogła wpaść w oko swojemu towarzyszowi, a jednak... Usłyszała jego zadowolone westchnienie.

- Pani placek miał tylko jedną wadę, panno Allard - odezwał się. - Był zbyt dobry i teraz już żaden nie będzie mi tak smakował.

Rzeczywiście wyszedł niezłe, zwłaszcza że nigdy wcześniej nie przyrządzała go bez czyjejś pomocy, nie mówiąc już o tym, że nie gotowała od wielu lat. Niemniej pochwalają zaskoczyła. Pan Marshall nie wyglądał na osobę, która chętnie obdziela bliźnich dobrym słowem.

- Ziemiaki też były niezłe - odparła.

W odpowiedzi Lucius wybuchnął śmiechem.

To prawda, że ich znajomość źle się rozpoczęła. Ale przecież nie ma sensu demonstrować wrogości ani też być niemiłym lub prowokować kłótnię. I tak, nie ustalając tego ze sobą, oboje postanowili złożyć broń i zawrzeć nieco wymuszony pokój.

A jednak czuła się dziwnie, siedząc sam na sam z przystojnym mężczyzną, leniwie wyciągniętym na krześle i ze świadomością, że spędzą noc w pokojach położonych tuż obok siebie. Ta sytuacja pobudzała wyobraźnię i marzenia. Lecz fantazje, kiedy się urzeczywistniają, potrafią być o wiele mniej przyjemne od marzeń.

Wielkie nieba, toż przez ostatnie trzy lata przestawała tylko z kobietami, jeśli nie liczyć pana Keeble'a, woźnego w szkole panny Martin.

- Mieszka pani w Bath, tak? - zapytał Lucius.

- Tak. W szkole, w której uczę.

- Aha - mruknął. - A więc jest pani nauczycielką?

Na pewno już wcześniej się tego domyślił. I nic dziwnego. Nie wygląda przecież jak elegancka dama i na dodatek podróżuje zniszczonym, starym powozem.

- W szkole dla dziewcząt - dodała. - Bardzo dobrej szkole. Panna Martin otworzyła ją dziewięć lat temu. Na początku miała niewiele uczennic i bardzo mały budżet. Szybko jednak zdobyła odpowiednią reputację. Ta reputacja oraz pomoc nieznanego darczyńcy sprawiły, że mogła wynająć następny, sąsiadujący ze starym, budynek i przyjąć do szkoły nie tylko dziewczęta, które płacą za naukę, ale także dziewczęta z ochronki. Pracuję u panny Martin od trzech lat. Lucius pociągnął łyk porto ze szklaneczki.

- A czegoż to uczą się dziewczęta w takiej szkole? - zapytał. - Czego pani uczy?

- Muzyki i francuskiego. A także pisania. Ale nie listów, bo tym zajmuje się Susanna Osbourne, tylko czegoś bardziej ambitnego. Szkoła kształci dziewczęta w każdej dziedzinie, którą powinny opanować, żeby stać się młodymi damami. Mówię tu o nauce tańca, śpiewu, malarstwa, dobrych manier. Poza tym w skład programu wchodzi też przedmioty ścisłe.

Panna Martin bardzo się przy nich upiera, uważa bowiem, że umysł kobiecy w niczym nie ustępuje męskiemu.

- Ach! To doprawdy godne podziwu.

Frances gwałtownie odwróciła się do niego, nie umiała jednak stwierdzić, czy Marshall powiedział to poważnie czy z ironią. Wyciągnięty swobodnie na krześle, wydawał

się śpiący. Jego krótkie, kręcone włosy były nieco zmierzwione. W dole brzucha Frances poczuła nagle leciutkie trzepotanie.

- Lubię uczyć - powiedziała. - Mam wtedy wrażenie, że robię w życiu coś przydatnego.

Spojrzał na nią.

- A przed trzema laty nie robiła pani nic, co było przydatne? Myślami powróciła do dwóch lat po śmierci ojca. Przez chwilę zdawało jej się, że nie zdoła powstrzymać łez. Jednak się nie rozplakała - miała już za sobą tamten stresujący i stracony czas. I nigdy nie żałowała podjętej wtedy decyzji, żeby uczyć w szkole, zamiast szukać schronienia w bezpiecznym domu ciotek. Gdyby musiała zdecydować jeszcze raz, postąpiłaby dokładnie tak samo.

Niezależność to wspinała rzecz dla kobiety.

- Przed trzema laty nie byłam szczęśliwa. Teraz jestem.

- Doprawdy? - zapytał Marshall, przesuwając leniwie wzrokiem po jej twarzy, szyi i ramionach, a nawet po brzuchu. Wprawiło ją to w zakłopotanie. - Los jest więc dla pani łaskawy, skoro może pani coś takiego powiedzieć, madame.

- Czyżby pan nie był szczęśliwy? - zdziwiła się.

- Szczęście. - Uniósł brwi z wyraźną pogardą. - To dziecinada. Istnieje przyjemność i zmysłowe uniesienia oraz ich przeciwieństwa. Kultuwuję pierwsze, unikam drugich, kiedy tylko zdołam. Taka jest, można rzec, filozofia mojego życia... jak i większości ludzi, o czym by wiedzieli, gdyby tylko zechcieli być wobec siebie uczciwi.

- Użyłam nieprzemyślanego słowa. Złego określenia. Powinnam była powiedzieć, że jestem zadowolona ze swojego życia. Unikam wymienionych przez pana skrajności, wybieram spokój. Mam taką filozofię życia. Przypuszczam, że tak jak ja wiele innych osób odkryło, iż jest to mądry sposób istnienia na tym świecie.

- A także straszliwie nudny - mruknął.

A zaraz potem zrobił coś zaskakującego, od czego nie tylko zatrzepotało jej serce. Na chwilę nawet zabrakło jej tchu.

Uśmiechnął się do niej.

Ależ on jest przystojny!

Próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, lecz jej się nie udało, za to nie przestawała wpatrywać się w jego oczy, czując zarazem, że na policzki wypływa jej gorący rumieniec.

On także przyglądał się jej w milczeniu. Już się nie uśmiechał.

- Myślę - oświadczyła, w końcu odzyskując głos - że czas do łóżka.

Jeśli kiedykolwiek pragnęła cofnąć wypowiedziane przez siebie słowa, to była to właśnie ta chwila. I jeśli kiedykolwiek pragnęła, by pod jej stopami rozwarła się czarna otchłań i ją w siebie wciągnęła, to był ten moment.

Przez kilka koszmarnych sekund nie potrafiła oderwać wzroku od oczu Luciusa Marshalla. Powietrze między nimi nagle zgęstniało. I wtedy się odezwał.

- Jak sądzę, panno Allard, ma pani na myśli to, że powinniśmy się udać na spoczynek, ale każde do swojego pokoju. I zgadzam się z panią, czas do łóżka. Jeśli zostaniemy tu dłużej, w końcu przyśniemy. Obudzilibyśmy się zapewne z zeszywniałymi karkami i zziębnięci, bo w kominku by wygasło. Proszę iść na górę, a ja przygaszę ogień. Sprawdzę też palenisko w kuchni, choć przypuszczam, że Peters i Thomas nadal grają tam w karty, obrzucając się przy tym niewybrednymi wyzwiskami.

Podniósł się i nachylił do kominka.

Frances zastanawiała się, czy kiedy wstanie, kolana nie odmówią jej posłuszeństwa.

Cóż za okropne przejęzyczenie! Żałowała, że nie została w kuchni, tak jak początkowo zamierzała.

- Dobranoc, panie Marshall - powiedziała do jego pleców. Wyprostował się i odwrócił. Jedną brew wyginała się kpiąco.

- Jeszcze tu pani jest? - zdziwił się. - Dobranoc, panno Allard. Uciekła, zatrzymując się tylko na chwilę przy kontuarze, żeby zabrać stojący na nim świecznik. Potem pospieszyła do swojego pokoju. Tam ze zdziwieniem stwierdziła, że ktoś napalił w kominku. Wprawdzie Lucius zapowiadał, że każde to zrobić Wally'emu, ale nie słyszała, żeby wydawał taki rozkaz.

Rozebrała się i szybko wskoczyła do łóżka, naciągając kołdrę na głowę, jakby chciała w ten sposób odgrodzić się od własnych myśli.

I nie tylko od myśli, ale także od uczuć - zdecydowanie nie były to uczucia osoby, która w życiu kultywuje umiar. Coś ją dusiło w piersiach, pulsowało w dole brzucha. Paliła ją wewnętrzna strona ud. Nie była aż takim niewiniątkiem, żeby nie wiedzieć, co to znaczy.

Pożądała mężczyzny, którego prawie nie знаła - i prawdopodobnie nawet by nie polubiła, gdyby się bliżej poznali. Przez kilka godzin wręcz go nienawidziła. Co za wstyd!

Zakryta kołdrą czekała w napięciu, aż usłyszy kroki Marshalla na schodach.

A jednak, mimo że czekała długo, ich nie usłyszała.

Następnego dnia, kiedy tylko wstał, Lucius zrobił oddechem małe kółko na zamarznętej szybie i wyjrzał na zewnątrz. Śnieg już nie sypał. Jednak przez noc napadało go tyle, że wszędzie wznosiły się wielkie, białe zasy. Niebo niestety nadal było pochmurne i, sądząc po temperaturze w pokoju, nie zapowiadało się na odwilż.

Wprawdzie z powodu mroku nie mógł dostrzec, co dzieje się na drodze, jednego był

pewien: nikt tego dnia nie wybierze się w podróż.

Stwierdziwszy to, spodziewał się, że przygnębienie i zły humor znowu go dopadną, tymczasem ze zdziwieniem uświadomił sobie, że czuje się świetnie. Nic w jego życiu oczywiście nie uległo zmianie, a jednak los zafundował mu małe odroczenie tego, co powinien zrobić, by udowodnić, że jest oddanym i odpowiedzialnym wnukiem, synem, bratem i narzeczonym. A więc mógł się cieszyć nadchodzącym dniem.

Dziwna to myśl, biorąc pod uwagę, że przecież utknął gdzieś na odludziu w obskurnej gospodzie, bez lokaja oraz wygód, do których był przyzwyczajony.

Ogolił się pospiesznie w lodowatej wodzie, stojącej od wczoraj w misce, ubrał się, wciągnął buty, włożył palto i czapkę. Z rękawiczkami w dłoni zszedł na dół. Panował tu mrok. Tak jak się spodziewał, Wally jeszcze spał - pewnie Thomas i Peters też. Sądził tak, bo kiedy dobrze po północy zdecydował, że może już bezpiecznie - czyli ufając własnej przyzwoitości - udać się na spoczynek, słyszał, że obaj służący nadal grają w karty, oskarżając się przy tym nawzajem o nieuczciwość.

Mimo że nie spał dobrze, rozpierała go energia. A ponieważ nie mógł udać się na konną przejażdżkę, jak to lubił robić rano, lub się z kimś poboksować albo poćwiczyć fechtunek - godne zamienniki jazdy konnej - postanowił przynajmniej odgarnąć śnieg sprzed drzwi wejściowych. Wciągnął rękawiczki i wyszedł na dwór, w mroczny świt zapowiadający nastanie dnia, po czym ruszył do stajni, gdzie spodziewał się znaleźć łopatę i szufłę. Pomógł

mu ich szukać Peters, który jak się okazało, już tam był.

- Sam to zrobię, kiedy tu skończę, sir - powiedział służący. - Wolę to niż zmywanie tych cholernych talerzy. Choć widzę, że pali się pan, żeby się czymś zająć. W takim razie proszę odśnieżyć.

- Wielkie dzięki za pozwolenie - odparł oschle Lucius. Wziął łopatę i zabrał się do pracy.

W świetle wstającego poranka widział już, że gospoda, nieco oddalona od innych domostw, leży na skraju wsi i że droga do osady jest zasypana do tego stopnia, że prawie nie mógł się zorientować, którędy biegnie. Z tego wniossek, że ani klienci, nawet ci najbardziej spragnieni piwa, ani właściciele zajazdu nie zdołają się do niego przedrzeć.

Coś mu poza tym mówiło, że posiłki przyrządzane przez pannę Allard i tak okażą się lepsze niż wyroby właścicielki zajazdu, chyba że placek z mięsem to jedyne danie, które panna Allard potrafi przyrządzić. Cóż, jeśli o niego chodzi, może go jeść stale.

W godzinę udało mu się odśnieżyć ścieżkę wiodącą od drzwi gospody do stajni i drugą, od tych drzwi do miejsca, gdzie w jego przekonaniu przebiegała droga. Ciężko dyszał, ale rozgrzał się i czuł się rześko.

Dzień wstał już na dobre. Niebo nadal było zachmurzone, lekko prószył śnieg, ale przynajmniej zrobiło się jasno.

Oparł się na trzonku łopaty i wciągnął głęboko w płuca świeże powietrze. Rozpierała go energia.

Pomyślał, że nie uda mu się całej spożytkować podczas wymuszonego pobytu w małej wiejskiej gospodzie.

Zabrał się więc do usuwania zasy obok budynku. Kiedy znalazł się przy oknie, które wyglądało na kuchenne, wyprostował się i zajrzał do środka.

Frances Allard robiła coś przy piecu. Nie wiedział, czy sama w nim napaliła, ale widać było, że ogień płonie już od jakiegoś czasu.

Miała na sobie suknię podobną do tej z poprzedniego dnia, tyle że kremową.

Wyglądała w niej ładniej. Włosy zaczesła starannie do tyłu. Znowu włożyła olbrzymi fartuch. Zauważył, że z czajnika wydobywa się para. Na palenisku coś się gotowało, a na stole stała miska z czymś, co przypominało roztrzepane jajka.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny.

Był też oczarowany domową scenerią - a nawet trochę nią podniecony. Jest coś erotycznego w widoku kobiety krzątającej się po kuchni.

Natychmiast odegnał od siebie te skojarzenia. Panna Allard to nauczycielka, a także, bez wątpienia, osoba wielce cnotliwa.

A więc, krótko mówiąc, dla niego niedostępna.

A ona, jakby wyczuwając jego wzrok, odwróciła się do okna i popatrzyła na niego. I -

do diaska - uśmiechnęła się. Jej twarz stała się zadziwiająco piękna. Uśmiech panny Allard był jak śmiertelna broń, a on wolałby, żeby go nie używała.

Machnęła na niego, pokazując na gotującą się na piecu strawę.

Kiedy po kilku minutach wszedł do kuchni - wcześniej zdjął palto i buty - zobaczył, że na końcu długiego kuchennego stołu stoją dwa talerze.

- Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zjemy tutaj? - zapytała Frances.

Smażyła jajka, ale odwróciła głowę w jego stronę. - Jakiś czas temu obudziłam Wally'ego i kazałam mu przynieść świeżej wody. Kiedy to zrobił, uznał, że zasłużył na śniadanie razem z Thomasem i Petersem. Teraz poszedł rozpalić ogień w kominku w głównej sali. W kuchni będzie nam przyjemniej.

- A więc służący już jedli? - zdziwił się Lucius, pocierając ręce i wciągając nosem zapach smażonego bekonu, ziemniaków i kawy.

- Pana także mogłam zawołać - odparła. - Ale szkoda mi było panu przerywać.

Wydawało mi się, że świetnie się pan bawi.

- Dobrze się pani wydawało.

Postawiła przed nim pełen talerz i drugi, z nieco mniejszą porcją, przed sobą. Zdjęła fartuch i usiadła.

- Domyślam się - powiedział, wstając, żeby nalać kawy - że sama pani rozpałała w piecu.

- I owszem - przyznała. - Czyż to nie dziwna przygoda? Roześmiał się; ona spojrzała na niego karcąco, ale zaraz opuściła wzrok na talerz.

- Czy już kiedyś zarządzała pani kuchnią w gospodzie? - zapytał. - I apetytami czterech dorosłych mężczyzn?

- Nigdy. A pan? Czy odśnieżał pan kiedykolwiek podwórko przed gospodą?

- Wielki Boże! Nigdy.

Tym razem oboje się roześmieli.

- Rzeczywiście dziwna przygoda - zgodził się. - Wczoraj powiedziała mi pani, że przez całe święta wyczekiwała śniegu. Co zamierzała pani robić, gdyby spadł?

- Przyglądałabym mu się ze zdumieniem i zachwytem - odparła. - Śnieg w Boże Narodzenie to prawdziwa rzadkość. Wyobrażałam sobie też, że odwiedzam sąsiadów w grupie kolędników... tyle że w tym roku nie było żadnych kolędników. Poza tym poszłabym po śniegu na bal do wiejskiej sali tanecznej. Ale balu też nie było.

- Bardzo leniwa wioska - uznał Lucius. - Zapewne wszyscy siedzieli w domach i napychali się pieczonym drobiem i puddingami?

- Pewnie tak. Na dodatek ciotki odrzucały wszystkie zaproszenia, ponieważ wolały zostać w domu i cieszyć się towarzystwem bratanicy.

- Która wolałaby podskakiwać na wiejskiej potańcówce - dokończył za nią. - Miała pani rzeczywiście bardzo ponure święta, madame. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Tak, biedulka ze mnie - zgodziła się, choć w jej oczach skrzyło się rozbawienie.

- I tylko taki miałaby pani pożytek ze śniegu? - pytał dalej. - Więc chyba nie warto było za nim tęsknić?

- No cóż, widzi pan - zaczęła, zapominając o dobrych manierach i opierając łokieć na stole, a brodę na dłoni - wątpię, aby ciotki zechciały wziąć udział w bitwie na śnieżki. Ale prawdopodobnie zrobiłabym bałwana. Kiedy dwa lata temu spadł śnieg, panna Martin odwołała popołudniowe lekcje, zabrałyśmy dziewczęta na łąkę za szkołą i urządziliśmy na niej konkurs w lepieniu bałwanów. To



dopiero była zabawa. - I wygrała go pani?

- Powinam - wyznała, biorąc widelec i nóż. - Mój bałwan był najlepszy i najładniejszy. Nauczycielkom jednak nie przysługiwała żadna nagroda, co uważam za ogromną niesprawiedliwość. Chciałam nawet z początku zrezygnować, ale kiedy o tym powiedziałam, dziewczęta przewróciły mnie na śnieg i mnie nim natarły. Panna Martin patrzyła wtedy w bok i udawała, że niczego nie widzi. Wcale nie zamierzała wykorzystać swojej władzy i przyjść mi z pomocą.

Pomyślał, że szkoła, w której pracuje panna Allard, musi być wesołym miejscem.

Jakoś nie umiał sobie wyobrazić, że przewraca na śnieg któregoś ze swoich byłych nauczycieli, zwłaszcza w obecności dyrektora.

Panna Frances Allard z pewnością nie jest zrzędliwą, zgorzkniałą kobietą, jak oceniał

ją jeszcze wczoraj. I musiał przyznać, że gdyby znalazł się w jej sytuacji, podobnie jak ona wpadłby w podły nastrój, marząc o wrzuceniu wroga do wrzącego oleju. Oczywiście, jemu by się to nie przydarzyło, bo nikt nie zdołałby prześcignąć na drodze ani jego, ani Petersa.

- Dzisiaj również nauczycielkom nie przysługują żadne nagrody - oświadczył.

- Och? - Spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Tam, obok gospody - wskazał na podwórkę. - Jak tylko pomogę pani pozmywać naczynia. Jest tylko jeden problem. Czy ma pani odpowiednie obuwie?

- Oczywiście, że tak - zachnęła się. - Czy tęskniłabym za śniegiem w święta, gdybym nie wzięła ze sobą botków? A więc proponuje mi pan zawody w lepieniu bałwana?

Ostrzegam, że pan przegra.

- Zobaczymy. Co pani dodała do ziemniaków, że są takie wyśmienite?

- Moją sekretną ziołową mieszankę.

Lucius skończył śniadanie, a potem wstał, zebrał naczynia ze stołu i je umył. Frances w tym czasie przygotowywała ciasto, zapowiadając, że zdąży urosnąć, gdy ona będzie zwyciężała w konkursie.

- Świeży chleb?! - zawołał ze zdumieniem Lucius. Ślina napłynęła mu do ust, mimo że brzuch miał pełen.

Potem - o nieba! - zabrał się do wycierania naczyń.

Gdyby nie padało, znajdowałby się teraz prawie u celu podróży, myślał. Już po południu byłby w domu, w cichym i spokojnym Cleve Abbey, z perspektywą wyjazdu do Londynu, gdzie używałby przyjemności - lecz niestety tylko do początku sezonu! Tymczasem siedział w wiejskiej gospodzie i żeby zabić nudę, zamierzał lepić bałwana.

Ale on przecież wcale się nie nudził. Tak naprawdę nie odczuł nudy ani razu od chwili, gdy wstał z łóżka.

Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio lepił bałwana lub w jakiś inny sposób bawił się śniegiem, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Robi błędy jak nowicjusz, stwierdziła Frances, zerkając ukradkiem w stronę Luciusa.

Jego bałwan jest za wysoki i zbyt chudy. To prawda, że jest o wiele wyższy od jej bałwana, ale Marshall będzie miał problem z nasadzeniem głowy na tułów. Nawet jeśli uda mu się unieść ją na taką wysokość, głowa zaraz się stoczy, niweczając całą pracę. Bez dwóch zdań zwycięstwo należy do niej.

Bo jej bałwanek był solidny i przysadzisty. Szerszy niż wyższy. Był...

- Jest tak gruby, że nie przejdzie przez żadne drzwi - skomentował jej wysiłki Marshall, odrywając się na chwilę od własnego dzieła. - Nawet jeśli go przekreślić bokiem.

No i nie zmieściłby się na najszerszym łóżku. Jest tak gruby, że przez cały rok nie dostanie do jedzenia ani ziemniaków, ani chleba. Wręcz obrzydliwie gruby.

- Jest miłusi - odparła, przekrzywiając głowę i przyglądając się swojemu nieukończonemu jeszcze śnieżnemu człowieczkowi. - I ma łagodne usposobienie. To nie taki chudzielec jak inne bałwany, które miałam okazję widzieć. Nie wygląda, jakby mógł go przewrócić pierwszy lepszy powiew wiatru. Nie ma...

- Nie ma głowy - dokończył za nią Lucius - podobnie jak mój. Wracajmy do pracy i dopiero po jej zakończeniu będziemy oceniali wyniki.

Niestety, kiedy Frances dolepiła swojemu bałwanowi ładnie zaokrągloną głowę, wydawał się jeszcze grubszy. Poza tym głowa była za mała. Frances próbowała obłożyć ją jeszcze śniegiem, ale nie chciał się kleić i osypywał na ramiona. Zrezygnowała więc, za to z dwóch największych przyniesionych z kuchni węgli zrobiła mu oczy. W miejsce nosa wetknęła marchewkę, a kilka mniejszych węgielków, które miały udawać guziki, wcisnęła w miejsce brzucha. Palcem wyrzeźbiła pod marchewką szeroki uśmiech.

- Przynajmniej - powiedziała, odsuwając się - ma poczucie humoru. No i głowę.

Spojrzała na ziemię, gdzie leżała wielka kula z dwoma wielkimi śnieżnymi uszyskami.

- To nie koniec konkursu - bronił się Lucius. - Nie ustanowiliśmy limitu czasowego, prawda? Za wcześnie na szyderstwa. Jeszcze się pani poczuje głupio.

Przekonała się, że nie jest takim ignorantem w dziedzinie praw rządzących grawitacją, jak podejrzewała. Na ramionach bałwana wydłubał spory otwór, żeby osadzona w nim kula się nie sturlała. Oczywiście, musiał jeszcze podnieść głowę na taką wysokość.

Patrzyła z satysfakcją, jak pochyla się nad kulą.

Nie wzięła jednak pod uwagę wzrostu Marshalla i siły jego mięśni. Co byłoby niemożliwe dla niej,

dla niego okazało się dziecinną igraszką. Zdołał nawet utrzymać kulę przez kilka sekund na wyciągniętych rękach nad otworem, żeby przekręcić ją tak, by dobrze leżała na tułowiu. Wybrał węgielki i marchewkę i wetknął je w odpowiednie miejsca. A potem sięgnął do kieszeni palta i wyjął długi, wąski, robiony na drutach szalik w obrzydliwe różowo - pomarańczowe pasy. Obwiązał nim szyję bałwana.

- Podarowała mi go na Gwiazdkę żona pastora z parafii mojego dziadka - wyjaśnił. -

We wsi mówi się, że kobieta jest ślepa. Chyba to prawda. Zresztą to bardziej uprzejme niż powiedzenie, że nie ma gustu.

Odsunął się i stanął obok Frances. Wspólnie podziwiali swoje dzieła.

- Ten szalik i krzywe usta sprawiają, że pański bałwan nie wydaje się tak bardzo złośliwy i ponury - stwierdziła wspaniałomyślnie Frances. - Ale te uszy? Och, a tamte dziurki to mają być piegi, tak? Dobry pomysł, przyznaję. Powiem, że ten pana stwór nawet mi się podoba.

- A ja przyznam, że wzrusza mnie ten gruby zakonnik z czarnymi guzikami - odciął

się Lucius. - Wygląda na jowialnego faceta, choć nie mam pojęcia, do czego się tak szczerzy.

- Do świata.

- Aha - mruknął. - Zapomnieliśmy wyznaczyć sędziego.

- Zapomnieliśmy też o nagrodzie dla zwycięzcy - dodała. Dopiero kiedy odwrócił

głowę w jej stronę, pokazując zęby w uśmiechu, zdała sobie sprawę, że jego ręka spoczywa przyjaźnie na jej ramieniu. Zauważyła, że Marshall też dopiero w tej chwili sobie to uświadomił. Uśmiechy zamarły im na ustach, a Frances nagle poczuła, że miękną jej kolana.

Lucius opuścił rękę, odchrząknął i podszedł do swojego bałwana.

- Moim zdaniem - powiedział - możemy ogłosić remis. Zgoda? Jeśli tego nie zrobimy, znowu się pokłócimy, a pani zacznie wymyślać nowe straszne sposoby na pozbawienie mnie życia. Chyba że upiera się pani, żeby to mnie ogłosić zwycięzcą?

- W żadnym razie - obruszyła się. - Mój bałwan jest zdecydowanie solidniejszy od pańskiego. O wiele dłużej zniesie przeciwności pogody.

- To dopiero prowokujące oświadczenie. A ja byłem na tyle wspaniałomyślny, że zaproponowałem rozejm - burknął, po czym nagle się pochylił i rzucił we Frances śnieżną kulką. Uderzyła ją w pierś i rozprysła się na twarzy.

- Och! - zawołała z oburzeniem. - To nieuczciwe!

Chwyciła garść śniegu i rzuciła nim w Marshalla. Trafiła go w bok czapki, trochę ją przekrzywiając.

Rozgorzała prawdziwa bitwa.

Trwała kilka minut; postronny obserwator mógłby stwierdzić, że na podwórku znajdują się cztery bałwany, a nie dwa, tyle tylko, że dwa z nich poruszały się i zanosiły głośnym śmiechem, a nawet w pewnej chwili wyższy i szerszy w ramionach runął na mniejszego i przewrócił go plecami na śnieg, przygniatając ciężarem swojego ciała i przytrzymując rękami za nadgarstki.

- Wystarczy! - sapnął Lucius, nadal się śmiejąc. - Ostatnia kula trafiła mnie w oko.

Strzepnął z rzęs resztki śniegu.

- Rozumiem więc, że przyznaje się pan do przegranej? - zawołała także roześmiana Frances.

- Do przegranej? - Marshall uniósł brwi. - Proszę wybaczyć, ale kto kogo trzyma na śniegu?

- A kto właśnie przyznał, że ma dosyć? - Frances również uniosła brwi.

- Ta sama osoba, która zakończyła bitwę całkowitym unicestwieniem wroga - padła wesółą odpowiedzią.

Dopiero w tym momencie Frances uświadomiła sobie, że Marshall na niej leży. Czuła, jak wgniata ją w śnieg. Owiewał jej twarz ciepłym oddechem. Spojrzała w jego orzechowe oczy. Opuściła wzrok na jego usta, widząc, że on robi to samo.

Jej dziwna przygoda zmierzała do czegoś niebezpiecznego - a może też wspaniałego.

Poczuła na ustach dotyk jego warg i nagle wydało jej się, że leży nie pod grudniowym zachmurzonym niebem, ale w gorącym sierpniowym słońcu.

Nigdy jeszcze nie spotkała tak bardzo pociągającego mężczyzny. Od razu zdusiła tę myśl.

- Właśnie przypomniałam sobie o cieście na chleb - powiedziała głosem, który dla niej zabrzmiał zadziwiająco normalnie.

- Mam nadzieję, że nie urosło aż pod sufit i uda mi się przejść przez drzwi, żeby je uratować.

Lucius jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w nią, potem jeden kącik jego ust uniósł się nieznacznie - w uśmiechu czy drwiąco? Wstał, otrzepał się ze śniegu i podał rękę Frances. Klasnęła w dłonie i potrząsnęła paltem. Za kołnierzem miała mnóstwo śniegu.

- Och, to była wspaniała zabawa! - zawołała, nie patrząc na niego.

- Rzeczywiście. Ale jeśli kiedykolwiek spotkam się z losem twarzą w twarz, zapytam go, dlaczego sprawił, że musiałem utknąć na głuchej wsi w towarzystwie pruderyjnej nauczycielki. Niech pani już idzie, panno Allard. Niech pani biegnie. Jeśli do zupy nie dostanę kromki świeżego chleba, naprawdę mogę się rozżłościć.

Przez moment, na znak protestu przeciw słowu „pruderyjna”, Frances chciała zostać.

Gdyby jednak to uczyniła, musiałaby potem udowodnić, że słowo to zupełnie do niej nie pasuje. Umknęła więc, choć ze względu na dumę starała się nie biec.

Była trochę na siebie zła. Dlaczego przerwała intymną chwilę? Cóż złego by się stało, gdyby zgodziła się na jeden pocałunek? Tak dawno nikt jej nie całował, a taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć - miała już przecież dwadzieścia trzy lata.

A może dopiero dwadzieścia trzy lata?

Cóż to takiego jeden pocałunek!

Och, w końcu nie jest naiwnym dziewczątkiem. Doskonale wie, co mogłoby się stać.

Pewnie żadne z nich nie zadowoliliby się tylko pocałunkiem. A w tych okolicznościach nie było nikogo, kto mógłby powstrzymać ich przed posunięciem się dalej.

I dalej...

Wielkie nieba, wystarczyło tylko lekkie muśnięcie jego ust, a już cała skręcała się z pożądania.

Zrzuciła palto, wbiegła do kuchni i od razu zabrała się do pieczenia chleba i przygotowywania zupy.

Rozmowa przy obiedzie była sztywna i sztucznie ożywiona - przynajmniej ze strony Frances. Lucius mówił niewiele. I choć chleb był pulchny i najsmaczniejszy, jakiego dotąd próbował, a zupa tak wspaniała, że chętnie poprosiłby o dokładkę, nie mógł się jednak jakoś skupić na jedzeniu, przynajmniej nie tak, jakby tego pragnął.

Rozpraszała go niezaspokojona żądza.

Klął w duchu, że choć sytuacja sprzyja małemu romansowi, kobieta, z którą miałby go nawiązać, wcale nie jest na to gotowa. Gdyby tylko Frances była aktorką albo wesołą wdówką lub... Kimkolwiek, byle nie nauczycielką, piękną, ale niestety pruderyjną i cnotliwą -

poza chwilami, kiedy lepi bałwany i rzuca się śnieżkami, czyli kiedy choć na krótki czas zapomina o sobie.

Podczas gdy ona ze sztuczną wesołością opowiadała o czymś mało istotnym, on pogrzyżył się w - rozmyśleniach o Portii Hunt. Próbował przypomnieć sobie jej twarz i udało mu się to aż za dobrze: wyraz jej oczu mógłby świadczyć o tym, że nienawidzi mężczyzn i ich zwierzęcych apetytów, choć skłonna jest je tolerować.

Uznał, że prawdopodobnie ocenia ją niesprawiedliwie. To dama. Możliwe też, że pod nienagannymi manierami kryje się pociągająca kobieta. Już niedługo będzie miał okazję się o tym przekonać.

Wkrótce też skończy się ta przygoda, jak nazwała ich spotkanie Frances Allard. Na niebie pojawiło

się już słońce, a z okapu nad oknem spływała woda. Pomyślał, że nie ma co rozpaczać. Musi uzbroić się w cierpliwość i jakoś przetrwać ten dzień.

I noc...

Postanowił, że będzie spał na dole. Nie zbliży się nawet do schodów prowadzących do sypialni na piętrze. Kiedy umrze, w nagrodę pójdzie prosto do nieba, gdzie przez całą wieczność zanudzać się będzie grą na harfie.

Do diabła! Dlaczego Frances nie okazała się zrzędliwą jędzą, za jaką miał ją poprzedniego dnia - tylko dwadzieścia cztery godziny temu? Albo dlaczego nie może być tą roześmianą, pociągającą kobietą, z którą bił się na śnieżki, a która zeszywniała w chwili, gdy musnął ją ustami? Dlaczego jest tak irytująco zmienna?

Kazał Wally'emu i Thomasowi pozmywać po obiedzie - Peters nadal zajęty był

naprawianiem powozu. Nie przeszkodziło to Thomasowi mruknąć coś na temat faworyzowania niektórych osób. Lucius wciągnął buty, włożył palto i resztę dnia spędził na dworze. Najpierw poszedł do stajni, żeby pomóc Petersowi, ale czuł się tam zbędny, więc zabrał się do rąbania drewna, bo ze stosu przygotowanego wcześniej została zatrważająco mała kupka. Oczywiście mógł do tej pracy zagonić Wally'ego, co w normalnych okolicznościach z pewnością by uczynił. Jednak dzięki temu zajęciu miał wymówkę, by pozostać poza domem. Poza tym dawało mu ono sposobność do wyładowania energii. W

końcu okazało się, że narąbał tego drewna tyle, że Parkerowie będą mogli grzać się przy ogniu przez cały tydzień.

Kiedy wrócił do gospody, czekały na niego herbata, świeży chleb, ser i pikle oraz ciasto prosto z pieca. Kto to powiedział, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek? I choć Frances nie poruszyła jego serca, jedzenie jednak rzeczywiście było wyśmienite.

- Postanowiłem nie najmować pani na kucharkę - oświadczył, kiedy skończyli posiłek.

- I tak już jestem dość gruby.

Frances uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. A kiedy wstał, chcąc pomóc jej wynieść tacę z brudnymi naczyniami, kazała mu zostać, tłumacząc, że przez całe popołudnie nieźle się napracował.

Stwierdził, że czytała. Otwarta książka, *Kandyd* Voltaire'a, leżała na stoliku obok kominka. Podniósł ją i zobaczył, że jest po francusku. Przecież Frances mówiła, że uczy francuskiego, czyż nie? Francuskiego, muzyki i pisania.

To cnotliwa, stateczna nauczycielka. Bez wątpienia też bardzo inteligentna. Jeśli będzie sobie to powtarzał wystarczająco często, może w końcu dotrze do niego, że taka jest wprawdzie smutna, ale jednak prawda, a świadomość ta ostudzi wreszcie jego wzburzoną krew.

Bo kto, do diabła, ma ochotę sypiać z inteligentną kobietą?

Wszedł Wally, żeby napalić w kominku, a Lucius, gdy parobek się tym zajmował, zdrzemnął się na chwilę w swoim krześle. Frances dołączyła do niego dopiero w porze kolacji. Pojawiła się z pieczoną kaczką, ziemniakami i warzywami, które znalazła w piwniczce.

- Nie pomogłem dzisiaj pani choćby przy obieraniu ziemniaków. Dziwię się, że pozwala mi pani jeść.

- A ja nie pomogłam panu przy rąbaniu drewna. Siedziałam sobie wtedy wygodnie przed kominkiem.

Boże, nawet nie potrafią się już porządnie posprzeczać.

- *Kandyd* - mruknął, wskazując głową książkę. - Zawsze czyta pani po francusku?

- Tak, jeśli tylko oryginał napisany był w tym języku - wyjaśniła. - W tłumaczeniu wiele ginie, nawet jeśli tłumacz się stara i dobrze zna swój fach. Mimo wszystko traci się coś z głosu samego autora.

Tak, bez wątpienia Frances jest kobietą inteligentną. Zastanawiał się, czy fakt ten wpływa na jego pociąg do niej. Powtarzał sobie w duchu, że zainteresował się nią tak bardzo wyłącznie z braku innych kobiet w pobliżu. W normalnych okolicznościach nawet by na nią nie spojrział.

Jedli, uprzejmie rozmawiając, bez zakłopotania lub dłuższych przerw wypełnionych milczeniem, jednak kiedy później zmywali wspólnie po kolacji, Lucius poczuł jakąś dziwną melancholię. Nie był to ten ponury nastrój, który doskwierał mu przez święta, a nawet jeszcze poprzedniego dnia, lecz zdecydowanie... melancholia. Już następnego dnia rozstaną się i nigdy więcej nie zobaczą. Za tydzień o tej samej porze Frances będzie tylko wspomnieniem.

A za miesiąc całkiem o niej zapomni.

Dobry Boże! Tylko patrzeć, a zapuści włosy, zacznie nosić jaskrawe krawaty i, recytując sentymentalne wiersze, podupadnie na duchu.

Odstawił ciężki garnek, który właśnie wycierał, i odchrząknął. Ale kiedy Frances, z zarumienionymi policzkami, spozjrzała na niego, wysoko unosząc brwi, nic nie powiedział.

Wyszła z kuchni do głównej sali i usiadła na swoim ulubionym krześle. Lucius stanął

obok kominka i założył ręce na plecy. Postanowił, poddając się pokusie, jeszcze raz spróbować nawiązać z Frances bliższy kontakt.

- A więc - odezwał się, wprowadzając w życie swój plan - nie udało się pani w czasie świąt potaćzyć?

- Niestety nie. - Frances cicho zakasłała. - A tak pragnęłam zabłysnąć swoją biegłością w walcu. Pan Huckerby, nasz szkolny mistrz tańca, uparł się, że nauczy dziewczęta kroków walca, bo jak twierdzi, prawie na pewno będzie on za kilka lat jednym z najpopularniejszych tańców. I oczywiście na partnerkę wybrał mnie. Tak jakby brakowało mi zajęć. Ale przestałam się uskarżać, kiedy tylko poznałam ten taniec. Jest po prostu boski. Tyle że nie miałam jeszcze okazji nikogo nim olśnić.



Wielka szkoda!

W jej głosie pobrzmiwało rozbawienie, choć jak wywnioskował z jej słów i z tego, co mówiła rano, Boże Narodzenie okazało się nudne. Rozczarowana, spędziła święta samotnie, tylko w towarzystwie dwóch starszych pań.

Ponieważ poddał się już pokusie, nie umiał odmówić sobie przyjemności uczynienia następnego kroku.

Spojrzał na Frances przez ramię.

- A zatem proszę olśnić mnie.

- Słucham? - Popatrzyła na niego pytająco, choć splonęła rumieńcem.

- Niech pani olśni mnie - powtórzył. - Proszę zatańczyć walca ze mną. Nie musi pani nawet w tym celu przedzierać się przez śnieg. Sala taneczna czeka na nas na piętrze.

- Co? - Roześmiała się.

- Zapraszam panią do walca. Mamy dla siebie całą salę.

- Ale brakuje muzyki - zaprotestowała.

- Sądziłem, że jest pani nauczycielką muzyki.

- Nie widziałam na górze ani pianina, ani szpinetu. A nawet gdyby były, nie mogłabym jednocześnie grać i tańczyć, prawda?

- Czy nie potrafi pani śpiewać? Albo nucić? Roześmiała się.

- To absurd! Poza tym tam jest zimno. Na górze nikt nie napalił.

- A więc boi się pani zimna?

Nagle poczuł się tak, jakby ogień z kominka trawił mu kości. I wiedział, patrząc Frances prosto w oczy, że ona czuje to samo.

- Nie - odparła cicho i odchrząknęła. - Nie.

- W takim razie... - Pokłonił się, a potem wyciągnął do niej odwróconą spodem do góry dłoń. - Czy mogę panią prosić do tańca, madame?

- To absurd! - powtórzyła ciszej. Rumieńcem płonęły nie tylko jej policzki, ale i czoło, i szyja, oczy zrobiły się duże i błyszczące.

Lucius wiedział, że teraz Frances należy do niego.

Podala mu rękę, a on zacisnął wokół niej palce.

Tak, co najmniej czeka ich wspólny taniec.

Co najmniej!

I może nawet zapamięta Frances dłużej niż przez miesiąc?

Lucius niósł na górę dwa świeczniki, Frances jeden. Poszła najpierw do swojego pokoju po szal, którym okryła ramiona, Marshall natomiast pomaszerował prosto do sali tanecznej i rozstawił świeczniki w jej rogach. Świecznik Frances umieścił na gzymsie znajdującego się na wprost drzwi kominka. Potem wpadł na chwilę do swojej sypialni, żeby zmienić buty.

To naprawdę głupie, pomyślała. Mają tu tańczyć? Sami, bez muzyki, w zimnej sali?

Lecz niepotrzebnie martwiła się o to, że zmarznie. Jakimś cudem było jej wręcz gorąco. Może to z powodu krępującej sytuacji? Chodząc po pokoju, zaciskała palce na końcach szala i próbowała wyrównać oddech. Lucius wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż ciarki przebiegały jej po plecach. Jeszcze raz, tak jak wcześniej na dole, uklonił się przed nią głęboko, niemal teatralnie, unosząc przy tym oczywiście jedną brew.

- Madame. Ufam, że ten taniec należy do mnie.

- Jak najbardziej, sir. - Frances dygnęła, a potem podała mu dłonie. Oplótł je ciepłymi palcami.

Zachowywali się tak, jakby to, co robili, było tylko doskonałym żartem, zabawą.

Obydwoje jednak czuli, że jest zupełnie inaczej.

I że daleko ich to zaprowadzi.

No ale, na Boga, przecież mieli ze sobą tylko zatańczyć.

Lucius poprowadził partnerkę na środek sali.

- Wyznam - powiedział - że moje doświadczenie w walcu jest dość ograniczone.

Muszę odświeżyć pamięć. Prawa ręka, jeśli się nie mylę, powinna znaleźć się w tym miejscu, tak?

Nie spuszczać wzroku z twarzy Frances, położył dłoń na jej plecach. Nawet przez wełnianą sukienkę i bieliznę pod nią czuła, że jest bardzo gorąca - jej serce znowu zaczęło bić jak oszalałe.

- A moja lewa tutaj - oparła rękę na szerokim ramieniu Luciusa i kolana się pod nią ugięły.

- I... - Podniósł lewą rękę, a także brwi.

- Tak jest dobrze - powiedziała, kładąc dłoń na jego dłoni. Objęła ją mocno palcami.

Uświadomiła sobie w tym momencie, że szal jest zupełnie zbędny, mimo że powietrze, którym oddychała, było zimne. Całą sobą czuła, że szeroka pierś mężczyzny, zakryta świetnie skrojonym surdudem i nieskazitelnie białą koszulą, omal się o nią ociera.

Pochylił się nad nią.

Chłonęła ciepło jego oddechu.

Patrzyła mu prosto w oczy.

Nic dziwnego, pomyślała, że niektórzy nadal uważają walc za nieprzyzwoity taniec.

Jednak kiedy tańczyła go w szkole, nigdy nie czuła się tak jak w tej chwili. A przecież nawet jeszcze nie zaczęli.

- Muzyka, madame? - Głos Luciusa był głęboki, lekko ochryply.

- O Boże - jęknęła. Czy uda jej się coś zanucić?

Miała jednak doświadczenie w śpiewaniu pomimo zdenerwowania. Wprawdzie nigdy nie było to tego typu zdenerwowanie, niemniej... Rzecz w tym, by nabierać powietrza nie z gardła, z którego może się ono wydostać przy jednym wydechu, lecz głęboko z brzucha - tam jest magazynowane - a potem stopniowo je wypuszczać.

Teraz tylko musi sobie przypomnieć jakąś melodię. Niestety na myśl przychodził jej jedynie madrygał Williama Byrda.

Zamknęła oczy, tym sposobem przynajmniej częściowo pozbywając się napięcia, i wróciła wspomnieniami do chwil, gdy tańczyła z panem Huckerbym, który choć bardzo grymaśny i zawsze zbyt uperfumowany, był jednak doskonałym tancerzem.

Przez chwilę nuciła cicho pod nosem, potem otworzyła oczy, uśmiechnęła się do partnera i zaśpiewała głośniej i pewniej, zaznaczając wyraźnie każdą kadencję.

Lucius najpierw delikatnie zaczął wystukiwać rytm palcami ręki leżącej na jej plecach, po czym, nieco spięty, wykonał pierwszy krok. Prowadził ją początkowo bardzo ostrożnie, prawie drobiaż w miejscu, ale gdy nabrał pewności, jego ruchy stały się bardziej powłóczyste i stanowcze. Wirowali po sali z takim rozmachem, że Frances wydało się, iż w pomieszczeniu jest tuzin świec, nie trzy.

Śmiała się.

Lucius także.

Zatrzymali się, kiedy Frances na moment przestała nucić.

Zaraz jednak znowu zaśpiewała.

Bardzo szybko doszła do wniosku, że kiedy Lucius mówił o swoim ograniczonym doświadczeniu w walcu, przesadzał - albo najzwyczajniej kłamał, co jej zdaniem było bardziej prawdopodobne. Znał ten taniec doskonale, więcej - miał świetne wycucie rytmu i potrafił poruszać się z wielką gracją. Trzymając w silnym uścisku jej lewą rękę, drugą podtrzymując ją w pasie, prowadził pewnie i robił

tak zamaszyste obroty, iż Frances miała wrażenie, że nogi niosą ją same, bez jej woli, i że niemal nie dotyka podłogi.

Pomyślała, że taniec nie mógłby być bardziej ekscytujący, nawet gdyby znajdowali się teraz w dobrze ogrzanej, rześście oświetlonej sali balowej, pełnej wykwintnie ubranych gości.

Kiedy wyśpiewała ostatnie nuty, odetchnęła z trudem. Wiedziała, że jest cała w pąsach, że się uśmiecha, że jest szczęśliwa, a zarazem smutna, że taniec się skończył. Oczy partnera, wbite w nią, lśniły jakimś dziwnym blaskiem. Miał mocno zaciśnięte usta, przez co jego szczęka wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa i władcza.

Czuła gorąco bijące od jego ciała i zapach wody kolońskiej.

- Teraz już nie może pani powiedzieć, że nie była pani w czasie świąt na balu i nie tańczyła. A raczej nie walcowała.

- Słucham? - Roześmiała się. - Twierdzi pan, że mogę już przestać się nad sobą uzalać?

- Tak. Chyba że się nie spisałem w roli pani partnera.

- Och, był pan lepszy nawet od pana Huckerby'ego.

- Pochwałami, panno Allard, zawsze zdobędzie pani moje serce. Ale czy już odzyskała pani oddech? Jak mniemam, runda na balu nie składa się z jednego tylko tańca. A przecież, jeśli dobrze sobie przypominam, zarezerwowałem u pani całą rundę. Może tym razem coś wolniejszego?

Przyszła jej do głowy niespodziewana myśl: jej przygoda zbliża się do końca, o tej samej porze następnego dnia ani jej, ani Marshalla nie będzie już w tej gospodzie. Ona prawdopodobnie będzie w szkole, a Lucius... gdzieś, dokąd się uda, kiedy drogi staną się przejezdne. Wspominał coś o Hampshire.

Nigdy więcej go nie zobaczy.

Przynajmniej więc jeszcze raz zatańczą walca - ten jeden ostatni raz. Wiedziała, że będzie żyła wspomnieniem tej chwili przez wiele następnych tygodni, być może nawet przez resztę życia. Przypuszczała, że może to być nawet bolesne wspomnienie, choć wraz z upływem czasu pozostanie tylko pamięć o przyjemności.

Zastanowiła się nad wyborem następnej melodii. Przypomniała sobie tę, od której pan Huckerby zaczynał swój kurs. Dopiero jednak, kiedy zaczęła ją nucić, uzmysłowiła sobie, że to przejmująco piękna, rzewna i niezwykle romantyczna melodia.

Pomyślała, że jej zachowanie bardzo przypomina zachowanie jej uczennic, że jest tak samo jak one lekkomyślna i podatna na nastroje, a to dlatego, że zaczynała czuć, iż zakochuje się w swoim partnerze.

Tym razem, tańcząc, nie otwierała oczu. Poruszali się wolniej, stawiając bardziej powłóczyście kroki.

Lucius przyciągnął ją do siebie bliżej, a ona zamiast trzymać rękę na jego ramieniu, przesunęła ją na jego szyję i nagle wydało się jej to zupełnie naturalne. Tak jak naturalne i miłe było to, że jej dłoń, otoczona jego palcami, znalazła się na jego sercu. Co za przyjemność dotykać policzkiem jego policzka, tulić głowę do ramienia partnera. Melodia wyływała teraz z jej ust prawie niedosłyszalnie.

Początkowo jej biust tylko lekko ocierał się o klatkę piersiową Luciusa, potem już przywarła do niego całym ciałem. Na brzuchu czuła odcisk jego kieszonkowego zegarka, a udami ciepło jego ud.

Przestali tańczyć, a ona przestała nucić.

Wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Tak, jakby to, co zdarzyło się poprzedniego dnia, musiało się zdarzyć, a następny dzień miał być taki, jaki był.

Wprawdzie o tym nie myślała, ale to czuła. Czuła, że znajduje się na swoim miejscu, miejscu, które zawsze do niej należało, i że tak już zostanie. Nie przejmowała się głosem rozsądku, który krzyczał w niej, chcąc, by go usłyszała. Po prostu go nie słuchała. Postanowiła, że rozsądkiem będzie się kierować przez resztę swojego życia, ale teraz, w tej chwili, odnalazła coś głębszego niż rozsądek. Odnalazła siebie i coś, o czym zawsze marzyła, czego szukała, choć wątpiła, że istnieje.

- Frances - wymamrotał Lucius do jej ucha.

Słyszając swoje imię, wypowiedziane w tak intymnej chwili, zadrżała.

- Tak? - Podniosła głowę, uśmiechnęła się i wsunęła palce między jego ciemne kręcone włosy. Wtedy zrozumiała, co oznacza ten dziwny, intensywny blask w oczach Luciusa. Choć oczywiście mogła się mylić. To pożądanie. Czyste, nagie pożądanie.

Opuścił głowę, zamknął oczy i pocałował ją.

Bywała już całowana. Całowana przez mężczyznę, o którym myślała, że darzy go miłością. Ale to nigdy nie była miłość. Z pewnością nie. Lucius objął ją ramionami, palce jednej ręki zamknęły się na jej koku z tyłu głowy, druga dłoń przylgnęła do jej pleców.

Naciskał na nie, przyciągając ciało Frances do swojego. Otworzyła usta, a on wsunął w nie język.

Jeszcze mocniej wtuliła się w partnera. Ogień zżerał ją od stóp do głów. Gdyby mogła przyciągnąć Luciusa jeszcze bliżej, zrobiłaby to. Nie miała cienia wątpliwości, że okaże się doświadczonej i wspaniałym kochankiem. I, o dziwo, myśl ta wcale jej nie przestraszyła. A wręcz tylko bardziej podekscytowała.

- Lucius.

Musnął ustami zagłębienie między szyją a ramieniem. Wsunął dłonie pod szal i objął

jej piersi. Ugniatał je, pieścił. Nabrzmiały i wypełniły się pożądaniem.

Kiedy uniósł głowę, włosy miał zmierzwiłone, w oczach lśniła namiętność.

- Pragnę cię - wydyszał jej w usta. - Chcę się z tobą kochać. Chcę cię widzieć naga.

Nie była aż tak bardzo odurzona, żeby to jasne postawienie sprawy nią nie wstrząsnęło. Nadeszła chwila ostatecznej decyzji. Zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała też, że Lucius do niczego nie będzie jej zmuszał. Zniechęcić ją mogło wiele. Rozumiała, jakie są niebezpieczeństwa. Pamiętała o moralnych wątpliwościach. No i był to ktoś zupełnie obcy.

Prawie go nie знаła. Z pewnością pożałuje, że poddała się pokusie, z którą walczyła już od poprzedniego dnia.

Ale wiedziała także, że jeszcze bardziej będzie żałowała, jeśli stchórzy i nie doprowadzi tej przygody do samego końca. Może spędzić tę noc z Luciusem Marshalllem albo samotnie, wierząc się w łóżku, wyrzucając sobie do końca swoich dni, że odmówiła. Wybór należy do niej.

Poza tym, gdyby teraz powiedziała „nie”, wyszłaby na uwodzicielkę. Po prostu zabrnęła już za daleko - stanowczo za daleko - żeby udawać, iż między nimi doszło tylko do zwykłego pocałunku.

- Tak - wychrypiała. - Ja też tego pragnę.

Jakąż ulgę poczuła, kiedy już to z siebie wyrzuciła. Ulgę, że się zgodziła, że wybrała, że jest wolna i może sama o sobie decydować.

O własnym szaleństwie.

Lucius znów ją do siebie przyciągnął i ustami rozwarł jej wargi.

- Będzie nam wspaniale - przyrzekł. - Zapamiętasz tę noc, Frances.

Nie miała co do tego cienia wątpliwości.

Przeszli do jej pokoju, nie zabierając ze sobą świeczników. Okazało się jednak, że Wally z własnej inicjatywy napalił w kominku. Biło od niego przyjemne ciepło. Blask słał się po ścianach, suficie - i po łóżku. Dopiero tutaj Frances zdała sobie sprawę, jak zimno było w sali tanecznej.

Odwróciła się, by popatrzeć w lśniące od pożądania oczy Luciusa. Uniosła ręce i zarzuciła mu je na szyję. On sięgnął do jej koka, zamierzając rozpuścić jej włosy. Opuścił

głowę i delikatnie musnął jej usta swoimi. Rozchylając wargi, poddała się pocałunkowi.

Nie uwodzę jej, myślał Lucius. To nie jest uwodzenie. Nic z tych rzeczy. Ona sama pragnie tego zbliżenia. I nie zabawia się też z nią cynicznie, wykorzystując fakt, że znaleźli się sam na sam w wiejskiej gospodzie. Czuł, że bardzo Frances pożąda, choć miałby wielkie trudności z dokładnym opisaniem tego, co się z nim tak naprawdę działo. Zazwyczaj nie gustował ani w wysokich, ani ciemnowłosych kobietach. Podobały mu się małe blondynki.

Delikatne, o jasnej cerze i z kształtnym ciałem. Frances była zupełnie inna.

A jednak pożądał jej tak, jak rzadko kiedy innej kobiety.

Wyciągnął szpilki przytrzymujące kok i wtedy włosy Frances, ciężkie i lśniące, opadły kaskadą na jej ramiona. Sięgały prawie do pasa. Otoczyły jej twarz - wyglądała teraz niemal jak renesansowa madonna. W tej chwili nie potrafiłby sobie wyobrazić kobiety piękniejszej i bardziej pociągającej. Przesunął palcami po jej włosach, ujął dłonią tył głowy i przechylił ją tak, żeby twarz Frances uniosła się do niego.

- Są wspaniałe - powiedział. - Nie kryj ich. To zbrodnia wobec ludzkości.

- Pamiętaj, że jestem nauczycielką - przypomniała, całując jego podbródek i szyję.

- Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jesteś moją kobietą. Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- A ty jesteś dzisiaj moim mężczyzną.

Poczuł, że całe jego ciało tężeje od rosnącego podniecenia.

- Tak, dzisiaj - zgodził się, całując jej powieki, usta, szyję. - Dzisiaj, Frances.

Ściągnął z niej szal i odrzucił go na bok. Potem zaczął rozpinąć tył sukni. Jej palce zanurzone w jego włosach drżały, ale wiedział, że nie z zimna.

Wsunął pod suknię najpierw jedną dłoń, potem drugą. Frances miała ciepłą, gładką skórę, nieco spoconą od pożądania. Zsunął suknię z ramion, pozwalając, by opadła na ziemię.

Frances nie nosiła gorsetu - to dlatego sądził, że jej biust nie jest obfity, a zmienił zdanie dopiero, kiedy ujął go w dłonie. Wprawdzie nie był rzeczywiście specjalnie duży, ale wystarczająco kobiecy i podniecający.

Trocheja od siebie odsunął, żeby móc widzieć ją całą.

Była smukła, szczupła, miała piękne kształty. Rozpuszczone włosy sprawiały, że wydawała się też młodsza. Powoli wciągnął powietrze.

- Usiądź na łóżku - powiedział, pchając ją lekko.

Położył dłonie na jej nagich ramionach, pochylił się i pocałował zagłębienie szyi.

Pachniała przecudownie mydłem i kobiecością.

Osunął się na ziemię, podniósł nogę partnerki i oparł sobie na kolanie. Ściągnął

pończochę i but i pocałował wewnętrzną stronę uda, tuż przy kolanie. Okrył pocałunkami łydkę i stopę.



- Och, tak - jęknęła Frances zduszonym głosem.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy. Jej wspaniałe włosy opadły na plecy i rozsypały się na białej pościeli.

Zdjął drugą pończochę.

Wstał, żeby się rozebrać, a Frances się położyła. Leżała z rękami rozpostartymi na boki, z otwartymi oczami, głową lekko zwróconą w jego stronę, zjedną nogą wyprostowaną, drugą zgiętą, opartą na stopie. Najchętniej zdarłby z siebie ubrania, żeby jak najszybciej znaleźć się obok niej. Ale nie, z rozmysłem rozbierał się bardzo powoli, najpierw zdjął dobrze dopasowany surdut, potem kamizelkę. Rzucił je na podłogę. Pozbył się też fularu, wreszcie ściągnął przez głowę koszulę.

W świetle kominka wyraźnie widział, że pierś Frances unosi się i opada ciężko.

Widział jej rozchylone usta.

Uśmiechnął się do niej, a potem podszedł do ognia, żeby dorzucić kilka grudek węgla.

Dopiero wtedy wrócił do łóżka i rozebrał się do końca.

Znów się uśmiechnął, widząc, jak Frances ściąga halkę. W ten sposób odpowiedziała mu na dręczące go pytanie. Zastanawiał się, czy będzie się wstydziła pokazać mu się całkiem nago i czy halkę zdejmie dopiero pod kołdrą.

Nie mógł się nadziwić, że jeszcze wczoraj myślał o niej, iż jest chuda i mało pociągająca. Dzisiaj jej uroda wydawała mu się wręcz perfekcyjna, i to w każdym detalu. Aż mu zapierało dech.

- Łóżko jest wąskie - zauważyła.

- A po co nam szersze? - zapytał, kładąc się przy niej i wsuwając ramię pod jej plecy, a następnie całując ją w usta. - I tak połowa byłaby nam niepotrzebna.

- Cytując ciebie, wyznam, że tak jak twoje w walcu, tak i moje doświadczenie w tych sprawach jest ograniczone.

- A może nawet w ogóle go nie masz? - Pocałował ją w czubek nosa i zajrzał jej w oczy.

- Coś w tym rodzaju - mruknęła.

- Ja za to nie wiedziałem, jak się obiera ziemniaki - zazartował, muskając ustami koniuszek jej ucha.

Zadrzała.

- Mimo to były bardzo smaczne - stwierdziła.

- No właśnie. - Dmuchnął jej lekko w ucho.

Znów dotknął wargami jej ust, namiętność, która przedwcześnie zakończyła ich taniec i przywiodła ich do tej chwili, rozgorzała w nich ze zdwojoną siłą. Jego pocałunek stał się bardziej natarczywy, językiem sięgał głęboko, dłońmi błędził po całym ciele Frances, pieścił

je, masował, podniecał. Ona także zaczęła wodzić po jego szyi i piersi swoimi szczupłymi palcami, z początku delikatnie, później już pożądliwie i z większą śmiałością.

Ich gra wstępna była pełna żaru, gorąca. Lucius zaczął ssać jeden sutek. Jego dłoń powędrowała między uda i spoczęła na ciepłym, wilgotnym łonie. Zagłębił w nie palce.

Wtedy Frances przekręciła się na plecy, pozwalając mu położyć się na sobie. Przygniótł ją swoim ciężarem. Nie musiał jej prosić, żeby rozsunęła nogi. Uniosła je, smukłe, zgrabne i dobrze umięśnione, i owinęła wokół jego bioder. Odnalazł najlepszą dla siebie pozycję i wszedł w kochankę stanowczym ruchem, ale nie za szybko.

Wbiła się w niego biodrami, tak że zmuszony był przerwać błonę dziewiczą i wejść w łono głębiej, niż zamierzał. Frances, ciężko oddychając, naciskała rękami na jego pośladki.

Była w środku wąska i wilgotna. Krew tętniła mu w żyłach, serce pulsowało w uszach.

Zamarł w bezruchu, próbując odzyskać nad sobą kontrolę.

- Spokojnie - stęknął - spokojnie. Zadbam o twoją przyjemność, Frances, nie martw się. Nie zachowam się jak uczeń przy pierwszym razie.

Niespodziewanie dla niego - a także wzbudzając w nim tym zachwyty - roześmiała się.

Czuł, jak fala radości, powodując drżenie, przepływa przez jej ciało, a mięśnie łona zaciskają się mocniej.

- Ależ ty już dajesz mi przyjemność, Luciusie. Och tak.

Uciszył ją pocałunkami. Już mniej napięty, mógł teraz poruszać się w niej wolniej.

Frances zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie. Nie przestawał wykonywać rytmicznych ruchów biodrami, aż stała się jeszcze bardziej wilgotna i śliska, i poczuł, że zbliża się do punktu kulminacyjnego.

Nie zamierzał jednak zmieniać rytmu. W oczekiwaniu na spełnienie było tyle przyjemności, że nie chciał się tego pozbawiać. A Frances okazała się tak wspaniałą, doskonale reagującą i namiętą kochanką, że mógłby się z nią kochać całe wieki. W pewnej chwili ona także zaczęła się pod nim poruszać, zaciskając miarowo mięśnie łona. Wolno unosiła i opuszczała biodra, dając mu tymi ruchami rozkosz niemal graniczącą z bólem.

Nawet niektóre kurtyzany są mniej od niej utalentowane, pomyślał.

W końcu przestała się kontrolować, przy każdym poruszeniu jęczała cicho, a jej mięśnie zaczęły się

kurczyć konwulsyjnie, wbrew rytmowi. Czuł, że jej ciało płonie, że zrasza je pot. Słyszał wyraźnie jej urywany oddech. Ramiona i nogi Frances opłotły go silniej.

Zaczął więc poruszać się w niej coraz szybciej.

To niemożliwe, żeby dziewica miała orgazm przy pierwszym stosunku. Kobiety w ogóle rzadko osiągną orgazm. Opinie te słyszał z ust innych mężczyzn. Frances Allard udawiała, że obie są kłamliwe.

Jej orgazm był nagły i gwałtowny. Zacisnął się w niej każdy mięsień. Krzyknęła i zadrżała, a on zamarł w bezruchu. Cóż za cudowny podarunek - jej wzniesienie się na fali orgazmu i opadnięcie z drżeniem po jego zakończeniu. Rzadko go coś takiego spotykało, wiedział też, że niektóre kobiety świetnie potrafią udawać szczytowanie.

Czekał, aż ciało Frances się wyciszy, i dopiero wtedy sam oddał się rozkoszy, wdzierając się w jej łono ostrymi ruchami, aż do spełnienia.

Westchnął jej do ucha i opadł ciężko na jej ciepłe piersi i brzuch.

Kiedy po kilku chwilach przekręcał się na bok, przyszło mu na myśl, że to miłosne zbliżenie jest wspaniałym zakończeniem ich przygody - żeby użyć słów samej Frances - tak niespodziewanej i dziwnej.

Nie chciał jednak na tym teraz się zastanawiać.

Postanowił, że pomyśli o tym następnego dnia.

Frances stwierdziła, że jest zakochana w Luciusie Marshallu po uszy. W mężczyźnie, o którym jeszcze poprzedniego dnia myślała, że jest najbardziej aroganckim i nieuprzejmym człowiekiem na świecie. Oparta o jego ramię, uśmiechnęła się do siebie radośnie.

Rozsądek podpowiadał jej, że oczywiście wcale się nie zakochała. Ze nie jest to zakochanie, a przynajmniej nie takie, o jakim się słyszy i czyta w wielkich romansach.

Przecież dopiero go spotkała i prawie nic o nim nie wie. Jemu udało się w jakiś sposób poznać kilka szczegółów z jej życia, ale o sobie powiedział bardzo niewiele. Tej nocy połączyło ich wyłącznie fizyczne pożądanie. Czysta żądza. Nie miała co do tego żadnych złudzeń. I nie wstydziła się do tego przyznać. Może później poczuje się zażenowana, ale teraz, szczęśliwa, akceptowała sytuację taką, jaka była.

Leżała więc z kochankiem na wąskim łóżku, w jego objęciach, i podczas gdy on słodko spał, ona starała się nie poddać zmęczeniu, tylko ogarnąć wszystko, co do tej pory się wydarzyło, choć bardziej emocjami niż intelektem.

Wręcz desperacko próbowała zatrzymać w sobie to uczucie bycia zakochaną.

Zapamiętać na zawsze tę noc, pełną fizycznych uniesień, o jakich wcześniej nawet nie marzyła.

Myślała, że stosunek jest bolesny. I było tak rzeczywiście, kiedy wszedł w nią po raz pierwszy. Spodziewała się także, że będzie to doświadczenie wielce zawstydzające. Patrząc wstecz na to, co się między nimi działo, faktycznie czuła się lekko skrępowana. Ale nie w trakcie samego aktu. Wtedy nie odczuwała ani wstydu, ani bólu.

Jak dotąd było to najwspanialsze doświadczenie w jej życiu.

Zresztą nadal czuła się wspaniale, rozgrzana i rozluźniona. Pomiędzy nogami miała silne uda Luciusa. Jego pierś z puszką włosów na środku uciskała jej piersi. Czuła zapach jego wody kolońskiej, potu, jego męskości i myślała, że żadne perfumy nie są tak kuszące.

Dziwna myśl!

Ułożyła głowę w zagłębieniu pod podbródkiem kochanka, na co z jego ust wydobył

się jęk protestu. Jak to dobrze, że nie będzie miała szansy porównać Luciusa z żadnym innym mężczyzną. Okazje do małżeństwa - a także na przelotny romans - nie zdarzają się nauczycielkom zbyt często. Kiedyś miała wprawdzie szansę na zawarcie dobrego związku, ale było to bardzo dawno temu.

Bardzo starała się nie zasnąć, nie dlatego, że nie była zmęczona, ale dlatego, że ta noc miała jej wystarczyć na resztę życia. Kiedy tylko myślała, że już jutro będzie spała sama w swoim łóżku przy Daniel Street w Bath, żołądek zaciskał się jej w skurczu paniki.

Może, jeśli nie zaśnie, ta noc nigdy się nie skończy.

Cóż za głupota!

Jednakże przecucie zbliżającej się tragedii - przecucie straszliwego, wyniszczającego cierpienia - czaiło się już pod warstwą jej rozleniwionego zadowolenia.

Zastanowi się nad tym jutro, kiedy nie będzie miała szans na unikanie tematu.

- Zimno? - usłyszała cichy, zaspany głos.

Istotnie, kominek wygasł już jakiś czas temu, ale jej mimo to nadal było bardzo ciepło.

- Nie - odpowiedziała.

- To niedobrze - mruknął. - Gdybyś zmarzła, miałbym okazję w jakiś sposób cię rozgrzać.

- W takim razie, cała skostniałam - zapewniła, parszkając śmiechem.

- Kłamie pani w żywe oczy, madame. Ale nawet to mi się podoba. Muszę się teraz zastanowić, jak panią rozgrzać... i siebie. Chyba widzi pani, że ja także się trzęsę. Może pani coś zaproponuje?

Podniosła głowę z jego ciepłego ramienia i pocałowała go w usta. Wspaniałe, pełne i jędrne, kryły

w sobie obietnicę wielkiej rozkoszy.

- Mmm - mruknął. - No dalej, dalej.

Przyszło jej w tym momencie do głowy, że między nią a Luciusem istnieje coś więcej niż tylko fizyczny, choć niezaprzeczalnie bardzo silny, pociąg. Jednak poza zmysłowością odkryła w kochanku jeszcze poczucie humoru, błyskotliwość i inteligencję. Czuła, że mogłaby polubić go także jako człowieka, a nie tylko mężczyznę. Być może nawet, gdyby okoliczności temu sprzyjały, zaprzyjaźniliby się ze sobą. Gdyby mieli na to więcej czasu. Ale właśnie czasu im brakowało. A przynajmniej pozostawało im go niewiele - tylko do rana.

Podciągnęła się, oparła głowę na rękę i postanowiła zmysłowo pocałować kochanka, lecz niespodziewanie dwie silne dłonie chwyciły ją w pasie i uniosły w górę. Lucius przekręcił się na plecy, przesunął na środek łóżka, a potem położył Frances na sobie.

- Tak lepiej - stwierdził. - Jest z ciebie miły i ciepły kocyk. - Naciągnął kołdrę wysoko nad ich głowy i zaczął z rosnącą namiętnością całować twarz Frances.

O tak, mieli jeszcze dla siebie resztę nocy. A ona oddawała mu pocałunki, unosząc lekko tułów, by mogła muskać sutkami jego pierś.

- Mmm - mruczała.

- Mmm - zaśmiał się.

Rozsunęła nogi, tak że prawie na nim siedziała, zyskując w ten sposób większą możliwość ruchu; wędrowania dłońmi, paznokciami, koniuszkiem języka po jego ciele. Leżał

spokojnie, pozwalając jej na to, reagował tylko cichymi jękami i stękaniem. Wtedy poczuła na swoim brzuchu jego twarde członek. Zaczęła się o niego ocierać, świat wokół zawirował.

To było cudowne czuć, że ma nad nim władzę, wiedzieć, że znowu będą się kochali, że tym razem to ona go prowadzi, a nie odwrotnie.

Ale w końcu to jednak on przejął inicjatywę - położył dłonie na jej biodrach, podniósł

je, dotknął członkiem jej łona i pociągnął ją w dół. Choć wcale nie musiał tego robić. Sama naparła na niego, aż poczuła, że wypełnił ją do samego końca wspaniale, cudownie.

Pochyliła się i włosy spłynęły po bokach jej twarzy. Spojrzała mu prosto w oczy, prawie niewidoczne w słabym świetle dochodzącym od okna. Znowu przeniosła ciężar ciała na kolana, dłonie położyła na piersi kochanka i zaczęła poruszać się na nim rytmicznie.

- O tak - mruczał - ujeżdżaj mnie, Frances.

Była to zaskakująca, ale bardzo erotyczna fantazja. Rzeczywiście go ujeżdżała, do chwili gdy już dłużej nie mogła, gdy musiała poddać się jego dłoniom. Przytrzymał jej biodra i wbijał się w nią

silnymi ruchami, a w niej coś wybuchło - zaznała niczym nieskażonej rozkoszy, a potem doskonałego spokoju.

A kiedy skończył, położyła się na nim, nogami oplatając jego nogi. Lucius naciągnął na nich kołdrę, żeby było im ciepło, i objął ją ramionami.

Nadal znajdował się w niej.

Tak właśnie, myślała sennie, wygląda szczęście. Nie zadowolenie, ale szczęście.

A jutro...

Bogu dzięki, zanim zdążyła się zastanowić, co będzie jutro, zasnęła.

Następnego dnia, jeszcze przed świtem, Lucius zszedł na dół i stwierdził, że Peters i Thomas wyszli już na poranny rekonesans. Znaleźli go potem w stajni i zdali raport. Śnieg znacznie stopniał i trakty stały się przejezdne, choć zapewne nie całkiem jeszcze bezpieczne.

Jednak powóz panny Allard nadal tkwił w zaspie. Bez pomocy nie da się go wyciągnąć, co zajmie z pewnością sporo czasu. Zanim ruszy w dalszą drogę, należałoby go najpierw wysuszyć i wszystko w nim sprawdzić.

- Właściwie można by powiedzieć, sir, że ten wózek nie nadaje się do jazdy już od dobrych trzydziestu lat - zakpił Peters.

Thomas wymamrotał na to, że z jego powozem nic by się nie stało, gdyby pewien młody człowiek, którego imienia dla spokoju nie wymieni, nie mijał go pędem, choć wcale nie musiał, a potem nie zatarasował całej drogi. I że za jego czasów powozy robiono tak solidnie, że służyły swoim właścicielom bardzo długo.

Peters warknął na to, że jeśli pewien woźnica, którego imienia także nie zamierza wymienić, nie potrafi zatrzymać powozu, nie wpadając przy tym w zasy, a przecież pojazd ów poruszał się tak wolno, że można by sądzić, iż się cofał, to znaczy to ni mniej, ni więcej, że już czas, aby ten woźnica pożegnał się na zawsze ze swoją pracą.

Lucius nawet nie próbował pogodzić służących. Wrócił do gospody.

Frances szykowała w kuchni śniadanie.

Niczym piorun uderzyła go myśl, że tak niedawno trzymał jej szczupłe, nagie ciało w ramionach.

- Jeśli chcesz - powiedział, kiedy już podzielił się z nią wszystkimi nowinami -

zostaniemy tu jeszcze jeden dzień. Sądzę, że twój powóz jutro będzie już nadawał się do jazdy.

Kusząca propozycja - choć niestety, nawet gdyby zostali, i tak świat wreszcie by do nich zawitał. W gospodzie zaraz pojawią się klienci, Parkerowie wrócą z wypoczynku. Nie uda im się odtworzyć uroku ich wczorajszego sam na sam - czy też namiętności zeszłej nocy.

Czas nieubłaganie biegł naprzód.

Lucius widział wahanie Frances i domyślał się jego powodów, gdyż jak przypuszczał, takie same myśli krążyły po głowie i jemu.

- Nie - powiedziała w końcu. - Muszę jak najszybciej dotrzeć do szkoły. Dziewczęta wracają dzisiaj, a lekcje zaczynają się już jutro. Powinnam się do nich przygotować. Dowiem się, czy we wsi zatrzymuje się jakiś dyliżans.

Zauważył, że unika jego wzroku. Ale twarz jej płonęła, usta miała lekko nabrzmiałe, a cała jej postać tchnęła prawdziwą kobiecością i ciepłem. Wyglądała jak kobieta, która poprzednią noc spędziła w ramionach kochanka i cieszy ją to.

Patrząc na nią, znów poczuł ogień podniecenia. Ale niestety noc się skończyła. Chyba w ogóle nie powinno dojść między nimi do zbliżenia, choć zdawał sobie sprawę, że sam się do tego przyczynił. I był zachwycony tym, co się wydarzyło. Zresztą zachwycony to za słabe określenie.

A jednak ich czas minął.

- Nie zatrzymuje się - powiedział. - Pytałem Wally'ego. Ale jeśli tylko zechcesz zostawić tu Thomasa, żeby mógł jutro odstawić powóz do domu, możesz pojechać ze mną.

Zawiozę cię do Bath.

Spojrzała na niego i jeszcze bardziej się zarumieniła.

- Och, nie mogę cię o to prosić. Bath na pewno nie jest ci po drodze.

No tak. Co więcej, ponieważ nie można było powtórzyć wczorajszego dnia, tak naprawdę nie chciał w nienaturalny sposób przedłużać ich spotkania. Powinni po prostu z samego rana pocałować się na pożegnanie, życzyć sobie powodzenia i każde odjechałoby w swoją stronę.

- Bez przesady - odparł. - Poza tym to nie ty mnie prosisz, tylko sam ci to zaproponowałem. Uważam, Frances, że mam obowiązek dopilnować, żebyś bezpiecznie dotarła do szkoły.

- Bo czujesz się odpowiedzialny za to, co stało się z moim powozem? - droczyła się z nim.

- Nonsens! - zawołał. - Gdyby Thomas był moim służącym, kazałbym mu zająć się sadzeniem kwiatów i to w najdalszym kącie ogrodu, gdzie nikt by nie zauważył, że zamiast chwastów wrywa szlachetne rośliny. Jeśli nawet był kiedyś dobrym woźnicą, to chyba bardzo, bardzo dawno temu.

- Jest lojalnym sługą moich ciotek - oświadczyła Frances. - Nie masz prawa...

Uniósł rękę, podszedł do niej i pocałował ją mocno w usta.

- Z wielką chęcią wdałbym się z tobą w sprzeczkę. Zapamiętam cię jako godnego przeciwnika, ale szkoda marnować cenny czas. Pragnę zawieźć cię do Bath osobiście, żebyś nie musiał się martwić, czy nic ci się nie stało w podróży.

Drogi wprawdzie z pewnością nadawały się już do jazdy, ale nadal mogły być niebezpieczne. Śnieg, lód i błoto zapowiadały, że podróż będzie trudna. Martwiłby się o Frances, gdyby wysłał ją z podstarzałym Thomasem starym powozem jej ciotek. Zresztą przypuszczał, że nawet następnego dnia stan dróg nie poprawi się na tyle, żeby uznać podróżowanie po nich za bezpieczne.

Dobry Boże! - pomyślał nagle. Chyba nie zakochał się w tej kobiecie? Byłoby to bardzo nierozsądne.



Przecież dopiero przyrzekł dziadkowi, że zacznie starać się o rękę odpowiedniej damy

- a w jego świecie odpowiednia dama to ktoś z arystokratycznym pochodzeniem, ktoś, kogo od kołyski przygotowywano do roli hrabiny Edgecombe.

Ktoś doskonały w każdym calu.

Jak Portia Hunt.

A nie guwernantka z Bath, ucząca muzyki i francuskiego.

Tak wygląda okrutna rzeczywistość. Tak właśnie funkcjonuje ten świat.

- W takim razie będę zobowiązana - powiedziała Frances, odwracając się do pieca, żeby dokończyć przygotowywanie śniadania. - Dziękuję.

Zachowywała się tego ranka chłodno i wyniośle. Ciekaw był, czy żałuje minionej nocy, ale nie zamierzał o to pytać. Przecież nie ma sensu żałować czegoś, co już się wydarzyło, prawda? Zresztą z pewnością niczego nie żałowała, kiedy się z nim kochała, namiętnie i z entuzjazmem. Cóż, nie czas się teraz nad tym zastanawiać.

Szkoda, że przez wieś nie przejeżdża żaden dyliżans. Czuł, że musi uciec od Frances.

Niemniej już niecałą godzinę później - po śniadaniu i umyciu naczyń - powóz Luciusa wyruszył w stronę Bath z Frances Allard jako pasażerką.

Oczywiście doszło do kłótni, kto ma zapłacić Wally'emu za pobyt. Lucius zwyciężył, ale wiedział, że poddanie się było dla Frances bolesne i poniżające. Jeśli dobrze zgadywał - a był prawie pewien, że się nie myli - jej torebka nie zawierała wielkich bogactw. Niemniej duma Frances została zraniona. Przez pierwszych kilka kilometrów siedziała sztywno wyprostowana i w milczeniu wyglądała przez okno.

Lucius znowu zapragnął powrócić do poprzedniego dnia - w każdym szczególe, może oprócz popołudnia, które zmarnowali, unikając jedno drugiego, bo nie chcieli dopuścić do tego, co i tak było nieuniknione prawdopodobnie już od pierwszej chwili ich spotkania. Od lat nie bawił się na śniegu, tak jak z Frances, dla samej radości płynącej z tej zabawy. Od lat nie tańczył z własnej woli. W gruncie rzeczy nie pamiętał, żeby kiedykolwiek, poza minionym wieczorem, chciało mu się tańczyć. A po nocy namiętnego seksu jego ciało było nadal błogo rozluźnione.

Do diabła, wcale nie jest gotów się z nią pożegnać.

Właściwie, dlaczego miałby to robić? Sezon tak naprawdę rozpoczyna się dopiero po Wielkanocy. Do tego czasu nie będzie zbyt wiele okazji, aby wypełnić przyrzeczenie dane dziadkowi. Poza tym, pomimo że wierzyły w to jego matka i siostry, nie zadeklarował się jeszcze Portii Hunt. Bardzo się pilnował, żeby w jej obecności oraz w obecności Balderstonów nie powiedzieć niczego, co mogłoby zabrzmieć jak zobowiązanie, jak propozycja małżeństwa. Nawet dziadkowi nie przyrzekł, że narzeczoną zostanie właśnie Portia.

A więc stawką nie jest jego honor. Przynajmniej jeszcze nie. Zeszłej nocy nikogo nie zdradził.

Czemu więc ma się z Frances żegnać?

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że te dywagacje to czysta racjonalizacja. Doskonale to sobie uświadamiał. On i Frances nie mają przed sobą żadnej przyszłości. A jednak się z tym nie godził.

Życie nie nauczyło go, jak radzić sobie z sytuacją, w której nie dostaje tego, czego pragnie.

Dlaczego przez wieś nie przejeżdża żaden dyliżans?

Albo dlaczego po prostu nie powiedziała, że zaczeka do następnego dnia na powóz ciotek? Była jednak pewna, że Lucius nie zgodziłby się zostawić jej samej w gospodzie. Ona zresztą też wolała pojechać z nim, niż stać na progu i patrzeć za jego odjeżdżającym powozem. Pustka i cisza byłyby nie do zniesienia.

Ale właśnie dokładnie to czekają w Bath. Na myśl o tym ścisnął się jej żołądek i pożałowała, że zjadła śniadanie.

Najlepiej gdyby pożegnała się z Luciusem zaraz po śniadaniu. Każde odjechałoby w swoją stronę własnym powozem - choć przynajmniej przez jakiś czas jechałoby tą samą drogą, dopóki powóz Luciusa nie prześcignąłby jej powozu. No ale taka ewentualność nie wchodziła w grę.

Zresztą rozstania nigdy nie są łatwe.

Co też ją opętało zeszłej nocy? Nigdy jeszcze nie uległa takiej pokusie.

Oddała się obcemu mężczyźnie. Kochała się z nim i przespała w jednym łóżku całą noc. Uprawiali miłość trzykrotnie; trzecim razem szybko, gorączkowo, zaraz potem Lucius wstał i opuścił pokój, w samych spodniach, z resztą ubrania w ręku.

A teraz będzie musiała ponieść wszystkie bolesne, emocjonalne tego konsekwencje.

Już cierpiała, choć Lucius był jeszcze przy niej - siedział tuż obok. Niemniej to był koniec.

Wkrótce - u celu tej powolnej, ponurej podróży między polami, które tego dnia nie lśniły już bielą - powiedzą sobie do widzenia i już nigdy więcej go nie zobaczy.

I jakby nie wystarczyło, że dręczyły ją smutek i żal, to jeszcze powóz, który nieustannie ślizgał się na drodze, sprawiał, że jej serce kurczyło się ze zdenerwowania i strachu. Uspokoiła się trochę dopiero wtedy, gdy Lucius wyciągnął z mufki jej prawą dłoń i objął ją palcami w silnym uścisku.

Czując jego ciepły dotyk, miała ochotę się rozplakać.

- Peters może i nie jest najpokorniejszym ze sług - odezwał się - ale to najlepszy woźnica, jakiego znam. Zawierzyłbym mu, co zresztą czynię, swoje życie.

- Coś mi się wydaje, że już do końca życia będzie mi się nocą śniło, jak mój powóz wpada w zaspę. Koszmar.

- Nie zapominaj, że gdyby ci się to nie przytrafiło - zauważył - nie poznałabyś mnie.

Czuła, że na nią patrzy, ale nie odwróciła głowy, żeby sprawdzić, co wyraża jego twarz. To samo mówił pierwszego dnia - czy to możliwe, że spotkali się dopiero dwa dni temu? - tylko że wtedy w jego tonie pobrzmiewała paskudna ironia.

- Tak - zgodziła się. - Nie poznałabym cię. To by było naprawdę okropne.

- No widzisz - roześmiał się. - Kiedy robisz się złośliwa, zapominasz o zdenerwowaniu. Chyba że rzeczywiście tak myślisz?

Mimo woli także się roześmiała.

Po tej wymianie zdań niepokój prawie całkowicie ją opuścił, ustąpiło też napięcie, które wyczuwało się między nimi od chwili, gdy Lucius rano wszedł do kuchni. Trzymali się teraz za ręce, a po jakimś czasie Frances zdała sobie sprawę, że nawet przytula się do towarzysza. Czuła bijące od niego ciepło.

Postanowiła, że za kilka dni każe napisać dziewczętom esej - nie, całe opowiadanie.

Ale nie na jakiś nudny temat, na przykład, jak spędziły święta, czego z pewnością się spodziewają, tylko na bardziej ciekawy. „Wyobraź sobie, że wracasz sama do szkoły po świętach, łapie cię burza śnieżna i musisz zatrzymać się w opuszczonej gospodzie sam na sam z kimś, kogo nie znasz. Napisz o tym opowiadanie...”.

Wiedziała, że Marjorie Phillips bez chwili wahania zanurzy pióro w kałamarzu, pochyli się nad kartkami papieru i nie wyprostuje, dopóki nie zapisze drobnym maczkiem kilku stron. Joy Denton uczyni pewnie to samo, a Sarah Ponds podniesie rękę i przypomni, że ponieważ nigdzie nie wyjeżdżała na święta, nie mogła też z nich wracać. Reszta dziewcząt będzie siedziała nieruchomo, ze zmarszczonymi czołami, zastanawiając się, czy panna Allard zauważy, że ich wypracowania umyślnie napisane są szerokim pismem i dużymi literami, żeby wydawały się dłuższe.

Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Bardzo lubiła swoje uczennice.

I choć tak fantazjowała o szkole, myślami, co rusz, wracała do sytuacji, w której się znalazła.

Zatrzymali się kilka razy, żeby zmienić konie, i raz, prawie na godzinę, żeby się posilić. W powozie siedzieli obok siebie, mówili niewiele, za to trzymali się za ręce, dotykając udami i ramionami. Jej głowa czasem opadała na ramię towarzysza, a raz nawet udało jej się przysnąć. Kiedy się przebudziła, stwierdziła, że Lucius też śpi, oparłszy się na jej głowie.

Omam się nie rozplakała. Od powstrzymywania łez bolała ją cała klatka piersiowa.

Gdy byli już blisko Bath, Lucius objął ją ramieniem i zmusił, by odwróciła ku niemu twarz,

uniósł placem jej podbródek i złożył na ustach gorący pocałunek.

Cicho jęknęła, wyciągnęła ręce, objęła kochanka za szyję i oddała mu pocałunek z całym pożądaniem, jakie się w niej zebrało.

- Frances - wymamrotał po długiej, długiej chwili. - Frances, co ja mam, do diabła, z tobą zrobić?

Odsunęła się, wyprostowała i spojrzała na niego z rezerwą.

- Uważam, że powinniśmy zastanowić się, czy rzeczywiście po dotarciu do Bath musimy się pożegnać.

Dokładnie to przez cały dzień chciała usłyszeć. Serce w niej zamarło z bolesnej nadziei.

- Jestem nauczycielką - przypomniała. - Ty masz swoje życie gdzie indziej.

- Zapomnij o szkole. Jedź ze mną. - Jego oczy błyszczały intensywnie.

- Mam jechać z tobą? - Zmarszczyła czoło, a jej serce zaczęło bić jak oszalałe. -

Dokąd?

- Gdziekolwiek tylko zechcemy. Cały świat stoi przed nami otworem. Jedź ze mną.

Oparła ramię na rogu siedzenia, chcąc stworzyć między nimi pewien dystans. Musiała się zastanowić. Cały świat stoi przed nami otworem. To lekkomyślność.

- Szczerze mówiąc, znam tylko twoje imię i nazwisko, poza tym prawie nic o tobie nie wiem - odparła.

A jednak jakaś część niej, ta sama nierozsądna część, która pozwoliła jej wczoraj tańczyć i kochać się z tym człowiekiem, chciała wykrzyknąć, tak, tak, tak, i pojechać z nim, dokądkolwiek chciałby ją zabrać - choćby na kraniec świata.

- Nawet mojego nazwiska nie znasz w całości. - Pokłonił się jej lekko, robiąc zarazem odpowiedni gest dłonią. - Lucius Marshall, wicehrabia Sinclair, do twoich usług, Frances.

Mieszkam w Cleve Abbey w Hampshire, lecz większość czasu spędzam w Londynie. Jedź

tam ze mną. Jestem bardzo bogaty. Odzieję cię w jedwabie i obsypię biżuterią. Niczego ci nie zabraknie. Nigdy więcej nie będziesz musiała nikogo uczyć.

Wicehrabia Sinclair... Cleve Abbey... Londyn... bogactwo... jedwabie i biżuteria.

Szttywno wyprostowana, wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Czar prysł, a wraz z nim rozwiały się romantyczne marzenia, które już poprzedniego dnia zamgliły jej umysł.

Wreszcie do niej dotarło, że Lucius nie jest tylko nieznanym, z którym mogłaby pojechać w siną dal i żyć szczęśliwie do końca ich dni. Nie jest kimś anonimowym. Jak każdy ma rodzinę, przeszłość, swoje życie. To nie żaden książę z bajki. A coś takiego jak szczęśliwe zakończenia po prostu nie istnieje.

Nie jest księciem z bajki ani rycerzem w srebrnej zbroi. Jest - a to najgorsze, czego mogła się spodziewać lub domyślać - wicehrabią Sinclairem, mającym arystokratą...

- Wicehrabia Sinclair - powtórzyła.

- Ale także Lucius Marshall - przypomniał. - To jedna i ta sama osoba.

Tak.

Inie.

Nierealne marzenie rozwiało się, a ona zobaczyła wreszcie w towarzysz tego, kim był naprawdę - impulsywnego, lekko bezmyślnego arystokratę, przyzwyczajonego dostawać wszystko, czego zapagnie, nie liczącego się z konsekwencjami - zwłaszcza gdy chodzi o kobiety. Na pewno los nigdy nie kazał mu zmagać się z przeciwnościami.

- Nie będziesz musiała pracować - zachęcał. - Jedź ze mną do Londynu.

- A może... Może ja lubię uczyć?

- A czy skazańcy lubią więzienne cele? - zakpił.

Rozgniewał ją tymi słowami. Zmarszczyła czoło. Przypomniała sobie, że to ten sam mężczyzna, który zaledwie przed dwoma dniami tak bardzo zdenerwował ją swoim aroganckim, wyzywającym zachowaniem.

- Uważam to porównanie za obraźliwe - obruszyła się.

Ale Lucius tylko chwycił jej dłonie i na każdej złożył pocałunek.

- Stanowczo nie chcę się teraz z tobą wyklócać - oświadczył. - Pojedź ze mną.

Dlaczego mamy robić coś, czego żadne z nas nie chce? Dlaczego nie zrobimy tego, czego pragniemy? Nie mogę jeszcze się z tobą rozstać, Frances. I wiem, że czujesz to samo.

- Ale za tydzień, dwa albo za rok już będziesz mógł? - zapytała. Spojrzał na nią ostro, unosząc brwi.

- To z tego powodu się wahasz? - zapytał. - Myślisz, że chcę z ciebie uczynić moją kochankę?

Wiedziała, że tak będzie.

- Jeśli jest inaczej, to rozumiem, że proponujesz mi małżeństwo? - rzuciła, nie potrafiąc powstrzymać

się od sarkazmu.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Szczerze mówiąc, Frances - odezwał się wreszcie - sam nie wiem, co ci proponuję.

Po prostu nie mogę znieść myśli o naszym rozstaniu, to wszystko. Jedź ze mną do Londynu.

Znajdę ci tam mieszkanie i odpowiednią osobę, która zamieszka z tobą w roli przyzwoitki.

Będziemy mogli...

Zamknęła oczy, pragnąc odciąć się od jego głosu. Było dla niej jasne, że niczego sobie nie przemyślał. Ale też, oczywiście, wcale nie musiał tego robić. To nie jego proszono, żeby porzucił wszystko, co dla niego ważne, co stanowiło sens jego życia. Jego życie prawie w ogóle się nie zmieni, poza tym że będzie miał nową kochankę - bo przecież to oczywiste, że pragnął kochanki. Wydawał się nieco zdumiony, kiedy wspomniała o małżeństwie, tak jakby nigdy o czymś takim nie słyszał.

- Nie pojedę z tobą - oświadczyła.

I mówiła poważnie, choć wiedziała, że mogłaby nawet dać się skusić Luciusowi, gdyby nie pewien fakt - Londyn to jedyne miejsce na ziemi, do którego już nigdy nie wróci.

Przyrzekła...

I było coś jeszcze. Kiedy mówił, że ubierze ją w jedwabie i obsypie biżuterią, przypominał jej mężczyzn z przeszłości. Doskonale więc wiedziała, co ją czeka, gdyby, bojąc się rozstania z nim, przyjęła jego propozycję.

A jednak myśl, że już nigdy więcej go nie zobaczy, niemal ją zabijała.

On cały czas boleśnie ścisnął jej dłonie.

- W takim razie to ja przeprowadzę się do Bath - zaproponował. Przez chwilę w jej sercu pojawiła się radość, że jest chętny do poświęceń - ale tylko przez chwilę. Ma do czynienia z wicehrabią Sinclairem. To bogaty, przyzwyczajony do elegancji arystokrata.

Większość życia spędził w Londynie. Co takiego ma mu do zaoferowania Bath, żeby zechciał

w nim pozostać? Nawet gdyby się do niego przeprowadził, tak naprawdę odsuwałiby tylko w czasie to, co nieuniknione. Ich związek skazany jest na niepowodzenie. Tym bardziej, jeśli Lucius zamieszka w Bath, gdzie nie będą mogli wieść życia, które go usatysfakcjonuje. Nie będą mogli uprawiać miłości - a z tym przecież Lucius się nie pogodzi. Wielkie nieba, ona jest nauczycielką!

Po prostu nie ma dla nich przyszłości. Czasami życie bywa trudne i nie pozostaje nic innego, jak to zaakceptować.

Pokręciła głową, patrząc na swoje dłonie, które wciąż ścisłał.

- Nie - powiedziała. - Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Dlaczego nie, do diabła?! - wykrzyknął poirytowanym głosem, głosem człowieka, który nie jest przyzwyczajony, że mu się odmawia, zwłaszcza kiedy mu na czymś zależy.

Chciała wyrwać dłonie, lecz ich nie puszczał, tylko jeszcze mocniej zgniatał je palcami.

- To prawda, że te ostatnie dni były bardzo przyjemne - przyznała. - A już z pewnością wczorajszy dzień. Czas jednak na powrót do zwykłego życia, panie Marshall, wicehrabio Sinclair. Nigdy nie zostanę twoją kochanką, a ty nigdy się ze mną nie ożenisz, zresztą, nigdy bym się na to nie zgodziła. W takim razie nie ma sensu przedłużać czegoś, co stanowiło tylko miły przerywnik w naszym życiu.

- Przyjemne! - burknął jeszcze bardziej poirytowanym głosem. A nawet oburzonym. -

Spędziliśmy ze sobą cały dzień i całą noc, a ty mówisz, że było to tylko przyjemne, Frances?

- Tak - odparła stanowczo. - Było przyjemne. I nie da się tego powtórzyć, więc czas się pożegnać.

Przez chwilę wpatrywał się w nią intensywnie, później puścił jej dłonie. Oczy mu się zamglily tak, że nie umiała już niczego z nich wyczytać. Wyraz twarzy także mu się zmienił.

Kąciki ust uniosły się, choć nie w uśmiechu. Podobnie jedna brew. Ukrył się za maską cynicznej kpiny. Czowała się tak, jakby już go koło niej nie było.

- Cóż, panno Allard, wygląda na to, że jednak na samym początku nie pomyliłem się co do pani. Nieczęsto kobiety mnie odrzucają. Nieczęsto noc spędzoną ze mną określają słowem „przyjemna”. Rozumiem zatem, że nie życzysz sobie kontynuowania naszej znajomości, tak? Bardzo dobrze. Podporządkuję się twojemu życzeniu, madame.

Tak więc przemienił się na powrót w chłodnego, wyniosłego arystokratę, w niczym nieprzypominającego Luciusa Marshalla, który tej nocy trzymał ją w ramionach.

Zrozumiała, że użyła niefortunnego określenia i najwyraźniej mocno go zraniła.

Ale przecież musiała tak powiedzieć. Nie było sensu wyznawać mu w tej chwili, że kochając się z nim, czuła się jak w niebie, że teraz ma złamane serce i że żal po stracie nie opuści jej zapewne do końca życia.

Poza tym sądziła, że to, co teraz czuje, się zmieni. Już jutro lub za tydzień siła emocji zmaleje. Taka jest ich natura, że z czasem słabną. Wiedziała to z własnego doświadczenia.

Siedzieli obok siebie w całkowitym milczeniu, aż w końcu - a wydawało się, że upłynęła cała wieczność, choć zarazem nastąpiło to zbyt szybko - wjechali na przedmieścia Bath.

- Widzisz? - odezwał się Lucius głosem tak normalnym, że jej serce znów skurczyło się z bólu. -

Mówiłem, że dowiozę cię bezpiecznie na miejsce.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnęła się do niego promiennie, jednak on nie odpowiedział

jej tym samym. - Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna za to, że chciało ci się nadrabiać drogi tylko po to, żeby mnie tu przywieźć.

- Panna Martin odetchnie z ulgą, że na jutrzejszych lekcjach nie zabraknie jednej z jej nauczycielek - mruknął.

- Tak, to prawda. - Frances nadal się uśmiechała. - Czekam na bardzo pracowity wieczór. Muszę się przygotować do zajęć i zapewne będę też musiała wysłuchać wielu relacji ze świąt.

- A więc cieszysz się, że wracasz do pracy. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- O tak, w istocie - zapewniła. - Lubię wakacje i przerwy świąteczne, ale lubię też uczyć, a poza tym mam w szkole wiele dobrych przyjaciółek.

- Przyjaciele są ważni - zgodził się.

- O tak - przyznała radośnie.

I tak te ostatnie minuty spędzili na luźnej, sztucznie ożywionej, zwykłej pogawędce.

Oboje starali się nie patrzeć na siebie ani się nie dotykać.

Powóz skręcił w Sydney Place, minął Sydney Gardens, aż w końcu wjechał na Sutton Street i skręcił w ulicę Daniel, na której Peters się zatrzymał, tuż za innym pojazdem, z którego wysiadło kilku pasażerów, wśród nich młoda dziewczyna. Na chodniku przed dwoma wąskimi budynkami szkoły panny Martin stała cała góra walizek.

- Hannah Swan - mruknęła Frances. - Uczennica z młodszej klasy.

Tak jakby mogło to zainteresować jej towarzysza.

A on sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kartę wizytową. Złożył ją na pół, wepchnął

w dłoń Frances i zamknął na niej palce, po czym uniósł jej rękę do ust.

- Przypuszczam, że wolałabyś, żeby nikt mnie nie zobaczył - powiedział. - Pożegnaj się więc z tobą w powozie. Pamiętaj jednak, że jeśli kiedykolwiek byś mnie potrzebowała, znajdziesz mnie pod tym londyńskim adresem. Jeśli po mnie poślesz, zjawię się bez zwłoki.

Frances wpatrywała się w guziki swojego palta, lecz na ostatnie słowa Luciusa podniosła wzrok i spojrzała mu w twarz - w jego orzechowe, intensywnie błyszczące oczy.

Nie ulegało wątpliwości, co miał na myśli.



- Żegnaj, Luciusie - powiedziała.

Peters zdążył już otworzyć drzwiczki i właśnie rozkładał schodki.

- Jeśli mają w tamtym powozie jeszcze więcej bagażu - rzucił, wskazując głową na pojazd przed nimi - zanim go rozpakują, nadejdzie wiosna. Nie wysiada pan, sir? Zbyt leniwy, żeby rozprostować nogi? No cóż, niech tak będzie. Proszę mi podać rękę, panienko. I niech pani uważa na kałużę.

Odwróciła się i szybko wysiadła. Spuściła głowę i nie spoglądając za siebie, ruszyła do drzwi frontowych, omijając walizki na chodniku.

Chociaż w szkolnym holu zaraz przy wejściu panował niezły rozgardiasz, bo stojący tam rodzice Hannah Swan żegnali się z córką, udzielając jej przy tym ostatnich rad, woźny Keeble, mężczyzna dość już wiekowy, znalazł czas, żeby powitać Frances ukłonem i z przymrużeniem oka mruknąć, że niektóre nauczycielki zrobią wszystko, żeby tylko odsunąć powrót do szkoły na ostatnią chwilę. Zjawiła się też Claudia Martin. Poklepała Frances po ramieniu, powiedziała, że cieszy się, iż udało jej się bezpiecznie dotrzeć na miejsce, i przyrzekła, że utną sobie małą pogawędkę, ale nieco później. Na tym się jednak nie skończyło. Frances, mimo że jej na tym zależało, nie zdołała uniknąć następnych wylewnych powitań. Zanim jeszcze dotarła do szczytu schodów, natknęła się na dwójkę dziewcząt z młodszej klasy. Zatrzymały ją i, chichocząc, zaczęły paplać coś na temat świąt i przerwy wakacyjnej. A gdy tylko zdążyła wejść do swojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi, rozwiązać wstążki czepka, który rzuciła na łóżko, a potem głęboko odetchnąć, drzwi, przy wtórze jednego puknięcia, ponownie się otworzyły i do pokoju wpadła Susanna Osbourne.

Pochwyciła Frances w objęcia.

- Och, ty wstręciuchu! - zawołała. - Przez ciebie ja i Anne nie spałyśmy dwie noce.

Nawet panna Martin się martwiła, choć upierała się, że jesteś zbyt rozsądna, żeby narażać się na niebezpieczeństwo. Wyobrażałyśmy sobie, że zamarzłaś na sopel lodu w jakiejś śnieżnej zaspie. Jaka to ulga widzieć cię całą i zdrową!

Susanna była najmłodszą z czterech mieszkających w szkole nauczycielek. Drobna, z kasztanowymi włosami, zielonymi oczami, bardzo ładna i energiczna, wyglądała o wiele za młodo jak na nauczycielkę - co prawda pracowała dopiero od dwóch lat, po sześciu latach nauki w szkole panny Martin. A jednak udało jej się odnieść sukces i dość szybko zdobyła poważanie wśród uczennic, które przecież jeszcze niedawno były jej koleżankami.

Frances oddała jej uściski i roześmiała się. Ale zanim zdołała coś powiedzieć, znów znalazła się w czyichś objęciach, tym razem Anne Jewell, kolejnej nauczycielki.

- Przekonywałam Susanne, podobnie jak Claudia, że jesteś zbyt rozważna, żeby opuścić dom ciotek w tak okropną pogodę - stwierdziła. - Cieszę się, Frances, że obie miałyśmy rację. Choć oczywiście, bardzo się o ciebie martwiłam.

Anne kochał zarówno personel, jak i uczennice. Jasnowłosa, niebieskooka i ładna, miała też spokojny temperament, była łagodna i życzliwa dla nawet najmniej inteligentnych i najmniej lubianych dziewcząt - zwłaszcza dla nich. Jeśli w ogóle kogoś faworyzowała, to uczennice z ochronki, czyli połowę uczennic w tej szkole. Niemniej zawsze znalazły się jakieś dziewczęta, głównie te z bogatych rodzin, które nie przepuściły okazji, by podkreślić fakt, że panna Jewell - z naciskiem na słowo „panna” - ma synka i że mieszka on z nią w szkole.

Nawet Frances i Susanna nie znały całej historii Davida Jewella, choć z pewnością nie była ona tajemnicą dla Claudii Martin. Cała ich czwórka bardzo się przyjaźniła, lecz nawet bliscy przyjaciele

mają prawo do sekretów. A co do Davida, miał własną opiekunkę i kilku nieoficjalnych nauczycieli, a poza tym był uwielbiany przez uczennice i przez wszystkich rozpuszczany. Mimo to pozostał słodkim dzieckiem i zdaniem pana Uptona, nauczyciela plastyki, miał artystyczny talent i potencjał.

- Cóż - powiedziała Frances. - Jak widzicie, nic mi się nie stało, chociaż spóźniłam się o dwa dni i aż boję się pomyśleć, ile czeka mnie dzisiaj pracy. Rzeczywiście zostałam u ciotek aż do dzisiejszego poranka, więc niepotrzebnie się o mnie martwiłyście. Przyjechałam tu ich powozem.

Przyjaciele też mają prawo czasami się okłamywać.

Nie umiałyby powiedzieć prawdy. Nie zniosłaby widoku współczucia w oczach koleżanek, a na pewno by jej współczuły, kiedy usłyszałyby, jak ta historia się zakończyła.

- Praca pracą, Frances, najpierw jednak napijesz się z nami herbaty i odpoczniesz po, jestem pewna, bardzo ciężkim dniu - oświadczyła stanowczo Anne. - Przypuszczam, że podróż miałaś koszmarną ze względu na stan dróg i że, biedactwo, nie mając nikogo do rozmowy, dzięki której mogłabyś odwrócić uwagę od zamartwiania się, musiałaś szukać ucieczki we własnej wyobraźni.

Ale to już minęło. Najważniejsze, że jesteś tu z nami, cała i zdrowa. Claudia powiedziała, żebyś przyszła do jej saloniku za dziesięć minut. Postanowiłyśmy z Susanną wykazać się wielkodusznością i nie walczyć z tobą o fotel koło kominka.

Obie, Anne i Susanna, roześmiały się, a Frances uśmiechnęła promiennie.

- Zapewniam, że się o to nie posprzeczamy - powiedziała. - I z chęcią napiję się herbaty. Dajcie mi tylko dziesięć minut, uczeszę się i umyję ręce i twarz.

Anne otworzyła drzwi.

- Wszystkie dziewczęta już wróciły - poinformowała. - Hannah Swan jak zawsze ostatnia. Zajmuje się teraz nimi wychowawczyni, więc mamy przed sobą całą godzinę wolnego.

- Chcemy, żebyś opowiedziała, jak spędziłaś święta - dodała Susanna. - Z detalami.

Łącznie z opisem każdego nowo poznanego dżentelmena.

- Nie, tylko z opisem tych przystojnych - poprawiła Anne. - I nieżonatych. Inni nas nie interesują.

- W takim razie ta godzina może być za krótka, nawet jeśli będę opowiadać szybko.

Poszły, radośnie roześmiane.

Frances opadła ciężko na łóżko. Była pewna, że gdyby miała stać jeszcze jedną minutę dłużej, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Mocno zacisnęła powieki. Była bliska hysterii, choć wiedziała, że duma jej na to nie pozwoli. Najbardziej pragnęła teraz zapaść się w pościel, zwinąć w kłębek i nie ruszać się nigdzie aż do końca życia.

Wiedziała, że gdyby wyrzała przez okno, zobaczyłaby pustą ulicę.

Lucius odjechał.

Na zawsze.

Zgodnie z jej życzeniem.

Chciał zabrać ją ze sobą albo zostać w Bath.

Zacisnęła dłonie w pięści, zwalczając atak paniki oraz nierozsądne pragnienie, by wybiec przed budynek i rzucić się za powozem, zanim Lucius zniknie na zawsze z jej życia.

To beznadziejne, beznadziejne. On nie tylko jest Lucyusem Marshalllem. Jest także wicehrabią Sinclairem. Większość czasu przebywa w Londynie. Ona natomiast nie może się w nim pokazać, nie może pojawiać się w kręgach śmietanki towarzyskiej - nawet gdyby ją o to poprosił. Choć oczywiście nie uczyniłby tego. Przez jakiś czas byłaby jego kochanką, do chwili, kiedy by się nią znudził. Potem by ją porzucił. W końcu to, co się między nimi wydarzyło, nie było żadnym wielkim romanssem.

Uznała, że postąpiła bardzo rozsądnie.

Niemniej nigdy jeszcze, dokonując słusznego wyboru, tak źle się nie czuła.

„Pożegnaj się więc z tobą w powozie”.

Z trudem przełknęła ślinę. I jeszcze raz.

A potem przypomniały jej się ostatnie słowa Luciusa:

„Pamiętaj jednak, że jeśli kiedykolwiek byś mnie potrzebowała, znajdziesz mnie pod tym londyńskim adresem. Jeśli po mnie pošlesz, zjawię się bez zwłoki”.

Otworzyła oczy, uzmysławiając sobie, że nadal zaciska palce na karcie wizytowej, którą od niego dostała. Rozwarła dłoń i spojrzała na złożoną na pół wizytówkę.

To koniec. To pożegnanie. Zjawi się z pomocą, jeśli będzie go potrzebowała - czyli jeśli się okaże, że zaszła w ciążę.

Ale to koniec.

Z pełną świadomością złożyła wizytówkę na cztery, a potem przedarła ją raz i drugi, i jeszcze raz, aż zostały same drobiny. Wyrzuciła je do kominka. Być może postąpiła zbyt pochopnie, jednak robiąc to, pożegnała Luciusa na zawsze. Nigdy nie będzie mogła zwrócić się do niego o pomoc.

- Żegnaj, Luciusie - szepnęła czule, po czym z dzbanka naląła do miski zimnej wody.

Anne i Susanna mówiły o dziesięciu minutach. Postanowiła, że zjawi się w salonie Claudii Martin, wyglądając świeżo i radośnie.

Uzbrojona po zęby w zabawne anegdotki na temat świąt.

Nikt nie domyśli się prawdy.

Nikt nawet nie będzie nic podejrzewał.

Następny tydzień Lucius spędził w Cleve Abbey, po czym przeniósł się do Londynu, nawet wcześniej niż planował, ale był zbyt niespokojny, by pozostawać sam na sam ze swoimi myślami - a raczej z emocjami.

Głównie z gniewem, który manifestował się poirytowaniem. Być odrzuconym, a nie tym, który odrzuca, to nowe doświadczenie w jego kontaktach z kobietami.

Przypuszczał, że to doświadczenie nauczy go pokory; a więc jest dobre dla duszy. Ale niech diabli wezmą duszę! Twierdzenie, że przykre doświadczenia mogą mieć pozytywne skutki, mierziło go i tylko bardziej psuło mu humor.

Cóż dobrego może wyniknąć z utraty kochanki, którą dopiero zaczął się cieszyć?

Fakt, że Frances Allard, kończąc ich związek, postąpiła słusznie, wcale nie przyczyniał się do poprawy jego nastroju. Kiedy proponował jej, że zabierze ją do Londynu, nie wiedział jeszcze, w jakiej roli miałyby mu towarzyszyć. Lecz przecież chyba nie żony?

Do diaska, właśnie się zobowiązał, że znajdzie sobie odpowiednią kobietę, z którą ożeni się przed końcem lata, a nie wyobrażał sobie, żeby dziadek i matka uznali nauczycielkę z Bath za dobrą partię.

Zawsze był impulsywny, a nawet lekkomyślny. Jednak tym razem przynajmniej częściowo zdawał sobie sprawę, że gdyby Frances przystała na jego propozycję, znalazłby się w doprawdy niezręcznej sytuacji. Bo nie tylko przyrzekł dziadkowi ożenek, ale też złożył

przysięgę samemu sobie, że się zmieni, że stanie się odpowiedzialny. Wiosną czeka go ubieganie się o rękę narzeczonej, a nie zabawianie z nową kochanką.

A właśnie nią byłaby Frances, gdyby z nim pojechała. Bez sensu temu zaprzeczać. I nie związałyby się z nią na długo. W ramach swojej przemiany musiałby przecież poświęcić się jednej kobiecie - tej, z którą się ożeni.

Czas się pożegnać, powiedziała Frances. Spędzili ze sobą dwa przyjemne dni, ale pora wrócić do normalnego życia.

Przyjemne!

To określenie nadal go bolało, nawet po przybyciu do Londynu, gdzie oddał się zwykłym, codziennym zajęciom, czyli szwendaniu się po klubach w gronie licznych przyjaciół i znajomych.

Odmawiając mu, oddała mu przysługę. Naprawdę.

Myśl ta dokuczała niczym ból głowy, nieustannie psując humor.

Nie leżało jednak w jego naturze bez końca zadreć się kłopotami. Poza tym od ponurych rozważań odciągały go zwykle miejskie rozrywki i inne wydarzenia.

Na przykład to, że zamieszkał w Marshall House przy Cavendish Square, gdzie wkrótce miały ścierać matka i siostry. Przebywanie z rodziną i uczestnictwo w jej przygotowaniach do nadchodzącego sezonu - w którym tym razem sam odegra aktywną rolę -

to dla niego duża nowość. Szykowało się spore zamieszanie w związku z debiutem jego siostry Emily i przedstawieniem jej u dworu. On sam natomiast powinien zająć się staraniami o rękę narzeczonej.

No i zaraz po Wielkanocy do Londynu zjedzie Portia Hunt, o czym pewnego poranka przy śniadaniu przypomniawszy mu matka - jakby mógł o tym zapomnieć - po przeczytaniu listu od lady Balderston.

- Zaraz jej odpiszę - zapowiedziała - i powiadomię, że ty też już jesteś w mieście i że w tym roku zatrzymałeś się w Marshall House, aby łatwiej ci było towarzyszyć siostrze w licznych wydarzeniach sezonu.

Tak naprawdę za tymi słowami kryła się informacja, że matce udało się wreszcie namówić syna do ożenku. Bo też w jakim innym celu wicehrabia Sinclair miałby planować udział w balach, rautach i przyjęciach, gdyby nie był poważnie zainteresowany założeniem na ręce małżeńskich kajdanków?

Tak więc Balderstonowie i Portia - a także markiz Godsworthy, jej dziadek - zjawią się w Londynie, oczekując prawie natychmiastowych zrekowin. Lucius nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tak właśnie to wygląda w jego sferze. „Wiele się załatwia - zwłaszcza kobiety są w tym ekspertkami - nawet bez bezpośredniej rozmowy. Dojdzie do niej, kiedy w końcu zgłosi się do Balderstonów, aby przedyskutować z nimi umowę przedmałżeńską, a potem formalnie oświadczyć się samej Portii.

Na myśl o tym, co go czeka, spływał zimnym potem.

Pocieszał się tylko, że może, kiedy ponownie ujrzy Portię, spotka go miłe zaskoczenie.

Uderzyło go, że od ostatniego razu, gdy z nią rozmawiał, minęły już chyba ze dwa lata. Miał

nadzieję, że zobaczywszy ją, skupi się na odpowiedzialności i planowaniu nieuniknionej przyszłości. W końcu mężczyzna musi się kiedyś ożenić. A skoro musi, i czas na to nastał

teraz, może się ożenić z kobietą, którą przecież zna prawie całe swoje życie. Lepszy znany diabeł...

Nie żeby porównywał Portię z diabłem. Dobry Boże, nie. Jest doskonałą kandydatką na żonę. Nie znalazłby lepszej, nawet gdyby jeszcze przez pięć lat przejeżdżał cały kraj wzdłuż i wszerz. Poza tym tych pięciu lat nie ma. Przyrzekł, że ożeni się w tym roku.

Tak więc niemal wyczekiwał przyjazdu Portii do miasta.

Musiał jednak przyznać, że tegoroczna wiosna różniła się od innych także jeszcze pod jednym względem. Nieustannie bardzo się martwił o zdrowie dziadka i dlatego rzucał się na każdy list z Barclay Court. I to właśnie w jednym z nich, który przyszedł przed jakimś tygodniem, przeczytał, że hrabia zamierza w celach zdrowotnych przenieść się na kilka tygodni do Bath. Tamtejszy klimat zawsze dobrze mu robił, wyjaśnił, więc zapragnął się przekonać, czy tym razem też tak się stanie. Zamiast zatrzymać się w hotelu, postanowił

wynająć mieszkanie przy Brock Street.

Lady Sinclair, choć oczywiście bardzo przejęta stanem zdrowia teścia, nie mogła opuścić Londynu, żeby mu towarzyszyć w Bath. Wkrótce Emily miała zostać zaprezentowana u dworu i przed tym wielkim dniem trzeba było się zająć tysiącem spraw. Caroline, dwa lata starsza od Emily, również nie mogła wyjechać z miasta, ponieważ był to już jej trzeci sezon, a ona nadal pozostawała niezamężna, choć spodziewano się, że zmieni się to w ciągu miesiąca, gdyż z oświadczynami szykował się sir Henry Cobham. Natomiast Amy, wprawdzie bardzo do tego chętna, była jednak za młoda, żeby pojechać do Bath samotnie.

Pozostawał tylko Lucius. Oczywiście wszyscy by woleli, żeby nie wyjeżdżał z miasta, lecz on tak bardzo martwił się o dziadka, że koniecznie chciał naocznie się przekonać, w jakiej starszy pan jest formie i czyjego zdrowie od świąt Bożego Narodzenia poważnie się nie pogorszyło. Poza tym nic się nie stanie, jeśli opuści Londyn na tydzień lub dwa. Wróci przecież na rozpoczęcie sezonu.

I tak starczy mu czasu na zaloty.

Co do Frances Allard, to prawie o niej zapomniał. W końcu od Bożego Narodzenia minęły już niemal trzy miesiące. Czasami jednak nachodziły go jeszcze melancholijne wspomnienia ich wspólnej nocy. A gdy się okazało, że ma jechać do Bath, coś się w nim poruszyło na myśl, że znowu znajdzie się w pobliżu niej. Lecz nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Spotkanie jej wydawało mu się mało prawdopodobne, sam zaś nie zamierzał jej szukać. Należała do przeszłości i chciał, żeby tak pozostało. Tym bardziej, że był to tej przeszłości bardzo mały wycinek.

Nie mógł się więc nadziwić, że kiedy powóz zbliżał się do Bath, białego i pobłyskującego w świetle wiosennego słońca, nagle te wspomnienia przypuściły na niego szturm. Przypomniał sobie ból, jaki odczuwał, kiedy ostatnim razem podróżował tą drogą -

choć podążał wtedy w przeciwnym kierunku. Przypomniał sobie obezwładniające pragnienie, by zawrócić i błagać Frances nawet na kolanach, aby z nim pojechała.

Sama myśl, że mógłby zrobić coś tak zawstydzającego i poniżającego, sprawiała, że cały się zatrzęsł. Nie życzył sobie widzieć więcej kobiety, która doprowadziła go do takiego stanu.

Towarzyszyła mu Amy, jego młodsza siostra. Była w trudnym wieku - kończyła siedemnaście lat. Po świątach uzyskała pozwolenie od władz szkoły, żeby wczesną wiosną wraz z rodziną udać się do Londynu na rozpoczęcie sezonu, jednak wszelkie nadzieje, które mogły się w niej w związku z tym zrodzić, musiała szybko porzucić. Matka stanowczo odmówiła zgody na jej debiut, ponieważ był to czas debiutu Emily, nie mówiąc już o nadal niezamężnej Caroline. Biedaczka była więc ogromnie

przygnębiona i rozszalona, że zostanie wykluczona ze wszystkich tych zachwycających rozrywek, które wkrótce miały rozświetlić życie jej sióstr. Z tym większą chęcią przystała na wyjazd z bratem do Bath.

Jej okrzyki zachwytu nad widokami za oknami powozu oraz uwagi o krajobrazie wytrącały Luciusa z ponurych rozważań. Musiał przyznać, że obecność siostry ożywiła podróż. Gdyby chciał być szczerzy, musiałby wyznać, że cieszy się ze zbliżenia z rodziną, i nawet się zastanawiał, dlaczego tak długo wydawało mu się, iż powinien trzymać się od niej jak najdalej.

Prawdopodobnie po prostu wydorostał, a dzięki temu rozumiał, że bliskie związki są ważne.

Skrzywił się. Czyżby rzeczywiście zrobił się już z niego aż taki nudziarz?

Znowu wbrew własnej woli przypomniał sobie Frances. Nie napisała do niego, chociaż czekał na list aż do lutego. Może spotka ją w Bath? Nie, to raczej niemożliwe.

Mieszka przecież w szkole po drugiej stronie rzeki, aż przy Sydney Gardens, i z pewnością zajęta jest swoimi obowiązkami. On zaś zatrzyma się w eleganckiej dzielnicy przy Brock Street. Będzie się obracał w towarzystwie dystyngowanych kuracjuszy i mieszkańców Bath. Ścieżki jego i Frances nie mają szans się skrzyżować.

Po dotarciu na Brock Street zupełnie o niej zapomniał. Całą uwagę skupił na dziadku.

Hrabia wydawał się osłabiony, ale jak zawsze dopisywał mu dobry humor i przekonywał, że powietrze Bath i jego lecznicze wody już zdążyły korzystnie na niego podziałać. Z

blyszczącymi oczami przysłuchiwał się entuzjastycznemu raportowi Amy z podróży i zabawnego wydarzenia, jakie ich spotkało, gdy zatrzymali się po drodze w jakimś zajeździe, w którym wzięto ją za żonę Luciusa.

Po herbacie, w czasie gdy hrabia odpoczywał, Lucius zabrał siostrę na krótki spacer po Royal Crescent, ulicy odchodzącej od Brock Street. Z rozbawieniem i pobłażliwością wysłuchiwał jej okrzyków zachwytu i deklaracji, że tak wspaniałej architektury nigdy jeszcze nie widziała.

Ale później tego dnia, po obiedzie, gdy dziadek czytał przy kominku, a Amy przy małym sekretarzyku pisała list do matki i sióstr, Lucius stanął przy oknie salonu i zapatrzywszy się w majestatyczne budynki przy pobliskiej Circus Street, myślał o Frances i o tym, że jeśli tylko nadal jeszcze mieszka w szkole panny Martin, to oddziela go od niej nie więcej niż półtora kilometra. I zirytował się - nie dlatego, że Frances jest tak niedaleko, ale że w ogóle o niej myśli.

Odwrócił się energicznie od okna.

- Nudzisz się, Luciusie? - zapytał hrabia, opuszczając książkę na kolana.

- Ja, sir? - Lucius położył dłoń na ramieniu piszącej siostry. - Ależ skąd. Bardzo się cieszę, że jestem tu z tobą. Sprawileś mi wielką radość tym, że sporo zjadłeś na obiad i że potem dołączyłeś do mnie i Amy, żeby spędzić z nami godzinę.



- A ja myślałem - hrabia posłał wnukowi spod krzaczastych jasnych brwi figlarne spojrzenie - że szukasz za oknem pary ładnych ocząt.

Tak brązowych, że prawie czarnych. Dużych, ekspresyjnych oczu, które potrafią iskrzyć się gniewem, wesołością lub stać się jak studnie, głębokie od namiętności.

- Szukam, sir? - powtórzył, unosząc brwi. - Ja?

- Masz na myśli pannę Hunt, dziadku, prawda? - rzuciła Amy, zanurzając stalówkę w srebrnym kałamarzu. - Ma najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam. Niektórzy może i uważają je za piękne, ale ja wolę takie, które potrafią się śmiać, nawet jeśli są nijakiego szarego koloru. Panna Hunt nigdy się nie śmieje, przypuszczam, że dlatego iż uważa śmiech za mało dystyngowany i niegodny damy. Mam nadzieję, że Luce się z nią nie ożeni.

- A ja mam nadzieję, że Lucius, kiedy nadejdzie pora, podejmie właściwą decyzję -

odparł na to hrabia. - Dziwiłbym się jednak, Amy, gdyby nie podziwiał niebieskich oczu i jasnych włosów oraz nieskazitelnej cery panny Hunt. To bardzo wytworna dama. Z dumą nazywałbym ją swoją wnuczką.

Lucius uściskał ramię siostry i usiadł przy kominku naprzeciwko dziadka. Hrabia ma rację. Portia jest piękną kobietą. Jest też elegancka. Doskonała. Plotka niosła - to znaczy, dowiedział się o tym od matki - że w ciągu ostatnich kilku lat odtrąciła oświadczyzny wielu szacownych zalotników.

Czekała na niego.

Pomyślał o niezaprzeczalnych zaletach panny Hunt i nagle poczuł się tak, jakby ktoś zarzucił mu na szyję pętlę, która stopniowo coraz mocniej się zaciskała.

Następny dzień był chłodny i wietrzny. Nie nadawał się na dłuższe spacerory. Ale już kolejny okazał się jednym z najwspanialszych wiosennych dni. Kusił do wyjścia na dwór, przypominając, że wkrótce nadejdzie lato. Z bezchmurnego nieba słońce oblewało ziemię gorącymi promieniami, powietrze było rześkie i ciepłe, wiał tylko lekki wiaterek.

Po porannej wizycie w pijalni wód i po późniejszym odpoczynku przy gazecie hrabia Edgecombe znowu był gotów do spaceru z wnukami, tym razem po Royal Crescent, znanym w mieście miejscu przechadzek, spełniającym tę samą funkcję, co Hyde Park w Londynie, choć w odpowiednio mniejszej skali. Spacerowicze przybywali na Royal Crescent, żeby podzielić się zebranymi od rana plotkami, a także, by samemu się pokazać, jak i oglądać innych.

Przechadzanie się po wyłożonej brukiem łukowatej Crescent i po łące poniżej nie wymagało dużego wysiłku. Luciusowi brakowało klubów i londyńskich przyjaciół, postanowił jednak, że jakoś znieśnie nadchodzący tydzień, nadmiar energii zaś spali podczas porannych przejażdżek konnych po okalających Bath wzgórzach. Poza tym cieszyło go, że dziadek ma dobry humor i czuje się trochę lepiej niż w Boże Narodzenie. A Amy, teraz oparta na jego ramieniu, wręcz promieniała radością z powodu zmiany otoczenia, zwłaszcza że w Bath zasady obowiązujące młode damy, które nie miały jeszcze debiutu, były znacznie mniej surowe niż w Londynie.

Właśnie rozmawiali z panią Reynolds i panią Abbotsford, gdy Lucius, trochę znudzony, ale uprzejmie się uśmiechający, zobaczył nagle podążający przez Brock Street sznureczek ubranych w ciemnoniebieskie mundurki uczennic. Prawdopodobnie najpierw podziwiała architekturę Circus i teraz szły w stronę Crescent, w tym samym celu. Na przedzie, nadając dość szybkie tempo, szła jakaś kobieta, przypuszczalnie nauczycielka, przypominająca mamę kaczkę z dwoma rzędami ciągnących za nią piskląt.

Przypuszczalnie nauczycielka...

Lucius zmrużył oczy, chcąc lepiej przyjrzeć się kobiecie. Ale sznureczek był nadal zbyt daleko od niego, by mógł rozróżnić jej rysy. Poza tym byłby to prawie niemożliwy zbieg okoliczności...

- No i pan Reynolds zgodził się wynająć tam dom na lato - mówiła pani Reynolds. -

Oczywiście nasza droga Betsy będzie nam towarzyszyła. Wszystkim nam przyda się miesiąc wypoczynku nad morzem.

- Słyszałem, madame, że kąpiele morskie są bardzo zdrowe - zauważył hrabia.

Pani Reynolds w odpowiedzi wydała odgłos przypominający skrzek żaby.

- Kąpiele morskie, sir?! - zawołała. - Och, proszę nawet o nich nie wspominać. Osoby wrażliwe na samą myśl o nich doznają szoku. Będę bardzo uważała, żeby Betsy nawet na krok nie zbliżyła się do jakiegokolwiek kąpieliska.

- A ja zgadzam się z hrabią Edgecombe'em - wtrąciła się pani Abbotsford. - Kiedy dwa lata temu wyjechaliśmy na kilka dni do Lyme Regis, zarówno Rose, jak i Algernon, moja córka i syn, kąpali się w morzu i nigdy nie byli zdrowsi niż tamtego lata. Poza tym, Barbaro, nie musisz się martwić o przyzwoitość, ponieważ kąpieliska pań są oddzielone od kąpielisk panów.

Lucius wymienił się z dziadkiem rozbawionym spojrzeniem.

- Ale, ale, zanim zapomnę, hrabio Edgecombe - powiedziała pani Reynolds. - Muszę pana bardzo prosić...

Sznureczek dziewcząt dotarł do rogu Brock Street i Crescent. Nauczycielka zatrzymała się, żeby zwrócić uwagę uczennic na wspaniałe budynki. Uniosła szczupłe ramię i żywo gestykulowała drobną dłonią.

Stała tyłem do Luciusa. Na płowej sukni miała brązowy spencerek. Jej kapelusik też był brązowy. Z miejsca, w którym się znajdował, nie mógł dojrzeć ani jej włosów, ani twarzy.

Ale i tak nagle poczuł suchość w ustach.

Nie miał wątpliwości, kto to jest.

Widać zbiegi okoliczności jednak się zdarzają.

- Ufam, że pan także zaszczydzi nas swoją obecnością, lordzie Sinclair? - pytanie pani Reynolds wyrwało go z zamyślenia.

- Och, tak, zgódź się, Luce. Proszę, zgódź się - błagała Amy, ściskając brata za ramię.

- Wtedy ja też będę mogła iść.

- Proszę wybaczyć - patrzył ze zdziwieniem raz na jedną, raz na drugą. O czym one, do diabła, mówią? - Proszę wybaczyć, madame, ale chyba się zamyśliłem.

- Hrabia Edgecombe właśnie łaskawie przyjął moje zaproszenie na wyprawiany przeze mnie jutro wieczorek - wyjaśniła pani Reynolds. - Oczywiście, w niczym nie będzie on przypominał londyńskich przyjęć, do jakich jest pan przyzwyczajony, niemniej zaprosiłam samą śmietankę, a poza tym w planach mamy wspaniałą występ muzyczny, zaś osoby nieprzepadające za taką rozrywką mogą zagrać w karty, pan Reynolds zawsze się przy tym upiera. Mam nadzieję, że zechce pan nas odwiedzić i weźmie pan ze sobą pannę Amy Marshall.

- Będę zaszczycony, madame - odparł Lucius, kłaniając się. - Podobnie Amy, jak widzę.

Wielki Boże! Wieczorek muzyczny w Bath. Do czego to w życiu dochodzi?

Amy, stojąca obok niego, prawie skakała z radości. Wieczorek muzyczny nie jest może wielkim wydarzeniem w kalendarzu towarzyskim pewnych osób, ale to coś bardzo ekscytującego dla dziewczyny, która została wyłączona prawie ze wszystkich rozrywek sezonu, dostępnych jej matce i

siostram w Londynie.

Lucius już niemal uśmiechał się do siostry, aby pokazać, jak bardzo bawi go jej zachowanie, ale jego uwagę przykuło coś zupełnie innego - a serce zaczęło mu walić tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

Tam do diaska, przecież nie chciał, żeby to się wydarzyło. Nie chciał znowu jej zobaczyć. A jednak teraz na nią patrzył - na kobietę, która go odrzuciła, a potem na długo pozostała w jego pamięci.

Równy sznureczek zdyscyplinowanych uczennic doszedł do połowy Crescent i się zatrzymał. Nauczycielka znowu zaczęła o czymś opowiadać, pokazując budynki, a dziewczęta słuchały jej z uwagą.

Ani razu nie odwróciła głowy w stronę łąki. Ale nie musiała tego robić. Lucius wiedział. Czasami nie musimy widzieć czegoś dokładnie, żeby mieć pewność, co to jest.

- Dwóch utytułowanych dżentelmenów na twoim przyjęciu, Barbaro - powiedziała pani Abbotsford. - Będą ci zazdrościły wszystkie damy w Bath, nie mówiąc już o tym, że twój wieczorek z pewnością okaże się wielkim sukcesem. Choć i bez tego, oczywiście, cieszyłby się olbrzymim powodzeniem.

- W pełni się z panią zgadzam, madame - oświadczył hrabia. - Pani Reynolds ma opinię doskonałej gospodyni. Zawsze, kiedy jestem w Bath, czekam na zaproszenie od niej.

Nauczycielka się odwróciła. To samo zrobiły jej uczennice. Szerokimi ruchami ramion pokazywała na wspaniałe widoki rozciągające się u podnóża miasta i na wzgórza za nim.

Frances!

Nadal stała zbyt daleko, żeby mógł dokładnie widzieć jej twarz, ale też na tyle blisko, by zobaczyć, że jest bardzo ożywiona. Opowiadała o czymś z wielkim zaangażowaniem i entuzjazmem.

Nie sprawiała wrażenia ani przybitej, ani zrozpaczonej.

Do diabła, czyżby spodziewał się, że tak właśnie będzie, że Frances zamieni się w swój własny cień, dlatego że sama go odrzuciła?

Wydawało się też, że zupełnie nie zwraca uwagi na inne osoby na ulicy. Nawet nie zerknęła w stronę eleganckich przechodniów na Crescent i spacerowiczów na łące. Mimo to Lucius nasunął kapelusz na czoło, udając, że osłania oczy przed słońcem, po czym odwrócił

się, żeby niby to podziwiać widoki za plecami.

- Bath nie przestaje mnie zadziwiać swoim pięknem - rzucił głupkowato.

Pani Reynolds i pani Abbotsford, obie stałe mieszkanki miasta, z wielką radością podjęły ten temat. Amy natychmiast zaczęła opowiadać, jak wspaniale robiło jej się zakupy na Milsom Street, kiedy to brat sprawił jej nowy kapelusz, który teraz właśnie miała na głowie.

Obydwie damy obejrzały nabytek z zainteresowaniem i pochwaliły wybór.

Lucius ponownie odwrócił głowę. Zobaczył, że uczennice zakończyły już spacer po Crescent i teraz spieszenie podążają w stronę Marlborough Buildings.

Do diabła, przeklął w duchu, to wygląda tak, jakby się przed nią ukrywał. Przed zwykłą nauczycielką, która kiedyś chciała wrzucić go do gorącego oleju, potem poszła z nim do łóżka, następnie określiła jego miłosne wyczyny słowem „przyjemne” i wreszcie zakończyła ich znajomość stanowczym i bezdyskusyjnym „żegnaj”!

Nie mógł uwierzyć, że niczym tchórz kryje się przed Frances za rondem kapelusza.

Prawda była jednak taka, że cały się trząsał. Zastanawiał się, co by było, gdyby zamiast na łące stał na ulicy i spotkał się z Frances twarzą w twarz. Ciekawe, czy jąkałby się i plątał, czyli zrobiłby z siebie kompletnego głupka, czy może raczej posłałby Frances chłodne spojrzenie, uniósł brew i udał, że próbuje przypomnieć sobie jej imię.

Boże, miał nadzieję, że zachowałby się w ten drugi sposób.

Później, kiedy sznurek uczennic znikł już na Marlborough Lane, zaczął się zastanawiać, jak ona by się zachowała. Czy zarumieniłaby się i zawstydzila? A może to ona uniosłaby brwi, udając, że go nie pamięta?

Do diabła! A może rzeczywiście o nim zapomniała?

Dobrze się stało, że się nie spotkali. Jego poczucie własnej wartości mogłoby zostać narażone na szwank i już nigdy nie doszedłby do siebie. Dziadek, Amy i dwie towarzyszące im damy byłiby świadkami jego upokorzenia. Podobnie jak grupa uczennic, które z pewnością przyglądałyby się całej scenie z wielkim zainteresowaniem, żeby potem, w ustroniu swoich pokoi, żartować i chichotać przez co najmniej następny miesiąc.

Wtedy nie pozostałoby mu nic innego, jak znaleźć gdzieś pistolet i strzelić sobie w łeb.

Poczuł przyływ nagłej złości na pannę Frances Allard, tak jakby rzeczywiście go zobaczyła i nie rozpoznała.

Może, pomyślał, zgrzytając zębami, los zsyła mu ją, bo nadal chce uczyć go pokory - z pomocą nauczycielki, która wołała szkołę niż jego.

Pani Reynolds i pani Abbotsford pożegnały się. Lucius dotknął runda kapelusza i uważnie przyjrzał się dziadkowi.

- Sądzę, że wystarczy tego na jedno popołudnie, sir - powiedział. - Czas wracać do domu na herbatę.

- Ale może Amy woli jeszcze zostać - zasugerował hrabia. Jednak wnuczka na jego słowa uśmiechnęła się tylko radośnie i wsunęła mu rękę pod ramię. Drugą owinęła wokół

ramienia brata.

- Z wielką chęcią wrócę już do domu na herbatę, dziadku - zapewniła. - Choć popołudnie było bardzo ekscytujące, nie uważacie? Rozmawialiśmy z co najmniej tuzinem osób. I zostaliśmy zaproszeni na wieczorek muzyczny. Będę miała wiele do napisania dzisiaj wieczorem mamie i siostrze. Tylko nie wiem, co na siebie włożę.

- Coś mi mówi - rzucił Lucius i westchnął głęboko - że jutro czeka nas następna wyprawa na Milsom Street.

- Ofiaruję ci gotową suknię, moje dziecko - zaoferował się hrabia. - A także wszelkie dodatki. Tylko dokonując wyboru, pytaj o radę Luciusa. Ma doskonały gust.

W drodze powrotnej Lucius przyłapał się na tym, że przypomina mu się scena, gdy Frances kciukiem przeklejała ciasto na placek do naczynia, w którym miało się piec, a potem przekłuwała je widelcem, żeby nie rozsadziła go para. Widział, jak pochyła się do piekarnika.

Dlaczego nadal czuł się tak samo jak wtedy zaintrygowany, nie mówiąc już o silnym zdenerwowaniu?

Dlaczego akurat tego dnia wybrała się z dziewczętami na Crescent?

A może raczej, dlaczego, do diabła, on wybrał akurat ten dzień, żeby zabrać dziadka i siostrę na spacer po łące?

Czuł się okropnie jako mężczyzna, że tak łatwo dawał się wyprowadzić z równowagi kobiecie, z którą przecież spędził tylko jedną noc i to trzy miesiące temu.

- Och, Luce - zawołała Amy, ściskając go za ramię - czyż Bath nie jest wspaniałym miejscem?

- To jest stanowczo niesprawiedliwe - oświadczyła Susanna Osbourne. - Ja byłam na dworze z dziewczętami tylko godzinę i już mam policzki spieczone na raka i na dodatek wyskoczyły mi piegi, a Frances spędziła na słońcu całe popołudnie i wcale nie jest czerwona, tylko ślicznie opalona. A przecież to nawet jeszcze nie lato.

- Opalenizna nie przystoi damie - stwierdziła panna Martin, unosząc wzrok znad robótki. - Mam nadzieję, Susanno, że przypominasz dziewczętom, iż muszą chronić skórę przed opalenizną? Bo jeśli to z powodu zabawy zapomniałaś o swojej cerze, wcale nie będę ci współczuć, ilekroć bowiem wyglądałam przez okno, widziałam, że zamiast pilnować uczennic, po prostu się z nimi bawisz. Co do Frances, cóż, w sprawach wyglądu i cery stanowi ona wyjątek od reguły. To jej włoskie dziedzictwo. My, Angielki, zmuszone jesteśmy ze spokojem znosić tę niesprawiedliwość.

Pomimo ostrych słów oczy panny Martin migotały wesoło, kiedy przyglądała się najmłodszej nauczycielce, która siedziała na krześle ze stopami opartymi na stołeczku, rękami obejmując kolana. Jej opalona twarz jaśniała radością.

- Poza tym - dodała Anne Jewell, zajęta cerowaniem rozdartej dziecięcej koszulki -

wcale nie przypominasz raka, Susanno. Wyglądasz świeżo, zdrowo i ładniej niż kiedykolwiek. Choć twój nos będzie się świecił w nocy jak latarnia.

Roześmiały się wszystkie z wyjątkiem biednej Susanny, która najpierw ostrożnie dotknęła wykpiwanego organu, a następnie, zmarszczywszy go, sama się roześmiała.

Siedziały we cztery w saloniku panny Martin, jak to często robiły wieczorami, kiedy już dziewczęta, pod opieką przełożonej, układały się w swoich pokojach do snu.

- Czy wycieczka okazała się pouczająca dla dziewcząt, Frances? - zapytała panna Martin z nadal jeszcze iskrzącymi się wesołością oczami. - Czy zdołały, tak jak oczekiwałaś, zebrać odpowiednią ilość materiału do wypracowania?

Frances zachichotała.

- Zachowywały się wspaniale. Były bardzo zainteresowane - poinformowała. - Ale trudno mi powiedzieć, czy w ich głowach zostało coś z wiadomości, które im przekazałam na temat oglądanych przez nas budowli. Mam na myśli domy przy Circus, Crescent i Salę Zgromadzeń. Za to bez wątpienia potrafią z detalami opisać każdą elegancką osobę, którą mijałyśmy po drodze, zwłaszcza jeśli owa osoba była płci męskiej i poniżej dwudziestu jeden lat. Mimo to byłam z nich bardzo dumna w drodze powrotnej, kiedy przechodziłyśmy przez most Pulteney. Stało tam kilku wyrostków; zaczepiali nas niewybrednymi okrzykami. Jeden nawet puszczał w naszą stronę zajaczkę z lusterka. Dziewczęta jednak podniosły noski w górę i przeszły obok młodzieńców tak, jakby ich nie widziały.

Anne i Susanna też się roześmiały.

- Och, dobre dziewczynki - pochwaliła panna Martin, znów pochylając głowę nad robótką.

- Niestety - dodała Frances - popsuły cały efekt, kiedy minęłyśmy Laura Place i tamci młodzieńcy nie mogli już ich słyszeć. Chichotały i komentowały ich zachowanie całą drogę przez Great Pulteney Street. Przypuszczam, że z wyprawy najlepiej zapamiętają właśnie ten incydent.

- Ależ oczywiście - zawołała Anne. - Spodziewałaś się czegoś innego, Frances?

Wszystkie mają po czternaście, piętnaście lat. Zachowują się zgodnie ze swoim wiekiem.

- Co racja, to racja, Anne - przytaknęła panna Martin. - Dorośli postępują bardzo niemądrze, karcąc rozbrykane dzieci, które przecież zachowują się tak, jak im na to pozwala ich wiek.

- W co się ubierzesz, Frances, na jutrzejszy wieczorek? - zainteresowała się Anne, zmieniając temat.

- W moją jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej. To najlepsza, jaką mam.

- No tak, oczywiście. - Susanna, wstając, żeby dolać wszystkim herbaty, uśmiechnęła się przebiegle. - Frances ma adoratora.

- Susanno - odezwała się panna Martin, znowu unosząc wzrok znad robótki - Frances została

zaproszona na wieczorek u pani Reynolds zupełnie niezależnie od pana Blake'a.

Zaproszono ją ze względu na jej głos, po prostu anielski. Pani Reynolds z pewnością dowiedziała się o nim od swojej córki Betsy i bardzo rozsądnie postąpiła, wpisując Frances na listę gości, którzy zabawią towarzystwo swoim talentem.

Ale Susanna nie potrafiła oprzeć się pokusie, by jeszcze trochę nie podroczyć się z koleżanką.

- Tak czy inaczej pan Blake będzie jej towarzyszył - upierała się. - Uważam, że się do niej zaleca. A ty co o tym myślisz, Anne?

Anne, z igłą zastygłą nad koszulką, uśmiechnęła się najpierw do jednej, potem do drugiej.

- Moim zdaniem Frances rzeczywiście spodobała się panu Blake'owi i sędzę, że może on wkrótce się jej oświadczyć - powiedziała. - Myślę też, że Frances jeszcze nie zdecydowała, co odpowie, gdyby do tego doszło.

- Uważam, że powinna odmówić. Bardzo bym nie chciała utracić nauczycielki francuskiego i muzyki. Choć w dobrej sprawie, naprawdę dobrej, skłonna jestem do poświęceń - oznajmiła panna Martin.

Pan Aubrey Blake był lekarzem; zaglądał do szkoły panny Martin zawsze, gdy któraś z jej uczennic potrzebowała medycznej opieki. Ten poważny, sumienny i przystojny mężczyzna po trzydziestce od jakiegoś miesiąca wyraźnie interesował się Frances. Pewnego sobotniego popołudnia spotkał ją na Milsom Street, gdzie robiła zakupy, i uparł się, że odprowadzi ją aż pod samą szkołę i pomoże nieść pakunki, choć nie były ciężkie.

Wszystkie przyjaciółki Frances pokładały się ze śmiechu, kiedy opowiadała im potem, jak przez całą drogę prawie mdlała z zażenowania, bojąc się, że Blake odkryje w jakiś sposób, iż w niesionych przez niego paczkach znajdują się pończochy.

Nie było to ich ostatnie spotkanie. Natknęli się na siebie ponownie, w domu jednej z uczennic, która się rozchorowała i trzeba było ją odprowadzić do rodziców. Frances po odprowadzeniu podopiecznej na miejsce postanowiła zaczekać na lekarza - został już wezwany - żeby dowiedzieć się, w jakim chora jest stanie, i zanieść tę informację do szkoły. I tak jak poprzednio pan Blake uparł się, że ją odprowadzi.

A ostatnio, kiedy się dowiedział, zresztą nie wiadomo skąd, że została zaproszona do państwa Reynoldsów, aby na ich wieczorku, na który on także był zaproszony, zaśpiewać dla gości, zjawił się w szkole. Kazał Keeble'owi zawołać Frances, wcześniej prosząc grzecznie o zgodę na to pannę Martin, i zapytał ją, czy uczyni mu zaszczyt i pozwoli, by towarzyszył jej tego wieczoru.

Gdyby chciała odmówić, znalazłaby się w trudnej sytuacji. Jednak Frances wręcz z ulgą przyjęła propozycję Blake'a. Ponieważ przyjęcie miało odbyć się wieczorem, wiedziała, że Claudia będzie naciskała, by zabrała ze sobą jedną z pokojówek. Bardzo jej się to nie uśmiechało. Poza tym pojawienie się samotnie na przyjęciu wymaga wyjątkowego hartu ducha.

- Moim zdaniem nauczycielka nie ma czasu na zalotników - oświadczyła. - A nawet jeśli ma, wcale



nie jestem przekonana do pana Blake'a. Jak na mój gust jest trochę zbyt poważny. Nie powiem, przystojny z niego mężczyzna, odpowiedzialny i wykonuje bardzo szacowny zawód. I jeśli stwierdzę, że jestem nim zainteresowana, z pewnością od razu powiadomię moje najdroższe przyjaciółki oraz przełożoną o zamiarze odejścia ze szkoły na łono błęgiego życia małżeńskiego.

Roześmiała się i uniosła filiżankę do ust.

- Cóż, a ja nie chcę jakiegoś tam zwykłego lekarza - zawołała Susanna, siadając z powrotem na krześle i jak poprzednio obejmując ramionami kolana. - Chcę hrabiego. Nikt inny mnie nie interesuje. No może tylko ksiązę.

Susanna zjawiła się w szkole panny Martin w wieku dwunastu lat. Przyprowadził ją pan Hatchard, londyński przedstawiciel panny Martin. Znalazł Susanne na ulicy, po tym jak za to, że skłamała, iż jest starsza, niż była w rzeczywistości, wyrzucono ją z domu, w którym pracowała jako pokojówka. Pan Hatchard zaproponował jej naukę i opiekę w szkole panny Martin, a ona na to przystała. Przed dwoma laty Claudia przydzieliła jej stanowisko młodszej nauczycielki. Frances nie miała pojęcia, co działo się z Susanną, zanim skończyła dwanaście lat.

- Och, tylko nie hrabia, Susanno - mruknęła panna Martin. Frances i Anne wymieniły rozbawione spojrzenia. Susanna, która także się uśmiechnęła, oparła czoło na kolanach, żeby ukryć twarz. Wszystkie wiedziały o awersji panny Martin do arystokratów. W przeszłości pracowała u hrabiego Bewcastle'a jako guwernantka jego siostry, lady Frei Bedwyn.

Podobnie jak liczna grupa guwernantek przed nią Claudia porzuciła posadę po bardzo krótkim czasie, przekonawszy się, że praca - a raczej wychowanka - była nie do zniesienia. Jednak w przeciwieństwie do poprzedniczek odmówiła przyjęcia zapłaty, a także rekomendacji do następnej pracy, które zaoferował jej hrabia. I tak, z całym swym dobytkiem i dumną miną, opuściła Lindsey Hall.

Potem otworzyła szkołę. Borykała się z wieloma przeciwnościami, aż pewnego dnia jakiś nieznany darczyńca zaproponował jej finansowe wsparcie. Zanim jednak przyjęła pomoc, kazała przysiąc panu Hatchardowi na Biblię, że dobroczyńcą nie jest hrabia Bewcastle.

- Już lepiej niech to będzie ksiązę - dodała teraz. - Oświadczam, że nie pojawię się na twoim ślubie, jeśli wybierzesz hrabiego.

Anne skończyła cerować koszulę. Złożyła ją, zebrała nożyczki, igłę i nici i wstała.

- Czas, żebym zajrzała do Davida - powiedziała. - Sprawdzę, czy śpi. Choć pewnie tak, po tym bieganii po łące przez całe popołudnie. Dziękuję za herbatę, Claudio. Dobranoc wszystkim.

Reszta pań także się podniosła. Dzień szkolny zaczynał się wcześnie, kończył późno i był pełen różnych zajęć. Bardzo rzadko zdarzało im się rozmawiać do późna w nocy.

Przygotowując się do spania, Frances rozmyślała o następnym wieczorze. Pociągała ją myśl, że znowu zaśpiewa, choć nie robiła tego publicznie już od trzech lat. Oczywiście będzie się

denerwowała, to naturalne, ale nie pozwoli, by trema wpłynęła na jakość jej występu.

Martwiło ją jednak coś jeszcze. Pan Blake, jeśli tylko wyczuje z jej strony jakąkolwiek zachętę, faktycznie może zacząć się o nią starać. Nic wprawdzie na ten temat nie wspominał, lecz kobieca intuicja podpowiadała jej, że się nie myli. Choć co najmniej dziesięć lat od niej starszy, był doskonałym kandydatem na męża, przystojnym, inteligentnym, uprzejmym i poważanym.

A ona przecież nie może narzekać na nadmiar zalotników. Postąpiłaby głupio, zniechęcając do siebie pana Blake'a. To prawda, że lubi uczyć, a zarobki starczą jej na podstawowe potrzeby. Szkoła stała się dla niej prawdziwym domem. Znalazła w niej szczerych przyjaciół. Ale ma dopiero dwadzieścia trzy lata, a jej życie kiedyś wyglądało zupełnie inaczej. Nie chciała udawać nawet przed sobą, że jeśli pozostanie w szkole, będzie szczęśliwa do końca swoich dni.

Jak każdy człowiek ma pewne potrzeby, które bardzo trudno jest ignorować.

Pan Blake może być ostatnim porządnym mężczyzną, który zwrócił na nią uwagę.

Oczywiście sprawy nie przedstawiają się aż tak prosto. Musiałaby najpierw wyjaśnić mu kilka szczegółów ze swojej przeszłości. A niektóre niezbyt dobrze o niej świadczyły. Może się okazać, że poznawszy prawdę, pan Blake przestanie się nią interesować. A z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo. Nie dowie się, jeśli tego nie sprawdzi.

Kiedy już była gotowa do snu, zdmuchnęła świecę, zaciągnęła zasłony, jak czyniła zawsze, położyła się na wznak i zapatrzyła w ciemność.

Plakała, gdy się okazało, że nie zaszła w ciążę. Oczywiście z ulgi! Ale też ze smutku.

Mimo że od spotkania z Luciusem minęły już trzy miesiące, nie doszła jeszcze do siebie. Niemożność zapomnienia o nim tłumaczyła sobie rym, że z nim spała, że oddała mu swoje dziewictwo. Nic więc dziwnego, że nie może otrząsnąć się ze wspomnień. Dziwiłaby się nawet, gdyby było inaczej.

Jednak gdy próbowała być ze sobą całkiem szczerą, uzmysławiała sobie, że chodzi o coś więcej. Ilekroć o nim myślała, przypominała sobie wiele rzeczy, lecz przede wszystkim to: jak obierał ziemniaki, odśnieżał podwórko, wycierał naczynia, nasadzał bałwanowi głowę na tułów i tańczył z nią walca... A najczęściej jej myśli wracały do wydarzeń nocy.

Ale pamiętała też, jaki był wściekły, arogancki i pełen pogardy, kiedy stał przed nią na śniegu, po tym jak bezceremonialnie wyciągnął ją z przewróconego powozu.

Wpatrując się w jedną z gwiazd prześwitującą przez zasłony i zastanawiając się, jak bardzo oddalona jest od Ziemi, myślała zarazem, że gdyby nie Lucius Marshall, wiedziałaby, co zrobić z panem Blakiem - i oczywiście miałyby mniej grzechów do wyznania. Niestety wręcz boleśnie uświadamiała sobie różnicę między tymi dwoma mężczyznami i co ważniejsze była świadoma odmiennych reakcji, jakie w niej wywoływali.

Przy Blake'u brakowało magii.

Z drugiej strony to człowiek poważny, odpowiedzialny, który bez wątpienia zapewni jej spokojne życie. Poza tym, skąd wiadomo, czy gdy zacznie się do niej naprawdę zalecać, magia się nie pojawi?

Zamykając oczy, uznała, że powinna go ośmielić.

Że go ośmieli.

Postanowiła kierować się rozsądkiem.

Otworzyła oczy i znów utkwiała wzrok w gwieździe.

- Lucius - szepnęła - od tej chwili możesz być sobie tak daleko jak ta gwiazda. Bo to już naprawdę koniec. Więcej nie będę o tobie myślała.

Wyjątkowo rozsądna decyzja.

Rozważając ją, nie mogła zasnąć przez pół nocy.

Następnego wieczoru zamiast Keeble'a, na pięć minut przed planowanym przybyciem pana Blake'a, w pokoju Frances zjawiła się panna Martin z informacją, że jej towarzysz już przyszedł.

- Tak rzadko miałam okazję wkładać tę suknię - tłumaczyła Frances Claudii, która przyglądała się jej krytycznym okiem - że chyba nikt się nie zorientuje, jak jest stara.

- I na szczęście ma klasyczny krój - dodała dyrektorka, przebiegając krytycznym wzrokiem po wysokiej talii, krótkich bufkach i skromnym dekolcie. - Taki, co to zawsze pozostaje w modzie. Nie jest zła. Podobnie jak twoja fryzura, choć jak zwykle ułożyłaś włosy w kok. Ale to i tak nie ujmuje ci urody. Gdybym była próżna, umierałabym z zazdrości.

Frances roześmiała się i sięgnęła po brązowy kapelusz.

- Nie, nie - zawołała panna Martin. - Musisz włożyć mój orientalny szal. Dlatego właśnie wisi na moim ramieniu. I jeszcze jedno. Wczoraj wieczorem nie mówiłam poważnie.

To oczywiste, że nie chcę tracić żadnej z moich nauczycielek. Tworzymy zgrany zespół, a poza tym bardzo polubiłam każdą z was. Ale jeśli pragniesz nawiązać z panem Blakiem jakiś bliższy...

- Och, Claudio - przerwała jej Frances, znowu wybuchając śmiechem i ściskając ją. -

Ty głuptasie. Pan Blake tylko towarzyszy mi na przyjęcia, na którym, na dodatek, nie będę nawet pełnoprawnym gościem. To wszystko.

- Hm - mruknęła panna Martin. - Nie widziałas jeszcze dzisiaj wyrazu jego oczu, Frances.

Ale zobaczyła. Kilka minut później, kiedy zeszła do holu, po którym krążył

niespokojnie obserwowany czujnie przez Keeble'a, zawsze podejrzliwego, gdy jakiś mężczyzna wkraczał na jego terytorium. Blake prezentował się naprawdę dystyngowanie; miał na sobie czarny płaszcz, w ręku trzymał czarny jedwabny cylinder. A kiedy podniósł

wzrok, żeby popatrzeć na Frances schodzącą do niego po schodach, w oczach miał podziw i coś jeszcze.

- Jak zawsze, panno Allard, wygląda pani niezwykle elegancko - powiedział.

- Dziękuję - odparła.

Przed szkołą czekał na nich powóz, którym już po kilku minutach zajechali na Queen Anne Square pod rezydencję Reynoldsów. Frances czuła się trochę dziwnie - po tak długiej przerwie znowu znajdzie się na przyjęciu. I znów w duchu podziękowała Blake'owi, że zechciał jej towarzyszyć. Dom był już pełen gości. Pani Reynolds krążyła między nimi, dumna, że hrabia Edgecombe z wnukami zaszczycił ją swoją obecnością.

Muszą być w pokoju karcianym, stwierdziła Frances po kilku chwilach, ponieważ nie zauważyła w salonie nikogo na tyle wyśmienitego, żeby inni goście mu się kłaniali. Co więcej, nie spostrzegła nikogo znajomego poza kilkoma mieszkańcami Bath - a to znaczyło, że nikt jej nie rozpozna. Wcześniej obawiała się trochę, że natknie się na wieczorku na któregoś z londyńskich znajomych, czego wolałaby uniknąć, nie chcąc, by ktokolwiek z jej przeszłości wiedział, gdzie się ukryła.

Jak dotąd nikomu się to nie udało.

Występy rozpoczęły się prawie zaraz po ich przybyciu. Frances usiadła obok pana Blake'a. Pragnęła w spokoju obejrzeć i wysłuchać artystów, choć wcześniej musiała pomóc pierwszej wykonawczyni, Betsy Reynolds, trzynastoletniej córce gospodarzy, uczennicy szkoły panny Martin, która na wieczorku miała zagrać na pianinie jakąś etiudę. Frances, jako jej nauczycielka muzyki, pomogła Betsy rozłożyć nuty i tak długo szeptała dziewczynie słowa zachęty do ucha, aż ta wreszcie na tyle opanowała nerwy, że gotowa była zaczynać. Zagrała etiudę bezbłędnie. Kiedy skończyła, Frances uśmiechnęła się do niej ciepło i wstała, żeby ją uścisnąć. Potem odesłano Betsy do łóżka.

Dopiero po jakiejś godzinie nadeszła kolej na Frances. Miał to być ostatni występ, po którym w programie zaplanowano uroczystą kolację.

- Śmiem twierdzić, panno Allard - pochyliwszy się do niej, szepnął pan Blake w chwili, gdy pan Reynolds wstawał, żeby zapowiedzieć Frances - że zostawiono panią na sam koniec, ponieważ jest pani najlepsza.

Blake nigdy nie słyszał jej śpiewającej. Tak jak i pozostałe osoby w pokoju, poza panem Huckerbym, nauczycielem tańca, który miał jej akompaniować. Mimo to Frances i tak posłała towarzyszowi uśmiech wdzięczności. W żołądku czuła znajome trzepotanie.

Wybrała ambitną i chyba niezbyt pasującą do okazji pieśń, jednak Wiem, że mój Zbawca istnieje z Mesjasza Haendla zawsze była jej ulubionym utworem, a pan Reynolds dał

jej wolną rękę co do wyboru repertuaru.

Podniosła się przy wtórze uprzejmych oklasków i stanęła na środku salonu obok pianina. Nie spiesząc się, kilka razy odetchnęła. Przymknęła oczy, by nastroić się do występu.

Potem skinęła w stronę pana Huckerby'ego i po wysłuchaniu kilku pierwszych taktów zaczęła śpiewać.

I od razu zapomniała o zdenerwowaniu, publiczności, otoczeniu, o samej sobie.

Pieśń całkowicie nią zawładnęła.

Po powierzeniu Amy pani Abbotsford i jej córce, które niezwykle ciepło przyjęły jego siostrę pod swoje skrzydła, Lucius większość wieczoru spędził w pokoju karcianym, choć w samej grze prawie nie uczestniczył. Raczej przyglądał się grze dziadka i przysłuchiwał

rozmowom, starając się nie myśleć o tym, jak bardzo jest znudzony.

Chciał nawet, kiedy zaczęły się występy, przejść do salonu, bo lubił muzykę, choć ponieważ to wieczorek w Bath, nie spodziewał się usłyszeć czegoś wysokich lotów. Niestety zatrzymał go pan Reynolds i wciągnął w nużącą dysputę o zaletach myślistwa, które nazwał

sportem typowo angielskim i arystokratycznym, oraz wadach tych, którzy byli innego zdania

- gospodarz uznawał ich za najzwyklejszych zdrajców własnego kraju. W trakcie rozmowy Lucius zerkał cały czas na dziadka, sprawdzając, czy starszy pan nie wygląda już na zmęczonego, a nawet trochę pragnąc zobaczyć tego oznaki. Choć jego londyńskie alter ego byłoby po prostu przerażone na myśl o powrocie do domu o tak wczesnej porze, to Lucius z Bath nie marzył o niczym innym, jak tylko o znalezieniu się w saloniku na Brock Street, zapadnięciu w fotel i pogrążeniu w lekturze.

Na Boga, marzył o czytaniu książek!

Oczywiście Amy czułaby wielki zawód, gdyby do czegoś takiego doszło.

Wyglądało jednak na to, że hrabia Edgecombe w grze w karty znajduje wielką przyjemność. Wygrywał niemal tyle samo, co przegrywał. Zresztą nie obstawiał wysoko. To w Bath zdarzało się rzadko, ponieważ nie lubiano tu poważnego hazardu.

Muzyka z salonu docierała do pokoju karcianego prawie niezniekształcona. Występy rozpoczęły się od raczej nudnej etiudy zagranej na pianinie. Reynolds pochwalił się, że wykonawczynią jest jego córka, ale widać było, że nie zamierza przejść do salonu, żeby odegrać rolę dumnego rodzica - nawet nie przestał mówić, żeby posłuchać. Potem ktoś zagrał

sonatę na skrzypcach, jakiś tenor odśpiewał solową pieśń, po której wystąpił kwartet smyczkowy i wykonano recital fortepianowy, pewniej i zręcznie niż uczyniła to panna Reynolds.

Lucius poświęcał muzyce tyle uwagi, ile tylko zdołał. Wkrótce przekonał się, że szczęśliwie wystarczy, iż pochyli się do gospodarza, który właściwie nie mówił o niczym istotnym, i słuchać go będzie jednym uchem, a drugim wyławiać dźwięki dochodzące z salonu.

W pewnej chwili zaśpiewał sopran. Z początku, ponieważ nie lubił tego rodzaju głosu, uważając go za zbyt przenikliwy, Lucius postanowił przestać słuchać, tym bardziej że wokalistka wybrała na świeckie przecieź przyjęcie utwór bardzo religijny.

Stwierdził jednak, że ten głos jest jakiś wyjątkowy. I już po chwili tak się w nim zaszłuchał, że gospodarz, który nie przestawał mówić, trafiał słowami w powietrze.

- *Wiem, że mój Zbawca żyje* - śpiewała sopranistka - *i że kiedyś zstąpi na ziemię.*

Osoby obecne w pokoju karcianym, a nawet sami gracze nagle unieśli głowy.

Rozmowy nie ustały zupełnie, ale przycichły.

Lucius tego nie zauważył, bo głos sopranistki całkowicie zaabsorbował j ego uwagę.

Głęboki i silny, lecz bez przesady, posiadał wszystkie właściwości charakterystyczne dla kontraltu, ale potrafił też bez wysiłku osiągnąć najwyższe nuty, nie przechodząc przy tym w pisk. Był to głos tak czysty jak dźwięk dzwonu, a jednak rezonował ludzką pasją.

- *Lecz czy zdołam zobaczyć mego Pana?*

Bez wątpienia tak wspianiałego głosu jeszcze nigdy nie słyszał.

Zamknął oczy, a na jego czole pojawiła się zmarszczka niemalże nabożnego skupienia. Nawet Reynolds ucichł, uzmysławiając sobie, że stracił słuchaczy.

- *Bo oto Chrystus powstał z martwych* - śpiewała pieśniarka, radośnie i tryumfalnie, unosząc za sobą duszę Luciusa.

Przełknął ślinę.

- *Niech się obudzą ci, co śpią.*

Poczuł na ramieniu czyjś dotyk, więc otworzył oczy i zobaczył, że obok stoi hrabia.

Bez słowa obaj ruszyli do salonu.

- *Bo teraz Chrystus powstał.* - Głos nabierał pełnej mocy przed dramatycznym zakończeniem. - *Bo oto Chrystus powstał z martwych.*

Lucius i hrabia zatrzymali się w drzwiach.

Sopranistka stała na środku salonu; wysoka i szczupła, robiła wrażenie majestatycznej, z rękami opuszczonymi po bokach, z uniesioną głową. Klasycznie piękna, przyciągała uwagę publiczności głównie jednak swoim głosem.

- *Niech się obudzą ci...* - przytrzymała wysoką nutę, pozwalając, by wypełniona triumfalną ekstazą cichła powoli - *... co śpią.*

Uniosła głowę i zamknęła oczy, a pianista grał jeszcze przez chwilę. Słuchacze zamarli w bezruchu. Potem zapadła krótka cisza. I zaraz po niej rozległy się entuzjastyczne oklaski.

- Dobry Boże - wymamrotał hrabia i także zaczął bić brawo. Lucius natomiast, wpatrzony w pieśniarkę jak zahipnotyzowany, nie był w stanie uczynić żadnego ruchu.

Mój Boże! Mój Boże!

Frances Allard.

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i schyliła głowę w geście podziękowania. Policzki jej pałały, oczy lśniły, ciemne jedwabiste włosy skrzyły się w świetle płynącym od żyrandola tuż nad nią. Przesuwała wzrokiem po publiczności, aż...

Ujrzała Luciusa, który się w nią wpatrywał.

Uśmiech nie znikł z jej ust, raczej na nich zastygł.

Przez chwilę miała wrażenie, że świat zatrzymał się w miejscu.

Potem jej oczy powędrowały dalej. Kiedy już objęła uśmiechem wdzięczności wszystkich obecnych, wróciła do swojego krzesła, stojącego niedaleko miejsca, na którym z dłońmi złożonymi na piersiach siedziała Amy. Frances usiadła, przytrzymując się ramienia jakiegoś mężczyzny, który widząc, że nadchodzi, wstał i uklonił się, a gdy już usiedli, pochylił się i zaczął szeptać jej coś do ucha.

- To był wspaniały, wspaniały występ, panno Allard - rozległ się rozradowany głos pani Reynolds. - Dobrze uczyniłam, że zaplanowałam pani występ na koniec programu. Moja droga Betsy miała świętą rację, mówiąc, że śpiewa pani jak anioł. No ale cóż, przypuszczam, że po całej godzinie siedzenia wszyscy zgłodnieliśmy. Kolacja zostanie podana natychmiast w jadalni.

- Lucius - odezwał się hrabia Edgecombe, trochę przekrzykując hałas, który zapanował w salonie, ponieważ goście powrócili do rozmów. - Jeszcze nigdy nie słyszałem głosu, który by mnie tak poruszył. Kim jest ta dama? Chyba nikim sławnym, bo nie przypominam sobie nazwiska. Panna Allen, tak?

- Allard - poprawił Lucius.

- Rzeczywiście. Chodźmy więc do panny Allard, żeby wyrazić jej nasz zachwyt -

zapropozował hrabia. - Musimy poprosić ją, żeby usiadła przy nas podczas kolacji.

Frances wstała już z krzesła. Wokół niej zebrał się spory tłumek osób, które pragnęły zamienić z nią słowo. Na jej twarzy malował się promienny, ale sztywny uśmiech. Lucius zauważył, że z rozmysłem stara się nie patrzeć w jego kierunku. To pani Reynolds, stojąca obok niej, spostrzegła, że się zbliżają.

- Och, hrabia Edgecombe - zawołała głosem, który kazał innym gościom rozsunąć się, żeby zrobić miejsce dla arystokraty. - Czy pozwoli pan, hrabio, przedstawić sobie pannę Allard? Czyż jej śpiew nie jest boski? Panna Allard uczy muzyki w szkole panny Martin. To świetna uczelnia. Posyłamy do niej Betsy.

Frances utkwiała wzrok w hrabim, a potem dygnęła.

- Milordzie - wymamrotała.

- Jestem zaszczycona, panno Allard - ciągnęła pani Reynolds, dumna jak paw, że może w swoim domu gościć tak znakomite osoby - mogąc przedstawić pani hrabiego Edgecombe'a i jego wnuka, wicehrabiego Sinclaira. Oraz wnuczkę hrabiego, pannę Amy Marshall.

Dopiero teraz Lucius zauważył, że Amy stoi obok niego, trzymając go za ramię.



Frances zwróciła się w jego stronę i ich oczy znów się spotkały.

- Milordzie - powiedziała.

- Panno Allard. - Ukłonił się jej. Przeniosła wzrok na Amy.

- Panno Marshall?

- Przez panią, panno Allard, prawie się popłakałam. Och, jak żałuję, że nie mam takiego głosu jak pani - zawołała dziewczyna.

Lucius czuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios w brzuch. Jedno było wszakże całkiem jasne. Bez względu na to, jakimi uczuciami darzyła go Frances, z pewnością go nie zapomniała.

- Szkoła panny Martin może i jest świetną uczelnią - odezwał się hrabia - ale dlaczego, na Boga, uczy w niej pani, panno Allard, zamiast zachwycać swoim głosem świat?

Rumieniec na twarzy Frances jeszcze bardziej poczerwieniał. Spojrzała na pytającego.

- Jest pan bardzo uprzejmy, hrabio, ale nauczanie to moja pasja. Daje mi wiele satysfakcji.

- A ja miałbym jeszcze większą - odparł na to z ciepłym uśmiechem starszy pan -

gdyby zgodziła się pani, panno Allard, zjeść kolację w towarzystwie moim, Amy i Sinclaira.

Frances się zawahała.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie. - To bardzo miłe zaproszenie, lecz zgodziłam się już towarzyszyć panu Blake'owi i kilku innym znajomym.

- Ależ, panno Allard - zaprotestowała pani Reynolds głosem, w którym pobrzmiewało przerażenie. - Jestem więcej niż pewna, że pan Blake nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby opuściła go pani na pół godzinki, prawda, sir?

Dzientelmen, do którego się zwracała, zmarszczył czoło, skinął jednak głową, że się zgadza. Wtedy odezwała się Frances.

- Kłopot w tym, że to ja nie chcę opuszczać tego pana - oświadczyła.

- I słusznie, moja droga. - Hrabia cicho się roześmiał. - Poznanie pani było dla mnie przyjemnością. Może zechce pani wyświadczyć mi zaszczyt i przyjmie zaproszenie na jutro na podwieczorek w moim domu przy Brock Street. Wnuk z radością przyjedzie po panią powozem, prawda, Luciusie?

Lucius, zapatrzony we Frances jak ogłupiały uczeń, skinął bezmyślnie głową. Nagle zdał sobie sprawę, że jest już za późno, żeby on lub Frances przyznali się do tego, iż już się znają.

Dlaczego, na Boga, zamiast być po prostu zaskoczonym ich spotkaniem, zadowolonym z tego lub

niezadowolonym, czuje się tak, jakby dostał obuchem w głowę i całkiem stracił nad sobą kontrolę?

Tylko że... ten głos!

Frances nabrała powietrza, jakby zamierzała odmówić, zmieniła jednak zdanie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, nie patrząc na Luciusa. - Przyjmuję zaproszenie z wielką radością, milordzie.

Tam do diabła! Lucius zmarszczył czoło, ale nikt tego nie zauważył.

- Och, ja też bardzo się cieszę, że nas pani odwiedzi - zawołała ciepło Amy, klaszcząc w ręce. - Wreszcie będę mogła odegrać rolę gospodyni, skoro w domu są tylko dziadek i brat.

Po tej wymianie zdań Frances odeszła do innych gości, a Luciusowi pozostało jedynie zwrócić uwagę na wyraźne zmęczenie dziadka, zignorować okrzyki zawodu Amy i kazać natychmiast podstawiać powóz.

Miał wrażenie, że minęła wieczność, zanim nadjechał.

- No, teraz będę mógł w spokoju wspominać piękny głos panny Allard - oświadczył

hrabia, sadowiąc się w pojeździe. Oparł głowę na poduszkach, westchnął głęboko i umilkł, wyraźnie nie zdradzając ochoty do rozmowy.

Amy albo poszła w jego ślady, albo ponownie przeżywała w myślach przyjęcie, które bez wątpienia bardzo jej się podobało, mimo że odebrano jej przyjemność uczestniczenia w uroczystej kolacji. Siedziała więc w rogu i milcząc, z rozmarzonym uśmiechem na ustach, patrzyła w ciemność za oknem.

Lucius, w drugim rogu, dochodził do siebie. Już i tak było źle, że przez cały miesiąc od świąt tęsknił za Frances niczym romantyczny głupek. Jeszcze gorzej, że nie mógł zasnąć, zobaczywszy ją wczoraj na Crescent, choć co jakiś czas chyba przysypiał, inaczej nie miałby tych snów z Frances w roli głównej. Ale najgorsze jest to, że spotkał ją dzisiaj na przyjęciu - i to w jakich okolicznościach!

Ten głos!

Dobry Boże, jaki ona ma głos! Zobaczył teraz Frances w zupełnie innym świetle.

Dostrzegł w niej nie tylko urodę, ale także piękno i głębię jej duszy. Zdał sobie sprawę, że bardzo mało o niej wie, i nagle zapragnął poznać ją lepiej.

Nie było sensu zaprzeczać, że jego zauroczenie panną Allard odżyło na nowo. I wcale mu się to nie podobało, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak wiele czasu musiało minąć, żeby mógł o niej zapomnieć.

A na dodatek wyglądała dzisiaj o wiele piękniej niż ją zapamiętał. Jej oliwkowa skóra wydawała się bardziej brązowa, jakby opalona. Oczy także nabrały blasku. Uczesana była tak samo skromnie jak

wtedy po świętach, tylko teraz zamiast szorstkości zobaczył w tym elegancję. Nadal była szczupła, ale dzięki kremowej sukni i królewskiemu sposobowi, w jaki ją nosiła, sprawiała wrażenie szalenie kobiecej.

Czy towarzyszący jej mężczyzna to jej adorator? Narzeczony? Na Boga, jest przecież prawie łysy. I chciał pozwolić, żeby go opuściła w czasie kolacji, choć trzeba przyznać, że uczynił to z wyraźną niechęcią. Gdyby Frances przyrzekła, że obok niego usiądzie, a ktoś próbowałby zająć jego miejsce, zaproponowałby uzurpatorowi walkę na pięści lub pojedynek na pistolety o brzasku, ale nie uległby, na Jowisza.

- Przyznam, że bawiłem się dzisiaj szampańsko - stwierdził hrabia, kiedy powóz się zatrzymał. - Zapewne będę też świetnie spał. Żałuję tylko, że w czasie ostatniego występu nie było mnie w salonie. Panna Allard posiada rzadki talent. I jest także piękną kobietą.

- Mmm - mruknął Lucius.

- Tak, wieczór rzeczywiście był wspaniały - westchnęła Amy. Lucius pomógł jej wysiąść. - A już jutro w czasie podwieczorku wystąpię w roli pani domu. Nie cieszysz się, Luciusie, z tego, że panna Allard nas odwiedzi?

- Cieszę się - przyznał.

Nie mógł oczywiście obwiniać Frances o to, że była obecna na wieczorku u Reynoldsów, choć w pierwszej chwili właśnie ku temu się skłaniał - nauczycielki winny pozostawać w murach szkół, aby odrzuceni kochankowie nie musieli natykać się na nie w miejscach, w których zupełnie nie spodziewają się ich spotkać.

Za to mógł mieć i miał do niej pretensje o to, że przyjęła zaproszenie na podwieczorek. Mogła wybrać. Zgodzić się albo odmówić.

A ona, przeklęta, powiedziała „tak”.

Czuł się niemal niebezpiecznie zbity z tropu. I na dodatek nie mógł uciec od tego uczucia do White lub innego klubu dla dżentelmenów, gdzie utopiłby smutki w alkoholu i rozmowach z kolegami.

A więc wróciła pani bezpiecznie, panienko - zauważył z prawie ojcowską troską Keeble, wpuszczając Frances do szkoły. Ponieważ otworzył jej zaraz po pierwszym puknięciu, domyśliła się, że czekał na nią w holu. - Martwię się, kiedy któraś z naszych pań przebywa poza domem po zmroku. Panna Martin zaprasza panią do swojego saloniku.

- Dziękuję - odpowiedziała Frances, wchodząc za woźnym po schodach.

Gdy dotarli na miejsce, otworzył przed nią drzwi i nawet zapowiedział jej przybycie, jakby była członkiem rodziny królewskiej.

Spodziewała się wprawdzie, że przyjaciółki będą na nią czekały, mimo to, kiedy je ujrzała, zrobiło jej się słabo. Tak bardzo pragnęła skryć się teraz w swoim pokoju i lizać rany w samotności. Czy to nie zeszłego wieczora właśnie podjęła stanowczą decyzję, że już nigdy więcej nie poświęci ani jednej myśli Luciusowi Marshallowi, wicehrabiemu Sinclairowi?

Tylko skąd miała wiedzieć, że spotka go na wieczorku? Odkąd zamieszkała w Bath, nigdy nie uczestniczyła w żadnych przyjęciach. Nie pokazywała się publicznie.

To był nie tylko dziwny zbieg okoliczności, to było okrutne zrządzenie losu. Kiedy spojrzała na Luciusa...

- A więc? - Gdy stanęła w progu pokoju, Susanna poderwała się na nogi, przyglądając się jej rozświetlonymi ciekawością oczami. - Chyba nie musimy pytać, czy odniosłaś oszałamiający sukces? Jakżeby mogło być inaczej?

- Domyślam się, że przyjęto cię tak godnie, jak na to zasługujesz? - Anne uśmiechnęła się ciepło do Frances. - Czy wszyscy się tobą zachwycali?

- Wejdz i opowiedz nam o swoim występie - zachęciła panna Martin. - Lecz zanim usiądziesz, nalej sobie herbaty.

- Ja jej naleję - zaofiarowała się Susanna. - Siadaj, Frances, i pozwól mi usługiwać najnowszej sławie Bath. Założę się, że po dzisiejszym wieczorze staniesz się gwiazdą i będziesz wszędzie zapraszana.

- Przez co zaniedbam moje szkolne obowiązki - mruknęła, opadając na krzesło i biorąc od koleżanki filiżankę. - O nie. Dzisiejszy wieczór był wspaniały, ale jestem szczęśliwa, będąc nauczycielką. Martwiłam się trochę, że źle wybrałam pieśń, dobrze ją jednak przyjęto.

Chyba wszystkim się spodobała. Pani Reynolds nie wyglądała na zawiedzioną.

- Zawiedzioną? - Anne roześmiała się głośno. - Jasne, że nie była zawiedziona. Na pewno gratuluje sobie teraz, że odkryła cię przed innymi. Żałuję, Frances, że cię nie słyszałam. Wszystkie trzy byłybyśmy zachwycone, bez dwóch zdań. Myślałyśmy o tobie przez cały wieczór.

- Mam nadzieję, że pan Blake sprawdził się jako twój towarzysz? - zainteresowała się Claudia.
- Jak najbardziej - zapewniła Frances. - Nie odstępował mnie ani na chwilę i okazał się bardzo uczynny. Nawet zaczekał na zewnątrz powozu, aż pan Keeble wpuści mnie do szkoły.
- Muszę przyznać, że wyglądał dzisiaj bardzo elegancko - stwierdziła Susanna. Oczy jej się iskrzyły.
- Razem z Anne, prawie jak nastolatki, podglądałyśmy was z okna.
- A jak reszta wieczorku? - dopytywała się Anne. - Zdradź nam kilka szczegółów, Frances.
- Betsy Reynolds zagrała bezbłędnie. Grała pierwsza i, biedaczka, bardzo się z tego powodu denerwowała, mimo to nie pomyliła się, nie gnała, jak to ma w zwyczaju. Potem występowali inni artyści, bardzo interesujący. Na koniec odbyła się uroczysta kolacja.

Wszyscy bardzo miło mnie traktowali.

- A ilu pojawiło się gości? - pytała dalej Susanna. Posłała Claudii przebiegłe spojrzenie i mrugnęła do reszty koleżanek. - Był tam jakiś książę? Pęknę z zazdrości, jeśli powiesz, że tak.
- Żadnego księcia nie było - odparła Frances, ale się zawahała.
- Tylko jeden hrabia. Bardzo uprzejmy. Zaprosił mnie na jutro na podwieczorek.
- Naprawdę? - zapytała ostrym głosem panna Martin. - Mam nadzieję, Frances, że do jakiegoś publicznego miejsca?
- Hrabia. - Susanna się roześmiała. - Założę się, że jest oszałamiająco przystojny.
- Ale ty masz szczęście - dodała Anne. - Zresztą, zasługujesz na nie.
- Zostałam zaproszona na Brock Street - wyjaśniła Frances.
- Będą nam towarzyszyli wnuk i wnuczka hrabiego.
- Och, to wspaniale - odetchnęła panna Martin. - O ile tylko wnuki nie są małymi dziećmi.
- Cóż. - Susanna się skrzywiła - i tyle z moich marzeń o wielkim romansie. Chociaż nawet dziadkowie mogą być przystojni... i kochliwi.

- Nie są dziećmi. Panna Marshall to ładna młoda dama, niewiele starsza od naszych dziewcząt z najstarszych klas, a może nawet w ich wieku. Co do wicehrabiego, to ma po mnie jutro przyjechać powozem.

Na samą myśl o tym dłonie zaczęły jej drżeć i trochę herbaty wylało się na spodeczek.

- Domyślam się po tytule, że wicehrabia to dziedzic hrabiego. Może więc moje marzenia jednak się ziszczą. Czy wicehrabia jest przystojny? - spytała Susanna.

- Wielkie nieba - Frances zmusiła się do uśmiechu - nawet nie zauważyłam.

- Nie zauważyłaś?! - Susanna wbiła wzrok w sufit. - Gdzie ty miałaś oczy? Ale myślę, że jest. I mam nadzieję, że zapłonie do ciebie wielkim uczuciem, Frances... a może już to się stało...?

Zdobędzie twoje serce i pewnego dnia zostaniesz hrabiną... jak dalej?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Frances poderwała się i odstawiła filiżankę na stolik obok. - Nie zapamiętałam pełnego tytułu. Przykro mi, ale to był męczący wieczór i jestem tak wykończona, że prawie nie mogę myśleć. Poza tym nie mam czasu, żeby iść jutro na ten podwieczorek. Od samego rana muszę się zająć sprawdzaniem wypracowań, a wieczorem czeka mnie dyżur przy odrabianiu lekcji. Powinnam jeszcze przygotować egzamin dla starszych klas. No i jest próba chóru. Chyba pošlę do hrabiego list z odmową.

- Ale przecież już przyjęłaś zaproszenie? - zdziwiła się Anne. Frances popatrzyła na koleżankę bezradnie.

- Rzeczywiście - przyznała. - Skoro jednak moja wymówka nie jest zmyślona, nikt się na mnie nie obrazi, prawda? Tylko niestety nie znam numeru domu, więc nie wiem, gdzie wysłać list.

Uzmysłowiwszy sobie ten fakt, poczuła atak paniki i opadła ponownie na krzesło, zakrywając twarz rękami. Z trudem panowała nad sobą.

- Frances - zawołała ze zdumieniem Susanna. - Nie chciałam cię urazić. Po prostu się z tobą droczyłam. Wybacz mi.

- Przepraszam - wyrzuciła z siebie Frances, opuszczając dłonie. - Nie jestem na ciebie zła, Susanno. Jestem tylko zmęczona.

- Możesz sprawdzić wypracowania i wcześniej przygotować pytania - odpowiedziała Anne. - A w ogóle to po prostu przejmę część twoich obowiązków. Mam czas, bo pan Upton przyrzekł mi, że przyjdzie jutro do Davida na lekcję rysunku. Wtedy zdążysz ze wszystkim, z wizytą i z pracą. Co do próby chóru, Claudia na pewno nie będzie miała ci za złe, jeśli jedną opuścisz.

- Oczywiście, że nie - zawtórowała jej panna Martin. - Ale coś mi się wydaje, że nie chodzi tylko o obowiązki. Odnoszę wrażenie, że zaproszenie cię przytłoczyło. Czy istnieje ku temu jakiś szczególny powód? - Pochyliła się i z życzliwością dotknęła ramienia Frances.

I to przeważało. Z Frances wylała się cała fala emocji, które po chwili przełożyły się na potok słów.

- Znam wicehrabiego Sinclaira - wyznała jednym tchem. - I wolałabym go nie widywać. - Ze zdenerwowania, które tłumiała w sobie od ponad godziny, rozboleło ją serce i ochryplł głos.

- Och, biedna Frances - współczuła jej Anne. - To ktoś z twojej przeszłości?

Zrządzeniem losu zjawił się w Bath. Pewnie nie wiedział, że tu mieszkasz.

- Poznałam go niedawno - wyjaśniła Frances. - Pamiętacie śnieżycę zaraz po świętach, z powodu której wróciłam tak późno? Powiedziałam wam wtedy, że zostałam dłużej u ciotek.

Skłamałam. Byłam już w podróży, kiedy rozpadał się śnieg. Mój powóz wpadł na pobocze i utknął w zaspie, ponieważ pojazd wicehrabiego wyminął nas z wielką prędkością, a potem zatrzymał się na środku drogi przed jakąś przeszkodą. Wicehrabia podwiózł mnie swoim powozem do najbliższej gospody i cały następny dzień spędziliśmy razem. Odwiózł mnie do Bath, gdy tylko drogi ponownie stały się przejezdne. Tak więc wiedział, że tu mieszkam.

I przybył tu powtórnie. Jej jednak nie odwiedził - oczywiście, że nie. To przypadek sprawił, że się dzisiaj spotkali. Kiedy ją zobaczył w salonie - cóż to była za straszna chwila! -

i podszedł do niej ze swoim dziadkiem, zachowywał się sztucznie i dość chłodno. Wyglądał na niezadowolonego.

A przecież nie powinien być niezadowolony. Wiedział, że ona mieszka w Bath.

- Przepraszam, że wtedy wam tego nie powiedziałam i że mówię to dopiero teraz. W

tamtym momencie wydawało mi się to nic nieznaczącym incydentem, niewartym wspomnienia. Kiedy zobaczyłam wicehrabiego dzisiaj, tak niespodziewanie, trochę się zdenerwowałam, to wszystko. Wybaczcie mi. A wy, czy miałyście miły wieczór?

Przyjaciółki w milczeniu przyglądały się jej z powagą. Czy udało jej się wywieść je w pole? Pożałowała teraz, że nazwała spotkanie z Lucjusem nic nieznaczącym incydentem, o którym nie warto wspominać.

- Minął nam całkiem spokojnie - odezwała się w końcu Anne - poza tym że Miriam Fitch i Annabelle Hancock pokłóciły się tuż przed pójściem do łóżek i wychowawczynie musiała wezwać Claudię.

- Ale krew się nie poląła - dodała panna Martin, klepiąc Frances po ramieniu. - Tak więc nie powinnyśmy się uskarżać. Powiedz, Frances, mam ci na jutro wynaleźć jakieś dodatkowe zajęcia? Tak, żebyś w żadnym razie nie miała czasu udać się na herbatkę do hrabiego i jego wnuków? Jak sama wiesz, kiedy potrzeba, potrafię być straszliwym tyranem.

- Nie - odparła Frances z westchnieniem. - Przynależę, więc dotrzymam słowa. Poza tym nie mam prawa zmuszać cię, Claudio, do brania odpowiedzialności za moje sprawy. To w końcu tylko podwieczorek, nic wielkiego.

Wstała, życząc przyjaciółkom dobrej nocy. Naprawdę była zmordowana, choć wątpiła, czy uda jej się w nocy zmrużyć oczy. A na dodatek źle się czuła z tym, że w tak gwałtowny sposób wyrzuciła z siebie swoje kłopoty - a przynajmniej ich część - na oczach koleżanek, które z pewnością mają ją teraz za histeryczkę.

Poza tym dokuczała jej myśl, że pan Blake opacznie zrozumiał jej upór w kwestii siedzenia obok niego przy kolacji - zresztą nic dziwnego. W drodze powrotnej, kiedy jechali powozem, ujął jej dłoń,

podniósł do ust i pocałował. Powiedział, że czuje się dumny i zaszczycony, że mógł być jej towarzyszem. Na szczęście nie dodał - ani nie uczynił! - nic więcej, ale już samo to wyprowadziło ją z równowagi.

Nigdy nie zachowywała się uwodzicielsko, jednak dzisiaj jej postępowanie było co najmniej dwuznaczne, choć nie z jej woli.

Nim dotarła do pokoju, dogoniła ją Anne i złapała za ramię.

- Biedactwo - powiedziała. - Widzę, że przeżyłaś dzisiaj okropny szok. A fakt, że nie powiedziałaś nam prawdy o świętach, wyraźnie świadczy o tym, że wicehrabia Sinclair znaczy dla ciebie więcej, niż pragniesz przyznać. Teraz też nie musisz tego robić. Jesteśmy twoimi przyjaciółkami i możesz się z nami podzielić każdym kłopotem, kiedy tylko będziesz do tego gotowa. Każda z nas ma jakieś swoje sekrety. To naturalne. Ale może jutrzejszy dzień pozwoli ci się uspokoić.

- Może - zgodziła się Frances. - Dziękuję ci, Anne. Należałoby się spodziewać, że przed trzema laty dostałam już odpowiednią naukę od życia. Chyba nie opowiadałam ci jeszcze ze szczegółami, co mi się wtedy przydarzyło, prawda? Wygląda jednak na to, że niczego się nie nauczyłam. Dlaczego kobiety potrafią tak głupio się zakochiwać?

- Ponieważ mamy wiele miłości do ofiarowania - odparła Anne. - Bo kochanie leży w naszej naturze. Jak mogłybyśmy wychowywać dzieci, gdybyśmy nie potrafiły ślepo ulegać miłości? Przecież nawet nie wiemy, co za człowiek rośnie w naszym łonie. Jesteśmy pożałowania godnymi istotami, to prawda, ale chyba nie chciałabym się zmienić, choćbym i mogła. A ty?

Czy Anne kochała ojca Davida? - zastanawiała się Frances. Czy w jej przeszłości wydarzyła się jakaś tragedia? Domyślała się, że tak.

- Och, sama nie wiem - powiedziała, wybuchając śmiechem wbrew sobie. - Nie mam dziecka, na które mogłabym przelać swoją miłość tak jak ty, Anne. Czasami życie wydaje mi się... puste. Ale brzmi to bardzo niewdzięcznie, skoro mam gdzie mieszkać, mam pracę i ciebie, Susanne oraz Claudię.

- I pana Blake'a - dodała Anne.

- I pana Blake'a. Roześmiały się i pożegnały.

Kiedy już wreszcie Frances znalazła się w swoim pokoju, oparła głowę o drzwi.

Zamknęła oczy lecz nie udało jej się powstrzymać potoku gorących łez, które spłynęły jej po policzkach.

A przecież na początku czuła się szczęśliwa - nie tylko zadowolona lub usatysfakcjonowana, ale szczęśliwa. Pan Blake przez cały wieczór obdarzał ją życzliwą uwagą, a jednak nie narzucał się jej. Był miłym i interesującym towarzyszem. Pomyślała, że postąpiłaby bardzo głupio, gdyby odrzuciła jego zaloty. Poza tym dobrze było znowu mieć u swego boku mężczyznę, czuć się lubianą, a nawet podziwianą. Cieszyła się, że podjęła taką właśnie decyzję. Oznaczała ona, że wreszcie zostawiła za



sobą poświęcony incydent, a także inne wydarzenia sprzed wielu lat, i że potrafi już spojrzeć w przyszłość z nadzieją.

I znowu mogła śpiewać. Właśnie z tego powodu czuła się taka szczęśliwa. Nie obchodziło ją tak naprawdę, że może źle dobrała utwór. Liczyło się tylko to, że sama wybrała pieśń, którą chciała zaśpiewać. I choć w trakcie występu była, jak zawsze w takich sytuacjach, pochłonięta tym, co robiła, zdawała sobie jednak sprawę, że nie popełniła błędu, wybierając tę, a nie inną pieśń. Wyczuwała aprobatę słuchaczy, wyczuwała prawie zapomnianą, silną i radosną niewidoczną więź, która czasami pojawia się między artystą i publicznością. Kiedy skończyła śpiewać, zapadła cisza, i wtedy już wiedziała... o tak, wtedy wiedziała, że jest... szczęśliwa. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem po słuchaczach, a potem...

Zobaczyła Luciusa Marshalla.

Najpierw tylko bardzo się zdziwiła. Później nastąpił bolesny upadek z wyzyna szczęścia na dno rozpacz. Nagle poczuła się tak, jakby umarła.

Lucius wrócił do Bath, choć tak tego nie chciała. Ale czy naprawdę? Dopiero w tej chwili skłonna była przyznać, że przez wiele dni, a nawet tygodni po jego odjeździe marzyła o jego powrocie.

Cóż za głupota i brak rozsądku!

A teraz okazało się, że przyjechał do Bath, lecz nie uczynił nic, żeby się z nią spotkać.

Bez wątpienia, gdyby nie ten zbieg okoliczności, nie wiedziałyby, że on jest w mieście.

Bolało ją, że nie próbował się z nią skontaktować.

Wyglądało na to, że w sprawach serca nie ma miejsca na zdrowy rozsądek.

Kiedy następnego popołudnia Lucius zapukał do drzwi szkoły panny Martin, otworzył

mu podstarzały zgarbiony woźny, ubrany w stary wyświechtany surdut i buty skrzypiące przy każdym kroku. Jego spojrzenie zdradzało, że uważa każdego przekraczającego próg szkoły mężczyznę za intruza, którego należy czujnie obserwować.

Lucius patrzył na nieuprzejmego woźnego z wyniośle uniesioną brwią, ale ten chyba wcale nie zwrócił na to uwagi. Wprowadził go do całkiem przyjemnego saloniku i wyszedł, trzaskając drzwiami. Poszedł poinformować pannę Allard o przybyciu gościa. Jednak to nie ona pojawiła się w salonie. W progu stanęła jakaś inna kobieta - średniego wzrostu, trzymająca się prosto, o surowym wyrazie twarzy. Jeszcze zanim się przedstawiła, Lucius domyślił się, że ma do czynienia z samą panną Martin, choć była młodsza, niż się spodziewał, z pewnością nie więcej niż rok lub dwa lata starsza od niego.

- Panna Allard zjawi się za jakieś pięć minut - wyjaśniła po przedstawieniu się. -

Kończy właśnie próbę chóru.

- Ach tak, madame? - mruknął Lucius. - To szczęście mieć tak utalentowaną nauczycielkę muzyki.

Prawie przez miesiąc, zanim zdołał wyrzucić ją z pamięci, bardzo go drażniło - a raczej drażniło jego dumę - że Frances wybrała naukę w szkole, a nie jego. Ale od zeszłego wieczoru dręczyła go jeszcze inna myśl. Nie mógł się nadziwić, że ktoś z tak wspaniałym głosem woli uczyć niż robić karierę w świecie artystycznym. Bez sensu. A fakt, że jak się okazało, wcale nie zna Frances ani jej nie rozumie, nie pozwalał mu zasnąć niemal przez całą noc. Uświadomił sobie, że choć właściwie nie wie, kim jest Frances Allard, znowu dał się jej oczarować jak jeszcze żadnej innej kobiecie.

- Nikt nie jest bardziej ode mnie tego świadomy, lordzie Sinclair - oświadczyła panna Martin, splatając ręce. - Cieszę się ogromnie, że na jej talencie poznała się osoba tak szacowna jak hrabia, pański dziadek, i że uznał za stosowne zaprosić ją na herbatkę. Jednakże panna Allard ma obowiązki w szkole i musi do niej wrócić o wpół do szóstej.

Patrząc na surową minę dyrektorki, Lucius pomyślał, że to prawdziwy tyran i że uczennice i nauczycielki z pewnością straszliwie się jej boją. Dobry Boże, przecież była już za piętnaście czwarta.

- Odwiozę pannę Allard na czas, madame - zapewnił, unosząc brew i patrząc na nią z wyższością. Ale kobieta nie wyglądała wcale na onieśmieloną, a przynajmniej nie pokazywała tego po sobie.

- Chciałabym wysłać z Frances pokojówkę - dodała - niestety nie mogę tego uczynić.

Dobry Boże!

- W takim razie musi pani zaufać honorowi dżentelmena, madame - odparł szorstko Lucius.

Nie polubiła go - ani mu nie ufała. Widział to wyraźnie. Lecz powód nie był już tak jasny. Czy wiedziała coś o poświęconym incydencie? A może w ogóle nie ufa mężczyznom? Chyba raczej o to chodziło.

I to właśnie wybrała Frances zamiast niego? Normalny człowiek w takiej atmosferze zacząłby pić. No ale z drugiej strony wołała szkołę nawet od kariery śpiewaczki.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Frances. Ubrana była w tę samą jasną suknię, którą miała na sobie na spacerze po Royal Crescent, i w ten sam spencerek, do którego dobrała skromny, niczym nieudekorowany brązowy kapelusik. Wyglądała na spiętą, jakby szykowała się do wojny. W gruncie rzeczy znowu, tak jak wtedy, gdy po świętach mijał ją powozem, przypominała sekutnicę - tylko jej nos nie był teraz czerwony, a z ust nie płynął

potok wściekłych słów.

Gdyby przewidział, jakie kłopoty mu sprawi, zostawiłby ją zakopaną w zaspie.

- Panno Allard? - Zdobył się na najelegantszy ukłon.

- Lordzie Sinclair. - Dygnęła, patrząc na niego wzrokiem zimnym i obojętnym, jakby był muchą na

ścianie.

- Poinformowałam wicehrabiego - wtrąciła się panna Martin - że musi cię przywieźć punktualnie o wpół do szóstej.

Oczy Frances błyszczały, być może ze zdziwienia.

- Nie spóźnię się - przyrzekła i odwróciła się; chciała opuścić pokój, nie patrząc, czy Lucius gotów jest iść za nią.

Po minucie lub dwóch siedzieli obok siebie w powozie, który najpierw skręcił w Sutton Street, a potem w Great Putney Street. Frances trzymała się mocno skórzanej rączki nad jej głową, prawdopodobnie po to, by przypadkiem, kiedy pojazd zakołysze, nie otrzeć się o ramię towarzysza.

Lucius był tym wielce poirytowany.

- Nie mam zwyczaju pożerać nauczycielek - mruknął. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytała.

- Nie zdołasz usiąść jeszcze dalej ode mnie - wyjaśnił - chyba że wybijesz dziurę w boku powozu. A ostrzegam, że wcale mi się to nie spodoba. Poza tym, gdybym cię zaatakował, zawsze możesz zacząć krzyczeć. Peters z pewnością przybędzie ci z pomocą, choćby po to, żeby oszczędzić swoje uszy.

Puściła skórzaną rączkę, ale znów odwróciła głowę i wyglądała przez okno.

- Może pan podróżować po całej Anglii - stwierdziła. - Dlaczego więc wybrał pan Bath?

- Nie ja. To dziadek zapragnął tu przyjechać. Jest bardzo schorowany i wymyślił

sobie, że tutejszy klimat korzystnie wpłynie na jego zdrowie. Sądziłaś, Frances, że przyjechałem do Bath ze względu na ciebie? Może żeby znowu podać ci mój adres? Albo żeby stać pod oknem twojej sypialni i wyśpiewywać rzewne serenady? Pochlebiasz sobie.

- Z jakąż łatwością przychodzi panu mówienie mi po imieniu - sarknęła.

- Po imieniu?... Mogłabyś przestać sobie stroić ze mnie żarty, madame - odparował.

Przyglądał się jej profilowi - a raczej temu, co zdołał dojrzeć zza brązowego kapelusza

- zastanawiając się, dlaczego jest taka zła. Chyba nie myślała, że zjawił się w Bath, aby ją dręczyć. Przecież to nawet nie on zaprosił ją na podwieczorek - nie on także przyjął

zaproszenie. I nie on opuścił ją po świętach. Było odwrotnie.

Zachowywała się tak samo surowo jak panna Martin. Nie przestawała wyglądać dumnie przez okno, niczym królowa spoglądająca łaskawym okiem na poddanych.

- Dlaczego jesteś zła? - zapytał.

- Zła? - Odwróciła się do niego. Jej nozdrza poruszały się gwałtownie, oczy lśniły. -

Nie jestem zła. Dlaczego miałabym być? Jest pan przecież tylko kurierem, lordzie Sinclair, przysłanym, żeby zawieźć mnie do domu hrabiego Edgcombe'a, czyż nie? Przyjęłam jego miłe zaproszenie i teraz z przyjemnością napiję się z nim herbaty.

A to dopiero!

- Choć poznałem wiele kobiet - odparł - nigdy nie udało mi się pojąć ich umysłów.

Przed trzema miesiącami miałaś okazję przedłużyć naszą znajomość, ale odrzuciłaś moją propozycję, i to, jak pamiętam, bardzo stanowczo. A jednak teraz twoje zachowanie świadczy o tym, że żywisz do mnie urazę. Czyżbym cię czymś zranił?

Na policzki Frances wypłynął silny rumieniec, ciemne oczy zapłonęły ogniem. Znów chwyciła skórzaną rączkę, bo powóz wjechał na romboidalny Laura Place i zatoczył koło wokół fontanny stojącej pośrodku.

- Co za bzdury pan opowiada? - zawołała. - A czym to mógłby mnie pan zranić?

- Cóż, wydaje mi się, że kobiety i mężczyźni czasami w odmienny sposób reagują na...

intymne związki - odparł. - Mężczyźni cieszą się chwilą, a potem o wszystkim zapominają, kobiety natomiast bardziej się angażują. Ale oczywiście, nawet jeśli tak się stało, nie było moją intencją ranić cię.

Tam do diabła, pomyślał, mimo że jest mężczyzną, wcale o niej nie zapomniał.

- I nie zranił mnie pan - oświadczyła oburzona. Powóz z hukiem wjechał na most Pulteney. - Jakież to aroganckie z pana strony, lordzie Sinclair! Tylko ktoś tak zarozumiały jak pan mógł pomyśleć, że udało mu się... złamać mi serce!

- Frances, przez jedną noc dzieliliśmy ze sobą łóżce, i nie tylko. To śmieszne, że zwracasz się teraz do mnie, używając mojego tytułu, i na dodatek tonem pruderyjnej nauczycielki, jakbyśmy byli sobie zupełnie obcy.

- Bo ja jestem pruderyjną nauczycielką. Nie byłam nią tylko tej jednej nocy, to zresztą nie powinno się było wydarzyć i bardzo tego żałuję. Jestem nauczycielką i szcycę się tym. I pozostanę nią do końca życia, z własnego wyboru.

I znów gwałtownym ruchem odwróciła głowę.

- A więc ten łysiejący dżentelmen, który zamierzał wczoraj wieczorem oddać cię mojemu dziadkowi i mnie bez walki, nie jest twoim narzeczonym? - zapytał.

Usłyszał w odpowiedzi oburzone westchnienie.

- To, kim jest lub nie jest pan Blake, nie powinno pana interesować - burknęła.

Posłał jej gniewne spojrzenie. Denerwowała go swoją wyniosłością i ciętym językiem.

Naprawdę nie rozumiał, dlaczego ta oschła kobieta tak mocno utkwiała mu w pamięci i uczuciach. Im szybciej ją z nich wyrzuci, tym lepiej.

Może, jeśli się bardzo postara, zdoła się nawet zakochać w Portii Hunt i to już tej wiosny. Ale, na Boga, nawet jeśli byłoby to możliwe - a szczerze w to wątpił - przeraziłby tym Portię!

- Dlaczego, do diabła, zajęłaś się nauczaniem, choć powinnaś śpiewać? - zadał

niespodziewane pytanie. Ponieważ poprzedniego wieczoru przyszedł do salonu pod sam koniec jej występu, nadal nie mógł uwierzyć, że Frances i pieśniarka to ta sama osoba.

- Prosiłabym pana, żeby uważał pan na dobór słów, lordzie Sinclair - mruknęła.

Zdumiał samego siebie - a także chyba i Frances - wybuchem krótkiego śmiechu.

- Pomimo to możesz chyba odpowiedzieć na moje pytanie - stwierdził. - Kiedy się poznaliśmy, nie mówiłaś, że masz taki talent.

- A dlaczego miałabym panu o tym mówić? - zapytała, spoglądając na niego. - Miałam powiedzieć: „Och, a przy okazji, panie Marshall, posiadam talent, który zrobiłby na panu pewne wrażenie”? A może lepiej, zamiast cokolwiek mówić, powinnam była obudzić pana jakąś szczególnie poruszającą arią?

Wyobraził sobie tę scenę i zaczął chichotać.

Nie wiedział, czy Frances myśli o tym samym, ale w jej oczach także pojawiły się iskierki wesołości, usta zadrżały i widać było, że z trudem hamuje wybuch śmiechu.

- Ciekaw jestem, czyby mnie to podnieciło.

Na te słowa Frances znów stała się pruderyjną nauczycielką. Wyprostowała się i patrzyła przed siebie.

Przez chwilę - do diabła! - znowu dał się jej zauroczyć.

- Dziadek bardzo się cieszy ze spotkania z tobą - powiedział po chwili milczenia. - A siostra wprost szaleje z ekscytacji. Jeszcze nie miała swojego debiutu, więc nieczęsto jej się zdarza przyjmować gości w roli gospodyni.

- A więc teraz będzie mogła odegrać tę rolę dla mnie - odparła Frances. - Jestem przyzwyczajona do młodych dziewcząt, ich braku obycia i żywiołowości. Będę bardzo niewymagającym gościem.

Rozmowa się urwała. Powóz począł piąć się pod górę.

Kiedy dotarli na Brock Street, Frances podała Luciusowi rękę, pozwalając pomóc sobie przy wysiadaniu. Ich pierwszy fizyczny kontakt po trzech miesiącach od chwili, gdy stanowczym ruchem wcisnął w jej dłoń wizytówkę. Znowu mógł trzymać jej długie, szczupłe, artystyczne palce. Nawet przez rękawiczki czuł pulsujące w nich ciepło.

Drzwi otworzył im kamerdyner hrabiego. Frances weszła pierwsza, Lucius za nią, spoglądając gniewnie na tył jej głowy.

Przejażdżka powozem była dla Frances okropnym przeżyciem. Powróciły wspomnienia - siedziała obok Luciusa w tym samym pojeździe, tylko że wtedy trzymał ją za rękę i obejmował ramieniem. Całowali się, przytuleni do siebie drzemali.

Dzisiaj znowu była bardzo świadoma jego bliskości. Starła się go nie dotykać - aż do chwili, gdy musiała to uczynić, kiedy podał jej dłoń, pomagając przy wysiadaniu.

Weszli do domu i po schodach za kamerdynerem. Kiedy oddała kapelusz i rękawiczki, poczuła się zraniona i poniżona.

Czyżbym cię czymś zranił?

Nadal wrzała po tym aroganckim pytaniu.

Mężczyźni cieszą się chwilą, a potem o wszystkim zapominają, kobiety natomiast bardziej się angażują.

Jak to okrutnie prawdziwe! Całe jego zachowanie i sposób, w jaki z nią rozmawiał, dowodziły, że po tym, co się między nimi wydarzyło, nie cierpiał nawet przez sekundę.

Po prostu pozwolił sobie na cieszenie się chwilą, a potem o wszystkim zapomniał.

A ona od tamtej pory musiała zmagać się ze swoim zranionym sercem.

Choć poznałem wiele kobiet...

Ona jest tylko jedną z nich. Ciekawe, jak szybko by się nią znudził, gdyby pojechała z nim do Londynu, tak jak jej to proponował? Bez wątpienia bardzo szybko.

Ale, pomyślała, jej dzisiejsza wizyta u hrabiego nie ma nic wspólnego z Lucusem.

Wchodząc do przytulnego saloniku, wyprostowała się i przywołała swoje najlepsze maniery.

Hrabia Edgecombe podniósł się ze stojącego przy kominku fotela z powitalnym uśmiechem na szczupłej, raczej bladej twarzy. Panna Marshall, także uśmiechnięta i z rumieńcem na policzkach, podbiegła do gościa z szeroko rozwartymi ramionami.

- Panno Allard - powiedziała, kiedy Frances podała jej dłoń. - Tak się cieszę z pani odwiedzin. Zechce pani usiąść koło dziadka. Zaraz podam herbatę.

- Dziękuję. - Frances uśmiechnęła się ciepło do dziewczyny, która bardzo się starała zachowywać zgodnie z etykietą, choć widać było, że jest nieco skępowana i zaniepokojona, czy nie popełnia jakiegoś błędu. Była ładną brunetką o orzechowych oczach. Miała twarz w kształcie serca, o okrągłych policzkach i ostrym podbródku.

Hrabia uśmiechnął się uprzejmie do Frances, ujął jej prawą dłoń i uniósł do ust.

- Panno Allard - powiedział - uczyniła nam pani wielki zaszczyt swoimi odwiedzinami. Mam nadzieję, że nie musiała się pani odrywać od jakichś ważnych szkolnych zajęć.

- Jestem przekonana - odparła - że dziewczęta z młodszej klasy wcale nie były zawiedzione, kiedy się dowiedziały, że dzisiejsza próba chóru będzie krótsza.

- A więc prowadzi pani chór, uczy muzyki i gry na fortepianie? A ile czasu poświęca pani na śpiewanie, panno Allard?

- Zeszłego wieczoru - zaczęła, podczas gdy hrabia zasiadł w swoim fotelu, jego wnuk podsunął sobie krzesło, a Amy biegła po pokoju, pomagając służbie rozstawiać naczynia -

występowałam poza szkołą po raz pierwszy od wielu lat. Ze względu na zdenerwowanie cieszyłam się, że publiczność nie była liczniejsza.

- Moim zdaniem to wielka strata dla świata muzyki, że była tak ograniczona -

stwierdził starszy pan. - Panno Allard, ma pani nie tylko dobry, ale bardzo dobry głos. Po prostu wspaniały, z pewnością jeden z najpiękniejszych, jakie słyszałem przez osiemdziesiąt lat mojego życia. Nie, niejeden z najpiękniejszych, najpiękniejszy.

Frances nie byłaby człowiekiem, gdyby te słowa szczerego podziwu nie sprawiły jej wielkiej przyjemności.

- Dziękuję, milordzie. - Czują, że się rumieni.

Na stole pojawiły się półmiski z kanapkami, taca, na której stał imbryczek z herbatą, oraz talerzyki z bułeczkami z bitą śmietaną i dżemem truskawkowym. No i tacka z ciasteczkami. Panna Marshall naładowała herbaty do eleganckich porcelanowych filiżanek i przed zaproponowaniem kanapek podała je obecnym.

- Ale nie uwierzę, że po raz pierwszy spotyka się pani z takimi pochwałami. Pewnie słyszy je pani bez przerwy - zauważył hrabia.

Tak. Czasami nawet z ust osób, z których opinią się liczy. Ale po śmierci ojca najczęściej z ust ludzi, którzy przyrzekli jej sławę i majątek, zupełnie nie dbali o jej artystyczną duszę. A jednak z wielu powodów - i młodzieńcza próżność nie była tym najmniej istotnym - zaufała tym ludziom, pozwalając, by działali w jej imieniu, a oni, czyniąc to, prawie ją zniszczyli. Z powodu śpiewania straciła Charlesa i posunęła się do zachowań niegodnych damy. Wiele wtedy legło w gruzach - choćby jej młodzieńcze marzenia. Mimo że od momentu rozpoczęcia pracy w szkole - gdy zobaczyła w gazecie ofertę panny Martin -

minęły zaledwie trzy lata, czasami odnosiła wrażenie, że tak naprawdę było to przed wiekami i zdarzyło się nie jej, tylko komuś innemu. Od tamtej pory nie śpiewała publicznie. Aż do wczoraj.



- Tak, to prawda. Słuchacze są zazwyczaj bardzo dla mnie uprzejmi - powiedziała skromnie.

- Uprzejmi. - Hrabia, sięgając po kanapkę, roześmiał się głośno.

- To żadna uprzejmość móc przebywać w obecności wielkiego talentu i składać mu hołd, panno Allard. Żałuję, że nie jesteśmy w Londynie. Zaprosiłbym do siebie na pani koncert całą śmietankę towarzyską. Nie jestem wprawdzie doświadczonym mecenasem sztuki, lecz wcale nie muszę nim być. Pani talent mówi sam za siebie. Odniosłaby pani olbrzymi sukces. Jestem o tym przekonany. Mogłaby pani podróżować po całym świecie i wszędzie zachwycać swoim głosem.

Frances oblizwała usta i sięgnęła po smakołyki na stole.

- Ale niestety, sir, nie jesteśmy w Londynie - zauważył wicehrabia. - A panna Allard wydaje się całkiem zadowolona z życia, które prowadzi w Bath. Nie myślę się chyba, prawda, madame?

Frances podniosła na niego wzrok, uświadamiając sobie, że Lucius jest bardzo podobny do swojego dziadka. Miał tak samo jak on mocno zarysowaną szczękę, choć z wiekiem policzki hrabiego nieco obwisły. Poza tym rysy starszego pana układały się w życzliwą uprzejmość, podczas gdy jego wnuk wyglądał na oschłego aroganta. Przyglądał jej się teraz intensywnie, unosząc przy tym jedną brew. Ton jego głosu też był oschły, ale może tylko ona zwróciła na to uwagę.

- Lubię śpiewać dla własnej przyjemności - powiedziała - i żeby sprawić przyjemność innym. Nie zależy mi na sławie. Jako nauczycielka jestem oczywiście zobligowana licznymi obowiązkami, zarówno wobec mojej przełożonej, jak i rodziców uczennic oraz samych uczennic, ale i tak cieszę się sporą wolnością. Nie wiem, czy to samo można powiedzieć o śpiewakach, w ogóle o wszelkiego typu artystach. Zazwyczaj mają oni swoich menedżerów, którzy traktują ich jak towar na sprzedaż. Nagle najistotniejsze stają się pieniądze, sława, wizerunek, poznawanie odpowiednich osób i... Cóż, obawiam się, że trudno jest wtedy pozostać wiernym sobie i zachować własną wizję swojej kariery.

Mówiła z gorzkiego doświadczenia.

Hrabia i jego wnuk słuchali jej z uwagą. Wicehrabia także z wyraźną kpinią.

Nazwał ją pruderyjną. Głupotą byłoby obrażać się za takie określenie. Przecież jest pruderyjna. I nie powinna się tego wstydzić. Z rozmysłem kultywowała w sobie tę cechę.

Zauważyła, że dłoń Luciusa bezwiednie gładzi brzeg talerza - ta silna, zręczna dłoń, którą rąbał drewno na opał, obierał ziemniaki, lepił bałwana, a także kładł na jej ramieniu, kiedy tańczyli razem walca...

Panna Marshall wstała, żeby podać bułeczki.

- Niekoniecznie, panno Allard. Można mieć menedżera, który będzie podzielał wizję artysty - stwierdził hrabia. - Ale co na to pani rodzina? Czy żaden z jej członków nie zachęcał

pani do śpiewu? Kim są, jeśli wolno mi zapytać? Nigdy nie słyszałem nazwiska Allard.

- Mój ojciec był Francuzem - wyjaśniła. - Uciekł z ojczyzny przed rządami terroru, kiedy byłam jeszcze mała, i przywiózł mnie do Anglii. Moja matka już wtedy nie żyła. Ojciec zmarł przed pięcioma laty.

- Przykro mi. Bardzo młodo została pani sierotą. Czy ma pani w Anglii innych krewnych? - spytał hrabia.

- Tylko dwie ciotki. Są siostrami mojej babki, córkami zmarłego barona Cliftona.

- Barona Cliftona z Wimford Grange? - Hrabia uniósł wysoko brwi. - A jedna z nich to pani Melford, czyż nie? Przyjaźniła się z moją żoną, kiedy ta jeszcze żyła. Razem debiutowały. A więc jest pani ich kuzynką. Wimford Grange leży niedaleko Barclay Court, gdzie mieszkam. Obie miejscowości znajdują się w Somerset.

Wyjaśniło się więc, dlaczego ona i Lucius podróżowali po świętach tą samą trasą. Nie spojrziała na niego, a on powstrzymał się od komentarza.

- Nie widziałem pani Melford już kilka lat - ciągnął hrabia. - I dziwię się, że żyjący Clifton nie starał się pomóc pani w karierze.

- To tak naprawdę bardzo daleki krewny, milordzie - stwierdziła Frances. W Boże Narodzenie nie zamieniła z nim nawet słowa.

- Rzeczywiście - zgodził się starszy pan. - No ale dosyć tego. Pewnie krępuję panią tym wypytywaniem o rodzinę i pani talent. Porozmawiajmy o czymś innym. Pomysł szkół dla dziewcząt wydaje mi się bardzo ciekawy, choć większość ludzi uważa, że edukowanie pań to strata czasu, a tę niewielką wiedzę, którą muszą sobie one przyswoić, powinny pobierać u domowych guwernantek. Jak sądzę, nie podziela pani tych opinii?

Jego oczy pod siwymi brwiami iskrzyły się rozbawieniem. Umyślnie zmienił temat na taki, który ją poruszy i zmusi do reakcji. Nie pomylił się. Rozpoczęła się ożywiona dyskusja o sensowności posyłania dziewcząt do szkół i nauczania takich przedmiotów jak matematyka czy historia. Ochoczo dołączyła się do niej też panna Marshall. Zwierzyła się Frances, że zawsze marzyła o pójściu do szkoły, ale niestety zmuszona była pobierać nauki u odziedziczonej po siostrach domowej guwernantki.

- Nie powiem, że mało się od niej nauczyłam, panno Allard - tłumaczyła - wolałabym jednak chodzić do szkoły, brać lekcje gry na fortepianie i uczyć się śpiewu od kogoś takiego jak pani. Dziewczęta w pani szkole mają wielkie szczęście.

Frances czuła przyływającą od Luciusa falę kpiny, choć nie patrzyła w jego stronę, a on prawie się nie odzywał.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do dziewczyny. - Ale w szkole panny Martin są też inne bardzo dobre nauczycielki. Nasza przełożona bardzo starannie dobiera personel. Och, coś mi się zdaje, że zaczynam się przechwalać.

- Chciałabym uczęszczać do takiej szkoły - oświadczyła panna Marshall - i mieć koleżanki w moim wieku.

I znów rozmawiali o muzyce, ale już nie personalnie o Frances. Wymieniali ulubionych kompozytorów, ich utwory i porównywali je ze sobą. Hrabia opowiedział o występach sławnych muzyków, na których bywał przed laty w czasie pobytu w Wiedniu, Paryżu i Rzymie.

- Za moich czasów kontynent stał jeszcze otworem dla każdego śmiałka, pragnącego zdobyć sławę - wspominał. - Och, to naprawdę były wspaniałe czasy, panno Allard. Francuzi, a zwłaszcza Napoleon Bonaparte, mają wiele na sumieniu. Ani Lucius, ani nawet jego ojciec nie mogli tak jak ja swobodnie podróżować.

- Lepiej nie poruszać tego tematu, jeśli nie ma pani kilku godzin do stracenia, panno Allard - zauważył Lucius.

Mimo że same słowa były kpiące, zostały wypowiedziane z czułością. Może więc wicehrabia Sinclair nie jest znów taki całkiem niewrażliwy.

- Był pan w Paryżu? - zapytała starszego pana. - Jaki on jest? Hrabia Edgecombe bardzo chętnie powracał do przeszłości.

Opowiadał tak ciekawie o swoich podróżach i miejscach, które zwiedził, że Frances była zaskoczona, gdy zobaczyła, iż Lucius wstaje, mówiąc, że pora wracać do szkoły.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że już od ponad godziny zupełnie nieźle się bawi i jest całkiem zrelaksowana. Może Anne zeszłego wieczoru miała rację. Może udało jej się dzisiaj pokonać kilka zmór przeszłości. Poza tym miała okazję przypomnieć sobie tę drugą stronę natury wicehrabiego - arogancką, kpiącą, mało przyjemną - którą poznała przy ich pierwszym spotkaniu, tylko później o niej zapomniała. Dobrze, że uzmysłowiła sobie, z czego tak naprawdę zrezygnowała.

Nie potrafiłaby być szczęśliwa z takim mężczyzną. Choć przecież przybył on do Bath z dziadkiem, żeby służyć mu pomocą, i zabrał ze sobą siostrę.

Och, życie jest skomplikowane. O wiele prościej byłoby obcować z ludźmi o jednoznacznych cechach charakteru. Wtedy łatwiej się zorientować, kogo można polubić, a kogo nie.

Wstała, a hrabia i panna Marshall uczynili to samo. Hrabia znów ujął jej rękę i podniósł do ust.

- To był honor i zaszczyt, panno Allard. Mam nadzieję, że przed śmiercią przynajmniej jeszcze raz usłyszę pani śpiew. To jedno z moich najgorętszych życzeń.

- Bardzo dziękuję. Jest pan dla mnie ogromnie miły. - Uśmiechnęła się ciepło.

Panna Marshall ją wyściskała.

- Tak wspaniale się dzisiaj bawiłam - zawołała, podekscytowana i żywiołowa jak to młodzi.

- Ja także. Jest pani uroczą gospodynią. Dziękuję za królewskie przyjęcie.

Dziewczyna obróciła się gwałtownie do brata.

- Luce, mówiłeś, że mogę pójść z tobą i dziadkiem na bal, który ma się odbyć za trzy dni w Sali Zgromadzeń, pod warunkiem że znajdziemy dla mnie jakąś starszą damę do towarzystwa. Czy możemy zaprosić pannę Allard? Och, błagam, możemy?

Frances przyglądała się z konsternacją, jak dziewczyna składa ręce w proszącym geście, wpatrując się w brata.

Cóż za niezręczność, że zadała to pytanie w mojej obecności, pomyślała.

- Starszą? - Wicehrabia uniósł brew.

- Przecież tak jest. Nie powiedziałam „starą”, Luce, tylko „starszą”. Poza tym panna Allard jest nauczycielką.

- To doskonały pomysł, Amy - odezwał się hrabia. - Sam powinienem był na niego wpaść. Panno Allard, czy uczyni nam pani ten zaszczyt? Choć, skoro mieszka pani w Bath, uczestnictwo w tutejszym balu nie jest może dla pani niczym szczególnym.

- Och, nigdy na takim nie byłam - przyznała się Frances.

- Co? Nigdy? W takim razie, proszę nam towarzyszyć jako nasz gość specjalny - zachęcał hrabia.

- Tak, tak, panno Allard. Niech się pani zgodzi - wołała panna Marshall. - Caroline i Emily, moje siostry, pękną z zazdrości, kiedy się dowiedzą, że jednak wybiorę się na bal.

Frances bardzo silnie odczuwała obecność stojącego obok niej w milczeniu wicehrabiego. Odwróciła się i spojrzała na niego, zagryzając dolną wargę. Jak tu odmówić, żeby nie zranić panny Marshall, która wręcz rozpaczliwie pragnęła wziąć udział w tak wielkim wydarzeniu towarzyskim jak bal.

Lucius wyraźnie nie zamierzał jej pomóc. Z drugiej strony zapewne nie chciał wyjść w oczach rodziny na grubianina.

- Tak, panno Allard, zapraszamy - rzucił uprzejmie. - Będzie to dla nas zaszczyt.

Problem w tym, że zawsze marzyła o balu w Sali Zgromadzeń, o tańcach. Pamiętała, że na balach w Londynie zawsze znakomicie się bawiła.

Ale czy wolno jej przyjąć propozycję?

A czy wypada odmówić? Przecież otrzymała zaproszenie od całej trójki.

- Dziękuję - powiedziała w końcu. - Jestem zachwycona. Panna Marshall klasnęła w dłonie, hrabia uklonił się, a Lucius wyprowadził ją z pokoju bez słowa. Czowała, że jego ręka na jej plecach wypalała w nich dziurę.

Drogę powrotną przebyli w całkowitym milczeniu. Skrępowana Frances bardzo pragnęła zapytać towarzysza, czy rzeczywiście nie będzie mu przeszkadzało, że zjawi się z jego rodziną na balu, choć doskonale znała odpowiedź. Bo jej to przeszkadzało. Potem pomyślała, że zaproponuje mu, aby przekazał hrabiemu, że jednak się rozmyśliła. Tylko dlaczego miałyby to robić? Wprawdzie zaproszenie padło z ust impulsywnej panny Marshall, która nie skonfrontowała wcześniej swojego pomysłu z bratem, niemniej stało się już faktem.

Poza tym, jeśli ma on coś przeciwko temu lub chciałby, żeby zmieniła zdanie, może jej to powiedzieć. Niech on pierwszy się odezwie.

Bała się tylko jednego. Serce znów biło jej mocno, więc była pewna, że następne spotkanie z wicehrabią nie wyjdzie jej na dobre. Prawdopodobnie już nawet po dzisiejszym nie będzie mogła spokojnie zasnąć. Wielki Boże, przecież kochała się z tym milczącym mężczyzną, który siedzi teraz tuż obok niej. Bardzo dobrze pamiętała każdy szczegół tamtej nocy.

I każdy szczegół ich rozstania.

Powóz zatrzymał się przed szkołą dokładnie trzydzieści minut po siedemnastej. Peters otworzył drzwiczki i opuścił schodki.

Wicehrabia wysiadł i podał dłoń Frances. Odprowadził ją do otwartych już drzwi, które przytrzymał woźny.

- Za trzy dni przyjadę po panią, żeby zabrać ją na bal w Sali Zgromadzeń - powiedział

Lucius.

- Dobrze. Dziękuję.

- Być może, panno Allard - dodał, wpatrując się w nią - znowu wspólnie zatańczymy.

- Tak. - Odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju z nadzieją, że kiedy już się w nim znajdzie, zdoła jakoś zebrać myśli, aby móc się zająć sprawdzaniem wypracowań.

Za trzy dni przyjadę po panią...

Być może znowu wspólnie zatańczymy...

Życie jest strasznie niesprawiedliwe. Jeszcze wczoraj była taka szczęśliwa. A teraz...

Teraz wydawało się, że jej ciało, myśli i emocje ogarnął chaos.

Zabrała się do pracy, jednak bardzo szybko zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co czyta.

Dobrze by się stało, powiedziała do siebie surowo, gdyby przypomniała sobie, że jest nauczycielką.  
To jej pierwsza i najważniejsza rola w życiu.

Jest nauczycielką.

Wróciła do sprawdzania wypracowań.

Kilka minut po odesłaniu lokaja Lucius spojrział w lustro i skrzywił się do swojego odbicia. Zawsze dokładał starań, żeby dobrze wyglądać. Zresztą do obowiązków dżentelmena należy odpowiednio się prezentować i być zadbanym, zwłaszcza kiedy uchodzi się za łamacza serc. Ale dlaczego, do diabła, zmusił Jeffreysa do wyrzucenia trzech całkiem porządnych kołnierzyków, zanim zdecydował się na czwarty?

Czyżby zamieniał się w dandysa?

W końcu wybiera się tylko na bal w Bath, a nie w Carlton House! Będzie miał

szczęście, jeśli spotka tam choć tuzin osób poniżej pięćdziesięciu lat. Bardzo możliwe, że czeka go jeden z najnudniejszych wieczorów w życiu. Dlaczego więc stroi się z większą starannością niż zwykle?

Trudno mu było uwierzyć, że on, Lucius Marshall, wicehrabia Sinclair, zgodził się wziąć udział w tak nieciekawym wydarzeniu. Nawet w Londynie unikał balów i przyjęć, choć oczywiście tej wiosny będzie inaczej. Uznał, że potraktuje nadchodzący wieczór jako próbę generalną przed sezonem.

Znowu się skrzywił i odwrócił od lustra.

Kiedy zszedł na dół, zobaczył, że Amy, już gotowa, nerwowo krąży po salonie, choć do wyjścia mieli jeszcze co najmniej pół godziny. Cały dzień była podekscytowana i nie umiała się na niczym skupić.

- Och, wyglądasz dzisiaj szczególnie ładnie - powiedział, kiedy złapała za rąbki sukni i odtańczyła przed nim piruet.

Mówił prawdę. Podobała mu się jej jasnoniebieska kreacja - którą zresztą przed dwoma dniami sam pomógł jej wybrać - oraz misternie ułożona fryzura. Pogratulował w duchu pokojówce, że nie próbowała postarzyć Amy. Pomyślał, że choć nie jest tak wysoka i elegancka jak Caroline ani nie ma takich dołeczków w policzkach i loków jak Emily, może jeszcze okazać się najładniejszą z trzech siostr. Margaret także była piękna w młodości i zresztą taka pozostała, pomimo ukończonych trzydziestu lat.

- Naprawdę ci się podobam? - Zarumieniona Amy patrzyła na niego roziskrzonymi oczami.

- I to bardzo - przyznał. - Panowie nie dadzą ci spokoju. Będę ich musiał odpędzać moim monoklem.

- Och, Luce. - Dziewczyna, wyraźnie szczęśliwa, roześmiała się głośno. - Mam tylko nadzieję, że nie będziesz wciąż robił tej swojej srogiej miny, inaczej nikt nie odważy się do nas podejść i poprosić mnie do tańca. Poza tym ty też wyglądasz wspaniale.

- Dziękuję, madame - zażartował i się uklonił. - Pamiętaj, Amy, żeby się nie spieszyć, kiedy będziesz szła z dziadkiem, dobrze? Pomimo ekscytacji musisz się opanować, żeby zdołał za tobą nadążyć.

W sekundę spoważniała.

- Oczywiście - zapewniła. - Moim zdaniem Bath bardzo dobrze mu robi, nie sądzisz, Luce? Ostatnio wygląda zupełnie nieźle.

- To prawda - zgodził się Lucius, choć oboje wiedzieli, że hrabia już nigdy nie wróci do pełni zdrowia.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wyjdziemy - zawołała Amy, przyciskając dłonie do piersi - i spotkania z panną Allard. To taka miła osoba i traktuje mnie jak dorosłą. I jest piękna, mimo że nie ubiera się najmocniej. Podziwiam jej ciemne włosy i oczy. Och, kiedy dziadek będzie wreszcie gotowy?

- Dokładnie o tej porze, o jakiej przyrzekł - upomniał siostrę Lucius, podchodząc do okna. - Dobrze wiesz, że jest bardzo punktualny. A ja, jeśli chcę iść w jego ślady, muszę się już zbierać. Widzę, że Peters wyprowadził powóz.

Kilka minut później znów jechał do szkoły panny Martin.

Tego dnia rano dotarły na Brock Street listy od matki i Caroline. Obie podkreślały w nich fakt, że do miasta na sezon przybył markiz Godsworthy, a wraz z nim lord i lady Balderstonowie, oczywiście w towarzystwie Portii. Matka pisała, że odwiedziła obie panie z Caroline i Emily. Z jej relacji wynikało, że panna Hunt wygląda pięknie. Lady Balderston pytała o Luciusa, zapowiadając, że chętnie wkrótce się z nim spotka.

Portia Hunt zawsze wygląda pięknie. To akurat żadna nowość. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział ją choćby ze zmierzwionymi włosami - nawet w dzieciństwie.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami do szkoły i Lucius wysiadł, czując się tak, jakby robił coś zakazanego - zabierał inną kobietę na bal.

Otworzył mu stary woźny. Zrobił krok przez próg i zobaczył dziwną scenę. Na środku holu stała Frances Allard w srebrnoszarej muslinowej sukni, przepasanej pod biustem srebrną jedwabną szarfą. Podobna widniała na obrętku sukni. Obok Frances klęczała jakaś kobieta z igłą i nitką w ręku; doszywała odstający od sukni skrawek szarfy. Trzecia kobieta pochylała się nad tą klęczącą, a w jej dłoniach połyskiwało kilka szpilek. Panna Martin natomiast układała na ramionach Frances jedwabny szal.

Obydwie szwaczki zwróciły w stronę gościa rozpromienione i uśmiechnięte twarze.

Frances zagryzła dolną wargę, chyba z lekka zażenowana, ale ona także się śmiała.

- O Boże! - zawołała.

Jej uroda sprawiła, że poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch. Na chwilę zabrakło mu tchu.

- Jeszcze jeden dżentelmen, który pojawia się pięć minut za wcześnie - mruknęła chłodno panna



Martin.

- Proszę wybaczyć. - Lucius uniósł brew. - Czy mam wyjść i odczekać te pięć minut na zewnątrz?

Wszystkie panie, nawet panna Martin, wybuchnęły na to wesołym śmiechem.

- Nie, nie, proszę tego nie robić. Jestem gotowa - zapewniła Frances. - Pannę Martin już pan poznał. Pozwoli pan, że teraz przedstawię moje pozostałe koleżanki, pannę Jewell i pannę Osbourne.

Wskazała na szwaczki, obydwie młode i ładne. Przyglądały mu się z wyraźną ciekawością.

- Panno Jewell? - Ukłonił się jasnowłosej i niebieskookiej nauczycielce. - Panno Osbourne? - Znów ukłon, tym razem w stronę miedzianowłosej piękności.

W odpowiedzi obie dygnęły.

Wyjście na bal jednej z nich, pomyślał, musi być wielkim wydarzeniem dla wszystkich. Odniósł wrażenie, że mimo woli zajrzał do innego, obcego mu świata, w którym kobiety nie spędzają czasu wyłącznie na przyjęciach i rautach. Nauczycielki były młode i ładne. Nawet obecność oschłej panny Martin nie mogła zmienić tego faktu.

Ale, do diaska, dlaczego Frances postanowiła zostać jedną z nich? Przecież nie musiała.

Wreszcie mogli wyjść. Minęli woźnego, który przytrzymał im drzwi, posyłając Luciusowi niechętnie spojrzenie, jakby był zły, że na jego terenie znów pojawił się inny mężczyzna.

Lucius pomógł Frances wsiąść do powozu.

- Proszę, nawet pogoda nam sprzyja - zauważyła radośnie.

- Rozumiem, że gdyby padało, zrezygnowałabyś z wyjścia, tak? - sarknął.

- Ależ oczywiście, że nie. - Przyciskała rękoma końce szala.

- Czyli ta uwaga o pogodzie to tylko taka próba nawiązania uprzejmej rozmowy? -

mruknął.

- Przykro mi, że pana nudzę - odparła Frances, nieco poirytowana. - Popełniłam błąd, odzywając się. Już się uciszam.

- Powiedz mi, w jaki sposób zazwyczaj spędzasz wolny czas? - zapytał po chwili, nie mogąc znieść ciszy, która zapadła w efekcie deklaracji Frances. - Ty i twoje koleżanki?

Mieszkaś w Bath, a jednak nigdy nie byłaś na balu. Czy wieczorami, po wysłaniu uczennic do łóżek, siadacie przy kominku i robicie na drutach?

- Nawet jeśli tak, lordzie Sinclair, nie musi pan nam współczuć. Jesteśmy całkiem szczęśliwe - odburknęła.

- Już kiedyś to mówiłaś - przypomniał. - A potem zmieniłaś zdanie i użyłaś słowa „zadowolona”. Czy samo zadowolenie wystarczy, Frances?

Myślał, że mu nie odpowie. Przyglądał się jej twarzy oświetlonej słabym światłem wieczoru. Tym razem nie włożyła kapelusza. Włosy szesała na tył głowy, ale nie zwinęła ich w kok. Zakręcone w loki, opadały swobodnie. Fryzura nie była specjalnie kunsztowna, z pewnością jednak bardziej twarzowa niż ta, którą nosiła zazwyczaj. Wyglądała w niej elegancko. Przy niej wszystkie inne kobiety na balu będą sprawiały wrażenie przesadnie wystrojonych.

- Tak, wystarczy. - Usłyszał jej głos. - Szczęście zawsze łączy się z nieszczęściem, a uniesienie z depresją. Zadowolenie to stan bardziej stabilny, niesie ze sobą spokój ducha.

- Wielki Boże! - krzyknął. - To nuda! Uważam, Frances, że po prostu się boisz.

Zwróciła na niego oczy, w których lśniło oburzenie.

- Boję się? - powtórzyła. - Pewnie mówi pan tak, bo nie chciałam porzucić dla pana mojej pracy, bezpieczeństwa, przyszłości i przyjaciół.

- Boisz, i to bardzo - upierał się.

- Jeśli strach oznacza zdrowy rozsądek, w takim razie tak, jestem tchórzem, lordzie Sinclair, ale nie zamierzam za to przeproszać.

Miałaś szansę na szczęście. Gdybyś zaryzykowała, prawdopodobnie dość szybko odkryłbym twój talent. Wtedy śpiewałabyś przed publicznością o wiele większą niż ta w Bath. Nie mów, że z twoim głosem nigdy nie marzyłaś o sławie.

- I bogactwie - dodała ostro. - Jak sądzę, lordzie Sinclair, sława i bogactwo zawsze idą w parze. Domyślałam się, że to właśnie pan miałby uczynić mnie szczęśliwą. To pan zostałby moim mecenasem, zadbałby o moją karierę i pilnowałby, abym obracała się w gronie odpowiednich osób.

- A dlaczego nie? - zdziwił się. - Nie kryłbym twojego talentu przed światem.

- A więc, pana zdaniem - mówiła dalej głosem drżącym z emocji, z gniewu - kobieta nie potrafi sama o sobie decydować, nie potrafi znaleźć szczęścia lub nawet zadowolenia bez pomocy i interwencji mężczyzny? Czy to właśnie chciał pan powiedzieć, lordzie Sinclair?

- Sądziłem, że rozmawiamy nie o kobietach i mężczyznach w ogóle, a o tobie. Znam już cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż nie zaspokoi cię samo zadowolenie. To absurdalne, że w to wierzysz. Szarpia tobą namiętności, Frances, i dodam, że nie chodzi mi w tej chwili o seks.

- Jak śmiesz! - krzyknęła. - Wcale mnie nie znasz.

- Wybacz - mruknął. - Znam cię przynajmniej w biblijnym sensie, jedna noc wystarczyła, bym mógł ocenić poziom twojej pasji. Poza tym rozmawiałem z tobą, kłóciłem się... tak jak teraz. Śmialiśmy się razem i bawiliśmy. Ale przede wszystkim słyszałem, jak śpiewasz. Myślę, że znam cię całkiem nieźle.

- Śpiewanie nie ma tu nic do rzeczy...

- Ależ przeciwnie. Kiedy śpiewasz, zapominasz o całym świecie i przestajesz się kontrolować. Odsłaniasz się. To znamienne dla artystów. Nieważne, malarza, poety czy pieśniarza. Na wieczorku u Reynoldsów ujawniłaś nie tylko piękny głos, ujawniłaś samą siebie. Tylko idiota nie dostrzegłby, że jesteś bardzo namiętną kobietą.

Dziwne. Nie zastanawiał się wcześniej nad tym, co właśnie powiedział, a jednak był przekonany, że ma rację.

- Jestem zadowolona ze swojego obecnego życia - powtórzyła z uporem Frances, patrząc na złożone na kolanach dłonie.

- Jasne - przytaknął. - Jesteś tchórzem, Frances. Urywasz dyskusję, bo dobrze wiesz, że nie masz racji, że kłamiesz.

- Zaczyna mnie pan obrażać - zauważyła. - Nie dałam panu przyzwolenia na tak swobodną rozmowę.

- Być może - zgodził się. - Dałaś mi tylko swoje ciało. Wciągnęła ostro powietrze, wypuściła je już jednak spokojniej, postanawiając nie odpowiadać.

Dopiero teraz Lucius zdał sobie sprawę, że zbliżają się do celu podróży. I dobrze.

Wcale mu się nie uśmiechało wdawać w kłótnie z towarzyszką. W ogóle najchętniej by z nią nie dyskutował, gdyby go nie zirytowała, rozpoczynając rozmowę od sztucznie radosnych uwag na temat pogody.

Jakby w ogóle się nie znali.

Im szybciej opuści Bath i zajmie się swoim małżeństwem, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Portia Hunt czeka już na niego w Londynie. Podobnie jej matka i cała reszta ich rodzin.

Bath, Londyn. Londyn, Bath... Cholera, to wybór między piekłem i niebem!

Gdzie podziało się jego dotychczasowe życie, z którego już od co najmniej dziesięciu lat czerpał tyle zadowolenia?

Dopiero kiedy pomagał Frances wysiąść z powozu, uświadomił sobie, co też przed chwilą sam do siebie powiedział. Zadowolenie? Czyżby przez ostatnie dziesięć lat odczuwał

tylko zadowolenie?

Po raz setny w ciągu ostatnich trzech dni Frances decydowała się napisać do panny Amy Marshall list, w którym zamierzała przeprosić ją za to, że jednak nie pojawi się na balu.

Z powodu obowiązków: lekcji, klasówek, dodatkowych zajęć z muzyki oraz prób chóru.

Praca pochłaniała jej niemal cały dzień.

A jednak przyjaciółki, które przecież powinny ją wspierać, w tym wypadku odmówiły pomocy.

- Musisz iść i dobrze się bawić. Ze względu na pannę Marshall - oświadczyła Claudia Martin. - Mówiłaś, że potrzebuje damy do towarzystwa. Teraz może być za późno na znalezienie kogoś innego. Poza tym nie wypada sprawiać przykrości hrabiemu Edgecombe'owi. Z twoich opowiadań wynika, że to bardzo uprzejmy dżentelmen, mimo że arystokrata.

- Musisz pójść także ze względu na nas - dodała Anne z westchnieniem. - Zostałaś zaproszona przez samego hrabiego i to nie byle gdzie, tylko na bal w Sali Zgromadzeń. I my będziemy tam za twoim pośrednictwem. Po powrocie opowiesz nam o wszystkim ze szczegółami.

- I może nawet - wtrąciła się Susanna, z charakterystycznym dla niej przebiegłym błyskiem w oku - wicehrabia Sinclair zrozumie, że popełnił wielki błąd, zostawiając cię po świętach, i na nowo zacznie się do ciebie zalecać. Może nawet uda mu się zawrócić ci w głowie i stanie się godnym przeciwnikiem dla pana Blake'a. - I zaraz podbiegła do Frances, żeby ją wyściskać. - Tak się tylko przekomarzam. Idź i baw się dobrze. Po prostu się zabaw.

Frances nie pozostawało więc nic innego jak zabrać się do przygotowań. Kiedy już podjęła decyzję, nie zmieniła jej nawet wtedy, gdy nieco później dręczona wyrzutami sumienia Anne zapytała ją, czy rzeczywiście aż tak bardzo boi się wieczoru w towarzystwie wicehrabiego Sinclaira.

- Może - ciągnęła - nie powinnam była cię namawiać. Postąpiłam bezmyślnie!

Było już jednak za późno na odmowę. Poza tym Frances pocieszała się, że podczas podwieczorku na Brock Street definitywnie wyleczyła się z nierozsądnego zadurzenia w wicehrabim Sinclairze.

Wreszcie kiedy nadszedł czas, w towarzystwie przyjaciółek zeszła do holu i dopiero tam okazało się, że szarfa przy sukni jest odpruta. Susanna pobiegła na piętro po igłę i nitkę, reszta pań została, chichocząc nerwowo.

Żadna nie pomyślała o tym, żeby przenieść się z szyciem z holu do saloniku lub, gdy rozległo się pukanie do drzwi, zabronić woźnemu je otworzyć.

Cała sytuacja była nieco krępująca i śmieszna. A zrobiła się jeszcze śmieszniejsza, kiedy Lucius zaproponował, że wyjdzie i poczeka na zewnątrz. Frances czuła, że jest podekscytowana - głównie na myśl, że będzie tego wieczoru tańczyła.

Może nawet z samym wicehrabią.

Wspomniał coś przecież o tym, gdy odwoził ją do szkoły po podwieczorku.

Niestety, nie była już taka radosna, kiedy dojechali na miejsce. Wielkie nieba, nazwał ją tchórzem. I kobietą namiętą.

Szarpią tobą namiętności, Frances, i dodam, że nie chodzi mi w tej chwili o seks.

Bez cienia skrępowania nawiązywał do nocy, którą ze sobą spędzili. Przypomniał jej, że widział ją nago.

Oskarżył ją o to, że kryje się za zadowoleniem, że jest zbyt tchórzliwa, by sięgnąć po szczęście.

To żadne tchórzostwo. To z trudem wypracowany zdrowy rozsądek.

Gdyby tylko, myślała, podążając za nim do sali balowej, nie był dzisiaj tak oszałamiająco przystojny w tym swoim czarnym surducie i wyszywanej srebrną nicią kamizelce. I tak odurzająco męski: mocno zarysowana szczęka, piękne rysy twarzy i intensywne spojrzenie orzechowych oczu.

Ale nagle złość ją opuściła. Dotarło bowiem do niej, że znajduje się w miejscu, o którym marzyła - w Sali Zgromadzeń, na balu. Przyjęła zaproszenie głównie z powodu tego balu. Brakowało jej towarzystwa. Wprawdzie nie jakoś specjalnie, ale jednak. Idąc w tłumie gości przez przestronny hol, znów poczuła przyływ ekscytacji.

Wicehrabia wziął ją pod ramię i delikatnie poprowadził. Zanim wszakże zdążyła poczuć dreszcz podniecenia wywołany jego dotykiem, podbiegła do nich panna Marshall -

musiała ich wypatrywać przy wejściu. Wyglądała bardzo ładnie, kwitnąco i młodo.

- Panno Allard - zawołała, wyciągając ręce tak samo jak na Brock Street. Uścisnęła Frances i ucałowała w policzek. - Zjawiliście się w samą porę. Ja i dziadek przyjechaliśmy niecałe pięć minut temu. I przysięgam, Luce, szłam bardzo powoli. Do twarzy pani w srebrze, panno Allard. Pani suknia świetnie pasuje do stroju mojego brata - stwierdziła i się roześmiała.

Och, c»ż za niefortunna uwaga! Frances odsunęła się od Luciusa i uśmiechnąwszy się ciepło do jego siostry, wzięła ją pod rękę i razem ruszyły do sali balowej. Lucius za nimi.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Frances, kiedy stanęli w progu. - Widziałam tę salę tylko za dnia. W świetle tylu świec wygląda znacznie wspanialej, prawda?

Nad id głowami zwieszało się kilka kandelabrow z płonącymi świecami. Orkiestra na podium stroiła właśnie instrumenty. Goście albo stali v grupkach, albo pogrążeni w rozmowach przechadzali się po całym pomieszczeniu.

France: przypomniała sobie, że nie może uronić najmniejszego szczegółu, inaczej następnego dnia nie będzie się mogła nimi podzielić ze swoimi przyjaciółkami.

- To chyba pani pierwszy bal od długiego czasu, czyż nie, panno Allard? - zapytał

wicehrabia.

Już poprzedniego dnia mówiła mu, że nigdy jeszcze nie była na balu w Sal Zgromadzeń. Ale natychmiast zrozumiała, co naprawdę miał na myśli. Odwróciła się do niego i tak jak się spodziewała, ujrzała w jego oczach niemal diabelskie błyski.

- Tak - potwierdziła. - Nie myli się pan.

- Przyszło sporo ludzi - zauważył. - Choć, ponieważ to Bath, tłok nam raczej nie grozi. Co nie znaczy, że przy mniejszej liczbie gości nie można się dobrze bawić. W

rzeczywistości wystarczą dwie osób} kobieta i mężczyzna, żeby ze sobą zatańczyć. Nawet orkiestra jest zbędna.

- Co a absurd, Luce! - zawołała Amy, wybuchając wesołym śmiechem.

Ale wicehrabia nie patrzył na siostrę, tylko na Frances.

- Chyba zgodzi się pani ze mną, panno Allard? - zapytał. Modlili się w duchu, żeby się nie zarumienić.

- Tylko że czegoś takiego nie można raczej nazwać balem, prawda? - rzuciła.

- Nie mówiąc już o tym, że para szybko znużyłaby się tańcem - dodał - i zmuszona byłaby szukać jakichś innych rozrywek. Ma pani rację. Myślę, że powinniśmy być wdzięczni, iż otacza nas tak wiele osób.

Dlaczego on to robi? - dziwiła się Frances. Ani razu podczas ich trzech spotkań po jego powrocie do Bath nie wydawał się zadowolony z jej obecności.

Na szczęście dołączył do nich hrabia Edgcombe. Po przywitaniu się z Frances, której złożył uprzejmy ukłon, wyjaśnił, że skoro już nie musi opiekować się wnuczką, przeniesie się do sali karcianej, jeśli tylko towarzystwo wyrazi na to zgodę.

- Tańczyłam parę razy na nieformalnych przyjęciach wyprawianych w naszym domu -

zwierzała się Frances panna Marshall, gdy Lucius odprowadzał hrabiego. - Ale jeszcze nigdy na balu. Caroline i Emily będą mi zazdrościły, kiedy im jutro o tym napiszę.

Frances zauważyła, że wśród gości nie ma zbyt wielu młodych ludzi. I choć z początku była oszołomiona wykwintnym miejscem, gdy baczniej się rozejrzała, dostrzegła tylko kilka naprawdę eleganckich osób. Ucieszyło ją to. Martwiła się, że w swojej dość skromnej sukni będzie niekorzystnie się wyróżniać.

- Tak, to wspaniałe miejsce - przyznała. - Ale w przyszłym roku, w czasie debiutu, przekona się pani,

panno Marshall, że istnieją znacznie wspanialsze.

- Och, proszę mi mówić Amy - powiedziała dziewczyna. Po chwili jej twarz jeszcze bardziej pojaśniała. Podniosła wachlarz i pomachała do kogoś stojącego po drugiej stronie sali. - To Rosę Abbotsford i jej mama. I chyba brat, o którym mi wspominała. Bardzo przystojny, prawda? - Widząc nadchodzącego Luciusa, opuściła wachlarz.

- Zanim twój karnecik się zapełni, Amy, pamiętaj, że pierwszy taniec masz zarezerwować dla mnie. I tak już oberwie mi się od mamy za to, że cię tu przyprowadziłem -

oświadczył.

Jakiś dżentelmen pokłonił się Frances. Och, pan Blake.

- Panno Allard - przywitał się. - Nie sądziłem, że panią tu spotkam. Ale oczywiście bardzo się cieszę.

Zerknął na towarzyszące jej osoby, więc przedstawiła mu Amy i Luciusa, choć oczywiście pamiętał ich z wieczorku u Reynoldsów.

- To miło z pana strony, wicehrabio - powiedział do Luciusa - że zaprosił pan pannę Allard na bal jako swojego gościa.

- Jestem tu raczej w roli przyzwoitki niż gościa, panie Blake - sprostowała Frances.

- Ależ skąd - oburzyła się Amy, uderzając Frances lekko wachlarzem po ramieniu. -

Cóż to w ogóle za pomysł!

- Dziękuję, sir - odparł Lucius głosem tak oschłym i wyniosłym, że Frances zgaśniła go wzrokiem. - Jednak panna Allard jest gościem nie moim, lecz hrabiego Edgecombe'a.

Pan Blake uklonił się, a Frances, przyglądając mu się, nie była pewna, czy zrozumiał, że właśnie został w lodowaty sposób upomniany. Ogarnęła ją złość. Czyżby wicehrabia Sinclair poczuł się urażony tym, że przedstawiła mu prostego lekarza? Dobry Boże, ona sama jest przecież tylko nauczycielką.

- Przypuszczam, panno Allard - odezwał się Blake - że nie mam co liczyć na drugi zestaw taneczny? Pierwszy zarezerwowałem już niestety u panny Jones.

- Drugi zestaw panna Allard zatańczy ze mną - oświadczył wicehrabia.

Przez sekundę Frances zastanawiała się, czy wdawać się z nim w kłótnię, czy przemilczeć jego zachowanie. Zerknęła na niego i zobaczyła, że jego brew unosi się wyzywająco. Wicehrabia wyraźnie szuka sprzeczki, pomyślała.

- Tak. - Roześmiała mu się prosto w oczy. - Lord Sinclair prosił mnie o to już w powozie.

- Och - westchnął pan Blake. - A więc, panno Allard, pozwolę sobie zarezerwować trzeci.

- Zgadzam się z wielką przyjemnością - odpowiedziała.

Mistrz ceremonii ogłosił rozpoczęcie tańców, a orkiestra zaczęła grać. Frances, zapominając o irytacji i zakłopotaniu, odwróciła się w stronę parkietu. Choć nie oczekiwała, że od razu ruszy w tany, i tak była podekscytowana. Pocieszała się, że zatańczy w drugim i trzecim zestawie.

Tymczasem nawet pierwszy, składający się ze zwawych tańców ludowych, także jej nie ominął. Wprawdzie pan Blake oddalił się do swojej partnerki, a Lucius odszedł z Amy, kiedy jednak Frances przysiadła na jednym z wolnych krzeseł, natychmiast podszedł do niej pan Gillray, szwagier pana Huckerby'ego, którego poznała na świątecznym koncercie w szkole, i poprosił ją do tańca. Tak więc miała przyjemność uczestniczyć w balu od samego początku.

I była to naprawdę wielka przyjemność. Tańcząc, nie umiała powstrzymać uśmiechu, a przy bardziej zawitych, skomplikowanych figurach, śmiała się już głośno. Oczywiście znała kroki, nawet dość dobrze, ponieważ to ona zawsze była partnerką pana Huckerby'ego podczas lekcji tańca w szkole. Amy Marshall, tańcząca nieco dalej, także świetnie się bawiła.

Wicehrabia nie spuszczał z niej oczu, choć w pewnej chwili na dłużej utkwiał wzrok we Frances.

A ona drżała już na myśl o następnym zestawie, który miała zatańczyć właśnie z nim.

Nie wiedziała, czy cieszyć się, czy żałować. Bez wątpienia Lucius był najprzystojniejszym i najlepiej ubranym mężczyzną wśród obecnych. Myśl, że znowu z nim zatańczy, sprawiała, że robiło jej się słabo. Najlepiej by było, gdyby trzymał się od niej z daleka. Tylko wtedy zachowa tak cenny dla niej spokój umysłu.

I zadowolenie.

Niestety, czuła, że z każdą minutą magia znów oplata wokół niej swą podstępłą sieć.

Nie chciała tańczyć z wicehrabią - ona tego pragnęła. Desperacko.

Tylko jeszcze ten jeden raz.



Pan Algernon Abbotsford został przedstawiony Amy po pierwszym zestawie tanecznym i od razu, bardzo grzecznie, poprosił Luciusa o pozwolenie zatańczenia z nią w następnym. Po udzieleniu zgody Lucius mógł już bez przeszkód poświęcić uwagę swojej partnerce, która rozmawiała z jakąś nieznaną mu damą.

Właściwie to nie spuszczał oka z Frances od chwili przyjazdu. I jeśli nawet wcześniej próbował przekonywać samego siebie, że wcale nie wyczekiwał balu tak samo niecierpliwie jak siostra lub że nie ubierał się tak starannie tylko dlatego, iż miał się spotkać z Frances, teraz w końcu musiał uznać tę poniżającą i haniebną prawdę za fakt.

Tam do diabła!

A Frances, jeśli rzeczywiście wierzy, że stworzona jest do spokojnego życia, to oszukuje się bardziej niż on. Nie umiał sobie wyobrazić gorszej kandydatki na starą pannę, do końca życia uczącej w szkole. Jej policzki, oczy, całe jej ciało emanowało żywiołową radością, choć był to tylko bal w Bath.

On wiedział najlepiej, jak łatwo i całkowicie jej miłość do tańca zmienia się w seksualną pasję.

Nie żeby zamierzał doprowadzić tego wieczoru do takiej przemiany. Skądże znowu!

- Madame? - złożył przed nią ukłon. - To chyba mój taniec? Spojrzała mu w oczy i zobaczył, że doskonale pamięta, iż tych samych słów użył w zimnym, obskurnym pokoju tanecznym gospody, w której utknęli po świętach. Nie zapomniała ich namiętnej nocy.

Ale dlaczego stara się jej o tym przypomnieć? Być może po prostu droczy się z nią okrutnie? A może czuje potrzebę skonfrontowania jej z prawdą, pragnie, by się ujawniła, by...

Cóż, naprawdę nie wiedział, o co mu chodzi. Rzadko zastanawiał się nad motywami, które nim kierowały. Zawsze był impulsywny i raczej działał, niż myślał.

- Chyba tak, milordzie - odparła, kładąc rękę na jego dłoni. - Dziękuję.

- Niestety nie jest to walc - powiedział, wprowadzając ją na parkiet. - Walców dzisiaj nie będzie. Pytałem.

- Słyszałam, że w Bath rzadko tańczy się walca.

- To błąd. Ale gdyby go jednak zagrano, Frances, my byśmy go zatańczyli, prawda?

- Tak - zgodziła się i spojrzała mu w oczy.

W tej chwili między nimi coś się pojawiło - coś ulotnego. Pożądanie, pragnienie, świadomość bliskości - nie wiedział dokładnie co. Może wszystko naraz. Ale z pewnością uzmysławiali to sobie

oboje.

Oboje też wzajemnie się irytowali. Ciągłe lawirowali na granicy kłótni, choć pojawiały się i chwile życzliwości. Lecz było coś jeszcze - przed trzema miesiącami w gospodzie coś między nimi zaiskrzyło i ta iskra nie zgasła mimo upływu czasu.

I, na Jowisza, nie będzie dłużej udawał, że żałuje, iż ponownie ją spotkał. Nie będzie wmawiał sobie, że musi jej unikać, że najchętniej posłałby ją do diabła. Nie był najlepszy w grze na samo - oszukiwanie, nawet jeśli Frances wychodziło to po mistrzowsku.

Wręcz odwrotnie, czuł się bosko szczęśliwy, że znowu ją widzi.

Orkiestra zagrała utwór, który podobnie jak poprzednie należał do rodzaju tańców ludowych. Ten był jednak znacznie wolniejszy i bardziej uroczysty. Lucius zaprowadził

partnerkę do rzędu, w którym stały panie, sam zaś stanął naprzeciwko w jednej linii z panami.

Wśród tych kobiet Frances wygląda zadziwiająco obco, pomyślał - śniada, świeża i piękna.

Róża pomiędzy kolcami. Nie, to niesprawiedliwe. Raczej rzadka odmiana orchidei między różami.

Tyle że nagle róże stały się nijakie.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio zatańczył w czasie balu dwa zestawy pod rząd. Czasami nawet jeden to było dla niego za wiele. Ten, kto orzekł, że taniec jest najlepszą formą rozrywki, powinien zostać deportowany do kolonii za stanowienie zagrożenia dla zdrowia umysłowego męskiej części populacji. Gdyby on, Lucius, zapragnął zbliżyć się do kobiety - a taka potrzeba nachodziła go dość często - miał w zanadrzu lepsze sposoby na osiągnięcie celu niż hasanie z nią w tłumie po parkiecie.

A jednak walc w gospodzie, tańczony z Frances, był jednym z najbardziej zmysłowych doznań, jakich doświadczył w życiu. A nawet więcej, był doświadczeniem fascynującym i radosnym. Teraz więc, kiedy znowu miał z nią tańczyć, cały skupił się na swojej partnerce - wysokiej i szczupłej w srebrnej muślinowej sukni, z czarnymi włosami połyskującymi w świetle świec, z oczami lśniącymi ekscytacją.

Jutro lub pojutrze będzie musiał wrócić do Londynu, do swoich obowiązków.

Odepchnął od siebie tę myśl, zastanowi się nad tym później, a na razie skoncentruje na Frances.

Orkiestra zaczęła grać; panowie pokłonili się przed swymi partnerkami. Rzędy zbliżyły się do siebie, każdy z panów ujął uniesioną dłoń partnerki, obszedł ją wolno dokoła i wrócił na swoje miejsce.

Muzyka płynęła, a tancerze, wystukując rytm obcasami, wykonywali odpowiednie kroki. Lucius raz stawał tuż na wprost Frances, raz odwracał się do niej plecami, złączeni dłońmi sunęli to w jedną, to w drugą stronę sali, rozłączali się i spotykali znowu.

A wszystko to bez słowa, choć gdyby chcieli, były chwile do wymiany zdań. Oni jednak nie

spuszczali z siebie oczu, a zwłaszcza Lucius wpatrywał się w Frances prawie jak zahipnotyzowany. Chłonał zmysłami blask jej srebrnej sukni, połysk ciemnych włosów, w których odbijały się refleksy światła, szum muślinu, ciepło jej szczupłej dłoni, bijący od niej znany mu lekki zapach, bardziej mydła toaletowego niż ciężkich perfum.

I kiedy tak tańczyli, nagle doznał olśnienia. Frances wprawdzie odtrąciła go przed trzema miesiącami, ale nie uczyniła tego, bo był jej obojętny. O nie, na Jowisza. Chyba już tak przypuszczał, ale teraz był pewien.

Frances Allard jest tchórzem.

Postanowił, że zanim tego wieczoru drzwi szkoły zamkną się za nią, zmusi ją wcześniej, by zrozumiała, że wybierając znane bezpieczeństwo, straciła więcej, niż się jej wydaje. Zmusi ją, by przyznała, że popełniła błąd.

Zupełnie zapomniał, iż sam wcześniej twierdził, że to jednak nie był żaden błąd.

Powietrze między nimi było jak naelektryzowane.

Pod koniec tańca na twarzy i dekolcie Frances pojawiły się kropelki potu. Stała się jeszcze piękniejsza - i jeszcze bardziej kusząca. Jej pierś falowała ciężko. Usta miała lekko rozchylone, oczy lśniły.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy podał jej ramię, żeby mogła oprzeć na nim dłoń. - To była wielka przyjemność.

- I znów to słowo. - Posłał jej twarde spojrzenie. - Czasami mam ochotę tobą potrząsnąć, Frances.

- Słucham? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Mam nadzieję, że nigdy nie chwalisz swojego chóru lub muzyków, nazywając ich występ przyjemnym. Zaniechaliby swoich wysiłków raz na zawsze. Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym to słowo z języka angielskiego.

- Dziwię się, że zaprosił mnie pan do tańca, lordzie Sinclair - burknęła. - Nie wydaje mi się, żeby pan za mną przepadał.

- A mnie czasami wydaje się, że to, co jest między nami, nie ma nic wspólnego z przepadaniem za sobą - odparował.

- Między nami nic nie ma - oburzyła się.

- Nawet niechęć to już coś - stwierdził. - A rzecz nie tylko w niechęci.

Prowadził Frances do miejsca, w którym stała Amy w towarzystwie Abbotsfordów.

Jego siostra wyglądała na jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe, podekscytowaną niż na

początku balu.

- Po następnej rundzie zapraszam cię do saloniku herbacianego na herbatę. Wypijemy ją w towarzystwie Amy i mojego dziadka - powiedział. Pamiętał, że trzeci zestaw tańców przyrzekła temu lekarzowi, Blake'owi, który wyraźnie smalił do niej cholewki, choć czynił to dość nieśmiało, skoro nie wymyślił jakiegoś sposobu, żeby zaprosić ją na dzisiejszy bal. Tym razem nie uda mu się odebrać mu Frances, tak jak stało się to na wieczorku u Reynoldsów.

- Czy to prośba, lordzie Sinclair, czy rozkaz? - zapytała.

- Jeśli chcesz, padnę przed tobą na kolana - mruknął. - Tylko ostrzegam, że wywołam tym sensację.

Roześmiała się.

Jak zawsze, kiedy to robiła, serce zabiło mu mocniej. Śmiech zmieniał jej wygląd, nawet jeśli przed sekundą płonęła gniewem. Powinna często się śmiać - jest wtedy taka autentyczna - cokolwiek to, do diabła, oznacza.

- W takim razie przyjdę do saloniku herbacianego - przyrzekła. Blake pojawił się chwilę później i poprowadził ją na parkiet; jego łysiejąca głowa połśniewała w świetle świec.

Do Amy zaś zbliżył się mistrz ceremonii ze żwawym młodzieńcem w okularach, który natychmiast porwał ją do kadryla.

Lucius, zanim mistrz ceremonii zdążył wpaść na pomysł, aby i jemu znaleźć partnerkę, uciekł do pokoju karcianego. I tam stwierdził, że hrabia dał się całkowicie pochłonać grze.

Znowu czuł irytację i niepokój - ostatnio często mu towarzyszyły i jak przypuszczał, nie opuszczą go jeszcze przez następne tygodnie, a nawet miesiące. Starał się przypomnieć sobie, jak wyglądało jego życie przed wizytą w Barclay Court w Boże Narodzenie. Na pewno nie był wtedy opryskliwy i ciągle poirytowany jak teraz. Przeciwnie, pogodny i nastawiony przyjaźnie do całego świata.

A już z pewnością nie dawał się ogłupiać nauczycielkom.

Dlaczego, do diaska, dziadek nie może żyć wiecznie?

Albo dlaczego nie ma przynajmniej tuzina braci - starszych od niego?

Kadryl ciągnął się w nieskończoność. Lucius miał już ochotę na herbatę.

Herbatę. Boże wielki!

Pan Blake okazał się całkiem niezłym tancerzem, a poza tym był bardzo miły dla Frances i obsypał pochwałami jej wygląd oraz talent taneczny. Ponownie też wyraził swoją radość z powodu tego, że spotkał ją na balu.

- Gdybym wiedział, panno Allard, że może pani brać udział w podobnych wydarzeniach - tłumaczył -

zaprosiłbym panią. Przybyłem tu z moją siostrą i jej mężem.

Może pewnego razu wybierze się pani z nami do teatru?

- Z wielką chęcią, sir. - Uśmiechnęła się. - Jeśli tylko zostanę zwolniona z wieczornych zajęć, tak jak to się stało dzisiaj. Miło, że pan o mnie pomyślał.

- Myślenie o pani nie wymaga wysiłku, panno Allard - zapewnił, pochylając się do niej. - Przyznam nawet, że ostatnio zdarza mi się to dość często.

Była zadowolona, że taniec zmusił ich w tej chwili do rozłączenia się. Już po poprzedniej rundzie kotłowało się w niej wiele różnych emocji, nie była więc gotowa na następne wzruszenia, tym bardziej że nie wiedziała, czy w ogóle ma na nie ochotę.

Postanowiła skupić się na tańcu. Mimo że starała się rozbudzić w sobie zainteresowanie panem Blakiem, tak jak jeszcze w zeszłym tygodniu, nie potrafiła. Nagle zdała sobie sprawę, że Lucius miał rację - słowa „przyjemny” i „przyjemność” rzeczywiście wydają się raczej mdłe.

I zrobiło jej się jakoś nijako. Mimo bliskości Blake'a bardziej interesowało ją to, że nigdzie w pobliżu nie widzi Luciusa - niezbyt obiecujący znak.

Dlaczego nie da się rządzić sercem tak samo łatwo jak głową? - zastanawiała się.

Dlaczego nie można wybrać, w kim chcemy się zakochać - choć słowo „miłość” to niedobre określenie na dręczące ją emocje. Jednak bez względu na nazewnictwo, człowiek powinien mieć możliwość wyboru, kto wzburzy w nim krew, na czyj widok zacznie mu walić serce, czyja obecność sprawi, że świat wyda się pełniejszy.

Postanowiła, że po tym wieczorze, ostatnim, jaki spędzi w towarzystwie wicehrabiego Sinclaira, będzie się bardziej starała.

Bardzo pragnęła związać się z panem Blakiem. To, że się nią zainteresował, jest dla niej prawdziwym błogosławieństwem.

- Proszę wybaczyć - powiedziała po zakończeniu tańca, gdy partner zaproponował jej wspólne wypicie czegoś orzeźwiającego - ale jestem już umówiona na herbatę z hrabią Edgcombe'em. Jestem jego gościem, głównie dlatego, że jego wnuczka potrzebowała starszej damy do towarzystwa lub mówiąc inaczej, przyzwoitki.

- Och, jakiej starszej, panno Allard - rzucił z galanterią Blake, pochylając się nad jej dłonią. - Ale rozumiem i doceniam fakt, że stara się pani wypełniać zobowiązania, stawiając je ponad osobiste preferencje. W takim razie, jeśli wyrazi pani na to zgodę, panno Allard, pozwolę sobie wkrótce odwiedzić ją w szkole.

- Dziękuję. - Znowu się uśmiechnęła, choć wcale nie było jej do śmiechu. Nie wiadomo dlaczego czuła, że nie jest do końca uczciwa wobec niego - a może wiadomo?

Będzie musiała w nadchodzących dniach uważać, aby nie wykorzystała go jako lekarstwa na zbolełe serce.

Cóż to za brak rozsądku, że znowu pozwala się zranić!

Tak czy inaczej czas spędzony w herbaciarni minął jej bardzo miło. Tłumaczyła to sobie tym, że hrabia i Amy znowu traktowali ją jak bardzo ważnego gościa, że rozmawiali żywo i z humorem. Poza tym sala, w której siedzieli, była prześliczna. Będzie o czym opowiadać przyjaciółkom, nie mówiąc już o tym, że wspomnienia z tego wieczoru zachowa w sercu do końca życia.

A jednak w głębi duszy wiedziała, że nie czułaby się nawet w połowie tak podekscytowana, gdyby przy stole obok niej nie siedział Lucius Marshall, wicehrabia Sinclair. To prawda, że bywał ogromnie irytujący, że umyślnie mówił rzeczy, które wytrącały ją z równowagi - lub milczał, w tym samym celu - mimo to w jego obecności zawsze czuła się ożywiona, tak samo jak zawsze na jego widok powracały wspomnienia pewnego epizodu, o którym dotychczas usiłowała zapomnieć, ale teraz przyznawała, iż tak naprawdę bardzo by żałowała, gdyby się nie wydarzył.

Dzięki tym wspomnieniom cała się ożywiła.

I podobnie ożywiona była tego wieczoru.

Zdawała sobie sprawę, że znów czeka ją cierpienie, może tak wielkie jak przed trzema miesiącami, lecz przecież nie mogła temu w żaden sposób zaradzić, prawda? Życie po prostu takie już jest. Nie da się uciec przed cierpieniem, nieważne jak bardzo kultywuje się spokój, unikając skrajnych emocji.

Skrajności zawsze nas dopadają, i to w najmniej oczekiwanym momencie. No bo kto by przewidział burzę śnieżną w dniu, w którym postanowiła wracać do szkoły? Kto by przewidział tego następstwa?

I kto przewidziałby, że przyjmując zaproszenie na niewinny wieczorek muzyczny, spotka na nim Luciusa Marshalla i znajdzie się w takiej jak teraz sytuacji?

Tak więc w życiu nie da się uniknąć ani szczęścia, ani nieszczęścia - one związane są ze sobą nierozdzielnie.

Rzecz w tym, by nie wypatrywać nieszczęścia, które w swoim czasie i tak spada na każdego. Biorąc to pod uwagę, Frances postanowiła cieszyć się wieczorem i myślała, że następnego dnia czekają ją kolejne przyjemne chwile, gdy będzie referowała przebieg balu przyjaciółkom - choć wtedy już pewnie z bólem.

Po herbacie wróciła na salę taneczną i do końca wieczoru nie schodziła z parkietu -

ostatnią rundę, która ponownie składała się z tańców ludowych, przetańczyła znowu z wicehrabią Sinclairem. Niestety wszystko kiedyś się kończy. Nie da się zatrzymać czasu.

A na dodatek prawo mówiące o przemianie szczęścia w nieszczęście zaczęło działać o wiele szybciej, niż mogła przewidzieć.

Hrabia Edgecombe nie chciał wracać do domu powozem, tylko pieszo. Ponieważ nie była to duża odległość, wicehrabia przystał na to, odesłał powóz i cała czwórka - panie przodem, panowie trochę za nimi - wyruszyła w drogę.

- Jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawiłam - stwierdziła z westchnieniem Amy, kiedy znaleźli się na Circus. - A pani, panno Allard?

- Ja też nie - wyznała Frances.

- Chcieli ze mną tańczyć wszyscy panowie - dodała naiwnie dziewczyna. - I z panią też. Widziałam, że ani razu pani nie siedziała. Cieszyłam się, że Luce aż dwukrotnie zaprosił

panią do tańca. Zazwyczaj w ogóle nie tańczy, czym, oczywiście, doprowadza mamę do rozpacz.

- W takim razie powinnam czuć się zaszczycona - odparła Frances.

- No ale w tym sezonie nie uda mu się dalej wymigiwać od balów - ciągnęła Amy. - W

czasie świąt przyrzekł dziadkowi, że wreszcie wybierze sobie narzeczoną. Sądzę, że będzie to panna Hunt, która zresztą czeka na niego od lat. Podobno już zjechała do miasta w towarzystwie rodziców i dziadka, markiza Godsworthy'ego, wielkiego przyjaciela mojego dziadka. Ja niestety nie będę mogła jeszcze uczestniczyć w sezonie.

Frances, słuchając jej paplaniny, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

Wprawdzie to ona przed trzema miesiącami odrzuciła Luciusa i teraz, kiedy znowu się spotkali, przez myśl jej nie przeszło, że mógłby ponownie się nią zainteresować - nawet tego nie pragnęła - a jednak wiadomość, że zamierza wkrótce się ożenić, że już nawet wybrał

narzeczoną, bardzo ją zabolęła. Bez sensu. Lecz rozsądek nie idzie w parze z sercem.

Spędziła z wicehrabią noc. Był pierwszym i jak na razie ostatnim mężczyzną, któremu oddała swoje ciało. Nic dziwnego więc, że poczuła się zawiedziona - a jeśli nie zawiedziona, to co najmniej przygnębiona...

- Oczekiwanie na coś, czego się pragnie, rzeczywiście może być stresujące -

przyznała. - Ale właśnie dlatego, że tak się naczekasz, twój debiut będzie wspaniały. Choć przypuszczam, że już nie raz słyszałaś takie pocieszenia i masz ich szczerze dosyć. Na twoim miejscu pewnie krzyczałabym ze złości.

Amy roześmiała się i uściśnęła jej ramię.

- Och, naprawdę panią lubię - powiedziała. - I jeśli kiedyś znowu przyjadę do Bath, powiadomię panią o tym i odwiedzę ją w szkole. Żałuję, że tak szybko musimy opuścić Bath, bo czuję się tu, z dala od moich sióstr, prawie jak dorosła. Niestety Luce twierdzi, że powinniśmy wracać już jutro, a najpóźniej pojutrze.

Och! Następny cios. Chociaż nie powinna być zdziwiona. Przecież spodziewała się, że po dzisiejszym wieczorze nie zobaczy więcej ani Amy i hrabiego, ani Luciusa.

- W takim razie mam nadzieję, że się kiedyś jeszcze spotkamy - oświadczyła.

Dotarli właśnie pod drzwi frontowe domu na Brock Street. Czekał tam już powóz wicehrabiego. Na koźle, jak zawsze, siedział Peters. Zastanawiała się, czy wypada jej zaproponować, że wróci sama, w końcu jednak uznała, iż nie powinna tego robić. Poza tym...

Poza tym, no cóż, chyba nie pozbawi się ostatnich minut agonii w towarzystwie Luciusa, prawda?

Agonii?

Cóż za sentymentalne brednie!

Mocniej otuliła się szalem.

Amy wyściskała ją na pożegnanie, a hrabia ujął jej dłoń.

- Panno Allard - powiedział. - Bardzo pani dziękuję, że zechciała pani wybrać się z nami na ten bal. Wiem, że pani obecność wiele znaczyła dla Amy. Jutro lub pojutrze wyjeżdżamy już do Londynu, ale kiedy ponownie przyjadę do Bath, zaproszę panią do siebie i poproszę, aby pani zaśpiewała. Mam nadzieję, że się pani zgodzi.

- To będzie dla mnie zaszczyt, sir - odparła.

- A teraz Lucius odwiezie panią do domu. Dobranoc, panno Allard.

- Dobranoc, milordzie. Dobranoc, Amy.

Po chwili siedziała w powozie obok wicehrabiego. Obliczyła, że podróż zajmie im około dziesięciu minut. A więc pozostało jej tylko dziesięć minut.

Jakież to głupie, że odczuwa z tego powodu panikę.

- Powiedz mi, że dobrze się dzisiaj bawiłaś - odezwał się Lucius niespodziewanie po jakiejś minucie milczenia.

- Och, oczywiście - zapewniła. - Było bardzo...

- Jeśli powiesz, że przyjemnie - zaczął groźnym tonem - uduszę cię, Frances.

- Było wspaniale - wyznała i uśmiechnęła się do siebie w ciemności.

- Wspaniale, dlatego że ja tam byłem. Powiedz, że nie bawiłabyś się tak wspaniale, gdyby nie było mnie z tobą na tym balu - nakazał.



W powozie panował mrok, nie widziała więc wyrazu jego twarzy, kiedy się do niego odwróciła.

- Nic takiego nie powiem - burknęła z oburzeniem. - Co to w ogóle za pomysł! Jaki arogancki! Oczywiście, że bawiłabym się tak samo dobrze... nawet lepiej.

- Kłamczucha! - rzucił miękko.

- Zdaje się, lordzie Sinclair, że w pana mniemaniu jest pan dla kobiet czymś w rodzaju daru od Boga.

- Nie praw takich komunałów, Frances, bo to do ciebie nie pasuje - obruszył się. -

Przyznaj raczej, że żałowałaś, że mnie odrzuciłaś.

- Niczego nie żałowałam! - krzyknęła.

- Nawet odrobinę? - naciskał.

- Nawet odrobinę - zapewniła stanowczo.

- Nawet ty, ty? - Roześmiał się. - Straszna z ciebie kłamczucha, Frances.

- A pan jest najbardziej zarozumiałym mężczyzną, jakiego znam - odpłaciła się.

- Czy to zarozumiałstwo, że spodobała mi się kobieta i że, ponieważ czułem, iż ja też nie jestem jej obojętny, doprowadziłem do zbliżenia, a później spodziewałem się, iż będzie ona przy rozstaniu odczuwała choć cień żalu, zwłaszcza że wcale nie musiała się ze mną rozstawać?

- Wolałam ścierpieć ten niewielki żal - odparła oschle - niż zostać pana kochanką.

- Aha! - krzyknął. - A więc przyznajesz, że czułaś żal? Umilkła, zagryzając wargę.

- Nigdy nie twierdziłem, że chcę uczynić z ciebie swoją kochankę.

- Ale też nie mówił pan, że chce się ze mną ożenić. Proszę mi wybaczyć, lordzie Sinclair, ale nie potrafię sobie wyobrazić innego rodzaju związku między nami, gdybym zgodziła się z panem pojechać.

Zostałbym twoim adoratorem - podpowiedział. Potrzebowaliśmy więcej czasu, Frances. Prawie się nie znaliśmy.

- Mówi pan z perspektywy bogacza - zauważyła. - Ja niestety muszę zapracować na życie, a moja praca jest tutaj, w Bath.

- Przecież proponowałem, że tu zostanę - przypomniał - ale na to również się nie zgodziłaś. Zaproponowałem też, że zabiorę cię do Londynu, wynajmę jakiś porządny dom i damę do towarzystwa, która by z tobą zamieszkała.

- I jak się domyślam, to pan by za wszystko płacił.

- Tak, naturalnie.

Domyśliła się z tonu jego głosu, że swoim zwyczajem arogancko uniósł brew.

- Byłabym pana utrzymanką! - krzyknęła. - Czy pan tego nie rozumie? Po prostu pańską kochanką, nieważne, jaką inną nazwę wymyśliłby pan na określenie naszego związku.

- Boże! - zawołał. - Kiedy ja mówię białe, ty mówisz czarne, i na odwrót. Niestety od kłótni dostaję migreny, więc unikam jej jak ognia. Z tobą chyba nie da się sensownie porozmawiać. Zawsze musisz mieć ostatnie słowo.

Odwróciła się do niego, zamierzając coś odpowiedzieć, lecz nim zdążyła, Lucius objął

ją jednym ramieniem, drugą ręką mocno chwycił za podbródek i namiętnie pocałował w usta.

Zaszokowana, przez chwilę nie mogła się pozbierać.

- Hm. - Uniosła dłoń, chcąc go od siebie odepchnąć.

- Nie walcz ze mną - wymamrotał w jej usta. - Nie walcz, Frances.

Poddała się, bo naprawdę nie umiała zebrać myśli. Instynktownie wsunęła palce między jego włosy i odwzajemniła pocałunek z zapalem, który ujawniał duszoną od miesięcy tęsknotę.

Rozwarł jej usta językiem i wsunął go głęboko; poczuła rozplywające się po całym ciele ciepło i fale pożądania. Uległa zmysłom, nawet się obróciła, by móc objąć Luciusa obydwojma ramionami, przytulić się do niego.

Och, od tak dawna na to czekała.

Wydawało się, że minęły wieki.

Tak bardzo za nim tęskniła.

Błądził dłońmi po jej ciele, a potem przycisnął ją mocniej do siebie.

Choć pożądanie potrafi być naprawdę obezwładniające, nie zaćmi umysłu na dłużej niż kilka chwil. Poza tym Frances nie chciała mu się poddać, tak jak wtedy w gospodzie, ponieważ wiedziała, że Lucius nie jest już wolny. Przyrzekł, że się ożeni, i dlatego właśnie wyrusza następnego dnia lub za dwa dni do Londynu. A złożył to przyrzeczenie, jeszcze zanim się spotkali.

Żołądek podszedł jej do gardła.

Odepchnęła Luciusa.

- Nie! - sapnęła mu w usta.

- Do diabła, Frances! - krzyknął. - Niech to wszyscy diabli!

Nie zganiła go za obraźliwe słowa. Zagryzła usta i zamrugła powiekami, powstrzymując łzy.

Chciał znów ją pieścić, ale stanowczym ruchem odwróciła głowę.

- Panna Hunt mogłaby tego nie pochwalać - powiedziała.

- Panna?... Kto ci, do diabła, powiedział o Portii? - zdumiał się. Aha, więc ona jest dla niego Portią?

- Pewnie Amy - sam sobie odpowiedział.

- Tak, Amy. Życzę panu szczęścia, lordzie Sinclair.

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie lordem, zrobię ci coś złego, Frances - zagroził. - Nie jestem jeszcze zaręczony z Portią Hunt.

- Jeszcze nie, ale wkrótce będziesz. Zabierz ramię z moich pleców, proszę.

Cofnął rękę, wzburzony, a ona poczuła takie przygnębienie, że nawet nabieranie powietrza do płuc wydawało się wysiłkiem ponad jej siły.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Kiedy powóz wszedł w ostry zakręt z Great Pulteney Street w Sydney Place, a potem w Sutton Road, oboje chwycili za skórzane rączki nad głowami, żeby tylko utrzymać równowagę i się nie dotknąć. Gdy zatrzymali się przed szkołą, w powozie zapanowała głucha cisza, zmącona jedynie parskaniem koni.

Woźnica otworzył drzwiczki i rozłożył schodki.

Lucius siedział nieruchomo, Frances też.

- Niektórzy ludzie - burknął z chodnika Peters - chcieliby wreszcie trafić do łóżka.

- Niech szlag trafi twoją zuchwałość! - Lucius szczerze się rozżłościł. W mgnieniu oka wyskoczył z powozu. - Jeśli nie podoba ci się, że każę ci pracować do późna, Peters, możesz w każdej chwili się zwolnić.

- Racja, sir - mruknął woźnica, wyraźnie nie przejęty złym humorem wicehrabiego. -

Dam panu znać, kiedy się zdecyduję.

Lucius odwrócił się do Frances, żeby pomóc jej wysiąść. Odprowadził ją do drzwi wejściowych, które otworzyły się, kiedy się do nich zbliżali. Stał w nich Keeble i niczym podejrzliwy rodzic przyglądał się im ze zmarszczonym czołem.

- Cóż, Frances - powiedział Lucius, krzyżując ręce na plecach. - Wygląda na to, że znowu się żegnamy.

- Tak. - Opanowała panikę.

Popatrzyli na siebie w słabym świetle lampy oświetlającej hol. Wicehrabia z ponurą miną zacisnął szczęki. Dwukrotnie skinął głową, odwrócił się i odszedł bez słowa do powozu.

Frances weszła do holu, nie oglądając się za siebie. Drzwi zamknęły się za nią.

Skończyło się.

Znowu.

Ale się skończyło.

Frances z ogromną ulgą przyjęła fakt, że szkoła pogrążona jest w ciemności, paliła się tylko pojedyncza lampa w holu i świeca u szczytu schodów. Obawiała się, że przyjaciółki na nią czekają.

Na szczęście, oprócz Keeble'a, który niby to żartem zaznaczył, że już zamierzał

zamykać i udać się na spoczynek, w holu nie było nikogo. Frances nie roześmiała się jak zawsze z dowcipu woźnego; pospiesznie mu podziękowała, minęła go i nim staruszek zdążył

jej odpowiedzieć, pomknęła w górę po schodach.

Niestety, gdy mijała salon panny Martin, drzwi do niego nagle się otworzyły.

- Nie teraz, Claudio - powiedziała. - Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu się nie kładłaś. Dobranoc.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, natychmiast rzuciła się na wąskie łóżko, twarzą w dół, i zasłoniła głowę rękami, jakby w ten sposób mogła odgrodzić się od wszelkich zagrożeń, nawet od własnych myśli.

„W czasie świąt przyrzekł dziadkowi, że wreszcie wybierze sobie narzeczoną. Sądzę, że będzie to panna Hunt, która zresztą czeka na niego od lat”.

Jakie to głupie, jakże śmieszne, że te słowa tak ją przygnębiają.

„Nie jestem jeszcze zaręczony z Portią Hunt”.

Jeszcze nie.

A ona, między wieściami od Amy i słowami Luciusa, które potwierdzały to, co mówiła jego siostra, ona pozwoliła mu się całować. A nawet oddawała mu pocałunki.

Usłyszała pukanie do drzwi, lecz je zignorowała. Po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś wchodzi do pokoju i bez słowa siada na krześle stojącym obok łóżka. Ten ktoś najpierw dotknął jej ramienia, potem je pogłaskał i poklepał.

- Przypuszczam - odezwała się, opuszczając ręce, ale nie podnosząc głowy - że raczej byś mi nie uwierzyła, gdybym powiedziała, iż bawiłam się świetnie i jestem teraz tak zmęczona, że nawet nie mam siły się rozebrać.

- Raczej nie - zgodziła się Claudia.

- Tak myślałam. - Frances przekręciła głowę. Claudia siedziała na krześle z dłońmi złożonymi na kolanach i jak zawsze surową miną. - A jednak to prawda, że się świetnie bawiłam. Nie opuściłam ani jednego tańca. Tańczyłam z panem Blakiem i ze szwagrem pana Huckerby'ego. A na koniec w

powozie wicehrabiego zrobiłam z siebie idiotkę. Pozwoliłam lordowi się pocałować, bez większych oporów. A przecież wtedy już wiedziałam, że wkrótce się zaręczy i ożeni.

Claudia przyglądała się jej z mocno zaciśniętymi ustami.

- To tak samo moja wina jak i jego - zapewniła Frances. - Zgodziłam się na ten pocałunek. Pragnęłam go.

- Ale to nie ty, Frances, masz wkrótce się zaręczyć - zauważyła dyrektorka. - I domyślam się, że to nie ty pierwsza go pocałowałaś. A więc wina leży po stronie wicehrabiego.

Słusznie. Jeśli to prawda, że panna Portia Hunt czeka na Luciusa w Londynie, że Lucius się z nią w tym roku ożeni - a przecież wiedziała, że tak jest - to nie powinien z nią rozmawiać w sposób, w jaki z nią rozmawiał w powozie. A ona nie powinna dać się mu całować.

- Co jest ze mną nie tak, Claudio? - zapytała znużonym głosem. - Dlaczego przyciągam do siebie nieodpowiednich mężczyzn? A jeśli pojawi się odpowiedni, dlaczego nie umiem go pokochać? To nienormalne.

- Czasami, zwłaszcza kiedy słyszę twój śpiew, Frances, uświadamiam sobie, że jesteś głęboko namiętną kobietą. I bardzo romantyczną. To dość niebezpieczna kombinacja. Od kobiet oczekuje się, że będą niczym więcej jak tylko samą słodyczą. Wielu mężczyzn wykorzystuje tę naszą cechę bez skrępowania, a my cierpimy. Przekonałam się, że możemy sobie pomóc, jeśli postanowimy być z siebie dumne, jeśli będziemy siebie szanowały i oczekiwały szacunku od innych, szczególnie od mężczyzn. Przy odrobinie szczęścia, na co, niestety, nie zawsze możemy liczyć, kobieta może uniezależnić się od mężczyzny, układając sobie życie według własnej woli. Podeszła do okna i zapatrzyła się w ciemność.

- Tak właśnie uczyniłam przed trzema laty - stwierdziła Frances ponuro - kiedy się tu zjawiłam. I byłam zadowolona, niemal szczęśliwa, Claudio. Myślałam, że już nic tego nie zakłóci, do chwili gdy po świętach znalazłam się w burzy śnieżnej.

- Wydaje mi się, Frances - odparła miękko panna Martin - że coś takiego jak doskonałe szczęście nie istnieje. Możemy się tylko starać, by nasze życie było w miarę znośne. Mnie samą nachodzi czasami myśl, że jako kobieta mogłabym oczekiwać od losu czegoś więcej. Jednak mam to, co mam, i cieszę się z tego, ponieważ sama zdecydowałam się tak żyć, dzięki czemu nie jestem zależna od żadnego mężczyzny, nawet od tych z mojej rodziny.

Frances usiadła.

- A kiedy kobieta się potknie, musi po prostu się podnieść i zacząć wszystko od nowa.

Najprostsze rozwiązania są czasami najlepsze - westchnęła.

- Tylko że w twoim przypadku - zauważyła Claudia, odwracając się od okna z uśmiechem - wcale nie jest tak, że musisz zaczynać wszystko od nowa. Jutro, jak co dzień, pojawisz się w klasie, odbędziesz próbę chóru, dasz lekcję muzyki. Twoje uczennice cię uwielbiają, Frances. A twoje

przyjaciółki już od rana będą czekały na relacje z balu, oczywiście spodziewając się, że powiesz, iż przeżyłaś cudowny wieczór.

Na twarz Frances wypłynął słaby uśmiech.

- Nie zawiodę ich - przyrzekła. - A potem przeprowadzę ustny egzamin z francuskiego z uczennicami młodszych klas i będę chwaliła dziewczęta z chóru, żeby zachęcić je do dalszych wysiłków. Ciebie też nie zawiodę, Claudio.

- Jestem o tym przekonana. Wszystkie nauczyłyśmy się ukrywać złamane serca pod płaszczem godności. Robiłaś to przez ostatnie trzy lata i jeszcze nieraz będziesz do tego zmuszona. Życzę ci dobrej nocy.

Po wyjściu dyrektorki echo jej słów nie przestawało wibrować w uszach Frances: Wszystkie nauczyłyśmy się ukrywać złamane serca...

Czy Claudii także to dotyczy?

Nie jestem jeszcze zaręczony z Portią Hunt.

Jeszcze nie, ale wkrótce będziesz.

Zwlokła się z łóżka i zaczęła się rozbierać.

Choć następnego dnia po balu hrabia Edgecombe wstał wcześnie, zamierzając udać się do pijalni wód, Lucius widział, że starszego pana zmęczyły trudy poprzedniego wieczoru. Z

pewnością całodzienna podróż powrotna była ponad jego siły. Przy okazji okazało się, że hrabia postanowił nie wracać do Barclay Court, tylko pojechać wraz z wnukami do Londynu, pragnął bowiem zobaczyć się ze swoim przyjacielem, markizem Godsworthym, a poza tym chciał być świadkiem zalotów Luciusa do panny Hunt - choć o tym akurat nie wspomniął ani słowem. Wyraźnie miał ochotę uczestniczyć w całym tym ekscytującym zamieszaniu związanym z zaręczynami i planowaniem ślubu.

Sam Lucius natomiast wprost desperacko pragnął opuścić już Bath, mimo że w Londynie czekała na niego Portia i perspektywa ożenku z nią. Na balu i po nim zachowywał

się nieprzyzwoicie. Niemal wychodził ze skóry, starając się przypomnieć Frances wydarzenia sprzed trzech miesięcy, pragnąc wyrwać ją z jej kontrolowanego stanu zadowolenia. A potem w powozie, mimo że jako jej eskorta miał za zadanie ją chronić...

No cóż, nie potrafił sobie odmówić tego ostatniego pocałunku. W tym tkwi jego problem - nie jest przyzwyczajony do samokontroli, nie myśli, zanim coś zrobi. Bóg wie, dokąd by ich zaprowadził ten pocałunek, gdyby Frances chwilę później stanowczo nie sprzeciwiła się jego pieszczotom.

A jednak fakt, że ona potrafi być zawsze tak rozsądna i opanowana, choć za fasadą rozsądku kryje namiętne serce, ukazujące się czasami na moment, irytował go niepomnie.

Tak więc nie wyjechali z Bath ani następnego dnia po balu, ani też jeszcze kolejnego, ponieważ Amy, która wybrała się na zakupy z panią Abbotsford i jej córką, otrzymała od nich propozycję, by pojechała z nimi i młodym Algernonem Abbotsfordem na wycieczkę do miasteczka położonego niedaleko Bristolu. Lucius wyraził na to zgodę, nie umiejąc odmówić siostrze, która błagała go o nią prawie z płaczem.

Uznał, że jeden dzień nie zrobi mu wielkiej różnicy.

A ponieważ hrabia tego popołudnia także był nieobecny, bo wybrał się z wizytą do jakiegoś swojego starego przyjaciela, Lucius został w domu sam, do towarzystwa mając tylko własne, niezbyt przyjemne myśli.

Tam do diaska, kiedyż ta obietnica złożona dziadkowi zamieniła się w przekonanie, że zdecydowany jest ożenić się z Portią Hunt? Czy kiedykolwiek głośno zadeklarował, że to ją właśnie wybrał sobie na przyszłą żonę? Ale jeśli nie Portia, to kto? Przynależał, że znajdzie narzeczoną, odpowiednią narzeczoną.

Nie potrafił sobie wyobrazić mniej zachęcającej perspektywy.

Doskonała i doskonale odpowiednia narzeczoną!

Słowo „doskonała” powinno być usunięte z języka angielskiego podobnie jak

„przyjemny”. Bez nich świat stałby się lepszy.

Siedział przed kominkiem z książką w dłoniach i przez całą godzinę zastanawiał się, planował i rozpaczał, przeklinając swoje życie, wreszcie rzucił książkę w kąt - choć nie przeczytał ani jednej strony - i wybiegł z salonu. Postanowił pójść na krótki spacer do centrum miasta, wzdłuż rzeki, przez most Pulteney i ulicą Great Pulteney. Kiedy dotarł do jej końca, przestał się okłamywać, że doszedł aż tutaj tylko dlatego, iż taki spacer to korzyść dla zdrowia i że kierunek był całkowicie przypadkowy. Ale stwierdził też, że skoro już się tu znalazł, może jeszcze pochodzić po Sydney Gardens.

Nie było w jego zwyczaju spacerować samotnie i bez celu. Wolał bardziej wyczerpujące ćwiczenia. Poza tym pochmurny i chłodny dzień wcale nie zachęcał do spacerów. Luciusowi żal było Amy, która tak się cieszyła na wycieczkę, choć domyślał się, że z powodu obecności młodego Algernona siostra pewnie zupełnie nie zwraca uwagi na paskudną aurę.

Nie, wcale nie wyszedł na spacer dla przyjemności. Właśnie skręcał w Sutton Street, chociaż wcześniej zamierzał dotrzeć do Sydney Gardens. Popatrzył na stojący na rogu Daniel Street budynek szkoły, przypominając sobie, że jest sobota i w soboty lekcje się nie odbywają

- co wcale nie musi oznaczać, iż Frances jest wolna. Szkoła panny Martin to przecież szkoła z internatem. Ktoś musi opiekować się uczennicami i je zabawiać nawet w czasie weekendu.

Co, do diabła, on tu robi?



Przez chwilę stał przed drzwiami wejściowymi i ze zmarszczonym czołem zastanawiał się, czy okaże się większym tchórzem, jeśli zapuka, czy jeśli odwróci się na pięcie i umknie.

Wahanie się i tchórzostwo nie leżały w jego naturze - podobnie jak rozpamiętywanie.

Podszedł do drzwi, podniósł kołatkę z brązu i puścił ją.

Po dwóch minutach, ponieważ drzwi się nie otwierały, stwierdził, że woźny chyba jednak nie mieszka w holu, jak wcześniej podejrzewał, a tylko stróżuje w nim, gdy w szkole mają pojawić się goście. W końcu jednak to on właśnie uchylił drzwi i wyjrzał przez szparę, przybierając na widok stojącego przed nim mężczyzny groźną minę.

- Proszę zapytać pannę Allard, czy zechce mi poświęcić kilka minut z jej cennego czasu - powiedział szybko Lucius, przechodząc przez próg bez zaproszenia.

- Panna Allard prowadzi teraz zajęcia w sali muzycznej - poinformował woźny.

- Więc? - Lucius uniósł brew.

Woźny odwrócił się i odszedł, skrzypiąc butami.

- Lepiej niech pan wejdzie tam - mruknął jeszcze, kiwając głową w stronę saloniku dla gości.

W pokoju Lucius stanął przy oknie, wyjrzał na rozciągającą się za Daniel Street łąkę i pomyślał, że chciałby być w tej chwili byle gdzie, tylko nie w miejscu, w którym się znalazł.

Nie miał zwyczaju nachodzić niechętnych mu kobiet, tym bardziej że świat pełen jest tych chętnych. Ale było za późno na ucieczkę.

Dochodziły go stłumione odgłosy dziewczęcego śmiechu i dźwięk pianina. Na łące przed oknem grupa uczennic w coś grała. Pilnująca ich nauczycielka wyglądała tak jak ta z miedzianymi włosami, którą miał okazję poznać - jak panna Osbourne. Nie zauważył jej ani dziewcząt, kiedy zbliżał się do szkoły, co tylko świadczyło o tym, jak głęboko był zamyślony.

Nie wątpił jednak, że one go widziały i zapewne nie mogły się nadziwić, po co tu przyszedł.

Kiedy wreszcie drzwi za nim otworzyły się, choć przypuszczał, że ujrzy pannę Martin, do salonu weszła Frances. Była bardzo blada.

- Co pan tu robi? - Głos jej drżał, ale Lucius nie wiedział, czy ze zdziwienia, gniewu, czy jeszcze jakiejś innej emocji.

Natomiast wyraźnie zdał sobie sprawę, że... Tym razem nie pozwoli jej odejść. To takie proste.

- Przybyłem, żeby się z tobą zobaczyć - odparł.

- Po co? - Na policzkach Frances pojawiły się dwie czerwone plamy. Oczy jej pociemniały.

- Nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego - wyjaśnił. - A nie lubię pozostawiać spraw niedokończonymi.

- Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, lordzie Sinclair - oznajmiła stanowczo. -

Absolutnie nic.

- Mylisz się, Frances. Wyjdź ze mną na spacer. Przejdziemy się do Sydney Gardens.

- Właśnie prowadzę lekcję muzyki - zwróciła mu uwagę.

- Zwolnij dziewczęta - zaproponował. - Będą zachwycone. Czy potem masz jeszcze jakieś zajęcia?

Zanim odpowiedziała, na chwilę zacisnęła usta.

- Nie.

- Więc chodź ze mną na spacer.

- Czy zauważył pan, jaką mamy dzisiaj pogodę? - zapytała. - Znosi się na deszcz.

- Ale jeszcze nie pada. Może w ogóle nie zacznie padać, tak jak w czasie świąt nie spadł śnieg. Weź parasolkę. Nie możesz twierdzić, że jesteś Angielką, skoro boisz się wyjść na dwór z powodu deszczu. Musiałabyś nigdy nie opuszczać domu.

- Nie chcę mieć z panem więcej do czynienia - oświadczyła.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, zniknę w okamgnieniu. Ale myślę, że kłamiesz. Może nawet nie czynisz tego świadomie, tylko po prostu oszukujesz samą siebie.

- Jest pan zaręczony. Panna Portia Hunt...

- Jeszcze nie jestem - zaprzeczył.

- Ale wkrótce pan będzie.

- Przyszłość, Frances, to tylko teoria\* nie fakt. Skąd możemy wiedzieć, co stanie się wkrótce? Teraz nie jestem zaręczony i wiem, że między nami są sprawy, które wymagają wyjaśnienia.

- Nieprawda.

- Jesteś strasznym tchórzem, Frances. - Zaczynał odczuwać frustrację i gniew. Czyżby rzeczywiście zamierzała mu odmówić? Dlaczego tak na nią naciska, skoro wyraźnie widać, że nie chce mieć z nim nic wspólnego?

A jednak był pewien, że pociąga Frances tak samo, jak ona pociąga jego.

- Nie ma nic tchórzliwego w chęci uniknięcia bezsensownego bólu - powiedziała.

- Ja sprawiam ci ból? - Już nie czuł gniewu. Wreszcie przyznała się, że cierpi.

Milczała. Złączyła przed sobą dłonie i spoglądała na niego. Błada i poważna, patrzyła mu prosto w oczy.

- Podaruj mi jeszcze tylko godzinę swojego życia - poprosił. - To przecież niezbyt wiele, prawda?

Zobaczył, że nagle jej ramiona opadły, i zrozumiał, że mu nie odmówi.

- Ale tylko godzinę - zastrzegła. - Pójdę teraz zwolnić Rhiannon Jones oraz powiadomić pannę Martin, że na chwilę wychodzę.

Po jej wyjściu wpatrywał się ponuro w drzwi. Nim się tu zjawił, powinien był się zastanowić, pomyśleć. Ale, do diabła, to jego życie i ma prawo próbować uczynić je satysfakcjonującym.

Z drugiej strony, kiedy miał się zastanawiać? Przecież opuszczając Brock Street, nie miał pojęcia, dokąd się udaje.

A już z pewnością nie wiedział, w jakim celu idzie tam, dokąd idzie.

A może wiedział?

Zapatrzył się w okno, ale nie widział krajobrazu za nim, tylko własne wspomnienia z czasów, gdy jego życie toczyło się bez komplikacji i sprawiało mu wiele satysfakcji.

Cóż, znowu takie się stanie. Już on o to zadba.

Przyrzekł wybrać sobie doskonałą narzeczoną.

A doskonałość ma wiele twarzy.

Ruszyli do Sydney Gardens, po drugiej stronie Sydney Place.

Kręte alejki ogrodu wiły się między wielkimi połaciami zielonych trawników i rzędami rosnących na poboczach drzew, których gałęzie kołysały się na wietrze.

Dzień nie sprzyjał spacerom. Wokół, poza nimi, nie było żywej duszy.

Frances, mimo że ubrała się ciepło, drżała z zimna i miała na sobie ten sam płaszcz, kapelusz i półbuty jak przy ich pierwszym spotkaniu. Czowała się przemarznięta do szpiku kości, nie tyle jednak z powodu chłodu, ile na skutek świadomości, że oto znowu, choć się pożegnali, i to na zawsze, Lucius jest przy niej, a przecież myślała, że wyjechał już do Londynu i więcej go nie zobaczy.

Cierpiała przez cały dzień i nie chciała ponownie tego przeżywać, ale obawiała się, że to nieuniknione.

Czy Lucius wreszcie kiedyś zostawi ją w spokoju?

Czy ona sama zdobędzie się w końcu na wyrzucenie go ze swojego życia?

Z samego rana dostała wiadomość od pani Lund, siostry pana Blake'a. Wraz z mężem zapraszała ją do wspólnego wyjścia do teatru. Oczywiście pan Blake miał im towarzyszyć.

Choć na początku Frances wahała się, ostatecznie odpisała, że się zgadza. Życie musi się toczyć mimo wszystko. Może teraz zdoła wreszcie na dobre pozostawić przeszłość za sobą i skoncentrować się na mężczyźnie, który jest nią naprawdę zainteresowany. Zresztą nie musi jeszcze podejmować żadnych wiążących decyzji. Nie musi nawet spowiadać mu się ze swojej przeszłości. To przecież tylko wyjście do teatru.

Pogratulowała sobie rozsądku, ponownie. A jednak, zaledwie kilka godzin później, zgodziła się na spacer po ogrodzie w towarzystwie Luciusa Marshalla - który wkrótce zaręczy się z panną Portią Hunt.

- Jak na kogoś, kto ma do powiedzenia coś ważnego - zauważyła, przerywając długą ciszę - i kto ma na to tylko godzinę, jest pan zadziwiająco milczący, lordzie Sinclair.

Weszli właśnie na pomalowany jaskrawymi farbami chiński mostek z kunsztownie rzeźbionymi balustradami. Zatrzymali się na nim na chwilę, by spojrzeć w szare wody kanału poniżej. Frances zdawała sobie sprawę, że gdyby okoliczności były inne, napawałaby zmysły urokiem otoczenia, nie zważając na pogodę.

- Czy wierzysz w przeznaczenie, Frances? - zapytał Lucius. Chwilę się zastanawiała.

Czy wierzy?

- Wierzę w zbiegi okoliczności - powiedziała wreszcie. - Wierzę, że czasami wydarzają się rzeczy, których zupełnie się nie spodziewamy, i że jeśli przykują naszą uwagę, mogą na zawsze odmienić nasze życie. Nie wierzę jednak w ślepe przeznaczenie, wobec którego jesteśmy całkowicie bezradni. Bo wtedy wolna wola nie miałaby sensu. Każdy człowiek posiada moc decyzyjną, może powiedzieć „tak” lub „nie”, może coś zrobić albo nie zrobić, może wybrać ten lub inny kierunek.

- A czy wierzysz - pytał dalej - że całe twoje życie doprowadziło cię na tę zaśnieżoną drogę, tak samo jak mnie moje? Nie sądzisz, że to przeznaczenie tak chciało? Czy może był

to zwykły przypadek, że tam na tej drodze tą kobietą byłaś ty, a nie żadna inna, a tym mężczyzną ja?

Przeszedł ją dreszcz niepokoju, kiedy się zastanowiła nad tym, co powiedział. Czy to możliwe, że życie jest tak... przemyślnie?

- Ostrzegano cię, że będzie padać. Mogłeś postanowić nie wyruszać w podróż tego dnia. Ja także od długiego czasu wyczuwałam nadejście śnieżycy i także mogłam zdecydować, że zaczekam, aby sprawdzić, co z tego wyniknie.

- Właśnie! - krzyknął. - Każde z nas mogło przejść się ostrzeżeniami, które zresztą odstraszyły innych podróżnych. Sama widziałaś, że drogi były puste. Nie zastanowiło cię, że nie spotkaliśmy w drodze nikogo innego? Ze w gospodzie nie zatrzymał się nikt poza nami?

Nie, nie zastanowiło. Nigdy o tym nie myślała. Ale teraz wydało jej się to godne uwagi. Pamiętała, że w dniu wyjazdu, kiedy chciała już ruszać, ciotki zatrzymały ją przynajmniej godzinę, nie pozwalając odejść od śniadania. Gdyby wyjechała w czasie, w którym zamierzała wyjechać, zapewne nie spotkałaby Luciusa.

Jakże żałowała, że tak nie uczyniła!

A może wcale nie żałowała?

Poza tym, co takiego on chce jej w ten sposób powiedzieć?

Zeszli z mostka i ruszyli dalej alejką. Lucius nie podał jej ramienia, więc musiała drobić obok niego bez wsparcia. Tak było od samego wyjścia ze szkoły. Odpowiadało jej to, choć wcale nie musiała dotykać towarzysza, by każdym nerwem czuć jego obecność.

Czy to możliwe, że powodem tego, iż Lucius tak ją pociąga - że nie umie o nim zapomnieć, iż w ostatnich dniach jej życie znowu zamieniło się w piekło - jest tylko to, że uprawiała z nim miłość? Była już przecież wcześniej zakochana. Z pewnością kochała Charlesa. Ale nigdy nie czuła się tak jak teraz.

Szli przed siebie w milczeniu. Nadal nikogo nie spotkali. Widać pozostali mieszkańcy Bath mieli więcej rozsądku niż oni.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, znów się zatrzymali, żeby popatrzeć w dół na trawniki, drzewa i wijące się alejki. Po lewej stronie dostrzegli zadaszony pawilon. A trochę dalej sławny labirynt.

Frances słyszała, że ci, którzy boją się do niego wejść, martwiąc się, że się w nim zgubią, mogą otrzymać jego mapę w hotelu Sydney przy parku. Za plecami mieli rząd huśtawek; jedna, poruszana wiatrem, trzeszczała.

Wszystko to świadczyło, że znajdują się w miejscu, w którym należy się bawić i cieszyć. Ona jednak nie odczuwała radości, wręcz przeciwnie. Dokąd też ten spacer ma ich doprowadzić? Prawdopodobnie donikąd.

Denerwowało ją milczenie towarzysza, choć przyrzekała sobie, że tym razem nie odezwie się pierwsza. Podniosła głowę i przekonała, że Lucius przygląda się jej jakoś dziwnie.

Jego słowa zupełnie ją zaskoczyły.

- Czy te huśtawki kuszą cię tak samo jak mnie? - zapytał.

Co?! Przed oczami nagle stanęła jej scena z gospody, z pierwszego poranka, który w niej spędzili, kiedy przy śniadaniu Lucius zaproponował jej lepienie bałwana. Nagle zrozumiała, że to właśnie w tamtej chwili wszystko się zaczęło. Gdyby odmówiła...

Spojrzała na huśtawki. Szerokie drewniane ławeczki zwieszały się z konarów na grubych plecionych linach. Pewnie z powodu usytuowania między drzewami osłonięte są od wiatru. Tylko ostatnia z nich chybotwała się i trzeszczała.

- Nawet bardziej. - Odwróciła się i chwytając skraj płaszcza, ruszyła w stronę najbliższej huśtawki.

Czuła nieprzepartą potrzebę przerwania napięcia między nimi. Cóż lepiej się do tego nadaje niż igraszki na huśtawce?

- Popchnąć cię? - zapytał, sadowiąc się na huśtawce obok.

- Oczywiście, że nie - zawołała, odpychając się od ziemi obydwoma stopami, potem prostując nogi i zginając je, żeby rozbijać huśtawkę. - Założę się, że rozhuśtam się wyżej od ciebie i pierwsza dotknę nieba.

- Och, znowu zawody - mruknął, odbijając się od ziemi. - Czy nikt cię nigdy nie uczył, że damie nie wypada się zakładać?

- To zasada narzucona kobietom przez mężczyzn, którzy po prostu boją się przegranej.

- Ha!

Huśtali się coraz wyżej i wyżej, aż liny trzeszczały w proteście. Brzeg sukni Frances i jej kapelusz falowały na wietrze, pęd powietrza zapierał dech.

- Lii! - wołała, kiedy huśtawka spadała w dół.

- Dokładnie tego słowa mi brakowało! - krzyknął Lucius, mijając ją w przeciwnym kierunku.

Smiali się i krzyczeli niczym para rozentuzjasmowanych dzieciaków, aż w końcu, bez słowa porozumienia, oboje zwolnili tempo, ale pozostali na huśtawkach, które teraz kołysały się lekko tuż nad ziemią.

- Jest tylko jeden problem - odezwał się Lucius. - Nie było nieba, żeby go dotknąć.

- Co? - Odwróciła się do niego z szeroko otwartymi oczami. - Nie czułeś tego? To znaczy, że nie rozhuśtałaś się wystarczająco wysoko. Ja czułam, a więc wygrałam.

- Kłamiesz, Frances Allard, w żywe oczy.

Nie po raz pierwszy wypowiedział do niej te słowa. Natychmiast pamięć podsunęła jej odpowiedni moment z przeszłości. Leżeli wtedy w łóżku, a ona mówiła, że nie jest jej zimno, na co on odpowiedział, że to wielka szkoda, bo bardzo chciał ją rozgrzać.

W takim razie, cała skostniała.

Kłamie pani w żywe oczy, madame. Ale nawet mi się to podoba. Muszę się teraz zastanowić, jak panią rozgrzać...

Co ona tu robi? Dlaczego pozwala przeszłości się powtarzać - bawi się z nim, zakłada, śmieje?

Przecież jeszcze kilka minut temu była w szkole i tłumaczyła Rhiannonie Jones, jak wyczuć nastrój melodii.

- Frances... - zaczął Lucius.

W tej samej chwili na jej policzek spadła wielka kropla deszczu, a kilka innych na płaszcz. Lucius wyciągnął przed siebie dłoń i popatrzył w niebo.

- Do diabła! - zaklął. - Zaczyna padać, a ty, mimo moich rad, nie wzięłaś parasolki.

Musimy się chyba schować w tamtym pawilonie.

Nie mówiąc nic więcej, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę zadaszonego budynku. Kiedy zbiegali w dół, rozległy się grzmoty. Dotarli na miejsce, zdyszani i znowu roześmiani.

Pawilon pomyślany był raczej jako osłona przed słońcem niż deszczem. Miał tylko trzy ściany i spadzisty dach, który wysuwał się kilka centymetrów poza nie. Na szczęście dla nich wiatr wiał od tyłu budynku, w środku więc było sucho. Usiedli na szerokiej ławce pod ścianą i przyglądali się ulewie - mokra zasłona odgradzała ich od parku. Mieli wrażenie, że siedzą za olbrzymim wodospadem.

- Pozostaje mieć nadzieję - rzuciła Frances - że zaraz przestanie padać.

Ich radość gdzieś uleciała. Tu ich samotność była o wiele bardziej wyczuwalna niż w opuszczonym parku.

Lucius objął dłońmi dłoń Frances. Nie patrzyła na niego, starając się nie zwracać uwagi na ciepło jego ręki.

- Frances, uważam, że powinnaś pojechać ze mną do Londynu. Chciała zabrać dłoń, ale trzymał ją w silnym uścisku.

- To było przeznaczenie - stwierdził. - Wypowiedziało się jasno i wyraźnie. I to samo przeznaczenie sprawiło, że spotkaliśmy się ponownie tydzień temu, bo nie wykorzystaliśmy okazji, którą nam dało po Bożym Narodzeniu. Wybacz, że to powiem, Frances, ale miałem do czynienia z wieloma kobietami i nigdy nie żałowałem, kiedy znikwały z mojego życia. Do chwili, gdy poznałem ciebie. Nigdy nie zdarzyło mi się miesiącami tęsknić za kobietą, z którą spędziłem tylko dwa dni.

- Masz takie odczucia - odparła gorzko - bo nigdy wcześniej żadna kobieta ci nie odmówiła. Jesteś przyzwyczajony, że dostajesz to, czego pragniesz.

- Brałem to pod uwagę - przyznał. - Jednak urażona duma, jeśli rzeczywiście o nią chodzi, rzuciłaby mnie w przeciwnym kierunku, w objęcia innej kobiety, u której boku odzyskałbym pewność swojego czaru. Nigdy bym się nie płaszczył przed kobietą, która mnie odtrąciła. Znalazłbym sobie łatwiejszy łup.

- Och, nie wątpię - mruknęła oschle.

- Jestem młody, Frances, nie łysieję, mam wszystkie zęby. Jestem też bogaty i utytułowany, a mój majątek w przyszłości jeszcze się powiększy. Wiele kobiet nie potrafi się oprzeć takiej kombinacji. Ale teraz wszystko to nie ma znaczenia. Jak widzisz, płaszczę się przed tobą.

- Brednie! - Czują, że serce wali jej młotem. Z pewnością usłyszałyby jego stukot, gdyby nie deszcz dudniący w dach pawilonu. - Chcesz mnie tylko zaciągnąć do łóżka, i tyle.

Zaczerwieniła się z powodu własnych, zuchwałych słów.

- Gdyby tak było w istocie, Frances - zauważył - problem by nie istniał, bo miałem cię w łóżku. Czasami jeden raz wystarcza, by zaspokoić pożądanie. A jednak nie jestem usatysfakcjonowany.

Krew w niej zawrzała, ale przecież nie mogła zganić go za uczciwe postawienie sprawy. Zachęciła go do tego własną wypowiedzią.

- Musisz przenieść się do Londynu - powtórzył. - Bath po tygodniu lub dwóch staje się nie do zniesienia.

- Mówisz tak, bo się tu nudzisz. W przeciwieństwie do mnie.

- Powinnaś się przenieść do Londynu, Frances - upierał się - nie tylko ze względu na mnie, ale także ze względu na twój talent. Samo nauczanie muzyki to jego marnowanie.

Powinnaś występować. Gdybyś zamieszkała w Londynie, przedstawiłbym cię odpowiednim ludziom, stałabyś się sławna, zdobyłabyś własną publiczność.



Ogarnięta nagłą paniką, wyrwała rękę z jego dłoni i wstała gwałtownie. Czyżby Lucius pragnął sprzedać jej talent, tak jak to czynił George Ralston? A przy okazji zostałaby jego kochanką, choć zamierza ożenić się z inną. Poczula, że zbiera się jej na wymioty. Czego oczekiwała? Zrobiła krok w stronę wyjścia i zatrzymała się. Wciąż lało.

- Mieszkałam w Londynie i nienawidziłam go - oświadczyła.

- Przyrzekłam sobie, że nigdy do niego nie wrócę. I nie potrzebuję nikogo, kto przedstawiłby mnie odpowiednim ludziom. Jestem szczęśliwa, żyjąc tak, jak żyję. Dlaczego tego nie rozumiesz?

- Zadowolona. Wcześniej mówiłaś, że jesteś zadowolona, Frances. A ja jeszcze raz powtórzę, że nie jesteś typem kobiety, która zaspokoi się zadowoleniem. Jesteś stworzona do namiętności, do szczęścia. Och, także do nieszczęścia. Wyzwanie życia polega na tym, że sięga się po jedno, a na drugim uczy, choćby siły przetrwania. Pojedź ze mną.

- Nie. Och, z pewnością z panem nie pojedę. Pana zdaniem szczęście i seksualne uniesienia to to samo, lordzie Sinclair. Uważa pan, że szczęściu należy się oddawać za każdą cenę. Ale w życiu oprócz fizycznych przyjemności istnieją też inne wartości.

- Choć raz mamy to samo zdanie. Frances, ty nadal sądzisz, że próbuję cię namówić, abyś została moją kochanką, prawda?

- Tak - przyznała, odwracając się do niego. - I jeśli twierdzisz, że tak nie jest, kłamiesz lub oszukujesz samego siebie. Tutaj jestem niezależna. Nie posiadam majątku, ale do nikogo nie należę. I cieszę się wolnością, o której wiele kobiet może tylko marzyć. Nie oddam jej po to, by stać się twoją zabawką i to tylko do czasu, aż się mną znudzisz.

- Moją zabawką?! - powtórzył. - Czy ty w ogóle mnie nie słuchasz? Pragnę pomóc ci wyjść do świata z twoim talentem. Pragnę, byś była szczęśliwa i spełniona. Pozbądź się wreszcie tego przekonania, że jestem hultajem bez zasad. Jasne, pragnę cię fizycznie. Tak.

Ale o wiele bardziej pragnę twego wnętrza.

Powoli pokręciła głową. Chciała, żeby wszystko było proste, by nic jej nie kusilo. Nie podda się temu kuszeniu, jak to się stało w gospodzie przed kilkoma miesiącami. Nie pozwoli, by cokolwiek odciągało ją od postanowienia, że zawsze będzie kierowała się rozsądkiem.

- Nadal mnie nie rozumiesz, Frances? - zapytał. - Proponuję ci, żebyś została moją żoną.

Otworzyła usta do odpowiedzi, zanim nawet zdążył dokończyć zdanie, jednak zamknęła je z głośnym szcęknięciem, gdy usłyszała ostatnie słowa.

- Co takiego?! - krzyknęła.

- Przekonałem się, że nie chcę żyć bez ciebie. Tak się składa, że szukam narzeczonej.

Mój dziadek umiera. Jestem jego dziedzicem, przyrzekłem mu więc, że spełnię swój obowiązek i

ożenie się jeszcze za jego życia. Dopiero dzisiaj do mnie dotarło, Frances, że jesteś doskonałą narzeczoną. Domyślałam się, że twój ojciec miał jakieś powiązania z dworem francuskim, poza tym jesteś spokrewniona z baronem Cliftonem. Naturalnie znajdują się tacy, którzy stwierdzą, że powinienem wybrać sobie kogoś o wyższej randze i o majątku równym mojemu, aleja prawie nigdy nie zwracam uwagi na to, co myślą inni, zwłaszcza gdy w grę wchodzi moja wygoda i szczęście. A dziadek, z którego opinią się liczę, bardzo cię polubił, nie mówiąc już o tym, że poważa i szanuje twój talent. Nie będzie się sprzeciwiał, kiedy się dowie, że nie chcę nikogo oprócz ciebie. Dotyczy to też mojej matki i sióstr: kochają mnie i pragną mojego szczęścia. Wyjdź za mnie, Frances. Niezbyt podoba mi się ta kamienna posadzka, ale padnę na kolana, jeśli sobie tego życzysz. Będiesz mogła potem opowiadać o tym naszym wnukom. - Uśmiechnął się rozbrajająco.

A ona prawie nie mogła oddychać. Brakowało jej powietrza, choć w pawilonie nie było duszno. Wręcz przeciwnie. Nogi jej drżały, lecz gdyby spróbowała wrócić na ławkę, z pewnością potknęłaby się i przewróciła. Stała więc w miejscu.

Lucius chce się z nią ożenić?

- Masz się ożenić z panną Hunt - powiedziała. Uczynił ręką gest zniecierpliwienia.

- To tylko niekonkretne oczekiwania. - Jako dzieci często się widywaliśmy, ponieważ rodzina Portii wielokrotnie bywała w odwiedzinach u moich dziadków. My także odwiedzaliśmy jej rodzinę. I oczywiście wszyscy zawstydzali nas stwierdzeniami, że pewnego dnia będzie z nas para, a już wręcz bezlitośnie dokuczali, gdy nawet raz na siebie spojrzeliśmy. Moja matka uważa wprawdzie, że Portia nie wyszła jeszcze za mąż, choć ma już dwadzieścia trzy lata, tylko dlatego, że czeka na mnie, aleja nigdy nie rozmawiałem z nią o tym ani ona ze mną. Nie mam wobec niej żadnych zobowiązań.

- Portia może myśleć inaczej - zauważyła Frances.

- Nie dałem jej żadnego powodu, żeby czegokolwiek ode mnie oczekiwała. Jestem panem samego siebie i sam dokonuję wyboru. Wybrałem ciebie, Frances, i proszę, abyś została moją żoną.

Zamknęła oczy. Właśnie o takich romantycznych wyznaniach marzyła od trzech miesięcy. Nawet wyobrażała sobie sceny podobne do tej. Ale gdyby kiedykolwiek pomyślała, że naprawdę tak się stanie, byłaby przerażona. Bałaby się, że jej serce nie znieśnie napięcia.

Otworzyła oczy, czując, że kręci jej się w głowie. Jakoś dotarła do ławki. Lucius chwycił obie jej dłonie. Pochylił się i złożył na nich pocałunek.

- Nie mogę wrócić do Londynu - powiedziała.

- W takim razie zamieszkamy w Cleve Abbey. Będziemy mieli liczną rodzinę i żyli w szczęściu do końca naszych dni. Będiesz śpiewała dla wszystkich naszych sąsiadów.

- Dobrze wiesz, że nie potrafiłbyś żyć na wsi. Po odziedziczeniu tytułu zasiądziesz w Izbie Lordów. Nie mogę wrócić do Londynu i do tamtejszego towarzystwa.

- Nie możesz? Czy nie chcesz? - dociekał.

- I to, i to. W twojej propozycji nic mnie nie pociąga.

- Nawet ja? - zapytał, puszcżając jej ręce. Przytaknęła skinieniem głowy.

- Nie wierzę ci - powiedział.

Popatrzyła na niego z nagłym błyskiem gniewu w oczach.

- Na tym właśnie polega pański problem. Nie umie pan przyjąć odmowy, lordzie Sinclair, uwierzyć, że kobieta o zdrowych zmysłach może woleć życie w Bath niż to, które pan proponuje, i że nie pociąga jej wielkomijski świątek.

Obydwie jego brwi się uniosły. Ale wyglądał raczej tak, jakby otrzymał policzek.

- Nie! - Zmarszczył czoło. - To mi nie wystarcza, Frances. Cóż takiego strasznego kryje się w wielkomijskim świątku, że tak bardzo pragniesz go uniknąć? W tym, że zostałąbyś wicehrabiną Sinclair? Nie uwierzę, że czujesz do mnie odrazę. Widziałem cię, czułem, poznałem taką, jaka jesteś, kiedy się nie kontrolujesz. Ta kobieta odpowiadała mi namiętnością dorównującą mojej namiętności. O co chodzi, Frances?

- Nie jestem dla ciebie dobrą partią. Nie dla wicehrabiego Sinclair. Nie zaakceptuje mnie ani twój dziadek, ani matka, ani towarzystwo. I nie chcę już więcej o tym mówić.

Bo też i nie miałyby to sensu. Po co wywlekać historię jej żalosego życia. Wiedziała, że Lucius jest impulsywny. Wątpiła, że przemyślał dogłębnie wszystko, co robił tego ranka.

Lubił dostawać to, czego pragnął, i z jakiegoś powodu teraz akurat zapragnął jej. Nie zechciałby jej wysłuchać, gdyby postanowiła mu o sobie opowiedzieć, tylko nadal by się upierał, żeby za niego wyszła.

A ona po prostu nie może tego zrobić - ze względu zarówno na jej, jak i jego dobro.

Musi odwołać się do zdrowego rozsądku, tak jak to czyniła, z pewnymi wyjątkami, przez ostatnie trzy lata.

I w ten oto sposób traci szansę na szczęście. Nawet Lucius jest przekonany, że ich spotkanie zaplanował sam los - ona jednak odrzuca przeznaczenie, przeciwstawiając mu własną wolę. Zresztą słusznie, bo do czegoż innego służy wolna wola?

Nie zaryzykuje zniszczenia życia sobie i Luciusowi - nie dla kaprysu.

- Nie lubię wielkiego świata i śmietanki towarzyskiej - powiedziała, jakby to mogło być wystarczającym powodem, dla którego odrzuca coś, co mogłoby uczynić jej życie lepszym i piękniejszym, co, jak czuł, pociągają też emocjonalnie. - Ludzie z towarzystwa są sztuczni i nienawistni. Nie takimi osobami chcę się otaczać i dlatego właśnie, całkiem świadomie, przed trzema laty wybrałam Bath.

- Gdybyśmy się wtedy znali, Frances - nie dawał za wygraną - gdybym wtedy zaproponował ci to, co teraz ci proponuję, czy twoja decyzja byłaby inna?

- Zadawanie takich pytań przypomina gdybanie o przyszłości, o czym mówiłeś wcześniej - odparła. - To tylko wyobrażanie sobie, co by było gdyby. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Nie znaliśmy się wtedy.

- A więc zdecydowanie mi odmawiasz? - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Tak.

- Dobry Boże! Jedno z nas musi być szalone, Frances, i obawiam się, że to ja. Czy możesz w takim razie spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że nic do mnie czujesz?

- Nic nigdy nie jest aż tak proste. Ale nie zamierzam niczego deklarować. Nie muszę.

Powiedziałam „nie”. I to wystarczy.

- Na Jowisza, masz rację. - Tym razem to on się podniósł. - Proszę mi wybaczyć, madame, że sprawiłem pani tyle przykrości.

Jego głos nabrzmiał wrogością.

Frances nagle uświadomiła sobie, że wokół nich znowu zapanowała cisza. Słyszała tylko lekki szmer kropel wody kapiących z dachu na nasiąkniętą deszczem ziemię. Ulewa ustała tak samo niespodziewanie, jak się zaczęła.

- Nadal jednak istnieje we mnie ta część - dodał - która z wielką chęcią by cię udusiła, Frances.

Zamknęła oczy i położyła dłoń na ustach, jakby powstrzymując słowa, których później mogłaby żałować. Tak bardzo pragnęła zapomnieć o zdrowym rozsądku i rzucić mu się w ramiona, że zabraniając sobie tego, czuła wręcz fizyczny ból.

Myśli wirowały jej w głowie w chaotycznym tańcu.

Może powinna być bardziej taka jak on - więcej działać, mniej myśleć.

Lecz przecież nie wolno jej przystać na jego propozycję. Nie zrobi tego.

Wstała i wyszła z pawilonu, żeby popatrzeć w niebo. Nadal było pochmurne, padał kapuśniaczek.

- Godzina dobiega końca, lordzie Sinclair. Muszę wracać do szkoły. Nie musi mnie pan odprowadzać.

- Do diabła z tobą, Frances - powiedział miękko.

Były to ostatnie słowa, które do niej wypowiedział. Ostatnie, które od niego usłyszała, myślała, kiedy spieszyła alejką, zapominając o omijaniu kałuż i błota.

Chciał, żeby za niego wyszła.

A ona mu odmówiła.

Bo uważała, że ich małżeństwo nie ma żadnych szans.

Sama miłość by nie wystarczyła.

Jest szalona. Szalona, szalona, szalona.

Przecież jej się oświadczył.

Nie, to wcale nie jest szaleństwo. To zdrowy rozsądek - chłodny, wykalkulowany, bezlitosny rozsądek.

Niemal biegła, nie chcąc dać się złapać kolejnej ulewie. Z jej gardła wydobywało się coś, co przypominało łkanie, a co ona tłumaczyła brakiem tchu.

Lucius zaproponował jej małżeństwo, a ona musiała mu odmówić.

Uczestnictwo w rytuałach związanych z sezonem - bale, rauty, koncerty, teatr, poranne przejażdżki po Hyde Parku i popołudniowe spacerunki po nim oraz setki innych rozrywek tego okresu - wszystko to pomagało Luciusowi zapomnieć o upokorzeniu i broniło przed chandrą, zwłaszcza że większość nocy spędzał w White lub innym klubie dla dżentelmenów, a poranki w sali bokserskiej Jacksona albo na aukcji koni Tattersalla lub w każdym innym miejscu, które odwiedzają panowie, kiedy chcą zapomnieć o dobrych manierach.

Oczywiście zajęcia te bardzo się różniły od tych, do których był przyzwyczajony, poza tym musiał znosić wyrazy sztucznego współczucia i żarty wielu znajomych, którzy nie mogli nie zauważyć, że zamiast w swoich wynajętych kawalerskich pokojach mieszka teraz w Marshall House i uczestniczy w rytuałach związanych z małżeńskim targowiskiem, i którzy, gdyby mieli powiedzieć prawdę, wyznaliby, że cieszą się, iż ich czas jeszcze nie nadszedł.

Tańczył z Emilią na jej pierwszym balu i po dwóch tygodniach z Caroline na jej zaręczynach. Zabierał je obie - a raz czy dwa nawet Amy - na zakupy i spacerunki. Z matką chodził do biblioteki. Wszystkim towarzyszył w teatrze i operze. A nawet, na Boga, pewnego wieczoru zabrał je do Almacka, tego bezbarwnego, ekskluzywnego bastionu wyższych klas, gdzie można tylko tańczyć, opychać się czerstwymi kanapkami i popijać marną lemoniadę, no i oczywiście mizdrzyć się do młodych panien na wydaniu i ich mamusiek, pełnych nadziei na złapanie dobrej partii, które jednak szybko się zorientowały, że ich nadzieje są płonne. Bo zanim jeszcze Lucius zdążył wrócić z Bath do Londynu, obie rodziny, jego i panny Hunt, umówiły się już na spotkania, najpierw na uroczysty obiad w miejskim domu markiza Godsworthy'ego położonym przy Berkeley Square, a następnie, kilka dni później, na podobny obiad połączony z występami w Marshall House. A zaraz kolejnego dnia po jego przyjeździe, podczas wizyty, którą złożył Balderstonom w towarzystwie matki i sióstr, ustalono, że obie rodziny któregoś wieczoru w nadchodzącym tygodniu wybiorą się wspólnie do teatru i zasiądą razem w łożu hrabiego Edgecombe'a.

I zawsze wtedy - obydwie obiady, kurtuazyjna wizyta i teatr - Luciusa sadzano obok panny Hunt. Nawet gdyby byli już zaręczeni, nie mogliby bardziej sprawiać wrażenia, że są parą.

Portia rzeczywiście była piękną kobietą - bardzo piękną. Miała ten typ urody, który z wiekiem rozkwita. Jako młoda dziewczyna o jasnych kręconych włosach, niebieskich oczach i różanej cerze była po prostu ładna. Teraz stała się piękna. Ale nie tylko uroda ją zdobiła, zachowywała się także bardzo dystyngowanie. Jednym słowem: dama w każdym calu.

Wszystko w niej było doskonałe. Na jej twarzy bez skazy nie dałoby się znaleźć najmniejszego pieprzyka czy choćby kilku piegów. Poza tym, sądząc po jej instynktownym poddaniu się prawom obowiązującym w towarzystwie, nie ulegało wątpliwości, że już w dwa lata po ślubie obdarzyłaby małżonka dziedzicem i nawet nie przyszłoby jej do głowy, że pierwsza mogłaby się urodzić córka.

Będzie doskonałą żoną, doskonałą panią domu, doskonałą matką, doskonałą wicehrabiną, doskonałą hrabiną.

Należy koniecznie usunąć słowo „doskonała” z języka angielskiego.

Lucius, udając opanowanie, znosił to wszystko z zaciśniętymi zębami. Popęłił fatalną

- i zupełnie niespodziewaną - pomyłkę, ponieważ się zakochał, ale niestety kobieta droga jego sercu odrzuciła jego awanse. I dobrze. Bo choć dziadek podziwiał Frances Allard jako śpiewaczkę, mógłby nieco się krzywić, gdyby miał uznać ją za przyszłą hrabinę Edgcombe -

nawet pomimo znakomitych koneksji Frances, przynajmniej ze strony ojca.

Od chwili opuszczenia Bath - co uczynił w prawdziwym przygnębieniu - Lucius postanowił zapomnieć o Frances i propozycji, którą złożył jej pod wpływem impulsu.

Ponieważ w święta Bożego Narodzenia dał słowo, że się ożeni, i nie zamierzał go złamać, i ponieważ nie może zaręczyć się z kobietą, której pragnie, oświadczy się Portii Hunt.

Zresztą, myślał, krzywiąc się lekko, nie mógłby lepiej trafić.

Jego matka bardzo kochała swoje dzieci, pragnęła więc, by były szczęśliwe. Przez pierwsze tygodnie po powrocie Luciusa skupiła się głównie na Emily, która szykowała się do prezentacji na dworze i do swojego debiutanckiego balu. Następne dwa tygodnie poświęciła Caroline, ponieważ sir Henry Cobham w końcu podjął decyzję i po wstępnej rozmowie z Luciusem oświadczył się jego siostrze. I oczywiście z powodu zaręczyn w Marshall House musiało się odbyć kolejne przyjęcie.

Gdyby Lucius w tym czasie oświadczył się Portii, odciągnąłby uwagę wszystkich od siostr, co z pewnością zasmuciłoby jego matkę.

Przynajmniej tak sobie tłumaczył swoją opieszałość - przecież starał się podarować rodzinie więcej czasu, uwagi i uczucia, niż to czynił dotąd.

Wiedział jednak, że nie będzie mógł zwlekać w nieskończoność. Złożył przyrzeczenie i nie pozostawało nic innego, jak oświadczyć się i mieć to już za sobą.

Postanowił, że uczyni to następnego dnia po balu Caroline. Zresztą żadna wymówka nie przychodziła mu do głowy. Na dodatek matka zaczęła robić przy nim sugestywne uwagi, a ilekroć wspomiano o Portii - a wspomiano ją co chwila - w oczach dziadka pojawiała się hultajska iskierka.

Z pomocą Jeffreysa i pod jego eksperckim nadzorem ubrał się odświętnie i udał pieszo na Berkeley Square. Okazało się jednak, że lord Balderston jest nieobecny. Za to obecne były panie, jak poinformował kamerdyner, który zapytał też, czy lord Sinclair pragnie się z nimi zobaczyć.

Odparł, że pragnie, choć tak naprawdę tęsknie myślał o swoich przyjaciółach, którzy nie mając podobnych problemów, oddawali się teraz zwykłym dla nich rozrywkom: ćwiczeniom w fechtunku, walce na pięści czy jeździe konnej.

Wprowadzono go do pokoju dziennego, w którym zastał tylko Portię.

- Mama nie zeszła jeszcze na dół. Nadal odpoczywa po wczorajszym balu Caroline -

wyjaśniła, gdy się ze sobą przywitali.

To było zrozumiałe. Bardziej go dziwiło, że Portia już wstała i odświętnie ubrana i uczesana, przyjmuje niespodziewanych gości. Kiedy wychodził z Marshall House, nie widział

ani matki, ani sióstr.

Czyżby wczesne wstawanie to następna z jej cnót?

- Czy zamierzasz po nią posłać? - zapytał. - Czy może zawołasz pokojówkę?

- Nie bądź śmieszny, Luciusie - powiedziała pewnym głosem, wskazując na krzesło.

Sama także usiadła, kładąc na kolanach tamborek z wyszywanką. - Nie jestem młodziutkim dziewczątkiem i we własnym domu nie potrzebuję przyzwoitki. A ty przecież jesteś moim starym przyjacielem.

Rzeczywiście znali się od tak wielu lat, że nawet mówili sobie po imieniu. Ale czy są też przyjaciółmi?

- Domyślam się, że lady Sinclair jest bardzo szczęśliwa - zaczęła Portia. - Jedna jej córka jest już zamężna, a druga zaręczona. No i Emily też doskonale daje sobie radę w towarzystwie. Podobnie będzie z Amy, jeśli tylko nauczy się panować nad swoją egzaltacją.

Mówiąc, dźgała igłą płótno, na którym powstawała wspaniała brzoskwiniowa róża.

- Mam nadzieję, Portio - odparł Lucius - że nigdy się tego nie nauczy. Lubię ją taką, jaka jest teraz.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

- To bardzo niedobrze, że przedwczoraj zabrałeś ją na spacer po parku tak późnym popołudniem. Nie powinna jeszcze pokazywać się w towarzystwie. I nie powinna też tak głośno się śmiać. To zwraca uwagę. Lord Rumford przyglądał się jej przez monokl, a wszyscy znamy jego reputację.

- Kiedy moja siostra znajduje się w moim towarzystwie, nie musi się obawiać rozpustników, Portio. A dziewczęta przed debiutem potrzebują świeżego powietrza i ruchu tak samo jak te po debiucie.

Zdał sobie sprawę, że znowu jest poirytowany. Do diabła, złość wchodzi mu w krew. Na dodatek wiedział, że większość dam w Londynie przyznałaby Portii rację.

A Frances? Bezlitośnie odepchnął od siebie myśl o niej.

- Twoja sympatia dla siostry jest godna podziwu - stwierdziła panna Hunt. - Ale jestem pewna, że nie chciałbyś wyrządzić jej krzywdy ani przyczynić się do jej złej sławy.



Przyglądał się jasnym lokom, zastanawiając się, czy przyszłość będzie wypełniona taką właśnie łagodną krytyką jego poczynań i opinii. Założyłby się o wszystko, że dokładnie to go czeka. Będzie przed tym uciekał, jak większość mężów, na polowania lub do klubów dla mężczyzn.

- Za to postąpiłeś ogromnie miło - ciągnęła Portia - że zabrałeś Amy ze sobą do Bath.

Jej obecność i młodzieńczy wigor musiały sprawiać radość hrabiemu Edgcombe'owi.

- Istotnie - zgodził się. - Ja także cieszyłem się z jej towarzystwa.

- Ale czy było rozsądne - zapytała - zabierać ją na wieczorek muzyczny?

Uniósł brwi. Jednak Portia nie widziała tego, bo nie odrywała wzroku od robótki.

- I na bal w Sali Zgromadzeń? Mama, kiedy Emily jej o tym powiedziała, była zszokowana.

Przyglądając się fryzurze Portii, zauważył, że jej włosy przedzielone są starannie na środku głowy, ale przedziałek szybko ginął pod chmurą wykwintnie ułożonych loków.

Zupełnie inaczej niż u innej znanej mu kobiety...

- Miałeś przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby wynająć dla Amy guwernantkę, choć ona powinna wyperswadować jej tańce.

Ze złości oczy zamieniły mu się w szparki. Wyobrażał sobie, że podchodzi do Portii i jednym ruchem niszczy jej kunsztowną koafiurę.

- Panna Allard była zaproszona niejako osoba do towarzystwa, ale jako specjalny gość hrabiego. A Amy tańczyła, boja się na to zgodziłem.

- Pozostaje nam więc mieć nadzieję - odparła na to Portia - że nie wyrządziłeś jej tym nieodwracalnej krzywdy. Zaproponuję Amy, żeby w trakcie przyszłorocznego debiutu korzystała raczej z moich rad niż twoich.

Bez wątpienia już jako jego żony i bratowej Amy.

- Doprawdy? - burknął.

Portia przestała dziergać i podniosła wzrok.

- Uraziłam cię - zauważyła. - O nic jednak nie musisz się martwić. Kobiety lepiej się orientują w takich kwestiach i chętnie poświęcają im uwagę, dzięki czemu mężowie mogą spokojnie zajmować się swoimi sprawami.

- Innymi słowy hulankami? - zakpił.

Spojrzał na jej policzki, szukając na nich czerwonych plam, ale przypomniało mu się, że Portia nigdy

się nie rumieni - ponieważ, jak przypuszczał, nie miała ku temu powodów.

- Możemy przemilczeć ten temat - odparła spokojnie. - Dama nie powinna się interesować, czym zajmuje się w wolnym czasie jej mąż.

Wielki Boże! Do diabła! Czy zachowałaby niewzruszony spokój, nawet gdyby zdradzał ją od dnia ślubu po sam grób? Domyślał się, że i to by Portii nie poruszyło.

- Przeszedłeś z wizytą, bo chciałeś zobaczyć się z papą? - zapytała.

- Tak - przyznał. - Nie zastałem go, ale spróbuję go zastać innym razem.

- Oczywiście - rzuciła, patrząc mu bez cienia zażenowania prosto w oczy.

Czy ona cokolwiek do niego czuje? Coś poważniejszego? Czy naprawdę chce za niego wyjść? Za niego, a nie za wicehrabiego Sinclaira, przyszłego hrabiego Edgecombe'a?

- Portio - zaczął, mimo że znowu zajęła się wyszywaniem - czy nie odnosisz wrażenia, że tej wiosny nasze rodziny usilnie starają się nas do siebie przekonać?

Ręka z igłą zamarła, ale Portia nie podniosła wzroku.

- Oczywiście - przytaknęła. - Chyba nie uważasz, że powinniśmy się temu opierać?

Serce mu zamarło.

- A więc pragniesz się ze mną związać? - zapytał. Związać się. Cóż za eufemizm!

- Naturalnie.

- Naturalnie? - Uniósł brwi.

- Mężczyźni są tacy nierozsądni. - Przez chwilę patrzyła na niego tak, jakby była jego matką. - Zawsze unikają rzeczywistości. Ale nie da się uciekać przed nią w nieskończoność.

- A więc pragniesz wyjść za mnie za mąż?

No i po wszystkim, powiedział to. Nie mógł już udawać, że rozmowa toczy się na inny temat.

- Oczywiście - odparła. Serce mu zamarło.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlaczego? - Tym razem to Portia uniosła brwi ze zdziwienia. Dłoń z igłą oparła na tamborku, na chwilę o nim zapominając.

- Przecież muszę za kogoś wyjść. A ty jesteś najlepszą partią. Ty też musisz się z kimś ożenić, a ja jestem najlepszą kandydatką na twoją żonę.

- Czy to wystarczający powód? - Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

- To jedyny powód.

- Czy ty mnie kochasz? - naciskał. Wyglądała na zaskoczoną.

- Cóż za nierozsądne pytanie. Ludzie tacy jak my nie pobierają się z tak przyziemnych powodów jak miłość. Pobieramy się ze względu na nasz status, majątek i szlachetne pochodzenie.

- To wszystko brzmi straszliwie nieromantycznie - zauważył.

- Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałam się usłyszeć coś na temat romantyczności - stwierdziła.

- Dlaczego?

- Wybacz mi, ale twoja reputacja nie jest mi całkowicie nieznana, mimo że zawsze chroniono mnie przed wulgarnościami tego świata. Bez wątpienia będziesz chciał zachować swój styl życia, który w moim mniemaniu nie ma nic wspólnego z romantycznością. Dlatego też na pewno nie oczekujesz jej od swojej przyszłej żony. Nie musisz się martwić. Ja także jej nie oczekuję, a nawet sobie jej nie życzę.

- Dlaczego?

- Ponieważ romantyczność jest głupia - odparła. - Ponieważ nie pasuje do ludzi dystyngowanych. Ponieważ to mrzonka, fantazjowanie, uprawiane głównie przez kobiety.

Mężczyźni są mądrzejsi i rzadziej mu się oddają. Co do mnie, po prostu nie wierzę w romantyczną miłość.

Jeszcze przed kilkoma chwilami myślał, że będzie się mógł zgodzić z jej zdaniem.

Może nawet nadal przyznawał jej rację. Skłonność do romantyczności nie przyniosła mu w ciągu ostatnich miesięcy niczego dobrego, za to sprawiła, że stracił spokój ducha.

- A co z namiętnością? - zapytał. - Jej także nie oczekujesz w małżeństwie?

- Z pewnością nie! - odparła, teraz już wyraźnie zaszokowana. - Luciusie, cóż to w ogóle za pomysł!

Popatrzył na nią ponuro. Powróciła do wyszywania, jej dłoń poruszała się zdecydowanie i pewnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem lub zrobiłem coś, co wskazywałoby na to, że pragnę ci się oświadczyć?

Jasne, że zrobił. Przyszedł przecież dzisiaj do jej ojca.

- Nie musiałeś. Doskonale rozumiem, że jesteś niechętny małżeństwu i zwlekasz.

Przypuszczam, że wszyscy mężczyźni zachowują się podobnie w takich okolicznościach.

Rozumiem też, że w końcu każdy robi to, co do niego należy. Poza tym konsekwencje nie są aż tak straszne. Dzięki małżeństwu mężczyzna zyskuje żonę, dom, rodzinę, a to są niezbędne dla dżentelmena składniki wygodnej egzystencji. Ale poza tym jego życie niewiele się zmienia, i zresztą nie musi. Wszystkie te bajki o łańcuchach, którymi żony przykuwają do siebie mężów, i o powrozie na szyi do końca życia, są pozbawione podstaw.

Zastanawiał się, czy Portia jest wyrachowana, czy raczej naiwna i z tego powodu całkowicie pogrążona w ignorancji. Czy znalazłby się taki mężczyzna, który wykrzesaliby w niej iskrę namiętności? Wątpił.

- A więc jesteś zdecydowana za mnie wyjść, tak, Portio? - zapytał ponownie. - Nic nie może cię do mnie zniechęcić?

- Nie umiem sobie niczego takiego wyobrazić - przyznała. - Chyba że mama i papa wycofaliby swoją zgodę. Choć to raczej niemożliwe.

Wielkie nieba, już po nim - tak jakby nie wiedział o tym wcześniej. W końcu z własnej woli pojawił się w domu Portii, czyż nie?

Przeklęta Frances. Niech ją diabli wezmą. Mogła go przed tym uchronić. Wprawdzie zaproponował jej małżeństwo bez zastanowienia i gdy mu odmówiła, ulżyło mu, jednak gdyby stało się inaczej, nie musiałby teraz myśleć, tylko przeżywałby uniesienia, namiętność, tryumf.

Miłość.

Lecz Frances mu odmówiła, a on siedzi przed Portią, czując się jak skazaniec, bo choć jeszcze nie widział się z jej ojcem, po tej rozmowie nie może się już wycofać.

Nagle w saloniku pojawiła się matka Portii - z bardzo zadowoloną miną, choć utyskiwała, że jej mąż musiał akurat tego dnia wybrać się wcześniej do klubu, mimo że zazwyczaj wychodzi do niego długo po śniadaniu.

Całą trójką pogrążyli się w pustej rozmowie, obowiązkowo o pogodzie i zdrowiu obecnych, po czym, kiedy Lucius uznał, że minął już odpowiedni czas, by jego wyjście nie zostało uznane za niegrzeczne, wstał i się pożegnał.

W jakież to bagno zamierza wdepnąć? - zastanawiał się w drodze powrotnej, idąc w stronę sali bokserskiej Jacksona. Włożył rękawice i wyładowuje gniew, okładając kogoś pięściami. A jeszcze lepiej, gdyby to jemu ktoś porządnie przyłożył, choć to i tak niczego by już nie zmieniło.

Portia jest piękna, wytworna, starannie wychowana - po prostu doskonała. Jest też kobietą, której jakoś nigdy nie zdołał polubić, a dzisiejsza rozmowa tylko go w tej niechęci utwierdziła.

Mimo to czuł, że jest do niej przykuty, jakby oświadczyły stały się faktem. Poszedł

przecież zobaczyć się z Balderstonem. Matka Portii i ona sama doskonale znały powód jego wizyty. Poza tym przyrzekł, że wróci, a Portia na to liczyła.

„Spróbuję go zastać innym razem”.

Oczywiście, że spróbujesz.

Znowu ogarnęła go furia.

Miałeś przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby wynająć dla Amy guwernantkę, choć ona powinna wyperswadować jej tańce.

Wynająć guwernantkę!

Frances!

Zacisnął zęby i wydłużył krok. Nie wiedział, co jest silniejsze: pragnienie, by udusić Frances, czy ból poniżenia, że go odrzuciła. A może ból, który czuł na myśl, że już nigdy jej nie zobaczy?

Nie mówiąc o frustracji: Frances wykazała się większym od niego rozsądkiem i dzięki temu uratowała go przed nim samym. Przecież tego dnia, w którym się jej oświadczył, opuszczając dom na Brock Street, nawet nie widział, dokąd się udaje. Nie miał pojęcia, że pójdzie pod szkołę Frances i zechce się z nią zobaczyć.

Ale też opanowanie i spokój nigdy nie były jego zaletami. Działał pod wpływem impulsu i chwili.

Tylko co to ma teraz za znaczenie? I tak znowu utracił Frances Allard.

Doszły mnie słuchy, że do miasta przybyła pani Melford - powiedział hrabia Edgecombe przy śniadaniu. Czuł się tego dnia lepiej niż zazwyczaj, dlatego, chcąc spożyć posiłek w gronie rodziny, wstał wcześniej.

Chociaż raz poprzedniego dnia nie odbyło się żadne późne przyjęcie ani bal, więc przy stole siedzieli wszyscy członkowie rodziny, poza Caroline, która ubiegłego wieczoru wybrała się w towarzystwie sir Henry'ego do Vauxhall i do domu wróciła dopiero po pokazie sztucznych ogni.

- Doprawdy? - zapytała uprzejmie lady Sinclair, zerkając na teścia znad listu, który właśnie czytała.

- Przyjechała z siostrą - dodał hrabia. - Tak rzadko odwiedzają Londyn, że nie pamiętam, kiedy ostatnio je widziałem.

- Aha. - Lady Sinclair wydawała się mało zainteresowana tym tematem, bardziej zaś listem. Lucius z ponurą miną obserwował ją znad swojego talerza.

- Obie panie są kuzynkami barona Cliftona z Wimford Grange - ciągnął hrabia. - Pani Melford debiutowała razem z moją Rebeccą. Przyjaźniły się aż do jej śmierci. Były bardzo ładnymi dziewczynami!

- Aha - powtórzyła wicehrabim, znowu podnosząc wzrok znad listu, trochę bardziej zainteresowana, kiedy już pojęła, że teść mówi o damach, które faktycznie były ich sąsiadkami w Somersetshire.

Lucius też nagle zrozumiał, dlaczego nazwisko Melford wydało mu się znajome.

Podobnie Amy.

- Och, przecież pani Melford i jej siostra to ciotki panny Allard! - krzyknęła. -

Naprawdę przyjechały do Londynu, dziadku?

- A kim jest ta panna Allard? - zapytała Emily. - Podaj mi cukier, Amy.

- Panna Allard to dama, która posiada najpiękniejszy sopran na całym bożym świecie -

wyjaśnił hrabia, przesuwając cukiernicę w stronę wnuczki. - Wcale nie przesadzam.

Słyszeliśmy, jak śpiewa, kiedy byliśmy w Bath.

- Och - mruknęła Emily, mieszając łyżeczką w filiżance. - To ta nauczycielka. Już sobie przypominałam.

- Chyba nie będzie dzisiaj padało? - zapytała wicehrabina, patrząc w okno. - Byłabym bardzo niezadowolona. Mam ochotę wybrać się na zakupy.

- A ja pewnie po południu odwiedzę te damy - powiedział hrabia, a potem zachichotał.

- To wielka przyjemność spotkać się z osobami prawie tak samo wiekowymi jak ja.

- Jeśli pozwolisz, sir, z chęcią dotrzymam ci towarzystwa - zaproponował Lucius.

- Ty, Luce?! - Emily popatrzyła na brata ze zdumieniem i wybuchnęła śmiechem. -

Chcesz z własnej woli towarzyszyć dziadkowi w odwiedzinach u dwóch starych dam, choć mama twierdzi, że łatwiej jest wyrwać ząb niż wyciągnąć cię na kurtuazyjne wizyty?

- Starszych, Emily - zwróciła j jej ostro uwagę matka. - U dwóch starszych dam.

- Ja też chcę iść - zawołała Amy z entuzjazmem. - Mogę, Luce? Mogę, dziadku?

- Cóż, ja z wami nie idę - zadeklarowała Emily. - Wolę zakupy z mamą.

- Nikt cię o to nie prosił, Em - zauważyła Amy. - Poza tym pani Melford i jej siostra to ciotki mojej znajomej, a nie twojej. Bardzo chcę je poznać.

Później, przygotowując się do wyjścia, Lucius długo się zastanawiał, dlaczego zapragnął towarzyszyć dziadkowi. Emily mówiła prawdę, wspominając o jego awersji do kurtuazyjnych wizyt. A te damy, do których się udawali, z pewnością są już w bardzo podeszłym wieku. Bez wątpienia rozmawiać będą z hrabią o zdrowiu i wspominać odległą przeszłość, a on już po kilku minutach będzie musiał się szczypać, żeby nie zasnąć.

Czy idzie tam, ponieważ znajome dziadka spokrewnione są z Frances? Jeśli tak, to bardzo głupi powód.

Ale czy istnieje jakiś inny?

Okazało się jednak, że wcale się nie nudził. Pani Melford, dama niskiego wzrostu, okrągłutka, o uśmiechniętej twarzy, nadal noszącej ślady urody, o której wspominał hrabia, była zachwycona spotkaniem z mężem dawnej przyjaciółki oraz faktem, że wnuki hrabiego chciały mu towarzyszyć w odwiedzinach. Rzeczywiście opowiadała o przeszłości, jednak czyniła to z wielkim humorem, rozśmieszając Luciusa i Amy do łez.

- Ale nie ma nic bardziej zniechęcającego dla młodych - stwierdziła w końcu - jak dwójka starych ludzi rozprawiających o przeszłości tak dalekiej, że nawet mnie wydaje się ona historią z innego życia. Lepiej ty opowiedz mi coś o sobie, dziecko - zwróciła się do Amy.

A ona natychmiast opowiedziała o swoim ostatnim tryumfie - wizycie w Bath, gdzie mogła wziąć udział w wieczorku muzycznym i usłyszeć śpiew panny Allard i gdzie po raz pierwszy występowała w roli gospodyni, gdy panna Allard pojawiła się w wynajętym mieszkaniu hrabiego, zaproszona na podwieczorek. Nie zapomniała oczywiście o balu w Sali Zgromadzeń, na którym jej towarzyszką była także panna Allard, w roli specjalnego gościa hrabiego.

- Bardzo ją polubiłam, madame - wyznała Amy, spoglądając z rozpromienioną twarzą na panią Melford. - Traktowała mnie jak dorosłą.

- Bo jesteś już dorosła, dziecko. Mimo że nie miałaś jeszcze swojego debiutu. Założę się, że nie możesz się doczekać. Wiesz? Jesteś bardzo podobna do swojej babki, zwłaszcza usta i podbródek. Kiedy pojawiła się w towarzystwie, cały świat się w niej żako chał. Zapytaj dziadka. On przecież też padł ofiarą jej uroku.

- To prawda - potwierdził hrabia. - Zaciągnąłem ją przed ołtarz już po sześciu tygodniach znajomości, obawiając się, że pozna kogoś, kto bardziej się jej spodoba.

- Dobrze pan wie, że poza panem bożego świata nie widziała - rzuciła ze śmiechem pani Melford. - Ale to zadziwiające, że będąc w Bath, poznaliście Frances. Nie wiedziałam, że znowu śpiewa. Żałuję, że nas tam nie było i nie mogliśmy jej usłyszeć.

Mówiła o kuzynce z wyraźną sympatią.

To jej dom opuściła Frances w dzień burzy śnieżnej, pomyślał Lucius. To w jej starodawnym powozie podróżowała. I to jej woźnica powoził.

- Jestem zdumiony - ciągnął hrabia - że nikt nie poznał się na talencie panny Allard, kiedy mieszkała w Londynie.

- O ile nam wiadomo, ktoś się na nim poznał - powiedziała pani Melford. - Jej ojciec zawsze dbał, żeby miała najlepszych nauczycieli śpiewu. Oboje, ona i on, marzyli, że któregoś dnia Frances zostanie wielką pieśniarką. Niestety, biedak zmarł nagle, a Frances zamieszkała z lady Lyle. Proponowałyśmy jej, żeby przeniosła się do nas, ale nie chciała.

Dochodziły nas jednak słuchy, że ktoś zajął się wtedy jej karierą i że występowała. Byłyśmy przekonane, że wcześniej czy później usłyszymy, iż jest sławna, lecz całkiem niespodziewanie napisała do nas z Bath, informując, że pracuje jako nauczycielka w szkole panny Martin. Dobro Frances bardzo leży nam na sercu, dlatego ucieszyliśmy się, kiedy w te święta powiedziała nam, że jest bardzo zadowolona z drogi, którą dla siebie wybrała.

Lady Lyle? Lucius uniósł brwi, ale niczego nie skomentował.

- Ja także, pozwalając sobie na impertynencję, pytałem ją, dlaczego nie chce zachwycać świata swoim przepięknym głosem, lecz panna Allard zapewniała, że jest szczęśliwa, robiąc to, co robi - wyznał hrabia.

- Ja i Gertrude myślimy o niej prawie jak o córce. Los nie pobłogosławił mnie potomstwem, a Gertrudę nigdy nawet nie wyszła za mąż. Dlatego Frances jest naszym oczkiem w głowie - oświadczyła pani Melford.

Na wspomnienie drugiej z dam hrabia zapytał o jej zdrowie i o powód, dla którego nie zaszczyciła ich swoją obecnością. Pani Melford wyjaśniła, że siostra nie może dojść do siebie po grypie, której nabawiła się w czasie podróży do miasta. A ponieważ ma słabe płuca, nawet najbliższe



przeziębienie bardzo je obie martwi.

- Chociaż pociesza nas to, że w Londynie mamy dostęp do najlepszych lekarzy -

dodała.

- Bez wątpienia przydałby się jej dobry lek tonizujący - stwierdził hrabia. - Coś, co by ją rozweseliło. Musi pani, madame, poprosić lekarza, żeby przepisał jej coś odpowiedniego. A ja polecałbym wody źródlane w Bath. Być może jednak siostra jest zbyt słaba, aby odbyć taką podróż.

- Niestety, chyba tak - przyznała pani Melford. - Lecz zapamiętam sobie pańską radę.

W tym momencie, pod wpływem impulsu, zapominając o zdrowym rozsądku, odezwał się Lucius.

- Proszę wybaczyć, madame, ale wydaje mi się, że pannie Driscoll najlepiej poprawi humor spotkanie z kuzynką.

Pani Melford westchnęła.

- Na pewno ma pan rację, lordzie Sinclair. Obie byłybyśmy tym zachwycone. Jednak Gertrudę musi najpierw poczuć się znacznie lepiej, żebyśmy mogły wybrać się do Frances.

- A może panna Allard mogłaby przyjechać do Londynu? No i co ty knujesz? - zapytał

sam siebie w duchu. Przecież nawet się nie zastanowiłeś.

- Och, ale Frances będzie miała wolne dopiero w lecie - odparła panna Melford. -

Jestem pewna, że przełożona nie puści jej teraz ze szkoły.

- Nawet ze względu na zdrowie ukochanej ciotki? - zdziwił się Lucius. - Gdyby panna Allard dowiedziała się, że panna Driscoll poważnie się rozchorowała i nawet pomoc londyńskich lekarzy nie wpływa na poprawę jej zdrowia, bez wątpienia poprosiłaby o tydzień lub dwa urlopu, a panna Martin by go jej przyznała.

- Tak pan myśli? - Pani Melford wydawała się podniecona.

- Miło z pana strony, lordzie Sinclair, że tak się pan przejął stanem mojej siostry.

Dziwię się, że sama wcześniej nie wpadłam na ten pomysł. Jej odwiedziny na pewno podniosą Gertrudę na duchu. Frances zawsze wprowadza do naszego życia powiew świeżości.

- Och! - zawołała Amy, klaszcząc w dłonie. - Mam nadzieję, że pośle pani po nią i że panna Allard tu przyjedzie. Wtedy będę mogła znowu ją zobaczyć. Poproszę Luce'a, żeby mnie do pań przyprowadził.

- I może nawet - wtrącił się hrabia z uśmiechem - panna Allard zechce zaśpiewać dla panny Driscoll, a ja się wproszę i także znowu jej posłucham. Nie wyobrażam sobie lepszego lekarstwa.

- Zrobię tak - zdecydowała starsza pani, klaszcząc w dłonie.

- Pewnie trudno jej będzie wyrwać się ze szkoły w środku semestru, ale jeśli nie zapytam, nie będę wiedziała, prawda? Z wielką radością zobaczą się znowu z Frances, a dla Gertrudę jej wizyta będzie prawdziwym zbawieniem.

- Może, madame - dodał Lucius, posyłając staruszce uroczy uśmiech - powinna pani zaznaczyć w liście, że to pani wpadła na pomysł sprowadzenia jej do Londynu.

- A czyż tak nie było? - Oczy damy błysnęły wesoło.

I co to wszystko ma oznaczać? - zastanawiał się Lucius do końca wizyty i po wyjściu.

Dlaczego postanowił wykorzystać okazję, żeby ściągnąć Frances do Londynu?

Czy naprawdę chce ją znowu zobaczyć?

A nawet jeśli, to w jakim celu? Czy nie wyraziła się jasno podczas ich ostatniej rozmowy? Czy z jej powodu nie dość cierpiał, nie doznał wielkiego upokorzenia?

Co też, na Boga, chce osiągnąć?

Przecież nie dalej jak poprzedniego dnia odwiedził dom na Berkeley Square, żeby omówić z przyszłym teściem sprawę małżeństwa z jego córką - tyle tylko, że go nie zastał.

I nie poszedł tam ponownie tego poranka.

Czy pójdzie jutro?

Bardzo możliwe, że Frances nie przyjedzie do Londynu.

A jeśli nawet przyjedzie, co z tego? Zjawi się, aby pomóc schorowanej ciotce, a nie jemu.

Jednak jeśli przyjedzie, myślał, zaciskając zęby ze złości, bo w rozważaniach przeszkadzała mu paplanina siedzącej w powozie obok dziadka Amy, z pewnością postara się z nią zobaczyć.

Ich historia się jeszcze nie skończyła.

Na Boga, wcale się nie skończyła.

Przynajmniej nie dla niego.

Na tym właśnie polega pański problem. Nie umie pan przyjąć odmowy, lordzie Sinclair.

Ależ oczywiście, że umie. Przecież bez przerwy godzi się z przeciwnościami. Tylko jak ma przyjąć odmowę Frances, skoro jest przekonany, że tak naprawdę pragnie ona powiedzieć „tak”?

Nie rozumiał, dlaczego Frances nie chce się do tego przyznać.

Peryferie Londynu nigdy nie były atrakcyjnym miejscem. W czasie deszczu wyglądały okropnie, a kiedy wiało, latające po ulicach śmieci zbierały się w cuchnące kupki przy krawężnikach.

Frances czuła, że boli ją każda kosteczka. Drogę z Bath do Londynu pokonała w jeden dzień mało wygodnym powozem ciotek, z Thomasem na koźle. Doskwierał jej też ból głowy.

Mimo że wszystkie okna były szczelnie pozamykane, zmarzła.

Nie myślała jednak ani o widokach za oknem, ani o niewygodzie - ani nawet o tym, że znowu znalazła się w Londynie. Zresztą nie przyjechała tu dla rozrywki lub dla wykwintnego towarzystwa. Nikt się nawet nie dowie ojej przyjeździe.

Przyjechała, bo ciotka Gertrudę umiera. Wprawdzie ciotka Martha nie użyła dokładnie tych słów, ale wnioski same się nasuwały. Błagała Frances o przyjazd, mimo że zdawała sobie sprawę, że jest środek semestru. Zaznaczyła wszakże, że gdyby ta jednak nie dostała urlopu, nie powinna się tym zamartwiać. Dla Frances był to oczywisty sygnał, iż jej obecność w Londynie jest bezwzględnie konieczna. Ciotka zamiast wysłać list pocztą, wysłała z nim Thomasa, który przybył do Bath starym powozem - „dla wygody, gdyby udało ci się uzyskać urlop”, dopisała staruszka w postscriptum.

Claudia zgodziła się na wyjazd Frances, zanim ta zdążyła do końca wszystko wyjaśnić, zapewniając, że znajdzie kogoś, kto ją zastąpi. Anne uściskała ją bez słów, Susanna pomogła przy pakowaniu, a pan Huckerby zaproponował, że poprowadzi za nią próby chóru.

Uczennice błagały, żeby szybko wracała.

Frances, czytając list w obecności przyjaciółek, zalewała się łzami.

- Niby to tylko dalekie krewne - mówiła. - W dzieciństwie niewiele z nimi przebywałam, a i teraz mało się kontaktujemy, tyle że co miesiąc piszę do ciotek listy. Ale gdy dowiaduję się, że mogę stracić jedną z nich, widzę, jak wiele zawsze dla mnie znaczyły i jak bardzo zależy mi na ich miłości i życzliwości. Po śmierci ojca z bliskich osób tylko one mi zostały. Bardzo je kocham.

To właśnie o nich myślała z wielkim przygnębieniem przed trzema laty, kiedy lady Fontbridge postawiła jej ultimatum. To głównie z powodu ciotek przyrzekła, że opuści Londyn i nigdy do niego nie wróci. Nie zniosłaby, gdyby ciotki o wszystkim się dowiedziały.

Ich świat ległby wtedy w gruzach.

- To oczywiste, że je kochasz - powiedziała ze zrozumieniem Claudia. - Zostań u ciotek tak długo, jak będziesz musiała, Frances. Na pewno będziemy za tobą tęskniły, łącznie z dziewczętami, ale nikt nie jest niezastąpiony. Świadomość tego uczy pokory.

Tak więc zjawiała się ponownie w Londynie, chora z niepokoju. Ciotka Gertrudę zawsze była słabego zdrowia; unikała świeżego powietrza i na okrągło przesiadywała w domu przy ciepłym kominku. Ale Frances nigdy dotąd nie przyszło do głowy, że mogłaby ją stracić.

Kiedy powóz zatrzyma! się przed szacownie wyglądającym budynkiem przy Portman Street, z

niecierpliwością czekała, aż Thomas otworzy drzwiczki i rozłoży schodki. Zaraz potem pobiegła do drzwi wejściowych, które otworzyły się, jeszcze zanim do nich dotarła.

Wpadła do wyłożonego kafelkami holu i rzuciła się w objęcia ciotki Marthy.

- Frances, moje kochanie - zawołała starsza pani, promieniejąc radością. - A więc przyjechałaś! Już straciłam nadzieję, że uda ci się wyrwać. I tak pięknie wyglądasz! Zresztą jak zawsze.

- Ciociu Martho! - Frances wyściskała staruszkę. - Jak się czuje ciocia Gertrudę? -

Prawie bała się zadać to pytanie, choć od razu z wielką ulgą zauważyła, że ciotka nie jest odziana w czerń.

- Dzisiaj trochę lepiej, pomimo wilgoci w powietrzu. Nawet wstała z łóżka i zeszła do salonu. Ale będzie zaskoczona, kiedy cię zobaczy. Sama nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś, i to tylko dlatego, że cię o to poprosiłam. Mam nadzieję, iż panna Martin nie wyrzuciła cię za to ze szkoły?

- Ależ skąd, udzieliła mi urlopu - wyjaśniła Frances. - A więc ciocia Gertrudę czuje się lepiej? Ona nie...

- Och, moje biedactwo. - Ciotka Martha ujęła ją pod ramię i poprowadziła w stronę schodów. - Chyba nie wyobrażałaś sobie najgorszego? Nic poważnego jej nie groziło. Po prostu długo była przeziębiona i z tego powodu straciła dobry nastrój. Obie go straciłyśmy.

Dlatego też pomyślałam, moja kochana, przyznam, bardzo egoistycznie, że twoja wizyta to dla nas najlepsze lekarstwo.

A więc ciotka Gertrudę nie leży na łożu śmierci? To najwspanialsza wiadomość z możliwych. Ale Frances od razu pomyślała też o kłopotach, na które naraziła Claudię swoim nagłym wyjazdem w środku semestru - i o zamieszeniu w harmonogramie zajęć szkolnych.

Wzruszyła się jednak, słysząc, że jej obecność tak wiele znaczy dla ciotek. Przynękała sobie, że nigdy więcej nie będzie o nich zapominała. Poza tym cieszyła się, że może znowu je widzieć. Poczwała, że łzy napływają jej do oczu, więc szybko zamrugwała, pragnąc je powstrzymać.

Kiedy znalazły się wreszcie w salonie, w którym było duszno i bardzo ciepło, bo w kominku płonął ogień, zapanowała wielka radość. Ciotka Gertrudę, owinięta grubym szalem i z kocem na kolanach, na widok kuzynki zrzuciła oba przykrycia, zadziwiająco żwawo skoczyła na równe nogi i do niej podbiegła. Ścisnęły się i całowały na środku pokoju, a ciotka Martha biegała wokół, opowiadając z podnieceniem o swoim pomysle, który od czterech dni utrzymywała w tajemnicy, pragnąc oszczędzić siostrze rozczarowania, w razie gdyby Frances nie mogła przyjechać.

Później, usiadłszy na krześle z filiżanką herbaty w ręce i talerzykiem z ciastem -

prosiła o jeden kawałek, ale ciotka Martha nałożyła jej aż trzy - na kolanach, Frances poczuła, że wreszcie może się odprężyć. Wiedziała już, że choć ciotka Gertrudę nie czuje się najlepiej, to jednak nic poważnego jej nie zagraża. Przez chwilę dokuczało jej poczucie winy z powodu opuszczenia

szkoły, ale potem wytłumaczyła sobie, że przecież wyjeżdżając, nikogo nie chciała oszukać, poza tym jej obecność rzeczywiście wydawała się dobrze wpływać na starsze panie. Gawędziły z nią wesoło i nawet nie zauważyły, że ogień w kominku znacznie przygasł.

Nieco senna, postanowiła, że spędzi z nimi jakiś tydzień, bez poczucia winy, a po powrocie do szkoły swoją nieobecność odrobi dodatkową pracą.

Może nawet odwiedzi ciotki w lecie. Zdała sobie sprawę, że starsze panie naprawdę jej potrzebują - a ona ich.

- Kilka dni temu złożyło mi wizytę kilkoro twoich znajomych, Frances -

poinformowała w pewnej chwili ciotka Martha, uśmiechając się do niej szeroko. - Biedna Gertrudę leżała wtedy w łóżku i nie mogła się z nimi spotkać, ale to nic straconego, bo z pewnością jeszcze nieraz ich do siebie zaprosimy.

- Och? - Frances z ciekawością spojrzała na nią, zarazem czując w żołądku lekkie drżenie. Ktoś, kto ją zna, wie już o jej przyjeździe do Londynu?

- Z wizytą przyszedł hrabia Edgecombe - wyjaśniła ciotka. - Jego zmarła żona i ja przyjaźniłyśmy się w młodości. Hrabiego także zawsze bardzo sobie ceniłam. Miło z jego strony, że zechciał mnie odwiedzić.

Serce Frances natychmiast się uspokoiło. A tak, oczywiście. Przypomniała sobie, że hrabia wspominał o tym, że zna się z ciotką Martha. Nie przyszło jej jednak do głowy...

Tylko że ciotka mówiła nie o jednym, a kilkorgu znajomych.

Użyła liczby mnogiej.

- Przyprował wnuka i jedną z wnuczek - ciągnęła staruszka. - Wicehrabiego Sinclaira i Amy Marshall. To wspaniali młodzi ludzie. I tak bardzo podziwiali twój śpiew, Frances. Oczywiście, wcale się im nie dziwię.

- A ja się dziwię, że nie jesteś jeszcze sławna - wtrąciła druga dama.

Serce Frances kołatało nerwowo. Miała wrażenie, że spełniają się jej najgorsze koszmary. Musi jakoś przekonać ciotki, żeby nie zapraszały Marshallów do siebie. Nie zniosłaby ich widoku.

Nie zniosłaby jego widoku.

Dobry Boże, po co on w ogóle odwiedził jej ciotki? Może na prośbę dziadka?

- Słyszałam, że towarzyszyłaś hrabiemu i jego wnuczce na balu w Sali Zgromadzeń -

dodała ciotka Martha, wciąż uśmiechając się do niej. - Ucieszyłam się, kochanie, że znowu zaczęłaś korzystać z życia. Obie zawsze uważałyśmy, że jesteś zbyt młoda i zbyt ładna, żeby zakopać się w

szkole bez szansy na spotkanie przyszłego męża.

- Och - jęknęła Frances, zmuszając się do uśmiechu. Dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na stół. - Jest mi dobrze, ciociu Martho. Poza tym mam już narzeczonego.

I rzeczywiście. W ciągu miesiąca widziała się z panem Blakiem kilkakrotnie; raz wybrała się z nim, jego siostrą i jej mężem do teatru, drugim razem została przez nich zaproszona na uroczysty obiad. Dwukrotnie też, już tylko w towarzystwie doktora Blake'a, udała się na mszę do Bath Abbey, po której odprowadził ją do szkoły i to okrężną drogą. Nie mogłaby nazwać tego, co się między nimi działo, zalotami, ale to ją cieszyło. Odpowiadało jej, że zaczynają od przyjaźni, która z czasem może - choć nie musi - przejść w cieplejsze uczucia.

- A ja chciałabym wiedzieć - ciotka Martha pochyliła się do niej, jej oczy iskrzyły się wesołością - czy tańczyłaś na balu z wicehrabią Sinclairem?

Frances poczuła, że się rumieni, co ją zirytowało.

- Tak. Był wobec mnie bardzo uprzejmy. Na bal zaprosił mnie hrabia, którego namówiła do tego jego wnuczka Amy, a wicehrabia był tak greczny, że po zatańczeniu z siostrą poprosił do tańca także mnie.

- Nie mówiłaś mi, Martho - wtrąciła się druga dama - a ja nie pytałam, czy wicehrabia Sinclair jest młody i przystojny?

- Jak również bardzo czarujący - oświadczyła pani Melford, wymieniając z siostrą znaczące spojrzenie. - No, ale powiedz nam, kochanie, czy zatańczyliście ze sobą tylko jedną rundę, czy może dwie?

- Dwie - wyznała Frances, przerażona kierunkiem rozmowy. - Ale...

- Dwie! - Ciotka Martha z ożywieniem klasnęła w dłonie. - Wiedziałam. Od razu się domyśliłam, że jest tobą zachwycony.

- Frances! To wspaniale! - krzyknęła ciotka Gertrudę, pochyliła się do przodu, znów zapominając o szalu, który zsunął się jej z pleców i opadł na krzesło. - Wicehrabim Sinclair!

To mi się podoba.

One się z nią drocą! Obydwie duszą się od hamowanego śmiechu.

- Niestety, obawiam się, że jesteście w wielkim błędzie - odparła swobodnym tonem. -

Wicehrabia Sinclair zamierza ożenić się z panną Portią Hunt.

- Tą dziewczyną Balderstonów? - mruknęła ciotka Martha. - Jaka szkoda! Choć Portia pewnie myśli inaczej. Lord jest bardzo przystojny, Gertrudę. Ale może nie wszystko stracone.

W czasie wizyty żaden z gości nie wspominał nic o zaręczynach i nie widziałam też żadnych obwieszczeń w prasie, choć czytam ją każdego poranka. No i wyglądało na to, Frances, że lord jest tobą zainteresowany, chociaż oczywiście nie powiedział tego otwarcie. Gdyby nie on, chyba nie wpadłabym na pomysł ściągnięcia cię do Londynu.

- Słucham? - Frances wpatrywała się w ciotkę oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

- On to zasugerował - wyjaśniła dama z przebiegłym uśmiechem. - I choć to bardzo miłe z jego strony, że tak się przejął samopoczuciem dwóch staruszek, coś mi mówi, że podsunął mi ten pomysł także z innych powodów. Moim zdaniem, Frances, lord pragnie cię zobaczyć.

- A więc ściągnięcie tu Frances było pomysłem wicehrabiego Sinclaira? - zdumiała się ciotka Gertrudę. - Już go lubię, Martho, mimo że jeszcze go nie widziałam. Chyba ten młodzieniec wie, czego chce, i wie, jak to zdobyć. Musimy go zaprosić na kolację, wraz z siostrą i hrabią Edgecombe'em, oczywiście. W końcu przyjechałyśmy do Londynu po tak długim czasie właśnie po to, żeby spotykać się ze znajomymi, a choć upłynęły trzy tygodnie, z nikim się jeszcze nie widziałyśmy, przynajmniej ja się nie widziałam. Pora to zmienić.

Czuję się już sto razy lepiej. Och, kochana Frances, wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Frances przyglądała się staruszkom bez słowa.

To wszystko jego sprawka?

To on podsunął ciotkom pomysł zwabienia jej do Londynu?

Dlaczego?

Czyżby jeszcze się nie zaręczył?

- Ale my tu paplamy - zauważyła ciotka Martha, wstając - a ty pewnie jesteś zmęczona po podróży, Frances. Wyglądasz trochę blado. Chodź, moja droga. Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Musisz odpocząć. Porozmawiamy podczas kolacji.

Frances pochyliła się nad drugą ciotką, ucałowała ją w policzek, po czym udała się do miłej sypialni na piętrze, którą ciotki przygotowały na jej przyjazd.

Kiedy została sama, położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit.

Lucius był w tym domu.

Podpowiedział ciotce, żeby po nią posłała. Może nawet podsunął jej pomysł, żeby w liście opisała stan zdrowia Gertrudę z przesadą, tak aby Frances przejęła się wiadomością i zrobiła wszystko, żeby uzyskać zwolnienie ze szkoły. Taka przebiegłość i kręctwo bardzo do niego pasują.

Jak on śmiał!

Czy nie potrafi pogodzić się z odmową? Nie może zostawić jej w spokoju?

A może nadal pragnie się z nią ożenić? Ale przecież, kiedy oświadczył się jej w Sydney Gardens, uczynił to wyłącznie pod wpływem impulsu. Nie miała co do tego cienia wątpliwości. Była przekonana, że kiedy później się nad tym zastanowił, odczuł ulgę, że mu odmówiła.

I choć od ich ostatniego spotkania minął cały miesiąc, nadal serce kurczyło jej się z bólu, ilekroć tylko wspominała, jak z nim tańczyła, dotykała go, całowała, rozmawiała i sprzeczała - a na koniec odrzuciła jego oświadczenia!

Wciąż była w nim głęboko, beznadziejnie zakochana.

Już od świąt. I to uczucie tak uparcie nie chciało jej opuścić.

Może dlatego, że Lucius tak uparcie nie chciał od niej odejść.

I ponownie zwabił ją do siebie, na dodatek wykorzystując jej ciotki.

Ale po co?

Nie знаła bardziej irytującego, bezczelnego, zarozumiałego mężczyzny. Umyślnie starała się przywoływać w pamięci wszystkie jego wady. Przypominała sobie jego aroganckie zachowanie na drodze, kiedy spotkali się w czasie burzy śnieżnej.

Niestety wraz z tymi wspomnieniami pojawiały się inne sceny: rzucał w nią śnieżkami, roześmiany, pchnął ją na ziemię i łapiąc za nadgarstki...

Westchnęła ciężko i mimo że tego nie chciała, zapadła w sen.



Lord Balderston zabrał na kilka dni żonę i córkę na wieś w związku z urodzinami jakiegoś ich dalekiego krewnego. Tak więc z uczuciem ulgi, że mógł na jakiś czas odroczyć spotkanie z przyszłym teściem, Lucius wybrał się pewnego dnia z samego rana na przejażdżkę konną w towarzystwie trzech przyjaciół. Nie psuło mu humoru nawet to, że z szarego nieba padał nieustannie kapuśniaczek. Więcej, miał z tego korzyść, ponieważ pola Rotten Row były prawie puste, mógł więc wraz z kolegami galopować po nich do woli, nie narażając przy tym na wypadek innych mniej zręcznych jeźdźców. Po powrocie do domu, kiedy przebierał się do śniadania, nie musiał się też zastanawiać, gdzie powinien się udać po posiłku. Przecież nawet gdyby chciał, nie miał po co iść na Berkeley Square.

Tylko hrabia i Amy już wstali. Reszta rodziny spała jeszcze, odsypiając bal z poprzedniego wieczoru, w którym na szczęście Lucius nie musiał uczestniczyć. Zadowolony potarł dłonie, przyglądając się potrawom wystawionym na pomocniku. Umierał z głodu.

Niestety Amy aż paliła się, żeby mu coś powiedzieć, i wcale nie zamierzała czekać, aż brat dokona wyboru i zasiądzie za stołem.

- Luce - zaczęła. - Zgadnij, co się dzieje.

- Naprowadź mnie jakoś - poprosił. - Nie, sam zgadnę. Spałaś dziesięć godzin i teraz, ponieważ energia cię rozsadza, zastanawiasz się, jak mogłabyś ją spożytkować, oczywiście ze mną w roli twojego niewolnika.

- Nie, głuptasie! Dziadek właśnie dostał od pani Melford zaproszenie na jutrzejszy wieczór na kolację. Ja też jestem zaproszona. Mama chyba się temu nie sprzeciwi, jak sądzisz? Musisz się za mną u niej wstawić. Ty i dziadek.

- Nie przypuszczam, żeby zamierzała ci zabronić - odparł ostrożnie. - Pod warunkiem że to prywatna kolacja.

- Och, ty też jesteś na nią zaproszony - dodała dziewczyna. Tego właśnie się obawiał.

Jedna wizyta była nawet zabawna, ale...

- Panna Allard przyjechała z Bath - ciągnęła Amy. Och!

W takim razie!

- No tak, przecież miała przyjechać. To chyba jednak nie znaczy, że tylko z tego powodu mam zrezygnować z wolnego wieczoru?

Tylko!

- Wypada, żebyś się pojawił - zauważył hrabia - bo to ty wpadłeś na pomysł

ściągnięcia panny Allard do Londynu.

- To prawda - zgodził się. - Mam nadzieję, że jej przyjazd dał dobre efekty.

- Pani Melford twierdzi, że u jej siostry nastąpiło coś w rodzaju cudownego ozdrowienia i to już po jednej godzinie pobytu kuzynki w ich domu. Trafiłeś tym pomysłem w dziesiątkę. Czy mogę w twoim imieniu posłać pani Melford wiadomość, że przyjmujesz zaproszenie?

Lucius przez cały czas rozmowy stał przy pomocniku z pustym talerzem w dłoni. Głód jednak nieco osłabł. Kiedy w pawilonie w Sydney Gardens słuchał wyjaśnień Frances, dlaczego nie może przyjąć jego oświadczeń, i kiedy potem patrzył za nią, gdy odchodziła, myślał, że jeśli nawet jeszcze ją zobaczy, nie nastąpi to prędko.

A jednak to on sam doprowadził do tego, że przyjechała do swoich ciotek do Londynu.

Tak więc, czy teraz ma jej unikać?

- Tak, sir - odparł tonem tak obojętnym, na jaki było go tylko w tej chwili stać.

- Już się nie mogę doczekać tej kolacji - zawołała Amy. - A ty, Luce?

- Ja też - mruknął, nakładając sobie na talerz pieczone ziemniaki i kiełbaski.

Pewnie zacznie teraz robić coś szalonego, jak choćby odliczać godziny dzielące go od spotkania, niczym zakochany bez pamięci młokos.

A Frances? Czy ona także ucieszy się na jego widok?

Frances zaczynała już myśleć - z nadzieją - że ciotki zapomniały o swoim planie zaproszenia na kolację hrabiego Edgecombe'a i jego wnuków. Minęły przecież dwa dni, a one nic na ten temat nie wspominały.

Były to bardzo przyjemne dni. Obie ciotki, nie tylko Gertrudę, ale także Martha, wyraźnie poczuły się lepiej i nabrały wigoru. Ona sama także się rozpogodziła. Podobał jej się pobyt u ciotek, to, że się nią opiekowały, że się o nią troszczyły, że czuła się częścią rodziny. Uświadomiła sobie, że od świąt dokuczało jej przygnębienie i była w kiepskim nastroju.

Postanowiła, że zostanie w Londynie przez cały tydzień. Nie bała się, że spotka kogoś, kogo nie chciałaby spotkać, bo przecież nie zamierzała nigdzie wychodzić, a nie spodziewała się, żeby ktokolwiek szukał jej z własnej woli.

Pomyliła się jednak w sprawie zaproszenia na kolację, o którym dowiedziała się późnym popołudniem, parę godzin przed przybyciem gości. Ciotki tłumaczyły, że trzymały wszystko w tajemnicy, pragnąc zrobić jej niespodziankę.

Błagały ją, z tymi charakterystycznymi dla nich wesołymi iskierkami w oczach, żeby włożyła swoją najładniejszą suknię i żeby pozwoliła Hattie, ich osobistej pokojówce, zadbać o fryzurę.

Pobiegła więc do swojego pokoju szykować się, zdenerwowana, że już za kilka godzin zobaczy Luciusa. A jeszcze bardziej niepokoiło ją to, że ciotki wyraźnie postanowiły zabawić się w swatki. Jakie to będzie zawstydzające, jeśli Lucius lub ktoś inny zauważy ich wysiłki!

Przywiozła ze sobą z Bath swoją kremową suknię z jedwabiu. Nie dlatego, że zamierzała się w niej gdzieś pokazywać, ale dlatego, że dama w podróży musi być przygotowana na każdą okoliczność. Postanowiła, że włoży ją na kolację, a także, ponieważ nie miała serca odesłać Hattie i zawieść ciotek, pozwoliła pokojówce się uczesać. Tak więc, kiedy zeszła do salonu na dziesięć minut przed przyjazdem gości, na głowie miała burzę loków.

Powiedziała pokojówce, że fryzura bardzo się jej podoba, ale zarazem czuła się w niej niepewnie. Czy Lucius pomyśli, że ułożyła tak włosy ze względu na niego? A jeśli pomyślą tak jego dziadek i siostra?

Przybyli minutę za wcześniej - do ich przyjazdu Frances oczywiście nie spuszczała wzroku z zegara stojącego na gzymsie nad kominkiem.

Pierwsza w salonie pojawiła się Amy, radosna i ożywiona. Dygnęła najpierw przed ciotką Martha, potem przed ciotką Gertrudę. Do Frances wyciągnęła ramiona i uśmiechnęła się tak szeroko, jakby były siostrami, które odnalazły się po latach.

- Panno Allard! - krzyknęła. - Tak się cieszę, że znowu panią widzę. I że jak się dowiedziałam, pani przyjazd dobrze wpłynął na zdrowie panny Driscoll. Tak jak przewidywał

Lucius.

Następny wszedł hrabia Edgecombe. On także najpierw przywitał się z gospodyniami, a potem zwrócił do Frances, wyciągając do niej rękę.

- Przypominam, madame - powiedział, patrząc na nią życzliwie - że nadal liczę na to, iż przynajmniej jeszcze raz przed śmiercią usłyszę panią śpiewającą.

- Pamiętam - odparła, podając mu dłoń i przyglądając się, jak podnosi ją do ust. - Choć jestem pewna, że mam na to jeszcze mnóstwo czasu.

Hrabia roześmiał się i poklepał ją po ręce.

Dopiero wtedy wszedł Lucius. W czarnym surducie i kamizelce wyszywanej złotą nicią wyglądał oszałamiająco przystojnie. Przywitał gospodynię uroczym uśmiechem, Frances złożył tylko formalny ukłon.

Skinęła głową.

Ciotki przyglądały się im, uśmiechając przebiegle.

- Panno Allard? - rzucił Lucius.

- Lordzie Sinclair. Oddychała z trudem.

Wszyscy wydawali się zachwyceni spotkaniem. Prawie natychmiast przenieśli się do jadalni - hrabia prowadził obie gospodynie, Lucius swoją siostrę i Frances. Usta im się nie zamykały ani podczas posiłku, ani później, kiedy wrócili do salonu.

Już wkrótce, pomyślała Frances, wizyta dobiegnie końca, a wraz z nią skończą się te tortury. Pożegnają się, za pięć dni wyjedzie do Bath i będzie dalej wieść swoje normalne życie.

Z jakiegoś powodu myśl ta wydała się jej ponura, mimo że lubiła uczyć - i uwielbiała swoje uczennice i przyjaciółki.

- Przypuszczam, że panna Marshall zabawiłaby nas grą na fortepianie, gdybyśmy tylko go miały - zauważyła ciotka Martha. - A Frances mogłaby zaśpiewać. Nie będę jednak naciskała, żeby śpiewała bez akompaniamentu, choć wiem, że i bez niego poradziłyby sobie doskonale.

- Tak, nasza kuzynka zawsze śpiewa jak anioł - dodała z dumą druga ciotka.

- Cieszę się, że nie ma tu fortepianu - stwierdziła z wesołym śmiechem Amy. -

Dziadek i Luce pewnie też. Każdy, kto twierdzi, że moja gra jest znośna, stara się być uprzejmy.

- Nie będę udawał, że nie jestem zawiedziony, iż nie usłyszę śpiewu panny Allard -

odezwał się hrabia - ale nic się nie dzieje bez przyczyny. W Marshall House mamy bardzo dobry fortepian. Z wielką przyjemnością powitam u nas panie któregoś wieczoru na kolacji.

Panna Allard będzie mogła nam po niej zaśpiewać. - Z błyskiem w oku spojrzął na Frances spod siwych brwi. - Oczywiście, jeśli wyrazi pani na to ochotę. Nie jest to warunek pani przybycia na kolację. Niemniej liczę, że zaśpiewa pani dla mnie?

Tak więc, podobnie jak w Bath, nie skończy się na jednym spotkaniu. Będzie musiała jeszcze raz zobaczyć się z rodziną Luciusa.

Zerknęła w stronę ciotek. Patrzyły na nią wyraźnie bardzo zadowolone. Jak mogła odmówić i pozbawić ich tej przyjemności? A poza tym, czy sama chce odmówić?

- Zgoda. Zaśpiewam, ale tylko dla pana i dla ciotek. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

To dla mnie zaszczyt.

- Wspaniale! - Hrabia zatarł dłonie. - A akompaniować może pani moja druga wnuczka, Caroline. Zapytam ją o to jutro rano. Musi pani odwiedzić nas któregoś popołudnia, żeby ustalić z nią repertuar i go przećwiczyć.

- Dziękuję - odparła. - To dobry pomysł.

- Mogę poprosić o coś jeszcze? - zapytał hrabia. - Czy mogłaby pani dodać do repertuaru tę pieśń, którą śpiewała pani w Bath? Bardzo chciałbym znów ją usłyszeć.

- A ja uwielbiam ją śpiewać, sir. - Uśmiechnęła się ciepło. Siedziała w dość dużej odległości od kominka, od którego buchało gorąco, ponieważ ciotka Gertrudę zawsze mocno w nim paliła. Hrabia zwrócił się do ciotki Marthy, siedzącej blisko niego, a ciotka Gertrudę zaproponowała Amy, żeby usiadła koło niej na stołeczku i opowiedziała o swoich ekscytujących przeżyciach w Bath i o tym, co robiła po przyjeździe do Londynu. Lord Sinclair, który stał do tej pory za krzesłem hrabiego, oparty o niejedną ręką, usiadł na sofie obok Frances.

- Bardzo ładnie dzisiaj wyglądasz - zaczął.

- Dziękuję. - Cały wieczór starała się go ignorować. Chociaż to równie trudne, pomyślała, jak nie zważać na nadciągający huragan.

- Mam nadzieję, że szkoła panny Martin nie pogrążyła się w kompletnym chaosie z powodu twojego wyjazdu.

- Z pewnością nie panu przypisać można za to zasługę - odburknęła.

- Och.

I to by I cały komentarz na wieść, że Frances dowiedziała się, jaką rolę odegrał w ściągnięciu jej do Londynu.

- Mam nadzieję - tym razem odezwała się ona - że panna Hunt miewa się dobrze. I że pięknie wygląda.

- Naprawdę mało mnie to obchodzi - odparł Lucius tak cicho, co zmusiło ją, by po raz pierwszy tego wieczoru spojrzeć mu prosto w twarz. Na szczęście nikt inny nie usłyszał jego słów.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. - Dlaczego namówiłeś ciotkę, żeby po mnie posłała?

- Bo cię potrzebowała, Frances - wyjaśnił. - Obie ciotki cię potrzebowały.

- Mam więc uwierzyć - sarknęła - że twoje motywy były czysto altruistyczne?

- A jak sądzisz? - Posłał jej tak uwodzicielski uśmiech, że jej serce się zatrzymało.

- Wy tłumacz mi, jakim cudem w ogóle znalazłeś się u moich ciotek - zażądała. -

Chyba nie z powodu współczucia dla dwóch znudzonych staruszek?

- Jesteś na mnie zła - stwierdził zamiast odpowiedzieć. I nie uśmiechał się już, tylko bacznie się jej przyglądał.

- Tak, jestem - przyznała. - Nie lubię, kiedy się mną manipuluje, lordzie Sinclair. Nie lubię, kiedy

ktoś uważa, że wie lepiej ode mnie, czego brakuje mi do szczęścia.

- Zadowolonia.

- Niech będzie. Do zadowolenia - zgodziła się.

- Ale ja rzeczywiście lepiej wiem, co uczyni cię szczęśliwą - oświadczył.

- Nie sądzę, lordzie Sinclair.

- Mógłbym uczynić cię szczęśliwą w ciągu miesiąca. Nawet szybciej. Mówię o szczęściu w pracy oraz w życiu osobistym. Byłabyś tak szczęśliwa, że aż by się to szczęście z ciebie wylewało.

Poczuła nagły przyptyw pożądania. Oderwała wzrok od Luciusa i wbiła go w swoje dłonie.

- Moje szanse na szczęście zostały zniszczone przed trzema laty, lordzie Sinclair -

oświadczyła.

- Doprawdy? - zapytał miękko. - Przed trzema laty? Zignorowała pytanie.

- Od tamtej pory cenię sobie zadowolenie. Przekonałam się, że jest ważniejsze, niż sądziłam. Proszę mi go nie odbierać.

Obydwoje zamilkli. Słysząc było tylko śmiech ciotki Marthy, rozbawionej opowiadaniem hrabiego, i paplaninę Amy.

- Mam nadzieję, że już to zrobiłem - odezwał się w końcu wicehrabia. - A przynajmniej nieco nim wstrząsnąłem. A to dlatego, Frances, że nie wierzę, iż rzeczywiście zależało ci kiedykolwiek na zadowoleniu. Raczej zapadłaś w sen, z którego cię obudziłem, wyciągając cię z tego starożytnego pojazdu.

Popatrzyła na niego w pełni świadoma, że nie są sami, że ciotki siedzą blisko i z pewnością ukradkiem i z wielkim zainteresowaniem ich obserwują. Nie mogła więc pozwolić, żeby jej twarz zdradziła jej emocje.

- Będziesz się żenił - powiedziała.

- To prawda - zgodził się. - Tylko że nie zostało jeszcze ustalone, kto będzie narzeczoną.

Frances nabrała powietrza, chcąc coś odpowiedzieć, ale zauważyła, że hrabia wstaje z wyraźnym zamiarem zakończenia wizyty.

Lucius także się podniósł i podszedł do starszych pań, by podziękować im za gościnę.

Amy wyściskała Frances, zapewniając, że przekona matkę, by pozwoliła jej zejść na dół, kiedy obie ciotki i panna Allard przyjadą do Marshall House na kolację.

- W końcu, jest pani moją specjalną przyjaciółką - stwierdziła naiwnie. - Poza tym za nic na świecie nie pozwolę, żeby ominęła mnie okazja usłyszenia pani śpiewu. Sama nie jestem wprawdzie szczególnie uzdolniona muzycznie, ale potrafię rozpoznać talent u innych.

Hrabia ponownie pochylił się nad dłonią Frances.

- Proszę przygotować więcej niż jedną pieśń. Jestem pewny, że wysłuchawszy jednej w pani wykonaniu, będę pragnął posłuchać następnych.

- Oczywiście, sir - przyrzekła. Wicehrabia pożegnał się ukłonem.

- Panno Allard - mruknął.

- Lordzie Sinclair.

Pożegnanie było wyjątkowo oschłe, a jednak ciotki po wyjściu gości podbiegły do kuzynki zachwycone.

- Hrabia Edgecombe jest tak samo uroczy jak w latach młodości - stwierdziła ciotka Martha. - I prawie tak samo przystojny. Panna Amy Marshall jest przesłodka. Ale wicehrabia...

- ...jest tak przystojny, że nawet bardzo stara kobieta na jego widok zaczyna marzyć o tym, żeby znowu być młodą i go uwieść - dokończyła ciotka Gertrudę. - Całe szczęście, że nie jesteśmy już młode, bo wicehrabia zainteresowany jest wyłącznie naszą Frances.

- Okazywał nam szacunek i życzliwość - zauważyła ciotka Martha - lecz za każdym razem, kiedy patrzył na Frances, niemal pożerał ją wzrokiem, zupełnie zapominając o naszym istnieniu. Widziałaś, Gertrudę, jak usiadł obok niej, kiedy tylko zajęłyśmy hrabiego i jego wnuczkę rozmową?

- Oczywiście. Byłabym ogromnie zawiedziona, gdyby nasz podstęp się nie udał, Martho.

- Och, na Boga - zaprotestowała Frances. - Nie dopatrujcie się romansu tam, gdzie go nie ma. Ani nie próbujcie do niego doprowadzić.

- Moja droga, zanim jeszcze skończy się lato, zostaniesz wicehrabiną Sinclair. Jestem tego pewna. Biedna panna Hunt będzie musiała znaleźć sobie kogoś innego - oświadczyła ciotka Martha.

Frances, śmiejąc się mimo woli, podniosła dłonie do rozpalonych policzków.

- Całkowicie zgadzam się z Martha - powiedziała ciotka Gertrudę. - I nie przekonuj nas, że jesteś mu obojętna, Frances, bo i tak w to nie uwierzemy. Prawda, Martho?

Frances pospiesznie się pożegnała i uciekła do sypialni.

Ciotki niczego nie rozumieją.

Lucius też niczego nie rozumie.

Czy istnieje coś takiego jak przeznaczenie?

A jeśli tak, dlaczego jest tak okrutne? To, do czego próbuje doprowadzić, się nie spełni.

Czy przeznaczenie tego nie rozumie?

Tylko że nie zostało jeszcze ustalone, kto będzie narzeczoną.

Czy to znaczy, że Lucius nadal pragnie ożenić się z nią? Czyżby wtedy w parku nie działał tylko pod wpływem impulsu?

Czy Lucius ją kocha?

Kocha?

Frances zgodziła się zaśpiewać w Marshall House, ale postawiła pewien warunek.

Zgoda. Zaśpiewam, ale tylko dla pana i dla ciotek.

Te właśnie słowa dzwięczały w głowie Luciusa, kiedy w następnych dniach przeprowadzał swój podstępny plan, zmierzający do przełamania oporów Frances. Nie chciał

uwierzyć, że naprawdę miała na myśli to, co powiedziała.

A może i miała. Dziwił go jej stosunek do własnego talentu. Uważał, że każdy z takimi uzdolnieniami powinien pragnąć śpiewać dla setek, jak nie tysięcy słuchaczy. To zbrodnia pozwolić jej występować tylko przed hrabią i ciotkami - no i może jeszcze przed jego matką, siostrami i przed nim.

Już nazbyt długo Frances Allard kryje za murami szkoły panny Martin swoje ciało, umysł i duszę. Czas, aby wyszła z ukrycia i stawiała czoło rzeczywistości. A jeśli nie chce tego uczynić z własnej woli, na Boga, on ją do tego zmusi. Być może nigdy nie zdoła uszczęśliwić jej samej, w sensie osobistym - choć nawet w tej sprawie nie złożył jeszcze broni. Postanowił

jednak, że dopilnuje, aby zrobiła wielką karierę jako śpiewaczka. Uczyni wszystko, co w jego mocy, by do tego doprowadzić.

Frances nie urodziła się po to, aby uczyć. Choć prawdą też było, że nigdy nie widział

jej w roli nauczycielki, więc nie mógł stwierdzić, że się do tego nie nadaje. Pewnie jest nawet dobrą nauczycielką. Lecz Bóg nie po to obdarzył ją pięknym głosem, żeby go marnowała w szkole.

Wprowadzi Frances w światła ramp. Pomoże jej - zmusi ją, jeśli będzie trzeba - by robiła to, do czego jest stworzona.

I właśnie dlatego zdecydował się zignorować jej słowa wypowiedziane do hrabiego, że zaśpiewa tylko dla niego i ciotek.



Znał kogoś odpowiedniego. Mężczyznę, z którym się przyjaźnił i który niedawno się ożenił. Znany jako koneser sztuki, zwłaszcza muzyki, co rok urządzał w swoim domu koncert. Zapraszał tylko wybranych gości i muzyków z całej Europy, aby posłuchali wykonawców, których sam odkrył. Jego ostatnią gwiazdą był mały chłopiec o pięknym sopranie. Wyłowił go z grupy dzieci śpiewających w chórze kościelnym na Bond Street. W

styczniu ożenił się z matką tego chłopca.

Luciusowi z trudem przychodziło przyzwyczaić się do myśli, że baron Heath jest teraz żonatym mężczyzną z dwójką pasierbów. Ale to w końcu czeka każdego z nas, stwierdził

ponuro. Małżeństwo. Heath przynajmniej sam sobie wybrał narzeczoną i ożenił się z miłości.

Lucius zaprosił go na występ Frances w Marshall House, zapewniając, że czeka go muzyczna uczta, od której włosy staną mu dęba.

- Ta kobieta ma niesamowity głos - wyjaśniał. - Ale nie zna nikogo, kto mógłby jej pomóc w karierze.

- I jak przypuszczam, to ja mam zostać jej mecenasem, Sinclair - odparł lord Heath. -

Słyszę to już do znudzenia. Ale ufam twojemu gustowi, mam na myśli gust muzyczny, a nie upodobanie do kobiet.

Lucius poczuł ukłucie gniewu, ale zdusił go.

- Przyjdź - namawiał. - I przyprowadź lady Heath. Posłuchasz Frances i sam ocenisz, czyjej głos dorównuje jej urodzie.

Śpiewaczka potrzebuje publiczności. Przecież Frances nie może śpiewać tylko dla Heathów i Marshallów. Musi mieć publiczność przynajmniej taką jak w Bath.

Pokój muzyczny w Marshall House pomieści około trzydziestu osób. Gdyby usunąć przepierzenie między nim a salą balową, można by zaprosić drugie tyle gości, a zarazem głos Frances zyskałby przestrzeń.

No tak, ale koncert nie może się składać z występu tylko jednego wykonawcy...

Z każdą godziną jego plan stawał się coraz bardziej ambitny.

- Myślę o tym, żeby zaprosić kilka osób na wieczór występu panny Allard, sir -

poinformował dziadka trzy dni przed spotkaniem. - Wśród nich barona Heatha i jego żonę.

- Och, wspaniały pomysł - pochwalił hrabia. - Sam powinienem na niego wpaść.

Heath może pomóc pannie Allard. Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko.

Lucius był zupełnie innego zdania. Znał Frances lepiej niż hrabia. Nie tracił jednak spokoju.

- Odnoszę wrażenie - odezwała się wicehrabina - jakby to panna Allard, a nie panie Melford i Driscoll, miała być gościem honorowym. To trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że jest nauczycielką.

- Przekonasz się, Luizo - powiedział hrabia - że to wyjątkowa osoba.

Tymczasem Caroline zaczęła utyskiwać na pomysł brata.

- I ty oczekujesz, że będę akompaniować tej pani przed publicznością, wśród której zasiądzie sam baron Heath? - zapytała.

- Kiedy panna Allard ma przyjść do nas na próbę, Luce?

- Za dwa dni, po południu. Ale proszę, żebyś nie wspominała słowem o baronie Heacie i gościach, bo tylko ją zdenerwujesz.

- Ją zdenerwuję! - Głos dziewczyny przeszedł niemal w pisk.

- A co ze mną?

- Kiedy panna Allard zacznie śpiewać, Caroline, nikt nie będzie zwracał uwagi na twoją grę - wtrąciła się uprzejmie Amy.

- Wielkie dzięki - odparła dziewczyna nieco urażonym tonem, ale zaraz wybuchnęła śmiechem.

Amy jej zawtórowała.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - tłumaczyła się. - Grasz całkiem dobrze, o wiele lepiej ode mnie.

- Co, jak się nad tym zastanowić, Amy, wcale nie jest komplementem - stwierdziła cierpko Emily.

- Ojczy, wyglądasz na zmęczonego - powiedziała wicehrabina stanowczym głosem. -

Lucius odprowadzi cię do twojego pokoju, żebyś mógł odpocząć przed obiadem.

- Tak, madame - zgodził się posłusznie hrabia z iskierką rozbawienia w oku, choć rzeczywiście nie wyglądał najlepiej.

Nikt jakoś nie sprzeciwił się pomysłowi, by wieczorek muzyczny zamienić w wielki koncert, zastanawiał się Lucius, wolno prowadząc po schodach hrabiego, który opierał się ciężko na jego ramieniu. Wprawdzie nie użył dokładnie tych słów do opisanego swoich planów, no ale kiedy ludzie - bez względu na to, ilu ich jest - spotykają się, by słuchać muzyki, to można powiedzieć, że przyszli na koncert.

Pozostały mu trzy dni na zebranie odpowiednio licznej publiczności - a przecież mieli środek sezonu,

obfitującego w różne wydarzenia. Lecz, na Jowisza, wszystko można zrobić, jeśli się tylko chce. Już za dwa dni Frances postawi pierwszy krok na drodze do sukcesu. Co do tego nie miał nawet cienia wątpliwości.

I ten sukces będzie zawdzięczała jemu.

Co nie znaczy, że to mu wystarczy.

Pocieszał się jednak, że na gruncie osobistym nie wszystko stracone. Nie jest jeszcze żonaty, nawet się nie zaręczył - przynajmniej nie zaręczył oficjalnie. Balderstonowie wrócili do miasta, ale starał się ich unikać, jak tylko mógł.

Nigdy łatwo nie rezygnował, kiedy mu na czymś bardzo zależało. I choć ma rozpocząć nowy okres w swoim życiu, to akurat ta cecha jego charakteru się nie zmieniła i nie zmieni.

A teraz bardzo zależy mu na Frances Allard.

Na dzień przed proszoną kolacją Frances przekonała się, że położona w samym środku Mayfair przy Cavendish Square Marshall House to rezydencja okazała i elegancka.

Oczywiście spodziewała się, że miejski dom hrabiego Edgecombe'a musi być wykwintny, mimo to, wchodząc do środka, zaraz po tym jak Thomas pomógł jej wysiąść z zabytkowego powozu ciotek, czuła się skrępowana i dziwnie niespokojna.

Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, że naprawdę jest w Londynie.

W holu powitała ją służba, a w pokoju, do którego ją wprowadzono, panna Caroline Marshall - wysoka, ładna i zrównoważona kobieta, podobna trochę do brata.

Jego samego nigdzie nie dostrzegła.

Pokój był duży, z sufitem ozdobionym malowidłami przedstawiającymi sceny mitologiczne, z połączanymi fryzami, kryształowymi żyrandolami, lśniąca posadzką i ścianami, na których wisiały wielkie lustra. Frances zapało dech. To tutaj ma zaśpiewać następnego dnia dla hrabiego i ciotek?

Z pewnością pomieszczenie nie przypominało zwykłego rodzinnego salonu.

Panna Marshall udzieliła Frances odpowiedzi na jej niewypowiedziane pytanie.

- Ten fortepian jest o wiele lepszy od tego w salonie - tłumaczyła Caroline. - Dziadek twierdzi, że pani głos zasługuje na wszystko, co najlepsze. Choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego przepierzenie zostało usunięte i połączono salę balową z muzyczną. Jestem pewna, że do jutra służba ustawi tu przepierzenie, więc pani głos nie będzie musiał wypełniać tak wielkiej przestrzeni.

A jednak, jakby to było wspaniale, pomyślała tęsknie Frances, rozglądając się wokół, podjąć wyzwanie i zaśpiewać dla publiczności, która wypełniłaby tak ogromną przestrzeń.

Nieraz marzyła o występach w takiej sali.

Po krótkiej rozgrzewce głosu, której nauczyła się już w dzieciństwie, dopasowała go do rozmiarów sali, pamiętając jednak, że następnego dnia będzie śpiewała w mniejszej.

- Wielkie nieba! - zawołała panna Marshall, zanim jeszcze zaczęły ćwiczyć wybrane utwory - ta sala wcale nie wydaje się za wielka dla pani głosu, panno Allard. To doprawdy niesamowite!

Podczas próby Frances cieszyła się samym faktem, że ma okazję śpiewać. Oczywiście zdarzało jej się śpiewać w szkole, ale nieczęsto i nie tak pełnym głosem. W końcu jako nauczycielka miała za zadanie uczyć muzyki, a nie oddawać się własnej przyjemności.

Bardzo ją zresztą cieszyło, że może pomóc dziewczętom rozwijać umiejętności.

W tej chwili pozwoliła sobie jednak na samolubstwo i całym sercem oddała się śpiewowi.

- Teraz już wiem, dlaczego Amy mówiła, że nikt nie zwróci uwagi na mój akompaniament, kiedy zaczniesz pani śpiewać - stwierdziła panna Marshall, składając nuty po zakończeniu próby. - Nigdy nie słyszałam piękniejszego głosu, panno Allard.

- Bardzo dziękuję - odparła Frances z ciepłym uśmiechem. - Pani także świetnie gra i wcale nie musi się obawiać publiczności. Poza tym jutro słuchać nas będą tylko członkowie pani rodziny i moje ciotki, które, zapewniam, są zupełnie niegroźne.

Włożyła kapelusz i zawiązując kokardki, rzuciła ostatnie spojrzenie na salę, która następnego dnia miała się zmniejszyć do połowy. Panna Marshall coś powiedziała, ale jak się okazało, nie do niej.

- Jak długo tam stoisz? Myślałam, że towarzyszysz panie Hunt na przyjęciu w ogrodzie u Muriel Hemmings?

Mówiła, oczywiście, do wicehrabiego Sinclaira, który stał w drzwiach i to, jak można było sądzić po jego pozie, od dłuższego czasu.

- Jakiś jej kuzyn zjechał ze wsi - wyjaśnił - więc musiała zmienić plany.

- No tak, ale mogłeś przynajmniej nas uprzedzić, Luce - upomniała go z lekką irytacją siostra. - Podśluchiwałeś, tak?

- Tak, ale nie słyszałem, żebyś chociaż raz sfalszowała. Panna Allard podobnie.

- Musisz nakazać, żeby wstawiono przepierzenie na miejsce. Strasznie trudno było nam ćwiczyć w takich warunkach. Chociaż muszę przyznać, że głos panny Allard jest bardzo donośny.

- Bardzo - mruknął Lucius, odrywając się od framugi i prostując. - Zauważyłem.

Frances starała się omijać go wzrokiem.

- Muszę już iść - powiedziała. - I tak jestem tu dziesięć minut dłużej, niż planowałam.

Biedny Thomas zmęczył się pewnie czekaniem na mnie.

- Biedny Thomas siedzi sobie teraz zapewne w domu przy kuflu piwa. Chyba że jadąc jak zawsze żółwim tempem, jeszcze tam nie dotarł. Odesłałem go - oświadczył wicehrabia.

- Co pan zrobił? - Frances spojrzała na Luciusa zdumiona i oburzona. - Teraz będę musiała wracać pieszo.

Lucius cmoknął.

- A to przecież taka długa trasa. I na dodatek mamy taki ciepły letni dzień.

Niczego nie rozumiał. Jeszcze ktoś ją zobaczy, kiedy będzie tak sobie spacerowała po eleganckim Mayfair.

- Luce - odezwała się panna Marshall z naganą w głosie. - Panna Allard nie przyprowadziła ze sobą pokojówki.

- Więc ja ją odprowadzę - odparł.

- Niepotrzebna mi pokojówka - zaprotestowała Frances. - Nie jestem małą dziewczynką. Proszę sobie nie robić kłopotu, lordzie Sinclair.

- To dla mnie żaden kłopot - zapewnił. - Przyda mi się trochę ruchu.

Co miała powiedzieć, zwłaszcza w obecności panny Marshall? Dobrze wiedział, że przy siostrze nie zrobi mu sceny. W jego oczach pojawiła się znajoma jej już iskierka.

Jak na kogoś, kogo już dwukrotnie odtrąciła - ona, zwykła nauczycielka - był

zadziwiająco wytrwały. Ale przecież od początku wiedziała, że ma do czynienia z mężczyzną upartym i nawet wojowniczym. Przekonała się też, że jest impulsywny i lekkomyślny i niełatwo go przekonać, by zrezygnował z czegoś, czego pragnął.

A z jakiegoś powodu nadal jej pragnął. Nie wiedziała, czy wciąż chodzi mu o małżeństwo, lecz to nie miało znaczenia. Raz już mu odmówiła i nie zamierzała zmieniać zdania.

Zeszła obok niego w milczeniu po kręconych szerokich schodach do holu i drzwi wyjściowych. Pozostawała jej tylko nadzieja, że tak późnym popołudniem ulice między Cavendish Square i Portman Street będą puste.

Z powodu przyjazdu kuzyna Balderstonowie musieli zmienić plany i zamiast iść na przyjęcie w ogrodzie, urządzili u siebie uroczysty podwieczorek, na który oczywiście zaprosili także Luciusa. On jednak odmówił. Poszedłby na przyjęcie, bo już wcześniej się do tego zobowiązał, ale na herbatę nie. Posłał rodzicom Portii uprzejmą odmowę i został w domu.

Zaraz po przyjeździe Frances, który obserwował z okna na piętrze, zszedł do holu i tam przysłuchiwał się próbie. Nie wierzył własnym uszom. Już na wieczorku muzycznym u Reynoldsów uznał, że głos Frances jest piękny, ale nie zdawał sobie sprawy, że nie poznał

wtedy jego skali. A to z powodu wielkości pomieszczenia, w którym wtedy śpiewała - o wiele mniejszego od sali w Marshall House.

Teraz uwolniła pełnię głosu, choć nadal zrecznie nim sterowała.

Heath będzie miał szczęście, jeśli włosy tylko staną mu dęba, a nie powypadają.

Jednak Lucius nie zaaranżował spaceru na Portman Street jedynie po to, by porozmawiać z Frances o jej głosie lub się z nią kłócić. Do diabła, kochał tę kobietę, a tak mało o niej wiedział. Do tej pory

nie zależało mu na poznawaniu swoich kochanek. Zresztą uważał, że kobiety, ogólnie, są dziwne - pełne sprzeczności, nieracjonalne i nadwrażliwe -

dlatego zawsze starał się trzymać na dystans od matki i sióstr i nawet nie próbować zrozumieć kobiet, z którymi sypiał. Nigdy też wcześniej nie przyszło mu na myśl, że tak samo mało wie o Portii, mimo że znają od dzieciństwa. Widać jakoś nigdy nie zależało mu na jej poznaniu - i nadal nie zależy.

Natomiast bardzo pragnął poznać Frances.

- To nie jest droga na Portman Street - zauważyła, gdy wziął ją pod ramię i ruszyli.

- Na Portman Street można się dostać różnymi drogami - odparł. - Są dłuższe i krótsze. Nie powiesz mi chyba, Frances, że nie masz formy i z tego powodu powinniśmy wybrać najkrótszą?

- Nie chodzi o moją formę. Ciotki czekają na mnie z herbatą.

- Nie, nie czekają - zapewnił. - Kazałem Thomasowi przekazać im, że przed twoim powrotem zabiorę cię na spacer do parku. Musiały być zachwycone, kiedy się o tym dowiedziały. Lubią mnie.

- Co? - Odwróciła się do niego oburzona i wyrwała rękę, zanim zdążył ją przytrzymać.

- Nie miał pan prawa, lordzie Sinclair, posyłać im żadnej wiadomości. Nie miał pan prawa odsyłać mojego woźnicy. A ja nie mam ochoty na spacer po parku. I skąd ta pewność, że ciotki pana lubią? Skąd może pan to wiedzieć?

- Jesteś piękna, kiedy się złości. Nie wyglądasz wtedy jak zrównoważona nauczycielka i stajesz się namiętną włoską pięknością, którą w głębi duszy jesteś.

- Jestem Angielką - rzuciła dumnie. - I nie chcę iść do parku.

- Z powodu mojego towarzystwa? - zapytał. - Czy może dlatego, że, wybaczyć, nie masz na sobie stroju z pierwszych stron żurnala mody?

- Nie dbam o modę - odburknęła.

- W takim razie różnisz się od innych znanych mi kobiet. A nawet od mężczyzn. Ale nie martw się, wybierzemy ścieżki, którymi nie chadza, śmietanka towarzyska. Jestem zbyt wielkim samolubem, żeby się tobą dzielić, Frances. Wybierzemy boczne alejki i spokojnie porozmawiamy. Zresztą nawet w łachmanach wyglądałabyś pięknie od każdej innej kobiety.

- Pan sobie ze mnie kpi, lordzie Sinclair - sarknęła, ale ruszyła za nim z rękami skrzyżowanym na plecach. - I nic dziwnego, bo pan niczego nie traktuje poważnie.

- Czasami tak jest po prostu zabawniej - przyznał. - Niemniej niektóre rzeczy traktuję bardzo poważnie, Frances. W tej chwili na przykład jestem samą powagą, ponieważ pragnę się dowiedzieć, co tak naprawdę straciłem, kiedy mnie odrzuciłaś.

Zaskoczył ją tymi słowami. Popatrzyła na niego pytająco. Szybko jednak spuściła oczy, bo mijała ich jakaś para, mruczając coś na powitanie.

- Coś tam o tobie wiem - ciągnął. - Wiem, że twoja matka była Włoszką, a ojciec francuskim szlachcicem. Że jesteś spokrewniona z baronem Cliftonem. Że wychowałaś się w Londynie, który opuściłaś dwa lata po śmierci ojca, a potem podjęłaś pracę w szkole panny Martin w Bath jako nauczycielka muzyki i francuskiego. Wiem, że bardzo smacznie gotujesz.

I wiem także, że masz jeden z najpiękniejszych sopranów świata, może wręcz najpiękniejszy.

Znam trochę twój charakter. Jesteś odpowiedzialna i czasami potrafisz być uparta, a nawet wojownicza, lecz dla tych, których kochasz, jesteś czuła i życzliwa. Wiem, że jesteś namiętą kochanką. Wiem o tobie aż tyle, a jednak mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam. Dlaczego?

- Nie musisz mnie znać - odparła stanowczo. Dochodzili właśnie do bocznej bramy Hyde Parku. Przeszli przez nią i skręcili w ustronną alejkę, ocienioną rzędem drzew i krzewów. - Ludzie nie powinni być dla siebie otwartymi księgami nawet, jeśli są sobie bardzo bliscy.

- A my na dodatek wcale nie jesteśmy sobie bliscy, prawda? - zapytał.

- Nie, nie jesteśmy.

Zastanawiał się, jak wielkiego głupka z siebie robi. Próbował wyobrazić sobie siebie w sytuacji Frances. Jak by się czuł, gdyby ścigała go mimo dwukrotnej odmowy? Gdyby, mimo iż wyraźnie jej powiedział, że jej nie chce, w taki sposób manewrowała sprawami, aby znaleźć się z nim sam na sam, a potem żądałaby od niego, żeby jej opowiedział, kim jest?

Nie spodobało mu się to.

A co, jeśli wysyłałby mylące sygnały? Gdyby jego usta mówiły „nie”, a całe ciało „tak”?

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie - poprosił.

Wielki Boże, czyżby postradał zmysły? Nigdy dotąd nie interesował się niczym dzieciństwem!

Frances westchnęła ciężko. Przez chwilę myślał, że otoczy się murem milczenia.

- Dlaczego nie - mruknęła, bardziej do siebie niż do niego. - Przed nami długa droga, więc równie dobrze możemy zająć się rozmową.

Spojrzał na nią. Miała na sobie kremową suknię z muślinu i prosty słomkowy kapelusik. Nie był to strój pierwszej mody. A mimo to wyglądała zgrabnie, pięknie, zachwycająco. Po jej twarzy tańczyły pobłyskujące przez liście drzew promienie słońca.

- To mi się podoba - pochwalił.



Po raz pierwszy, patrząc na niego, lekko się uśmiechnęła.

- Zobaczymy, czy będziesz tak samo zadowolony, kiedy się okaże, że moja opowieść o dzieciństwie potrwa kilka godzin.

- Myślę, że będę, bo nie wierzę, żeby twoja opowieść okazała się nudna.

Potrząsnęła głową.

- Miałam bardzo szczęśliwe i spokojne dzieciństwo. Nie znałam matki ani też za nią nie tęskniłam. Zastępował mi ją ojciec, choć otaczały mnie też piastunki i guwernantki.

Miałam wszystko, co tylko można kupić za pieniądze. W przeciwieństwie jednak do dzieci z bogatych domów, nie brakowało mi uczucia i ciepła. Tata poświęcał mi dużo czasu; bawił się ze mną, czytał mi, zabierał ze sobą w różne miejsca. Zachęcał do nauki i czytania, do rozwijania talentu. Po prostu pragnął, żebym robiła to, na co mam ochotę. Nauczył mnie sięgać gwiazd i nie zadowalać się byle czym.

Mógł ją w tej chwili zapytać, dlaczego o tym zapomniała, ale nie chciał wdawać się w kłótnię ani przerywać, żeby nie zamilkła.

- Mieszkaliście w Londynie?

- Długo. Kochałam tu mieszkać. Zawsze było jakieś nowe miejsce do zwiedzenia, nowy kościół, galeria sztuki, muzeum. Tyle mogłam się nauczyć i spotkać tylu ciekawych ludzi. Poza tym były sklepy, biblioteki, kawiarnie i parki. I rzeka, po której pływaliśmy łódką.

A mimo to teraz unika Londynu. Kiedy zaproponował, by przeprowadziła się do niego, przyrzekając zbytek, który jak się wydawało, otaczał ją w dzieciństwie, odmówiła.

Przenosiny do Bath i najęcie się w szkole za nauczycielkę musiało być dla niej bardzo trudnym i poniżającym przeżyciem - podobnie jak konieczność ubierania się w stare, znoszone suknie.

- Wyjeżdżaliśmy też na wieś - ciągnęła. - Do ciotek. Ojciec opowiadał, że kiedy zjawił

się ze mną w Anglii, chciały mnie u siebie zatrzymać na stałe. Twierdziły, że samotny mężczyzna sam nie wychowa córki, zwłaszcza w obcym kraju. Jestem mu wdzięczna, że na to nie przystał, choć kocham ciotki całym sercem.

- Ojciec chciał zrobić z ciebie wielką śpiewaczkę? - zapytał. Zauważył, że Frances, widząc nadchodzącą parę starszych ludzi, szybko spuściła głowę.

- Takie miał marzenia. Ale nauczyciela śpiewu wynajął dla mnie dopiero, kiedy skończyłam trzynaście lat. I nigdy nie zgodził się, bym występowała na publicznych koncertach, nawet gdy mój nauczyciel uznał, że jestem już do tego przygotowana. Ojciec uważał, że powinnam z tym poczekać do ukończenia osiemnastu lat, aż mój głos stanie się dojrzały, i wtedy miałam śpiewać, tylko jeśli bym tego pragnęła. Był zdania, że nie powinno się obciążać dziecka, nawet jeśli jest utalentowane.

- Ale chyba brał pod uwagę fakt, że po skończeniu osiemnastu lat będziesz chciała wyjść za mąż?

- Oczywiście. Dlatego właśnie postanowiliśmy, że wszelkie decyzje związane ze śpiewaniem przełożymy na czas po moim debiucie, któremu patronowała lady Lyle. Niestety tata dostał ataku serca i zmarł. Jedno wiem na pewno: on nigdy by na mnie nie naciskał, gdyby wiedział, że nie mam na coś ochoty, tak jak to zrobił mój dziadek mojej matce: zmusił

ją do śpiewania, kiedy była jeszcze bardzo młoda.

- To twoja matka także była śpiewaczką?

- Tak - potwierdziła. - We Włoszech. I to zdaniem ojca bardzo dobrą. To właśnie tam się w niej zakochał i poślubił ją.

- A co z tobą, Frances? Czy twoje marzenia i ambicje umarły wraz ze śmiercią ojca?

Nie próbowałaś szukać mecenasów, brać udziału w przesłuchaniach? - Jej ciotki twierdziły, że był jakiś mecenas i Frances występowała publicznie. - Zamieszkałaś z lady Lyle, prawda?

Czy ona ci nie pomogła?

- Pomogła. - W głosie Frances zabrzmiała dziwna nuta. Stał się nagle bardziej oschły.

- I nawet kilka razy zaśpiewałam przed niewielką publicznością, ale jakoś mi się to nie spodobało. Dlatego też, kiedy zobaczyłam ofertę pracy panny Martin, zgłosiłam się i zostałam przyjęta. Nigdy nie żałowałam tej decyzji. Jestem szczęśliwa w Bath... och, zadowolona, jeśli wolisz. Choć w zadowoleniu nie ma nic złego, lordzie Sinclair.

Aha. Przez chwilę czuł się częścią jej życia. Opowiadanie o dzieciństwie chyba sprawiało jej przyjemność - twarz jej promieniała, oczy lśniły, głos był ożywiony. Lecz teraz znowu odcięła się od niego. Piękna młoda dziewczyna wprowadzona w świat przez baronową z pewnością otrzymała sporo ofert małżeńskich, nawet jeśli, czego Lucius mógł się domyślać, ojciec pozostawił ją bez grosza. Ale i bez konkurentów Frances miała zapewnioną przyszłość

- posiadała przecież niesamowity głos, no i lady Lyle chciała jej pomóc w budowaniu kariery.

A mimo to Frances w wieku dwudziestu lat porzuciła to wszystko.

Czegoś brakowało w jej opowieści. Podejrzywał, że przemilczała jakieś bardzo ważne wydarzenie i że to ono stanowiło klucz do zagadki, którą była panna Frances Allard.

Tak, o czymś mu nie opowiedziała.

A niby dlaczego miałyby to zrobić? Odrzuciła go przecież. Nic mu nie jest winna.

Dziwił się jednak, że Frances nie otrzymała od nikogo takiej pomocy, by jej talent mógł ujrzeć światło dzienne.

Ale nie jest jeszcze na to za późno. Marzenie może się jeszcze odrodzić.

Nauczył mnie sięgać gwiazd i nie zadowalać się byle czym.

Jutro wieczorem będzie miała okazję sięgnąć gwiazd, a nawet pochwycić jedną z nich.

Prawdopodobnie zmuszony będzie wtedy pożegnać się z Frances, ale na Jowisza, najpierw pomoże jej w spełnieniu marzenia.

Zobaczył, że spogląda na niego, lekko się uśmiechając.

- Nie przypuszczałam, lordzie Sinclair, że z pana taki dobry słuchacz.

- To dlatego, Frances, że znasz mnie tak samo słabo, jak ja ciebie - odparł. - Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, niektórych nawet nie podejrzewasz.

- Nawet nie śmiem prosić o przykłady - rzuciła i roześmiała się już na cały głos.

- Bo obawiasz się, że wtedy mogłabyś zapalać do mnie sympatią? - zapytał.

Natychmiast spoważniała.

- Ależ to nie jest tak, że ja cię nie lubię - zaprotestowała.

- Czyżby? Mimo to nie chcesz za mnie wyjść?

- To dwie różne sprawy - oświadczyła. - Nie poślubia się każdego, kogo się lubi.

Gdyby tak było, społeczeństwo składałoby się z samych bigamistów.

- A jednak, kiedy dwoje ludzi się lubi, ich małżeństwo ma większe szanse powodzenia, niż gdyby się nie lubili, zgodzisz się chyba ze mną?

- Absurdalne pytanie - sarknęła. - Czyżby panna Hunt pana nie chciała? Czyżby pana nie lubiła?

- Mogłem się domyślić, że w końcu zaczniemy rozmawiać o Portii - mruknął, chwytając Frances za ramię, żeby wyprowadzić ją przez bramę na ulicę. - Uważam, że postąpiłaś bardzo nieładnie, odrzucając moje oświadczenia. Jak wiesz, muszę w tym roku się z kimś ożenić. Skoro mnie nie chcesz, oświadczę się Portii. I zanim mnie wyszydysz, a jej będziesz współczuć, powtórzę ci jej słowa. Powiedziała, że skoro ona także musi za kogoś wyjść, równie dobrze mogę to być ja. Widzisz więc, że między nami nie istnieje żadne poważne uczucie, a nawet niewiele sympatii. Przyjmując mnie, nie złamiesz serca innej kobiecie. O to nie musisz się martwić. Czy wiedząc to wszystko, przemyślisz jeszcze raz swoje stanowisko?

- Nie - odparła stanowczo. - Nie przemyślę.

- Czy mogłabyś przynajmniej postarać się wyjaśnić mi, dlaczego nie?

Pytanie nie należało do najgrzeczniejszych i mógł się spodziewać, że odpowiedź

będzie bolesna. Niemniej już je zadał, a teraz pozostało mu tylko czekać.

- Nie. Nie mogę.

- A więc rzecz nie w tym, że nic do mnie nie czujesz? - naciskał, znów chwytając ją za ramię, bo przechodzili przez skrzyżowanie. Drugą ręką sięgnął do kieszeni po monetę i rzucił

ją chłopakowi zamiatającemu przed nimi ulicę.

- Nie chcę już więcej odpowiadać na żadne pytania. - Po chwili jednak dodała: -

Luciusie?

Natychmiast spojrział jej w oczy, jak zawsze poruszony, gdy zwracała się do niego po imieniu, co czyniła tak rzadko. - Tak?

- Zjawię się w Marshall House i zaśpiewam dla twojego dziadka i moich ciotek. I nawet sprawi mi to przyjemność. Ale na tym koniec. Za jakieś dwa, trzy dni wracam do Bath.

To musi być koniec, Luciusie. Możesz nie wierzyć, że będzie ci lepiej, jeśli ożenisz się z panną Hunt, ale ja jestem o tym przekonana. Panna Hunt należy do twojego świata i twoja rodzina, jak sądzę, także akceptuje to małżeństwo. Jeśli się o to postarasz, w pewnym momencie uczucie między wami się pojawi. Musisz tylko zapomnieć o obsesji, jaką masz na moim punkcie. Bo to jest właśnie tylko obsesja. Nic więcej. Ty wcale mnie nie kochasz.

Wściekłość zawładnęła nim, jeszcze zanim skończyła mówić. Gdyby nadal znajdowali się w parku, rzuciliby się na nią. Jednak stali na ulicy, wprawdzie nie bardzo ruchliwej, ale mimo wszystko nie byli na niej sami. Poza tym ktoś mógł przyglądać się im z okien.

- Wielkie dzięki - odparł oschle. - To uprzejme, że pomagasz mi w uświadomieniu sobie, kogo kocham lub też kogo mogę pokochać w przyszłości. Dobrze też wiedzieć, że uczucie, które do ciebie żywię, jest niczym więcej jak tylko obsesją. Skoro już to wiem, z pewnością otrząsnę się z niej w okamgnieniu. Ha! Nawet już jestem wyleczony. A oto i dom pani ciotek, madame. To była dla mnie przyjemność, że mogłem ją odprowadzić, choć wydaje mi się, że dla pani spacer okazał się nieco zbyt długi. Do zobaczenia jutro, a na razie żegnam panią.

- Luciusie... - Patrzyła na niego z bólem.

- W gruncie rzeczy, madame, wolę, kiedy zwraca się pani do mnie lordzie Sinclair.

Mówienie mi po imieniu sugeruje istnienie między nami uczucia, którego już przecież nie ma, bo właśnie się od niego wyzwoliłem.

- Och - jęknęła. - Och.

Zastukał w drzwi kołatką, i kiedy niemal natychmiast się otworzyły, głęboko skłonił się Frances i nie czekając, aż wejdzie do środka, odwrócił się i odszedł.

Czuł, że zaraz wybuchnie.

Miał ochotę kogoś zamordować.

Musisz tylko zapomnieć o obsesji, jaką masz na moim punkcie.

Zazgrzytał zębami.

Bo to jest właśnie tylko obsesja. Ty wcale mnie nie kochasz.

Na Boga, czyżby to była prawda?

Ale przecież miłość czasami bliska jest nienawiści.

Tak jak choćby w tej chwili.

Pani Melford i panna Driscoll wraz z kuzynką przybyły do Marshall House następnego dnia dokładnie o umówionej porze. W salonie przywitał je z honorami hrabia Edgcombe i następnie przedstawił swojej synowej, wicehrabinie Sinclair.

- Pani Melford, jestem pewna, że już się kiedyś spotkałyśmy. Podobnie z panią, panno Driscoll - powiedziała. - Było to jednak wiele lat temu, jeszcze za życia mojego męża. Panią także bardzo serdecznie witam, panno Allard. - Uśmiechnęła się życzliwie do Frances. -

Wiele o pani słyszałam i wprost nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę pani śpiew. Pragnę też z całego serca podziękować pani za opiekę nad Amy podczas balu w Bath. Moja córka jest taka niecierpliwa. Złości się, że jest najmłodsza w rodzinie i musi jeszcze rok czekać na swój debiut.

- Zostałam zaproszona na Brock Street na herbatę, a ona była wspaniałą gospodynią, madame - pochwaliła dziewczynę Frances. - Dzięki jej gościnności czułam się tam jak w domu.

Zauważyła dziewięć osób w salonie - nie spodziewała się aż tylu. Poczowała, że ogarniają zdenerwowanie. Ale może zdenerwowanie to nieodpowiednie słowo? Żle spała i od rana na niczym nie mogła się skupić. Nie umiała przestać myśleć o wicehrabim Sinclairze i o tym, z jakim gniewem się z nią poprzedniego dnia rozstawał. Po raz pierwszy zmuszona była poważnie zastanowić się, czyjego uczucia nie są przypadkiem szczerze i czyjego pogoń za nią ma swoje źródło rzeczywiście tylko w zwykłym pożądaniu i impulsywności oraz chęci postawienia na swoim.

Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że Lucius, rozstając się z nią, wyglądał na naprawdę zranionego.

Poza tym żałowała, że nie opowiedziała mu całej historii swojego życia. To i tak nic by nie zmieniło, ale Lucius zrozumiałby wreszcie, że ich małżeństwo po prostu nie jest możliwe.

Wicehrabina przedstawiła przybyłe obecnym. Urocza, jasnowłosa młoda dama, z dołeczkiem, który pojawiał się na jej policzku, kiedy się uśmiechała, okazała się być panną Emily Marshall. Poważny młody dżentelmen w okularach opadających na nos, sir Henry Cobham - narzeczonym Caroline Marshall. Byli tam jeszcze lord i lady Taitowie. Frances domyśliła się, że lady Tait, tak bardzo podobna do Emily Marshall, to najstarsza z sióstr.

Po prezentacji wieczór przebiegał bez niespodzianek. Frances unikała Luciusa, jak mogła, co nie było zresztą trudne, ponieważ wyglądało na to, że on także postanowił schodzić jej z drogi. W czasie kolacji siedziała między panem Cobhamem i lordem Taitem; obaj panowie okazali się wspaniałymi rozmówcami. Ciotki Frances, w doskonałym nastroju, dobrze się bawiły.

Pozostało już tylko, myślała Frances pod koniec kolacji, widząc, że wicehrabina daje znak paniom, by wyszły z salonu, aby panowie mogli w spokoju wypić porto, no więc pozostało już tylko zaśpiewać dla hrabiego i ciotek, a potem przyjęcie się skończy, a wraz z nim - jej męka.

Za dzień lub dwa wyjedzie do Bath, gdzie tym razem już w pełni odda się swojej pracy i życiu

szkolnemu. Postanowiła zapomnieć o panu Blake'u - to nieuczciwe przyjmować jego awanse, kiedy nie czuje do niego nic więcej poza wdzięcznością - i w ogóle dać sobie spokój z amantami.

A przede wszystkim postanowiła zapomnieć o wicehrabim Sinclairze.

Powróciła myślami do swojego występu, starając się do niego wewnętrznym przygotowaniem. Wolałaby zaśpiewać w salonie, a nie w sali muzycznej, bo ta wydawała się zbyt wielkim pomieszczeniem na tak nieliczne grono słuchaczy. Pocieszała się jednak, że z przepierzeniem nie będzie już taka duża.

- Panno Allard - przez całą długość stołu zawołał do niej hrabia.

- Przez ostatnich kilka dni zastanawialiśmy się wraz z wnukiem, że byłoby to z naszej strony wielkie samolubstwo, gdybyśmy kazali pani występować tylko dla rodziny.

Wpadliśmy więc na pomysł, że zaprosimy na występ jeszcze kilku gości. Dołączą do nas po kolacji. Mam nadzieję, że ta niespodzianka panią ucieszy.

Kilku gości? Frances zamarła.

Nie, ta niespodzianka wcale jej nie ucieszyła, wręcz odwrotnie.

Przecież to Londyn!

- Wspaniały pomysł! - zawołała ciotka Martha. - To ładnie z waszej strony. - Posłała hrabiemu i jego wnukowi szeroki uśmiech.

- Jestem przekonana, że Frances podziela moje zdanie. Prawda, kochanie?

Ilu ma być tych gości? I kim oni są?

Widziała jednak, że ciotki rozpiera dumą i radością. Hrabia także był bardzo z siebie zadowolony, bardziej chyba nawet niż gdyby ofiarował jej diamentowy naszyjnik.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie - powiedziała.

Może kilka osób znaczy dwie albo trzy. Może będą to sami nieznajomi. Z pewnością tak. Przecież już od trzech lat nie kontaktuje się z nikim mieszkającym w Londynie.

- Wiedziałem, że się pani ucieszy - oświadczył hrabia, z satysfakcją zacierając dłonie. -

Co do zaszczytu, to zapewniam, że jest odwrotnie. To pani nas zaszczyca, madame, śpiewając dla nas. A teraz, jak sądzę, chciałaby pani chwilę odpocząć przed występem. Lucius odprowadzi panią do salonu, a my, całą resztą, przejdziemy do sali muzycznej. Luciusie?

- Oczywiście, sir. - Wicehrabia wstał z krzesła i wyciągnął do Frances dłoń. -

Dołączymy do was za jakieś pół godziny.

Frances położyła rękę na jego ramieniu.

Jadalnia i salon były na innym piętrze niż sala muzyczna. Z dołu nie docierały tu żadne odgłosy. Frances domyśliła się jednak, że w sali muzycznej panuje spory gwar.

- Ilu jeszcze gości zaprosiliście? - zapytała.

- Twój głos brzmi tak, jakbyś już była czymś zezłoszczona - mruknął Lucius, otwierając drzwi do salonu.

- Już? - zdziwiła się, odwracając do niego. - To znaczy, że kiedy poznam liczbę gości, rozzłoszczę się jeszcze bardziej?

- Wielu ludzi, dla takiej okazji jak ta, która zdarza się tobie, potrafiłoby zabić - zauważył.

Szeroko otworzyła oczy.

- W takim razie daj tę okazję im, a nie mnie - sarknęła. - Przynajmniej nie popełnią zbrodni.

Uniósł jedną brew.

- Poza tym, o jakiej okazji mówisz? - irytowała się.

- Przypuszczam, że nie słyszałaś o baronie Heacie. Patrzyła na niego w milczeniu.

Każdy słyszał o baronie Heacie - każdy, kto ma coś wspólnego z muzyką.

- Jest znanym i cenionym koneserem muzyki oraz patronem muzycznych talentów -

wyjaśnił Lucius. - Jak nikt inny w Londynie może ci pomóc w rozwoju kariery, Frances.

To samo powiedział kiedyś jej ojciec. Zamierzał przedstawić ją baronowi, choć twierdził, że będzie to bardzo trudne, ponieważ do barona starają się dostać wszyscy początkujący artyści, nawet ci niezbyt uzdolnieni.

- Mam już cel w życiu - odparła. - A ty, używając podstępów, próbujesz mnie od niego odwieść. Chcę wrócić do szkoły i nie szukam patrona, ponieważ znalazłam już jednego, moją przełożoną, pannę Martin.

- Usiądź i uspokój się. Nerwy nie przysłużą się twojemu głosowi.

- Ilu jest tych gości, lordzie Sinclair? - zapytała ponownie.

- Nie wiem, czy potrafię podać dokładną liczbę. Musiałbym zejść na dół i policzyć.

- Ilu? Przynajmniej w przybliżeniu?! Wzruszył ramionami.



- Powinnaś być zadowolona - mruknął. - Długo czekałaś na taką okazję. Sama wczoraj mi wyznałaś, że marzyłaś o tym i ty, i twój ojciec.

- Nie mieszaj do tego mojego ojca! - Nagle poczuła w sercu chłód. Aż musiała usiąść.

Przez głowę przemknęła jej zatrważająca myśl. - To przepierzenie, które oddziela salę muzyczną od balowej, zostało usunięte poprzedniego dnia. Twoja siostra zwróciła ci na to uwagę i przypominała, żebyś kazał ustawić je tam z powrotem. Czy tak się stało?

- Nie.

Podszedł do kominka, stanął przy nim i przyglądał się Frances.

- Dlaczego nie?

Dobry Boże, te połączone pomieszczenia są wielkości sali koncertowej. Z pewnością nie było to...

- Będiesz dzisiaj wspaniała, Frances - powiedział. Ręce miał splecione na plecach.

Przyglądał się jej z takim napięciem, że w innych okolicznościach poczułaby się tym zaniepokojona.

Tak, taki właśnie był jego zamiar, uświadomiła sobie nagle. Przepierzenie między salami zostało usunięte specjalnie. Zaprosił zbyt wielką liczbę gości, żeby pomieścili się w jednej sali. I wszystko stało się - to sprawa Luciusa - bez konsultacji z nią.

Tak samo jak bez uzgodnienia z nią, podstępem ściągnął ją do Londynu.

- Powinam natychmiast stąd wyjść - oświadczyła. - I uczyniłabym to, gdyby nie fakt, że ośmieszylabym ciotki.

- I sprawiłabyś zawód mojemu dziadkowi - dodał. - Tak.

Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Nie unikał jej wzroku, choć szczęki miał mocno zaciśnięte.

- Frances - przerwał wrogą ciszę - czego się obawiasz? Porażki? Nie spotka cię, zapewniam.

- Jesteś zwykłym manipulantem - powiedziała gorzko. - Aroganckim manipulantem, któremu się wydaje, że najlepiej wie, co powinam zrobić z moim życiem. Wiedziałeś, że nie chcę wracać do Londynu, a jednak tak manewrowałeś, że zmuszona byłam tu przyjechać.

Wiedziałeś, że nie chcę śpiewać dla dużej publiczności, a doprowadziłeś do tego, że nie mogę się teraz od tego wymigać. Wiedziałeś, że nie chcę cię widywać, ale całkowicie to zignorowałeś. Zapewne wyobrażasz sobie, że mi pomagasz i że ci na mnie zależy, ale się mylisz. Nikt nie manipuluje kimś, na kim mu zależy, ani nie czyni rzeczy, które doprowadzają bliską osobę do rozpacz. Tak naprawdę zależy ci tylko na sobie samym, dbasz wyłącznie o siebie. Jest pan tyranem, lordzie Sinclair, najgorszym z najgorszych.

Zauważyła, że gdy mówiła, bardzo pobladał. Jego twarz wyrażała przygnębienie.

Spojrzał na węgle płonące w kominku.

- A ty, Frances - odezwał się po długiej chwili milczenia - nie wiesz, co znaczy słowo

„zaufanie”. Nie spieram się z tobą o to, że wolisz uczyć niż śpiewać. Dlaczego miałbym się spierać? Masz prawo sama decydować, co chcesz w życiu robić. Muszę jednak zrozumieć powód, dla którego wybrałaś tak, a nie inaczej, i wiem, że tym powodem jest coś więcej niż tylko zwykła preferencja czy potrzeba zarabiania na utrzymanie. Nie mam do ciebie pretensji o to, że nie chciałaś jechać ze mną do Londynu, kiedy ci to zaproponowałem zaraz po Bożym Narodzeniu, ani o to, że odrzuciłaś moje oświadczenia. Nie uważam siebie za ósmy cud świata i nie oczekuję od kobiet, że każda zakocha się we mnie po uszy, nawet od tych, które dzieliły ze mną łóżko. Ale muszę zrozumieć powód twojej odmowy, tym bardziej że nie wierzę, iż jest nim niechęć lub obojętność. Ty jednak nie chcesz wyjawić mi prawdziwych przyczyn swojego zachowania. Nie ufasz mi.

Była zbyt zła, żeby znów czuć żal z powodu tego, że poprzedniego dnia nie powiedziała mu o sobie całej prawdy.

- Nie muszę ci się z niczego zwierzać - zawołała. - Nie mam obowiązku zwierzać się ani tobie, ani nikomu innemu. Bo niby dlaczego? Nic dla mnie nie znaczysz. I jeśli już w ogóle jestem czegoś pewna, to tylko jednego: że muszę kierować się rozsądkiem. Ufać samej sobie. I nie zamierzam siebie zawieść.

Odwrócił się do niej.

- Jesteś o tym przekonana? - zapytał bardzo poważnie. - Nie przyszło ci na myśl, że być może już to się stało?

Nagle zrozumiała - choć wydawało jej się, że wiedziała o tym od samego początku -

dlatego potrafiła wyobrazić sobie przyszłość z Blakiem, a nie z Lucyusem Marshallem. Z

Blakiem, poza wyznaniem szczegółów z przeszłości, łącznie z bożonarodzeniowym incydem, nie groziło jej, że przyjdzie jej dzielić się najgłębszymi pokładami siebie - nigdy.

Podpowiadał jej to instynkt. We wspólnym życiu zadowoliliby się kurtuazją i przyjaźnią. Z

Lucyusem natomiast musiałyby podzielić się własną duszą - a on z nią swoją.

Nic innego nie wchodziło w grę. Myliła się wczoraj, kiedy mówiła o otwartej księdze.

Gdyby była młodą dziewczyną, może i zaryzykowałyby pełne otwarcie - a nawet cieszyłyby się na taką perspektywę, bo przecież młodzi ludzie marzą o gorącej i namiętnej miłości, takiej co to wiąże kochanków aż po grób.

Ona jednak, mimo że miała dopiero dwadzieścia trzy lata, wzdragała się przed takim związkiem - a

zarazem za nim tęskniła.

Nagle wróciły do niej bardzo wyraźne wspomnienia nocy spędzonej z Luciusem.

Zamknęła oczy.

- Przyjdę tu za dwadzieścia minut, żeby odprowadzić cię do sali muzycznej -

poinformował. - Wprawdzie ten koncert zorganizowałem głównie dla ciebie, Frances, lecz poprosiłem o występ także innych wykonawców. Ty zaśpiewasz na końcu. I dobrze, bo po tobie nikt już nie chciałby się pokazać. Zostawię cię teraz samą, żebyś mogła się wyciszyć.

Przemierzył pokój długimi krokami, nie patrząc na nią. Ale kiedy dotknął klamki, zatrzymał się.

- Jeśli, kiedy wrócę, a nawet teraz, poprosisz, żebym odwiózł cię do domu, uczynię to.

Wymyślę jakieś wytłumaczenie twojej nieobecności. Gdy trzeba, potrafię być pomysłowy.

Czekał na jej odpowiedź, milczała jednak. Wyszedł więc z sali, cicho zamykając za sobą drzwi.

Frances pogrążyła się w rozmyślaniach. Uważała, że byłoby cudem, gdyby na sali muzycznej nie znalazł się ktoś z jej dawnych znajomych. O dziwo, myśl ta sprawiła, że poczuła spokój - a raczej rezygnację. Już nic nie mogła na to poradzić. Oczywiście, mogłaby uciec - nie musi nawet czekać na powrót Luciusa. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi.

Sprawiłaby tym zawód hrabiemu Edgecombe'owi.

Zasmuciłaby ciotki i poniżyła je w oczach innych gości.

Poza tym w głębi duszy czuła samolubne pragnienie pozostania.

Ziszczało się przecież marzenie jej życia, choć towarzyszyło temu cierpienie.

Lucius nie odpowiedział jej na pytanie, jak liczne jest grono gości. Ale nie musiała tego wiedzieć. Domyślała się, że jest ich wielu. Inaczej nie usunięto by przepierzenia między salami. Tylko w sali muzycznej zmieściłoby się kilkanaście osób. A zatem na pewno jest ich więcej, skoro połączono pomieszczenia.

I jednym z gości jest sam baron Heath. Ojciec, gdyby to wiedział, byłby z tego powodu bardzo dumny!

Jej dusza artystki, śpiewaczki, która od dzieciństwa marzyła o tym, by śpiewać przed wielką publicznością, pragnęła tego występu bez względu na konsekwencje.

W końcu żaden artysta, ani malarz, ani pisarz, nie tworzy swoich dzieł tylko po to, żeby po ich ukończeniu ukryć je przed światem. Jak mówi biblijna przypowieść, dobry gospodarz nie trzyma pod koszem lampki oliwnej; chce, żeby jej światło dotarło do każdego zakątka jego domostwa.

Przyszło jej na myśl, że przez wszystkie lata pracy w szkole zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tłumi instynkt każący jej dzielić się swoim śpiewem z innymi.

Nauczył mnie sięgać gwiazd i nie zadowalać się byle czym.

Tato!

Cóż, tego wieczoru zaśpiewa dla niego i dla siebie.

A jutro zajmie się organizowaniem powrotu do Bath.

Po wyjściu z salonu Lucius zamierzał przemknąć się do swojego pokoju, żeby tam, w jego zaciszu, poradzić sobie z bolesnymi uczuciami - przede wszystkim ze wściekłością.

Obawiał się jednak, że kiedy znajdzie się w miejscu, w którym nic nie będzie odciągało go od jego własnych myśli, nie zdoła ich znieść.

Manipulant.

Tyran.

Najgorszy z najgorszych.

Nikt nie manipuluje kimś, na kim mu zależy, ani nie czyni rzeczy, które doprowadzają bliską osobę do rozpacz.

Tam do diabła!

Najchętniej pobiegłby teraz do sali muzycznej i przegnałby z niej wszystkich gości.

Niczego by nie stracili, bo przecież w sezonie w Londynie nie brak rozrywek. Ale choć zdarzało mu się zachować impulsywnie i bezmyślnie, nigdy nie pozwalał sobie na złe maniery - a przynajmniej nie wobec tak wielu ludzi. Poza tym nie znajduje się u siebie w domu. A dziadkowi tak zależało na tym wieczorze.

Zamiast więc do swojego pokoju, zszedł na dół, żeby sprawdzić, jacy goście się pojawili, i by się z nimi przywitać. Okazało się, że przyszli chyba wszyscy, których zaprosił -

a była to naprawdę spora liczba osób. Sala muzyczna była pełna. Podobnie sala balowa.

Goście rozprawiając, krążyli po obu pomieszczeniach.

Przywitał się z baronem Heathem i jego żoną, po czym zaprowadził ich do pierwszego rzędu, w którym zarezerwował dla nich miejsca. Potem podszedł do innych znajomych. Ze szczególną uprzejmością przywitał się z lady Lyle, zapewniając, że nie pożałuje obecności na koncercie. Na jej pytające spojrzenie uśmiechnął się, mówiąc, że wkrótce sama się przekona.

Kiedy podszedł do Portii i jej rodziców, uświadomił sobie z niechęcią, że jak dotąd pomyślał o nich dopiero teraz. Zauważył, że markiz Godsworthy rozmawia z jego dziadkiem.

- Jestem mile zaskoczona - oświadczyła lady Balderston. - Koncert w Marshall House to niecodzienne wydarzenie.

- Będzie pani zachwycona - zapewnił Lucius.

- Słyszałam od Caroline, że wśród występujących będzie ta nauczycielka z Bath -

wtrąciła się Portia. - Czy to rozsądne? Ta pani nie jest przyzwyczajona do publiczności o tak wyrafinowanych gustach.

- Panna Allard nie zawsze była nauczycielką, Portio - upomniał ją Lucius. - Ani nie urodziła się w Bath. Tak się składa, że wychowała się w Londynie i miała najlepszych nauczycieli muzyki.

- No cóż, mam nadzieję - odparła na to - że goście siedzący w ostatnich rzędach zdołają ją usłyszeć. Wybacz mi, Luciusie, ale widzę, że twoja mama jest zajęta gośćmi. Czy ma świadomość, że Amy zeszła na dół?

- Moja matka zawsze wie, co dzieje się z jej córkami. Co do Amy, jest członkiem rodziny, a dzisiejszy koncert to spotkanie rodzinne.

Kiwnął uprzejmie głową i odszedł, nim irytacja wzięłaby nad nim górę. Już i tak doskwierało mu wiele nieprzyjemnych uczuć.

Stopniowo zjawiali się następni wykonawcy. Coraz więcej gości zajmowało swoje miejsca. Nie istnieje nic gorszego od koncertu, który nie rozpoczyna się punktualnie. Czas przyprować Frances.

Szedł do salonu przekonany, że gdy ona zobaczy tylu gości, urwie mu głowę. Nadal nie rozumiał, dlaczego przed trzema laty porzuciła marzenia o śpiewaniu i dlaczego teraz też była mu tak bardzo niechętna.

Manipulant. Tyran.

Cóż, te wyzwiska chyba mu się należały. Lepiej jednak być manipulantem niż tchórzem. Lepiej mierzyć się z życiem, tak jak on, niż przed nim uciekać. Nie zamierzał się w tej kwestii zmieniać.

Zastał ją przy oknie. Sztywno wyprostowana, patrzyła w mrok, ale kiedy się do niego odwróciła, stwierdził, że wygląda na spokojną i opanowaną.

Zdał sobie sprawę, że to profesjonalistka. Mimo że ją zaskoczył i że wcale jej się to nie spodobało, zdołała zebrać się w sobie i przygotować do występu.

- Pójdziemy? - zapytał.

Przemierzyła pokój bez słowa i wsunęła mu rękę pod ramię.

Pomyślał, że może ostatni raz idzie dokądś w towarzystwie Frances Allard. Ona go nie chce - a raczej postanowiła, że go nie chce. Czas zaprzestać pościgu za nią. Wiedział, że po dzisiejszym koncercie otworzą się przed nią nowe możliwości. Będzie mogła wrócić do Bath lub oddać się w ręce Heatha.

I ten wybór zawdzięcza jemu. Lecz na tym koniec. Więcej nie będzie wtrącał się do jej życia.

Jeśli dla Frances dowodem jego miłości jest to, że pozwoli jej odejść, uczyni to.

Choć będzie to bardzo, bardzo trudne. Pasywność nie leżała w jego naturze.

Kiedy dotarli do drzwi sali muzycznej, Frances zatrzymała się i mocniej ścisnęła go za ramię.

- Och - jęknęła cicho. - A więc tak wygląda niewielkie grono przyjaciół.

Wiedział, że nie było to pytanie, dlatego też nic nie odpowiedział. Podprowadził ją tylko do wolnego krzesła w pierwszym rzędzie, stojącego między krzesłami jej ciotek.

- Czyż to nie wspaniała niespodzianka, kochanie? - zawołała panna Driscoll na widok kuzynki.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zdenerwowana, moja droga? - zapytała pani Melford.

Lucius zajął swoje miejsce. Zauważył, że wszyscy goście już się porozsiadali. Widząc go, nawet trochę przycichli. Wstał więc i jeszcze raz przywitał zebranych, zapowiadając pierwszy występ wieczoru, znajomej skrzypaczki, która w ubiegłym roku zyskała już pewną sławę w Wiedniu i w ogóle w Europie.

Zagrała perfekcyjnie i publiczność nagrodziła ją hucznymi brawami. Podobnie było z pianistą, który wystąpił po niej. I z harfistką. Lucius coraz bardziej się denerwował. Następna miała wystąpić Frances.

Zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił koszarnej pomyłki.

Nie wątpił, że da sobie radę, ale czy... Czy kiedykolwiek wybaczy mu to, co jej zrobił?

Cóż, ktoś musiał wyrwać ją z odrętwienia.

Wstał, żeby ją zapowiedzieć.

- Kilka tygodni temu wraz z dziadkiem i siostrą uczestniczyłem w wieczorku muzycznym w Bath. To właśnie tam usłyszeliśmy głos, który mój dziadek określa jako najpiękniejszy sopran, jaki słyszał przez osiemdziesiąt lat swojego życia. Możliwość usłyszenia tego głosu była dla nas zaszczytem i ucztą duchową. Dzisiaj usłyszymy go ponownie. Panie, panowie, oto panna Frances Allard.

Frances podniosła się przy wtórze uprzejmych oklasków. Caroline zasiadła przed fortepianem i rozłożyła nuty.

Frances była blada, ale nadal wyglądała na tak samo spokojną jak w salonie. Spojrzała na siedzących przed nią gości, potem spuściła głowę i nawet na chwilę przymknęła oczy.

Zapadła cisza. Frances głęboko nabrała powietrza i je wypuściła.

Otworzyła oczy i skinęła w stronę akompaniatorki.

Wybrała *Niech jasny serafin* z oratorium Samson Haendla, ambitny utwór na trąbkę i sopran. Oczywiście nie miała do dyspozycji trębacza, tylko pianistkę i swój głos.

Ale potrafiła nim zastąpić trąbkę. Wznosił się i opadał w zawiłych pasażach i trelach, wypełniając oba pomieszczenia czystym dźwiękiem, który ani razu nie przeszedł w pisk, nawet przez chwilę nie przytłoczył słuchaczy. Głos, muzyka, przestrzeń wspaniale ze sobą harmonizowały.

- *Niechże zabrzmie głośno anielska trąbka.*

Śpiewając, patrzyła na słuchaczy. Śpiewała do nich i dla nich, nie pozostawiła ich obojętnymi. Widać było jej ogromne zaangażowanie. Z każdym oddechem zatapiała się coraz bardziej w zaczarowanym świecie muzyki, z każdym oddechem go stwarzała.

Lucius czuł ten świat wraz z nią.

Tak bardzo się w nim pogрузzył, że nawet nie usłyszał oklasków, które rozbrzmiały po zakończeniu utworu. Ścisnęło go w sercu i gardle, jakby hamował łyż.

Nawet nie mógł powiedzieć, że jest z Frances dumny. Nie miał prawa do takiego uczucia. Ale za to przepełniało go coś innego... przepełniała go radość. Radość z powodu muzyki, radość z powodu radości Frances, radość, że uczestniczy w tym wydarzeniu.

Zapamiętał się w tej radości. Zapomniał, że powinien wstać, wygłosić jakiś komentarz i poprosić wykonawczynię o następny utwór. Na szczęście nie musiał tego robić. Brawa przycichły. Rozległ się szelest przekładanych przez Caroline nut.

Frances zaczęła śpiewać *Wiem, że mój Zbawca żyje.*

Pierwszy utwór był czystą perfekcją, drugi - balladą emocji. Nim jeszcze pieśń dobiegła końca, Lucius, zupełnie zapominając o otaczających go ludziach, połykał łyż.

Uważał, że Frances odśpiewała ją jeszcze piękniej niż w Bath, o ile to w ogóle możliwe.

Poderwał się, jeszcze zanim przebrzmiała ostatnia nuta, ale nie zaczął klaskać. Patrzył na Frances, wysoką, dumną i piękną, pogrążoną w świecie muzyki.

I zdał sobie sprawę, że stoi przed kobietą, którą kochać będzie do końca swoich dni, nawet jeśli widzi ją po raz ostatni. I pomimo wszystko, pomimo słów, którymi obrzuciła go w salonie, nie żałował tego, co zrobił.

Na Boga, niczego nie żałował. Zrobiłby to samo jeszcze raz.

Ona także nie będzie żałować. Nigdy nie pożałuje tego wieczoru.

Uśmiechała się właśnie i pokazywała na Caroline, która naprawdę świetnie się spisała.

Obie pokłoniły się publiczności. Lucius podszedł do nich, promieniejąc radością, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył.

W takiej chwili trudno nie wierzyć w szczęśliwe zakończenia.



Frances była szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa.

Wreszcie znajdowała się na swoim miejscu. Czuła to całą sobą. Robiła to, do czego została stworzona.

Szczęście wypełniało ją po brzegi, a nawet się z niej wylewało.

I instynktownie, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć, kiedy tylko brawa przebrzmiały, odwróciła się z uśmiechem do stojącego w pierwszym rzędzie Luciusa, który promieniał...

dumą i radością.

I czymś jeszcze.

Jakaż była głupia! Prawie od samego początku ich znajomości miała okazję sięgnąć gwiazd, wystarczyło tylko podjąć ryzyko. Dla miłości i dla muzyki.

Ale ona nie chciała ryzykować.

Dlatego Lucius uczynił to za nią.

Zalała ją fala tak wielkiej wdzięczności, że niemal zabrakło jej tchu.

Zauważyła, że zmierza ku niej hrabia Edgecombe. Uniósł jej dłoń i na oczach wszystkich pokłonił się, składając na jej ręce pocałunek.

- Panna Frances Allard - powiedział głośno, zwracając się do otaczających ich osób. -

Zapamiętajcie to nazwisko, przyjaciele. Pewnego dnia będziecie się chwalić, że mieliście okazję posłuchać panny Allard, zanim jeszcze stała się sławna.

Występ Frances zakończył koncert. W sali ponownie rozbrzmiały rozmowy, w drzwiach pojawił się sznureczek lokajów niosących tace zastawione smakołykami i napojami.

Hrabia oddalił się, ale Frances nie została sama. Podszedł do niej wicehrabia Sinclair.

- Po prostu brak mi słów, Frances - powiedział. - Brak słów. Pomyślała, że zaraz się rozplacze, opanowała się jednak, bo w tym momencie podeszła do nich wicehrabina Sinclair i wzięła ją w ramiona.

- Panno Allard. Dzięki pani byłam dzisiaj w niebie. Mój teść, Amy i Lucius nie przesadzali, kiedy z takim entuzjazmem opowiadali o pani talencie. Dziękuję, że zechciała pani dla nas zaśpiewać.

Zbliżył się lord Tait z żoną. Pokłonił się, a lady Tait uśmiechnęła się, mówiąc, że całym sercem

zgadza się z matką.

- Ty także doskonale się spisałaś, Caroline - zwróciła się do stojącej obok Frances siostry. - A dziadek ma rację. Pewnego dnia będę mogła się chwalić, że moja siostra akompaniowała pannie Allard na jej pierwszym londyńskim koncercie.

Podbiegła Amy. Wyściskała Frances gorąco.

- A ja będę się chwaliła, że jest pani moją przyjaciółką i że się zaprzyjaźniłyśmy jeszcze przed moim debiutem - zawołała.

Frances się roześmiała. Nie umknęło jej uwagi, że otaczają ją członkowie rodziny Luciusa i wszyscy przyglądają się jej z aprobatą. Tę wspaniałą chwilę na pewno będzie w przyszłości wspominała z wielką przyjemnością.

Potem dołączyła do nich jeszcze jedna para. Prezentacji dokonał lord Sinclair, ale Frances od razu wiedziała, z kim ma do czynienia. Ukłoniła się państwu Heathom.

- Panno Allard, może pani słyszała, że co roku, w święta Bożego Narodzenia, urządzam u siebie koncert; zapraszam wyłącznie specjalnych gości - powiedział baron. -

Wykonawcami są osoby obdarzone szczególnym talentem, wyszukane przeze mnie na terenie całej Anglii i kontynentu. Pragnę zrobić wyjątek i zorganizować taki koncert teraz, w trakcie sezonu, z panią w roli głównej. Oczywiście za pani zgodą. Nie mam cienia wątpliwości, że wszyscy, którzy słuchali pani dzisiaj, z wielką chęcią posłuchają jej ponownie. Zapewne rozpowiedzą wszem wobec o pani talencie i aż się boję, że w moim domu zabraknie wtedy miejsc.

- Może więc, Rodericku - wtrąciła stojąca obok Heatha dama, kładąc dłoń na jego ramieniu i spoglądając na Frances z uśmiechem - powinieneś zastanowić się nad wynajęciem na tę okazję sali koncertowej.

- Doskonały pomysł, Fanny! - zgodził się baron. - Tak właśnie zrobię. Panno Allard, potrzebuję tylko pani zgody. Uczynię panią sławną. Nie, źle się wyraziłem, pani już jest sławną. Ale mogę sprawić, że stanie się pani najślawniejszym sopranem w całej Europie. Jeśli tylko odda się pani w moje ręce. Zresztą i tak niedługo będę mógł cieszyć się moją władzą, ponieważ wkrótce nie będzie pani potrzebowała ani mojego patronatu, ani niczyjego innego.

To było dla Frances za trudne. Zbyt wiele światła spłynęło na nią w zbyt krótkim czasie. Czowała przemożną potrzebę cofnięcia się, podniesienia dłoni na znak „stop”. Chciała się zastanowić, pomyśleć. W tej chwili oddałaby wszystko za możliwość zobaczenia spokojnej, opanowanej twarzy Claudii Martin. Zażęknęła za Anne i Susanną.

Zarazem wyczuwała obecność stojącego za nią wicehrabiego Sinclaira. Mimo że się nie odzywał, wiedziała, że jest spięty.

- Dziękuję, baronie Heath - wyjąkała. - Pańska propozycja to dla mnie wielki zaszczyt, ale jestem nauczycielką. Uczę muzyki w szkole w Bath. Takie właśnie życie sobie wybrałam i nawet teraz

brakuje mi moich uczennic i koleżanek nauczycielek, które są mi też wielkimi przyjaciółkami. To prawda, że uwielbiam śpiewać, nie marzę jednak o karierze. - Mówiła prawdę. No może nie całą, ale...

- Przykro mi to słyszeć, madame - odparł baron. - Nawet bardzo przykro. Wygląda na to, że źle zrozumiałem sytuację. Kiedy Sinclair zaprosił mnie tutaj, sądziłem, że uczynił to na pani życzenie. Sądziłem, że zależy pani na promocji. Rozumiem teraz, że tak nie jest. Mam pasierba. Jego natura także obdarzyła przesłodkim głosem, a jednak żona nie pozwala mi się nim zająć. I słusznie, to jeszcze dziecko. Szanuję pani decyzję, lecz gdyby kiedyś zmieniła pani zdanie, proszę natychmiast się do mnie zgłosić. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy miałem szczęście słuchać najczystszych chłopięcych sopranów, a dzisiaj udało mi się usłyszeć najczystszy sopran kobiecy.

Po odejściu baronostwa Frances spojrzała na Luciusa.

- Mam ochotę cię udusić, Frances - powiedział.

- Dlatego, że nie dzielam twoich ambicji? - zapytała.

- Ależ dzielasz! - krzyknął. - Jednak nie zamierzam się z tobą o to wyklócać.

Zapewne się ucieszysz, słysząc, że postanowiłem nie wtrącać się więcej w twoje życie. Po dzisiejszym wieczorze uwolnię cię od siebie.

Sama nie wiedząc dlaczego, zapagnęła dotknąć jego ramienia, ale nie zdążyła tego uczynić, ponieważ zbliżały się do nich kolejne osoby, by pogratulować jej występu, uścisnąć jej dłoń lub choćby zamienić słowo. Frances uśmiechała się, starając się poddać urokowi chwili.

Bo chwila była urocza. Bez wątpienia. Wzruszała ją myśl, że jej śpiew przynosi radość nie tylko jej samej, ale także innym. Kilka osób powiedziało nawet, że słuchając jej, prawie płakało.

Niestety jej szczęście nie trwało długo. Przygasło z chwilą, gdy Lucius przedstawił jej lorda Balderstona, który podszedł do nich z żoną i córką.

- Panna Portia Hunt - usłyszała. Ach.

Panna Hunt była piękna. Miała ten typ perfekcyjnej angielskiej urody, której Frances, dorastając, zawsze zazdrościła swoim koleżankom, póki nie zrozumiała, że nigdy taka nie będzie. A poza urodą panna Hunt wyróżniała się też doskonałym smakiem w sprawach ubioru; prezentowała się szalenie elegancko i wytwornie.

Każdy mężczyzna, widząc ją, od razu musiałby się w niej zakochać.

Jak to możliwe, że Lucius...

Panna Hunt uśmiechała się do niej życzliwie.

- To był godny pochwały występ, panno Allard - powiedziała. - Dyrektorka pani szkoły i pani

koleżanki na pewno są z pani ogromnie dumne. A uczennice mogą sobie pogratulować, że mają tak uzdolnioną nauczycielkę.

Mówiła uprzejmym, ale protekcyjnym tonem - protekcyjność przeważała.

- Dziękuję - odparła Frances. - A ja jestem dumna z tego, że mogę kształtować umysły i talenty młodych dam.

- Luciusie - zwróciła się panna Hunt do wicehrabiego - skoro koncert dobiegł już końca, pozwolę sobie odprowadzić Amy do jej pokoju.

Luciusie. Mówiła mu po imieniu. A co więcej, wygląda na to, że jest w bardzo zażyłych stosunkach z jego rodziną. Ale nie ma się co dziwić - to przecież jego przyszła żona.

Lucius może się zarzekać, że nie zaręczył się jeszcze z panną Hunt, ale prawdy nie da się ukryć.

Tylko, czy to w ogóle ma teraz jakieś znaczenie?

- Nie zaprzataj sobie tym głowy, Portio - odparł Lucius. - Matka sama odeśle ją do łóżka, kiedy uzna, że na to pora.

Panna Hunt w odpowiedzi uśmiechnęła się, odwróciła i odeszła do rodziców, zajętych rozmową z lady Sinclair. Frances zauważyła, że jej oczy pozostały poważne.

Spojrzała na wicehrabiego. Przyglądał się jej, oczywiście unosząc jedną brew.

- Uff, to jedna z tych strasznych chwil rodem z sennych koszmarów - mruknął. - Ale, o dziwo, jakoś ją przeżyłem.

Domyślała się, o czym mówi - o tym, że ona i Portia wreszcie się spotkały.

- Panna Hunt jest piękna - powiedziała.

- Jest doskonała - poprawił, unosząc drugą brew. - Kłopot w tym, że ja nie jestem doskonały i nigdy nie chciałem taki być. Perfekcja to wymysł szatana. Na szczęście tobie też dużo brakuje do doskonałości.

Roześmiała się mimo woli. Chciała się odwrócić i odejść do ciotek, ale zauważyła, że zbliżają się do niej dwie kolejne osoby.

Ach! Uśmiech zamarł jej na ustach.

Podążający w ich stronę jasnowłose, niebieskooki dżentelmen wciąż wyglądał bardzo chłopięco. Był chyba urażony.

- Françoise. - Wlepił wzrok we Frances. - Françoise Halard.

Już w chwili, gdy wsparta na ramieniu wicehrabiego wkraczała do sali muzycznej, domyślała się, że może dojść do tej sceny. Pomyślała nawet wtedy, że byłby to cud, gdyby tak się nie stało. Ale kiedy tylko zaczęła śpiewać, zupełnie zapomniała o swoich obawach -

zapomniała, że jest w Londynie.

A jednak osoba, której nie chciała spotkać najbardziej na świecie, stała teraz przed nią

- a za nią druga, równie niechętnie przez nią widziana.

- Charles - powiedziała, wyciągając dłoń. Dotknął jej i schylił nad nią, ale nie ucałował.

- Ach, więc znasz hrabiego Fontbridge'a? - zdziwił się Lucius. Frances czuła się tak, jakby ona i Charles, mężczyzna, w którym jeszcze trzy lata temu była zakochana i za którego miała wyjść za mąż, stali na dwóch krańcach długiego, ciemnego korytarza. - I hrabinę, jego matkę, także?

Spojrzała na stojącą obok Charlesa kobietę o potężnej posturze. Górowała nad synem, choć tak naprawdę jej moc nie kryła się we wzroście i wadze, a w charakterze.

- Lady Fontbridge - mruknęła.

- Mademoiselle Halard. - Hrabina nawet nie próbowała ukryć wrogości lub zmieniać tonu głosu na mniej szorstki. - Widzę, że jednak wróciła pani do Londynu. Kiedy następnym razem postanowisz zorganizować koncert, Sinclair, postaraj się poinformować zaproszonych gości, kogo będą słuchali, żeby mieli szansę podjąć decyzję, czy warto w ogóle się zjawiać.

Choć w tym akurat przypadku zapewne ani mój syn, ani ja nie domyślilibyśmy się, że panna Frances Allard to mademoiselle Halard, którą mieliśmy nieszczęście kiedyś poznać.

- Francoise, gdzie ty się podziewałaś? - spytał hrabia, który zdawał się nie słyszeć słów matki. - Czy twoje zniknięcie miało jakiś związek z...

Umilkł, bo hrabina stanowczym ruchem chwyciła go za ramię.

- Chodźmy, Charlesie. Czekają na nas inni goście. Do zobaczenia, lordzie Sinclair.

Frances zignorowała.

Charles pomaszerował posłusznie za matką, choć zdołał jeszcze posłać Frances powłóczyście spojrzenie pełne wyrzutu. Hrabina, dumnie wyprostowana, opuściła salę, nie oglądając się za siebie.

- Widzę, Frances, że ty też doświadczasz chwil rodem z koszmarnego snu - mruknął

Lucius. - A może powinienem powiedzieć Francoise? Domyślam się, że Fontbridge to porzucony kiedyś kochanek?

- Lepiej już pójde - odparła na to Frances. - Ciotki są już chyba zmęczone i chcą wracać do domu.

- O tak, uciekaj - zakpił. - To ci wychodzi najlepiej, Frances. Pozwól jednak, że nieco cię rozweselę. Chodźmy do lady Lyle.

- To ona tu jest?! - Frances zaczęła się gorzko śmiać. Zęby wieczór okazał się kompletną katastrofą, brakowało już tylko spotkania z George'em Ralstonem.

- Pomyślałem, że chciałaby cię usłyszeć - wyjaśnił Lucius. - I że ty także z chęcią się z nią zobaczysz. Dlatego ją zaprosiłem.

- Doprawdy? - burknęła. - Nie przyszło ci do głowy, że sama bym się z nią skontaktowała, gdyby zależało mi na spotkaniu?

Westchnął głośno.

- Pamiętam, Frances, że kilka miesięcy temu, pewnego śnieżnego dnia zaproponowałem ci, że podwiozę cię moim powozem, a ty mi stanowczo odmówiłaś. I właśnie wtedy, Frances, popełniłem największy w życiu błąd. Uległem rycerskiemu impulsowi, choć przyznam, że niechętnie, i nie wziąłem sobie tego do serca. A powinienem był odjechać i zostawić cię tam na pastwę losu.

- Tak. Powinieneś. A ja powinnam była wtedy nie zmieniać zdania.

- Od tamtej pory tylko uprzykrzamy sobie nawzajem życie.

- To ty uprzykrzasz życie mnie - zauważyła.

- Ach tak? Twoim zdaniem ty obdarzasz mnie wyłącznie samą słodyczą?

- Nigdy nie chciałam mieć z tobą nic wspólnego - przypomniała. - Powtarzam ci to za każdym razem.

- Nie licząc pewnej znamiennej nocy - sarknął - kiedy to oddałaś mi się aż trzykrotnie.

Och, Boże, pomyślała, klóć się na oczach wszystkich gości. I na dodatek dostrzegła siedzącą w odległym kącie lady Lyle. Wyglądała jak zawsze bardzo elegancko. Srebrne włosy uczesała w wysoką piramidkę i udekorowała sztucznymi wisienkami. Przyglądała się jej i sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Nie mam ochoty z nią rozmawiać - oświadczyła. - I nie chcę pozostawać tu ani minuty dłużej. Pójdę teraz do moich ciotek, a panu, lordzie Sinclair, dziękuję za ten wspaniały wieczór. Rozumiem, że sądził pan, iż sprawi mi nim przyjemność. Cóż, stało się inaczej.

Zegnam.

- Znowu? - Lucius uniósł brew i się uśmiechnął. Frances zauważyła jednak, że w jego oczach pojawiła się jakaś pustka, ona taką pustkę odczuwała w sercu. - Czy to nie robi się już trochę nudnawe, Frances?

Mogła mu w tej chwili przypomnieć, że to nie z jej winy sytuacja się powtarza i to on ściągnął ją do

Londynu pod pretekstem choroby ciotki Gertrudę.

- żegnam - powtórzyła. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że mówiła szeptem.

Lucius kilkakrotnie skinął głową, a potem nagłym ruchem okręcił się na pięcie i odszedł w głąb sali.

Patrzyła za nim, zastanawiając się, czy tym razem ich rozstanie rzeczywiście jest już tym ostatnim.

Dlaczego miałyby być inaczej?

Przypomniała sobie hrabinę Fontbridge. Wie już ojej pobycie w Londynie.

Charles też.

I lady Lyle.

Wkrótce dowie się o tym także George Ralston.

Pozostawało jej mieć nadzieję, że Bath nie przestanie być dla niej bezpieczną kryjówką.

Lucius szczerze pragnął uszanować swoje przyrzeczenie, że tym razem już naprawdę pozostawi Frances w spokoju. Skoro uczciwie wyraził jej swoje uczucia, skoro uczynił, co w jego mocy, by uświadomić jej, że nie jest jej obojętny, skoro, pokonując egoizm, próbował

nadać bieg jej karierze - którą zresztą już dawno powinna zrobić - nie dbając przy tym o to, czy ich romans będzie trwał, a ona nadal obstawała przy swoim, nie pozostawało mu nic innego jak pozwolić jej odejść - w przeciwnym wypadku musiałby zgodzić się na dalsze ośmieszanie.

Postanowił zająć myśli przygotowaniami do ślubu.

Własnego, niestety.

Okazja do tego przydarzyła się już następnego dnia po koncercie, kiedy wrócił z Amy do domu z wyprawy do Tower. Chcąc poinformować matkę, że nie zamierza zostać na kolacji, zajrzał do salonu i zdębiał. Przeklinając w duchu samego siebie za to, że nie zapytał

służby, czy wicehrabina przypadkiem nie przyjmuje jakichś gości, wszedł do pokoju, w którym byli: matka, Margaret, Caroline i Emily, a także lady Balderston oraz Portia. Gdyby nie obecność Taita, który patrzył na niego tak, jakby błagał o ratunek, Lucius po wymianie grzeczności szybko by się ulotnił. Jednak nie miał serca zostawiać szwagra samego.

Tak więc już po dwóch minutach siedział na sofie obok Portii z filiżanką herbaty w dłoni.

Wyglądało na to, że jego wejście przerwało zagorzałą dysputę o kapeluszach, do której wszakże zaraz powrócono, co przyjął z grymasem zniechęcenia, podobnie jak jego szwagier.

W końcu temat został wyczerpany i uwaga obecnych, a przede wszystkim Portii, skoncentrowała się na Luciusie.

- Przed twoim przyjściem - zwróciła się do niego - mama tłumaczyła lady Sinclair, że obecność Amy na wczorajszym koncercie była wielkim błędem.

- Czyżby? - Lucius poczuł znajome ukłucie irytacji.

- Sam koncert też - ciągnęła Portia. - Narobiłeś sobie nim kłopotów. Przypuszczam jednak, że o niczym nie wiedziałeś, i to za tobą przemawia. Pomyłki nie muszą oznaczać katastrofy, jeśli tylko potrafimy wyciągać z nich wnioski. Jestem przekonana, że ten błąd nauczy cię ostrożności, a poza tym zawsze możesz się poradzić osób bardziej od ciebie doświadczonych, których przecież nie brak w twoim otoczeniu.

Patrzył na nią, wysoko unosząc brwi. O czym ona, na Boga, mówi? I czyżby, w jej mniemaniu, tą doświadczoną osobą, u której powinien szukać rady, jest właśnie ona? Z

pewnością. Z tym że Portia nie proponowała porady - ona się z nią narzucała.



- W przyszłości musisz pamiętać, żeby dobierać wykonawców twoich koncertów z większą rozwagą - dodała uprzejmie. - Należało dokładniej sprawdzić przeszłość panny Allard, choć rozumiem, że nikomu nie przyszłoby do głowy, iż na życiorysie nauczycielki mogą istnieć jakieś skazy. Z pewnością nie podejrzewali tego ani moi rodzice, ani ja.

Całe towarzystwo przysłuchiwało się jej przemowie w milczeniu, jakby się z nią zgadzało.

Lucius zmrużył oczy. Nie czuł już irytacji, ale o wiele silniejszą emocję, którą na szczęście był w stanie jeszcze kontrolować.

- A dokładnie jakie to skazy widnieją na życiorysie panny Allard, Portio? - zapytał. -

Jakich plotek się nasłuchiwałaś?

- Doprawdy, lordzie Sinclair - odezwała się lady Balderston zduszonym ze wzburzenia głosem. - Nasza rodzina nie należy do pospólstwa. Nie sądzi pan chyba, że mamy zwyczaj wysłuchiwania plotek. Prawdy dowiedzieliśmy się od nikogo innego jak tylko od samej lady Lyle. Lady Lyle opiekowała się swego czasu tą francuską dziewczyną, która teraz udaje rodowitą Brytyjkę.

- I to - sarknął - jest pani zdaniem takim wielkim grzechem, lady Balderston? Ma pani za złe pannie Allard, że niektórzy mówią o niej: Halard? Ze miała ojca Francuza i matkę Włoszkę? Że sprowadzono ją do Anglii, kiedy była jeszcze dzieckiem? Może po to, żeby zrobić z niej francuskiego szpiega? Cóż by to była za ekscytująca historia! Może powinniśmy biec za nią, zawlec do Tower i zakuć w kajdany.

Na te słowa Tait wybuchnął śmiechem, ale zaraz udał, że było to tylko odchrząkiwanie.

- Luciusie, to nie jest dobry moment na żarty - skarciła go wicehrabina Sinclair.

- A czy ktoś tu żartuje? - zapytał, przyglądając się im. W oczach Emily dostrzegł

iskierki rozbawienia. W jej policzkach pojawiły się dwa wyraźne dołeczki.

- Podoba mi się francuska wymowa nazwiska panny Allard - stwierdziła Caroline - i nawet się dziwię, że je zmieniła.

- Prawda jest taka - odezwała się znowu Portia - że lady Lyle zmuszona była usunąć pannę Allard ze swojego domu, ponieważ ta zadawała się z nieodpowiednimi ludźmi i śpiewała na prywatnych przyjęciach, o których szanujące się damy nie powinny nawet wiedzieć. A co jeszcze wyrabiała ta kobieta?

- Portio, kochanie - wtrąciła się lady Balderston - lepiej nie mówić o takich rzeczach.

- To bolesne, mamó, zdaję sobie z tego sprawę - przyznała dziewczyna. - Ale wicehrabia musi zrozumieć, że poprzedniego wieczoru naraził swoją rodzinę na skandal.

Trzeba to też, bardzo delikatnie, uświadomić hrabiemu Edgecombe'owi. Musimy zaufać lady Lyle, że

zgodnie z przyrzeczeniem nikomu nic nie powie. My także powinniśmy trzymać wszystko w tajemnicy. Zresztą lady Lyle gorąco nas o to prosiła.

- Prosiła was o zachowanie tajemnicy? - zdziwił się Lucius.

- To chyba rozumiałe, że nie chce, aby ktokolwiek się dowiedział, jak paskudnie potraktowała ją jej własna wychowanka - oświadczyła Portia. - Uznała wszakże, że ja i rodzice powinniśmy poznać prawdę.

- Dlaczego? - nie przestawał dziwić się Lucius.

Choć raz Portia wyglądała na zagubioną. Szybko jednak odzyskała pewność siebie.

- Przypuszczam, że wie, iż nasze rodziny są ze sobą w bliskim kontakcie - wyjaśniła.

- Dlaczego więc nie porozmawiała ze mną? - sarknął wicehrabia.

- A moim zdaniem - odezwała się Margaret - lady Lyle była zazdrosna o występ Frances i dlatego właśnie rozpuściła te paskudne plotki, ale tak, żebyśmy nie wiedzieli, że to jej sprawka, ponieważ bała się, że przestaniemy utrzymywać z nią stosunki. Uważam, że wszystko, co powiedziała, to stek bzdur.

- Ja też jestem tego zdania - przytaknęła siostrze Emily. - Co nas obchodzi przeszłość panny Allard?

- Z wielką chęcią będę jej akompaniować, ilekroć mnie o to poprosi - dodała Caroline.

- Dziwię ci się, Portio, że powtarzasz takie niestworzone historie.

- Och, zaraz, zaraz - krzyknęła lady Sinclair, zawsze dbająca o odpowiednią atmosferę. - Powinniśmy być wdzięczni Portii i jej rodzicom, że przyszli z tym do nas. Lepiej wiedzieć, co ludzie szepczą za naszymi plecami. Co do panny Allard, uważam, że nawet jeśli popełniła jakieś błędy, to należą już one do przeszłości. Jest wspaniałą osobą, a poza tym tak pięknie śpiewa. Ale może zmienimy temat. Czy ktoś napije się jeszcze herbaty? Lucius się poderwał.

- „wychodzisz, synu? - zdziwiła się wicehrabina.

- Tak. Właśnie sobie przypominałem, że miałem odwiedzić pannę Allard.

- Żeby osobiście podziękować jej za wczorajszy występ? - dociekała matka. - To dobry pomysł. Może dziadek będzie chciał ci towarzyszyć, kiedy tylko obudzi się z poobiedniej drzemki. Nawet Amy...

- Pójdę sam - przerwał matce. - Dziękowałem jej już wczoraj. Dzisiaj mam do wykonania inną misję.

Umilkł na chwilę, jednak powiedział już tak wiele, że musiał dokończyć - zresztą wszyscy w salonie patrzyli na niego z wielkim zaciekawieniem.

- Zamierzam poprosić pannę Allard o rękę - wyrzucił z siebie. Wychodził z pokoju w kompletnej ciszy; w takiej ciszy słyhać by było nawet dźwięk upadającej na dywan szpilki.

I co to miało być, do diabła? - pytał samego siebie, biegnąc po schodach do swojego pokoju.

Impuls, ot co.

Rzecz w tym, że wcale nie żałował, iż go posłuchał.

Frances miała za sobą pracowity poranek. Nie spodziewała się, że tak będzie, zwłaszcza po ekscytujących przeżyciach poprzedniego wieczoru, z powodu których nie spała prawie całą noc.

Zeszła na śniadanie, ale ciotek jeszcze nie było w jadalni. Spały. I właśnie w czasie tego samotnego posiłku otrzymała list od Charlesa.

Błagał ją o spotkanie. Pisał, że nie rozumie i nigdy nie umiał zrozumieć, dlaczego odeszła bez słowa. To prawda, że tego ostatniego wieczoru, kiedy się widzieli, pokłócili się, ale przecież wcześniej też zdarzało im się sprzeczać, a mimo to dochodzili jednak jakoś do porozumienia. Zapewniał, że nie musi się obawiać, bo nie jest już na nią zły, tym bardziej że pracą w szkole w Bath zasłużyła na dobrą reputację.

Po przeczytaniu listu Frances złożyła go na pół i położyła obok talerza. Niestety straciła apetyt.

Hrabiego Fontbridge'a poznała w pierwszych dniach swojego debiutu w towarzystwie.

Zadurzyli się w sobie niemal natychmiast. Hrabia pragnął się z nią ożenić, musiał tylko najpierw przekonać do tego matkę. Na początku problemem było pochodzenie Frances, później śmierć jej ojca i fakt, że zostawił ją bez grosza, a wreszcie to, że na utrzymanie musiała zarabiać śpiewaniem. Frances zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek nadejdzie odpowiednia pora na zaręczyny. I, niestety, z czasem jej uczucie do hrabiego coraz bardziej słabło. Aż pewnego dnia bardzo się posprzecjali. Poszło o jej występ na którymś z przyjęć.

Frances broniła swojego prawa do robienia tego, czego pragnie, zwłaszcza że nie byli nawet po słowie, a na koniec oświadczyła hrabiemu, że ma dość i że nie chce go już nigdy widzieć.

I tak też się stało - aż do wczorajszego wieczoru. Ale prawda była taka, że zrobiła coś o wiele gorszego - rozstała się z Charlesem nie z powodu sprzeczki, a dlatego, że przyrzekła, iż nie będzie się z nim więcej spotykała.

I właśnie dlatego, ponieważ nadal związana była danym słowem, nie mogła odpisać mu na list.

Przyszło jej na myśl, że nabrała nieładnego nawyku: niepodawania wyjaśnień w sytuacjach, które tego wymagały. Cóż, przez te dwa lata po śmierci ojca popełniła mnóstwo błędów i podjęła mnóstwo złych decyzji - oto rezultat bycia ukochaną córeczką tatusia, wychowaną pod kloszem.

Odsunęła talerz i zamknęła oczy. Dawno nauczyła się nie wracać myślami do tamtych dwóch lat. I nawet nieźle jej to wychodziło. Od tamtej pory, kiedy już wzięła swoje życie we własne ręce,

zmieniła się i była z tego dumna. Ale oczywiście trudno jest wyrzucić coś z głowy samą siłą woli - zwłaszcza gdy tym czymś są dwa stracone lata. Nieraz zdarzało jej się marzyć, że cofa się w przeszłość i podejmuje inne decyzje. Nadal tego pragnęła.

Cóż, pomyślała, otwierając oczy i wbijając wzrok w biały obrus, sama zdecydowała się na przyjazd do Londynu, a teraz jest już za późno, by mogła się z niego wymknąć niezauważona. Widzieli ją wszyscy, których starała się unikać: Charles, hrabina Fontbridge, lady Lyle. Nie wątpiła, że także George Ralston wie już o jej obecności w mieście.

Skoro więc za późno na ucieczkę, może powinna zrezygnować ze stąpania na paluszkach?

Może czas w końcu na zmianę postępowania?

Godzinę później samotnie i piechotą podążała do hrabiny Fontbridge. Pora nie była odpowiednia na towarzyskie wizyty, ale też jej wizyta nie miała takiego charakteru.

Kiedy już znalazła się za drzwiami willi hrabiny przy Grosvenor Square, zapytała najpierw, czy pani domu jest obecna, a następnie przekazała kamerdynerowi list dla panicza Charlesa wraz z pouczeniem, że musi dostać go do rąk własnych. Kamerdyner odszedł, pozostawiając ją samą w wielkim, wyłożonym kafelkami holu. Tak jak przypuszczała, po kilku minutach zaproszono ją do małego saloniku na piętrze.

Hrabina przyjęła ją oschle. Stała przy niewielkim biurku z dumnie uniesioną głową i dłońmi opartymi na biodrach. Nawet nie zaproponowała Frances, żeby usiadła.

- A więc postanowiła pani złamać słowo, mademoiselle Halard - powiedziała. -

Domyślam się, że zjawia się tu pani z wyjaśnieniami.

Aleja nie zamierzam ich przyjąć. Mam nadzieję, że była pani świadoma, iż pojawiając się znowu w Londynie, będzie pani musiała ponieść tego konsekwencje.

- Przyjechałam do Londynu, ponieważ jedna z moich ciotek poważnie się rozchorowała, madame - odparła Frances. - A co do koncertu, kiedy zgodziłam się zaśpiewać dla hrabiego Edgecombe'a, nie wiedziałam, że na mój występ przybędą także inni goście.

Ciotka czuje się już lepiej, więc wracam do Bath. Ale nie przyszedłam tu, żeby się tłumaczyć.

Przed trzema laty popełniłam błąd. Nie powinnam była zawierać z panią żadnej umowy.

Uczyniłam to tylko dlatego, że byłam zła na Charlesa, iż jest tak bezwolny, oraz na panią, że tak okrutnie go pani kontroluje. Do tego stopnia, że postanowiła pani przekupić kobietę, którą pani syn chciał poślubić. Kierowałam się czystym cynizmem. W chwili gdy dobijałyśmy targu, nie zamierzałam już wychodzić za Charlesa. Nawet mu to powiedziałam.

- Tak czy inaczej, nie uniknie pani konsekwencji zerwania naszej umowy - ostrzegła hrabina.

- Wiem - zgodziła się Frances. Zdawała sobie sprawę, że czekają ją trudności, lecz postanowiła nie żyć dłużej w strachu. Może lord Sinclair, ściągając ją do Londynu, ostatecznie wyświadczył jej jednak przysługę. Może to wszystko musiało się kiedyś wydarzyć. - Nie zamierzam pani powstrzymywać, madame. Nie mam takiej władzy. Choć przyznam, że zastanawia mnie, dlaczego chce pani robić sobie tyle kłopotu. Trzy lata temu złożyłam obietnicę, której zamierzam dotrzymać. Lecz umowa na całe życie, to zbyt wiele.

Pragnęła pani odseparować mnie od syna. Udało się to pani, zanim jeszcze mi pani za to zapłaciła. Pieniądze od pani potrzebne mi były na spłacenie moich długów, co też uczyniłam, a następnie wyjechałam do Bath. Tam teraz mieszkam i pracuję. Nie chcę jednak więcej przyrzekać, że nie będę przyjeżdżała do Londynu. Nie godzę się na to, by ktokolwiek miał

nade mną aż taką władzę.

Słowa Frances wywarły na hrabinie ogromne wrażenie - była oburzona. Nie zdążyła jednak nic na to powiedzieć, bo Frances, nie żegnając się, obróciła się na pięcie i opuściła salon.

Trochę kręciło jej się w głowie, kiedy po zejściu na dół znalazła się na ulicy i na świeżym powietrzu. Czuła ogromną ulgę, że nie natknęła się na Charlesa, którego zapewne nie było w domu.

Przez chwilę kusiło ją, żeby wrócić do rezydencji ciotek. Była wyczerpana emocjonalnie. W ciągu ostatniej doby doświadczyła tylu wrażeń, ilu nie zaznała przez całe te trzy lata. Mimo to postanowiła jednak dokończyć to, co zaczęła.

Kilka minut później wprowadzono ją do o wiele bardziej eleganckiego salonu od tego, który niedawno opuściła. A lady Lyle nie stała, tylko siedziała w rozleniwionej pozie na sofie, z małym pieskiem na kolanach i wyrazem rozbawienia w oczach.

- Cóż, Francoise, a więc w końcu postanowiłaś przestać mnie ignorować? -

powiedziała niskim, jedwabistym głosem, tak bardzo Frances znajomym. - Czy mam się czuć zaszczyczona, dziecko? Wyglądasz całkiem ładnie, choć ubrana jesteś szokująco prowincjonalnie, podobnie jak wczoraj. A włosy! Aż chce się płakać.

- Jestem nauczycielką, madame - przypomniała Frances.

Lady Lyle zepchnęła z kolan psa, który na widok obcej osoby ujadał niemiłosiernie.

- Tak, słyszałam - przyznała. - Jakie to zabawne, że przez cały ten czas ukrywałaś się w Bath i na dodatek pracujesz w szkole. Cóż za straszliwie nudne życie musisz tam wieść.

- Lubię uczyć - oświadczyła Frances. - Lubię wszystko, co się z tym wiąże.

Lady Lyle roześmiała się ponownie, machając przy tym dłonią w geście lekceważenia.

- George Ralston z pewnością zainteresuje się tym, że znów jesteś w Londynie -

zmieniła temat. - Jestem pewna, że ci wybaczy i pozwoli wrócić do łask, choć muszę powiedzieć, że postąpiłaś bardzo nieładnie, znikając bez słowa. Już do niego pisałam, wstawiając się za tobą.

- Aleja wracam do Bath - poinformowała stanowczym tonem Frances.

- Pleciesz bzdury, moje dziecko - sarknęła lady Lyle. - Och, usiądź proszę. Szyja mi drętwieje, kiedy muszę tak zadzierać głowę, żeby na ciebie patrzeć. Jak się mogłam wczoraj przekonać, udało ci się w Bath zagiąć parol na hrabiego Edgecombe'a i jego wnuka, wicehrabiego Sinclaira. Na dodatek zdołałaś dzięki nim zainteresować sobą barona Heatha.

Gratuluje. Trochę to trwało, ale w końcu odniosłaś sukces. I głos ci się poprawił. Twój wczorajszy występ był naprawdę wspaniały. Niestety twoje knowania nie na wiele ci się zdadzą. Pomijając fakt, Francoise, że nie możesz przyjąć patronatu barona, grozi ci też utrata twoich wpływowych przyjaciół. Wystarczy szepnąć słówko pewnej pannie, która ma się zaręczyć z wicehrabią Sinclairem, i jej rodzicom, a będziesz musiała szukać wsparcia dla swojej kariery gdzie indziej. Och, i przy okazji, moje dziecko. To słówko zostało już szepnięte wczoraj wieczorem. Zapewniam, że nie było to nic oburzającego, ale tej młodej damie wystarczyło. To bardzo dobrze wychowana osoba, która ma duży wpływ na biednego Sinclaira.

Jeszcze poprzedniego dnia Frances skuliłaby się w sobie na takie słowa. Jednak coś się w niej rano przełamało, czuła się tak, jakby się obudziła z długiego i ciężkiego snu. Do tej pory uważała, że w tym nowym życiu, które sobie stworzyła w Bath, jest wolna. Ale się myliła. Żeby mogła to o sobie powiedzieć, najpierw musi uwolnić się od przeszłości.

Nie usiadła.

- Nie jestem pani nic winna, lady Lyle - oświadczyła. - Choć odnoszę wrażenie, że zaraz od pani usłyszę, iż jednak jestem.

Pragnie pani odzyskać kontrolę nade mną, którą utraciła, kiedy uciekłam z Londynu.

Tak naprawdę nigdy nie byłam pani nic winna, może tylko za utrzymanie po śmierci taty, ale w końcu to pani się upierała, żebym z nią zamieszkała. Zresztą spłaciłam ten dług i to nie raz.

Nic też nie wiąże mnie z panem Ralstonem. Nie jestem jego niewolnicą, choć domyślam się, że on będzie twierdził inaczej.

- Niewolnicą! - Lady Lyle znowu wyglądała na rozbawioną. - Biedny George! A tyle dla ciebie zrobił, Francoise. Byłaś na najlepszej drodze, żeby stać się sławna.

- Raczej niesławną - odburknęła Frances. - Może pani mówić, co tylko chce pannie Hunt, lordowi Sinclairowi, a nawet baronowi Heathowi. To dla mnie bez znaczenia. Wracam do Bath z własnego wyboru. Tam jest mój dom, moja praca i przyjaciele.

- Och, biedna Francoise - mruknęła lady Lyle, zsuwając psa z sofy i klepiąc ją, zachęcając Frances, by przy niej usiadła. - Czy nie dość się już ukarałaś? Usiądź tu koło mnie i zakończmy tę walkę. Przecież zawsze czułyśmy do siebie sympatię, czyż nie? Moim zdaniem nadal rozpaczliwie pragniesz

zrobić karierę. Niepotrzebnie temu zaprzeczasz.

Wczoraj wieczorem było to widać bardzo wyraźnie. Cóż, nic nie stoi na przeszkodzie, głuptasie. Nie musiałaś z niej rezygnować. Porozmawiam z Ralstonem...

- Wychodzę - przerwała jej Frances. - Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia.

- Och! - krzyknęła lady Lyle. - Mówisz jak twój papa. Też był taki uparty i dumny, ale zarazem przystojny i uroczy. Trudno było mu się oprzeć.

Frances odwróciła się do drzwi.

- Ralston nie będzie zadowolony, Francoise! - zawołała za nią lady Lyle. - Ani ja. I wiem już, gdzie cię szukać. Bez trudu odnajdę szkołę, w której uczysz. Bath nie jest aż tak duże i nie ma tam, jak sądzę, wielu szkół dla dziewcząt.

Przez chwilę Frances czuła się tak, jakby jej serce ścisnęły lodowate palce. Nie była już jednak tą naiwną dziewczyną sprzed trzech lat, która drżała na każdą groźbę.

- Szkoła panny Martin znajduje się przy Daniel Street - poinformowała uprzejmie, nie odwracając się. - Życzę miłego dnia, madame.

Aż do chwili wyjścia na ulicę trzymała się prosto, lecz kiedy tylko znalazła się na chodniku, ramiona jej opadły. Wspaniale, że postawiła się hrabinie Fontbridge i lady Lyle, ale euforia dawała jej fałszywe poczucie bezpieczeństwa. W rzeczywistości świat szykował się, żeby dać jej ostrą reprymendę. Zarówno hrabina, jak i lady Lyle poznały już miejsce jej zamieszkania. Doskonale wiedziała, że obie damy potrafią być mściwe. Jeśli postanowią się jej odplącić, będzie zmuszona opuścić szkołę. Wprawdzie Claudia znała wszystkie jej tajemnice, ale jeśli ujrzą one światło dzienne, nie będzie mogła zatrzymać jej w pracy.

Nauczycielka musi mieć reputację bez skazy.

A wszystko to przez wicehrabiego Sinclaira! Gdyby nie mieszał się do jej życia, nie przyjechałaby do Londynu i nic złego by się nie wydarzyło.

Nie, jest niesprawiedliwa.

Przyszło jej na myśl, że mogłaby złożyć wizytę w Marshall House. Nie wypadało jednak iść tam i tak po prostu poprosić o widzenie z wicehrabią.

Najlepiej, jak do niego napisze. Sprawił jej w ostatnich miesiącach wiele przykrości, zasługuje jednak na wyjaśnienie, dlaczego odrzuciła jego oświadczenia.

A poza tym była w nim zakochana i chciała, żeby ją rozumiał.

Postanowiła, że napisze do niego nie z Londynu, tylko z Bath, żeby nie mógł się u niej zjawić, co z pewnością by uczynił, wiedziony impulsem i pragnieniem przekonania jej do zmiany decyzji, czego,

niestety, zrobić nie mogła.

Zresztą na koncercie mogła się przekonać, że jego zaręczyny z panną Hunt są nieuchronne.

Napisze do niego z Bath.

Ostatecznie się z nim pożegna.

Uśmiechnęła się lekko na tę myśl.

Pozostało jej tylko poinformować o wyjeździe ciotki.

To nieprawda, że dobiła targu z lady Fontbridge z czystego cynizmu. Zgodziła się opuścić Charlesa także ze strachu - nie tyle o siebie, ile właśnie o ciotki. Nie mogła znieść myśli, że będą przez nią cierpieły - często mówiły jej, że jest dla nich jak córka, że poza sobą nawzajem, ją kochają najbardziej na świecie.

Kiedy dotarła do domu, zorientowała się, że starsze panie już wstały. Znalazła je w altance na tyłach ogrodu. Gdyby chciała być rozsądna, powinna zaczekać z wyjazdem do następnego dnia, ale postanowiła wyruszyć do Bath już tego popołudnia. Bardzo tęskniła za szkołą i przyjaciółkami.

Oczywiście miała świadomość, że będzie musiała zatrzymać się gdzieś na noc, ale się tym nie martwiła. Mogła sobie pozwolić na jedną noc w gospodzie.

Zresztą nie chodziło tylko o tęsknotę za Bath, pragnęła też jak najszybciej opuścić Londyn, uciec od Luciusa, zanim znowu do niej przyjdzie - a obawiała się, że pomimo jego zapewnień z poprzedniego dnia, jednak to zrobi.

Nie zniosłaby jego widoku.

Chciała dać swojemu sercu szansę na zabliźnienie ran.

Ciotki oczywiście były bardzo zawiedzione jej decyzją. A co z baronem Heathem? -

pytały. Co z jej karierą? Co z lordem Sinclairem? Przecież widać wyraźnie, że wicehrabia jest zakochany w ich drogiej Frances, o czym się przekonały podczas koncertu.

W końcu jednak starsze panie uszanowały wolę kuzynki, zapewniając, że jej przyjazd do Londynu i fakt, że została z nimi prawie cały tydzień, był dla nich błogosławieństwem.

Upierały się, żeby wracała ich powozem.

Tak więc, po długim i łzawym pożegnaniu, Frances wyruszyła wreszcie w drogę. W

powozie nie mogła znaleźć sobie wygodnej pozycji, tak była zmęczona i obolała.

Kiedy mijala granice Londynu, pomyślała, że jest trochę tak jak przed trzema miesiącami po



świętach, tylko że brakuje śniegu i... Luciusa Marshalla w drugim powozie.

Z oczu popłynęły jej łzy żalu, ale otarła je zaraz stanowczym ruchem.

Zaczęło się w powozie i w powozie musi się skończyć, postanowiła.

Lucius doszedł do wniosku, że gdyby musiał dłużej mieć do czynienia z Frances Allard, wkrótce z pewnością ze zgryzoty by posiwiął.

Zjawił się na Portman Street, gotowy na wielkie starcie, ale okazało się, że Frances przed półgodziną wyjechała. Zamiast z nią musiał się zmierzyć z jej ciotkami, które całe we łzach, utyskiwały na to, że pojawił się tak późno i przez to nie zdążył przekonać ich ukochanej kuzynki do pozostania. Dowiedział się od nich, że Frances wyjechała, bo uznała, iż musi już wracać, ponieważ i tak zbyt długo była daleko od swoich uczennic, i nie powstrzymało jej nawet to, że nie uda jej się dotrzeć do Bath przed nocą.

- Pojechała pani powozem, tak? - zapytał panią Melford.

- Oczywiście. Przecież nie pozwoliłybyśmy jej podróżować publicznym dylizansem, lordzie Sinclair. To nasza kuzynka, nasza spadkobierczyni.

Wyszedł z domu na Portman Street, myśląc, że to koniec.

Koniec całej historii.

Koniec.

Ponieważ jednak Marshall House opuszczał w tak dramatycznej atmosferze, nie mógł

teraz ot tak po prostu wrócić do domu i powiedzieć, że zrezygnował z oświadczyn, bo panna Allard wyjechała z miasta.

Zrezygnował z oświadczyn, dobre sobie! Przecież już raz prosił ją o rękę, a ona odmówiła. Nic też nie wskazywało na to, że zmieniła zdanie.

Stwierdził, że padł ofiarą jakiejś ciężkiej i nieuleczalnej choroby, która objawia się całkowitą utratą rozumu.

Gdy dotarł do Marshall House, pognał od razu do swojego pokoju. Jednakże na podeście pierwszego piętra natknął się na mur osób. Członkowie rodziny musieli wyczekiwać jego powrotu w salonie, a kiedy zobaczyli go z okien, wyszli mu na spotkanie.

Na szczęście Portia i lady Balderston już odjechały. Za to była cała reszta - poza dziadkiem. Nawet Amy.

- No i co, Luce? - wołała, nim jeszcze stanął przed nimi. - Czy powiedziała tak?

Zgodziła się?

- Amy - ofuknęła ją matka. - Trzymaj język za zębami. Luciusie, coś ty narobił?

- Ściągałem ducha - odburknął. - Nie zastałem Frances, bo wyjechała do Bath.

- Nigdy w życiu tak się nie wstydziłam - powiedziała lady Sinclair. - Chyba się domyślasz, że Portia już cię nie zechce. Lady Balderston nie zgodzi się na wasze małżeństwo, jej mąż też nie, kiedy się o wszystkim dowie. A nawet gdyby oni się zgodzili, wątpię, żeby ona tego chciała. Po twoim wyjściu zachowywała się z wielką godnością doradziła nawet

/

Emily, jaką suknię powinna włożyć na jutrzejszy bal. Lecz nie zmienia to faktu, że upokorzyłeś ją i to na oczach tylu ludzi.

- Doprawdy, mamó? - Dotarł właśnie na szczyt schodów. Tait z uśmiechem usunął się w bok, żeby zrobić mu miejsce na podeście. - Czym? Sugestią, że jest plotkarką? Może i powinienem był zachować się bardziej uprzejmie, ale powiedziałem prawdę.

- Całkowicie się z tym zgadzam - poparła go Emily. - Co ona sobie myśli? Ze nie potrafię sama wybrać sobie sukni?!

- Nigdy nie przepadałam za lady Lyle - dodała Margaret. - Zawsze tak dziwnie się uśmiecha. Nie ufam jej.

- Och, bądźcie cicho - zawołała wicehrabina. - Udajesz głupiego, Luciusie. Doskonale wiesz, że Portia od miesiąca, jeśli nie dłużej, spodziewa się twoich oświadczeń. Wszyscy się ich spodziewaliśmy.

- W takim razie wszyscy się myliliście - odparł. - Przynależem, że tej wiosny znajdę sobie narzeczoną, ale nie mówiłem, że będzie to Portia Hunt.

Amy klasnęła.

- Tak się cieszę, Luce - odezwała się Caroline. - Ostatnio zachowanie Portii zupełnie mi się nie podobało. W gruncie rzeczy nigdy jej nie lubiłam.

- Uważasz więc, że panna Allard to odpowiednia kandydatka na twoją żonę? - zapytała wicehrabia, marszcząc czoło.

- A dlaczego nie - zaciętrzewił się Lucius. - Tyle że mi odmówiła, i to nie po raz pierwszy.

- Co?! - krzyknęła Emily.

- Czy ona postradała zmysły? - zawtórowała jej Margaret. Tait się skrzywił.

- Och nie, Luce. To niemożliwe, żeby cię nie chciała - dodała Amy.

- Uciszcie się, proszę - upomniała ich lady Sinclair. - Obudzicie dziadka.

- To on jeszcze śpi? - zdziwił się Lucius.

- Obawiam się, że wczorajszy dzień nadwerżył jego siły - odparła wicehrabina. -

Potrzebuje spokoju. Niestety dzisiejsze rewelacje z pewnością bardzo go zasmuca. Pragnął

gorąco, żebyś ożenił się z Portia. Jesteś przekonany, synu, że twoja decyzja nie jest tylko zwykłym kaprysem? Może powinieneś pojechać na Berkeley Square i przeprosić...

- Wykluczone! Poza tym przez tę dyskusję marnuję cenny czas. Wybaczcie, ale muszę się przebrać. Mój powóz przyjedzie po mnie za niecałe pół godziny.

- A dokąd ty się wybierasz?! - zapytała wicehrabina z obawą.

- W pościg za Frances, oczywiście. Cóż innego mi pozostaje? Amy głośno krzyknęła z radości.

Frances bolało całe ciało. Nie umiała znaleźć sobie wygodnej pozycji. Siedzenia w powozie były bardzo twarde, w dodatku pojazdem trzęsło na każdym wyboju i dziurze w drodze. Nawet jeśli kiedyś miał sprawne resory, teraz pozostawiały one wiele do życzenia.

Mimo to pod wieczór udało jej się zdrzemnąć. Wiedziała, że wkrótce, gdy zapadnie zmrok, będzie musiała przerwać podróż. Ciotki namawiały ją, żeby zabrała ze sobą pokojówkę, ale odmówiła. Wolała być sama, zresztą nie potrzebowała przyzwoitki, bo nie zamierzała zatrzymać się w którejś z eleganckich gospód, tylko w jakimś mniej znanym zajeździe, gdzie nikt nie zwraca uwagi na skromnie ubraną podróżniczkę.

Już jutro znajdzie się w szkole. Wiedziała, że nie będzie miała czasu na odpoczynek, ponieważ czekają nadrabianie zaległości. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się wziąć więcej niż jeden dzień urlopu. Miała więc w perspektywie huk pracy, ale to ją cieszyło.

I z każdym dniem wspomnienia wspaniałych przeżyć z koncertu oraz bolesnego rozstania z Lucysem stawać się będą coraz bledsze. Aż wreszcie zupełnie zapomni o emocjonalnym zamęcie ostatniego tygodnia.

Śniło jej się, że kryjąc się przed Charlesem, zakopała się w stercie śniegu. Potem śniła, że śpiewa i że w pewnej chwili dostaje śnieżką prosto w usta, a stojący przed nią Lucius uśmiecha się szeroko i bije jej brawo. Przysnił jej też występ chóru, który śpiewał dla barona Heatha. Chórzyści ciągle mylili się i fałszowali, a ona, próbując przywrócić porządek, bezradnie machała rękami.

Śniły jej się jeszcze różne dziwne i oderwane od rzeczywistości rzeczy, aż w pewnej chwili przebudziło ją ostre szarpnięcie powozu.

Chwyciła za skórzaną rączkę nad głową, przerażona, że pojazd zaraz się wywróci.

Usłyszała tętent kopyt i okrzyki, a potem przez okno zobaczyła końskie łby. Zaraz za nimi pojawiła się dwukółka. Frances ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Dwukółka na drodze do Bath? I na dodatek tak rozpędzona? Mijała jej powóz, mimo że odcinek drogi był tu bardzo wąski. A gdyby z

przeciwka coś nadjeżdżało?

Przykleiła policzek do okna, chcąc lepiej przyjrzeć się woźnicy. Był elegancko ubrany

- długi podróżny płaszcz z kilkoma warstwami peleryn i wysoki, przekrzywiony na bok cylinder.

Oczy zrobiły się jej jak spodki. Nie wiedziała, czy to, co widzi, nie jest złudzeniem.

Obok powożącego siedział drugi mężczyzna; z wykrzywioną ze złości twarzą wykrzykiwał

coś głośno, prawdopodobnie do Thomasa. Na szczęście nie słyszała słów, bo sądząc po wyrazie twarzy krzyczącego, zraniłyby one uszy damy.

Powoli nabierała pewności: jeśli tym krzyczącym jest Peters, w takim razie woźnicą musi być wicehrabia Sinclair.

Dlaczego jej to nie zdziwiło?

Kiedy lekki powóz minął jej pojazd, oderwała się od okna i opadła na siedzenie.

Zamknęła oczy, czując dwie sprzeczne emocje - furię i zupełnie niestosowną radość.

Lucius twierdził, że z języka angielskiego powinno zniknąć słowo „przyjemny”.

Wyglądało jednak na to, że słowem, które on wyrzucił ze swojego słownictwa, było „żegnaj”.

Ponieważ przez cały czas mocno trzymała się skórzanej rączki, nie rzuciło nią i nie rozbiła sobie nosa o przeciwległe siedzenie, kiedy Thomas nagłym szarpnięciem zatrzymał

powóz.

Wyjrzała przez okno na drogę. No tak. Jak się spodziewała, dwukółka tarasowała przejazd, a wicehrabia Sinclair w płaszczu z rozwianymi połami długimi krokami zbliżał się do niej, uderzając biczem o wysokie buty.

- Gdybyś zamiast tego starego pudła wybrała porządny pojazd, Frances - zawołał, kiedy tylko otworzył drzwiczki - do tej pory trasę do Bath pokonałabyś już dwukrotnie. Posuń się.

Popatrzyła na niego bezradnie i zrobiła, co kazał.

Podróżowanie takim zabytkiem przynosiło mu ujmę, ale nie mógł tego uniknąć -

powóz zapewniał większą prywatność niż dwukółka, w której musieliby zważać na Petersa, a raczej na jego wścibskie uszy. Modlił się jednak w duchu, żeby przypadkiem jakiś znajomy, jadący do Bath lub z Bath, nie zobaczył go w tym pożałowania godnym pojeździe. Okryłby się wtedy hańbą na całe życie.

- Przez ciebie straciłem dzisiaj doskonale doskonałą narzeczoną - rzucił, trzaskając drzwiczkami i siadając obok Frances. - Dlatego żądam rekompensaty.

Frances, skulona w kącie, patrzyła na Luciusa pełnym wrogości wzrokiem.

Dochodziły ich odgłosy ostrej kłótni między woźnicami, którzy znowu sobie wymyślali. W końcu Peters zjechał Thomasowi z drogi - musiał, ponieważ z przeciwka nadciągał dyliżans pocztowy, powożony przez człowieka, który darł się na nich, czerwony ze złości.

- A więc panna Hunt ci odmówiła? - zapytała Frances, kiedy powóz ruszył. -

Przyznam, że mnie to dziwi. Nie rozumiem tylko, jaka w tym moja wina?

- Panna Hunt wcale mi nie odmówiła - burknął Lucius. - Nie miała ku temu okazji.

Oświadczyłem w jej obecności, a także w obecności jej matki, że udaję się na Portman Street, żeby prosić o rękę ciebie. Po moim wyjściu obie panie opuściły Marshall House w wielkim wzburzeniu i zdaniem mojej matki Portia nie przyjęłaby mnie już teraz, nawet gdybym na kolanach błagał ją o rękę.

- A gdyby jednak dała ci szansę, uczyniłbyś to? - zapytała Frances.

- Czy na kolanach błagałbym ją o rękę? Dobry Boże, nigdy. Mój lokaj natychmiast wymówiłby pracę u mnie, a mnie bardzo odpowiada sposób, w jaki wiąże mój fular. Poza tym, Frances, nie chcę żenić się z Portią Hunt, nigdy tego nie chciałem i nie będę chciał. Już chyba wolałbym umrzeć.

- Ale ona jest taka piękna - zauważyła Frances.

- Wyjątkowo - przyznał. - Ale o tym rozmawialiśmy już wczoraj. Wolę mówić o tobie, Frances.

Wiedział, że plecie i że żartuje sobie ze spraw, które wcale nie były zabawne. A przede wszystkim nie powinno go tu być teraz z Frances. Lecz tej prawdy akurat bardzo nie chciał do siebie dopuścić.

- Nie ma o czym. Uważam, że lepiej pan zrobi, lordzie Sinclair, wzywając dwukólkę i wracając do Londynu.

- Przeciwnie. Jest o czym. Choćby o tym, że udajesz Angielkę, chociaż w rzeczywistości jesteś Francuzką. Skąd mogę wiedzieć, że nie mam do czynienia ze szpiegiem?

Cmoknęła.

- Przecież mówiłam o swoim francuskim pochodzeniu - przypomniała. - Czy to istotne, że wolę nazwisko Allard od Halard? Frances a nie Francoise? Od Francuzki ludzie oczekują spontaniczności i ekspresyjności. Spodziewają się, że będzie „cudzoziemska”. A ja wychowałam się w Anglii i nią przesiąkałam do cna.

- W takim razie rezygnuję z podejrzeń o szpiegostwo - powiedział. Jazda powozem Frances stanowi prawdziwe zagrożenie dla kręgosłupa i dla kości miednicy, pomyślał. - Ale jak wyjaśnisz fakt, że

zanim zostałaś nauczycielką, śpiewałaś na orgietkach? Przypuszczam, że mogłabyś mi opowiedzieć wiele ciekawych anegdotek.

Znowu ogarnęło ją przygnębienie. Zaciśnęła mocno usta.

- Orgietkach? - powtórzyła cicho.

- Lady Lyle nie użyła dokładnie tego sformułowania - wyjaśnił. - Rozmawiała z Portią, więc musiała uważać na słowa. Ale to właśnie miała na myśli.

Frances odwróciła się, żeby wyrzeć przez okno. Była bez kapelusza - leżał obok niej na siedzeniu. Lucius, przyglądając się jej, uznał, że jej profil wygląda jak wyryty w marmurze. Kolor jej cery także przywodził na myśl marmur.

- Nie muszę się panu tłumaczyć, lordzie Sinclair, zwłaszcza kiedy rozmawia pan ze mną takim tonem. Wolałabym, żeby pan wysiadł i wrócił do Londynu.

Lucius westchnął ciężko.

- Niestety nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak po prostu odejść, Frances. Najpierw chcę poznać twoją historię. Pamiętam, że jako dziecko czytałem pewną książkę, starą książkę z biblioteki dziadka. Tak mnie pochłonęła, że zamiast biegać po dworze jak wszyscy normalni chłopcy, zamknąłem się z nią w domu. Niestety nie mogłem jej skończyć, ponieważ brakowało kilku ostatnich stron. Nie wiem ilu. Czułem się tak, jakbym zwisał na rękach ze skraju klifu, a dokoła nie było nikogo, kto mógłby udzielić mi pomocy. Nikt, kogo pytałem, nie czytał tej przeklętej książki. Ze złości rzuciłem ją przez całą bibliotekę i wybiłem okno, za co zostałem ukarany utratą kieszonkowego aż na pół roku. Nigdy jednak nie zapomniałem wściekłości i frustracji, które wtedy czułem. Na moje nieszczęście ostatnio te emocje znowu się we mnie pojawiły. Lubię znać zakończenia.

- Nasze życie to nie książka - zauważyła.

- I dzięki temu nie jesteśmy niczym skrupowani. Sami możemy napisać dla siebie zakończenie naszej historii. Wcale nie oczekuję, że będzie bajkowe. Wiem, że aby małżeństwo było udane, potrzebne jest zaangażowanie obojga partnerów. Na razie zaangażowany jest tylko jeden. Ale muszę wiedzieć dlaczego... dlaczego mnie odtrąciłaś i dlaczego odrzuciłaś możliwość zrobienia kariery pod okiem Heatha. Inni artyści zabiliby dla takiej szansy. Na rany boskie, Frances, powiedz mi, co wydarzyło się w twojej przeszłości?

Jakie tajemnice kryjesz w sercu?

Jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt.

- Masz rację - powiedziała. - Zaslugujesz na wyjaśnienia. Być może udzieliłabym ci ich już w Sydney Gardens, gdybym wtedy myślała, że twoja propozycja jest poważna.

Sądziłam jednak, że to tylko romantyczny impuls. Następną okazją do zwierzeń zdarzyła się w czasie naszego spaceru w Hyde Parku, jej też jednak z jakiegoś powodu nie wykorzystałam. Postanowiłam

więc, że napiszę do ciebie z Bath. No ale skoro już rozmawiamy, wyjawię ci wszystko osobiście.

- Z Bath? - zdziwił się. - Dlaczego z Bath, a nie z Londynu?

- Ponieważ - westchnęła - bałam się, że po przeczytaniu listu przyjedziesz do mnie.

Bałam się, że uznasz moje wyjaśnienia za pozbawione sensu.

Spojrzała na niego. Kąciki jej ust uniosły się lekko w uśmiechu.

- Rzadko kiedy uznajesz sens czyichś wyjaśnień - dodała.

- Między sensem a nonsensem granica jest cienka - odparł. - Z pewnością nie jest mi łatwo, jeśli chodzi o ciebie, ale opowiedz mi najpierw o swojej przeszłości.

- Och, można by opowiadać o niej latami. Nie chodzi o jedno wydarzenie, ale o cały ich ciąg. Po śmierci ojca zrobiłam ze swojego życia jeden wielki bałagan, i tyle. Szczęśliwie mogłam to jednak zmienić, zbudować dla siebie nowe życie. Do niego właśnie teraz wracam.

I niestety nie ma w nim miejsca dla ciebie.

- A to dlatego, jak się domyślam, że jestem wicehrabią - sarknął poirytowany. -

Przyszłym hrabią. Że mieszkam w Londynie i obracam się wśród elity towarzyskiej.

- Tak - przyznała. - Właśnie o to chodzi.

- Jestem także Lucusem Marshallem - przypomniał, z satysfakcją widząc łzy w oczach Frances.

Powóz podskoczył na wyboju, a przez okno do środka wpadł promień słońca i rozświetlił włosy Frances.

- Opowiedz mi o lady Lyle - poprosił. - Mieszkałaś u niej, i to kilka lat, a jednak kiedy wczoraj powiedziałem ci, że zaprosiłem ją na twój występ, chciałaś urwać mi głowę. Potem ta kobieta naopowiadała niestworzonych rzeczy Portii. Nie jest to z pewnością wyraz przyjaźni.

- Lady Lyle przepadała za moim ojcem. Przypuszczam, że była w nim zakochana.

Może nawet była jego kochanką. Patronowała mojemu debiutowi i pomagała mi na wiele innych sposobów. Kiedy ojciec zmarł, zaproponowała mi, żebym z nią zamieszkała, a mnie spodobał się ten pomysł. Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że zamierza mnie skrzywdzić.

Niestety ojciec zostawił po sobie ogromne długi. Zadłużył się także u lady Lyle. Widzisz więc, że byłam pozbawiona środków do życia, choć miałam nadzieję, że wyjdę dobrze za mąż i to się zmieni.

- Za Fontbridge'a? - domyślił się Lucius. Skinęła głową. Fontbridge uchodził w towarzystwie za tchórzliwego maminsynka. Lucius nie potrafił sobie wyobrazić, że Frances mogła się w nim



zakochać. Aleją w ogóle trudno było zrozumieć. Poza tym działo się to przed kilkoma laty. A uroda Fontbridge'a w niektórych kobietach wzbudza matczyne instynkty.

- Byłam nieszczęśliwa z powodu mojego uzależnienia od lady Lyle - ciągnęła Frances.

- Dlatego z wielką radością przyjął fakt, że przedstawiła mnie mężczyźnie, który miał

zająć się moją karierą śpiewaczki. Rozpływał się w pochwałach nad moim głosem i zapewniał, że bardzo szybko odniosę sukces. Podpisałam z nim umowę. Wydawało mi się, że spełniają się moje największe marzenia. Czekala mnie sława, dostatek. Myślałam, że zdołam wreszcie spłacić długi ojca, wyjdę za Charlesa i będę z nim żyła szczęśliwie do końca moich dni. Zrozum, że byłam wtedy bardzo naiwna. Wcześniej żyłam pod kloszem.

- Kto był tym twoim mecenasem? - zainteresował się Lucius.

- George Ralston - odparła.

- Do diabła, Frances! - krzyknął. - Przecież ten człowiek znany jest z tego, że wykorzystuje bezradne, naiwne kobiety. Nie wiedziałaś o tym? Nie, oczywiście, że nie wiedziałaś. Ale lady Lyle? Ona też tego nie wiedziała?

- Powiedziała mi, że śpiewając, zbiorę fundusze na spłacenie długów oraz na inne wydatki, które ponosiła ze względu na mnie, gdy u niej mieszkałam. To była sprawa honoru, choć na początku po prostu bardzo się ucieszyłam, że wreszcie będę mogła śpiewać, jak o tym zawsze marzyłam. Kwestia długów i pieniędzy wydawała mi się wtedy drugorzędna.

- I tak doszło do tego, że zaczęłaś występować na orgiach.

- Na przyjęciach - poprawiła. - Bardzo szybko się rozczarowałam. Nie miałam prawa wybierać ani utworów, które śpiewałam, ani miejsc, w których je wykonywałam. Nawet ubrań na moje występy. W kontrakcie zostało zapisane, że całkowitą kontrolę nad tymi sprawami sprawuje George Ralston. A co do publiczności, składała się zawsze prawie wyłącznie z mężczyzn. Jeśli nawet te przyjęcia były orgiami, ja o tym nic nie wiedziałam, chociaż przypuszczam, że tak się rzeczy miały w istocie. Kilka razy zdarzyło się, że jacyś mężczyźni składali mi propozycje, nie małżeńskie, tylko związane z moją karierą. Ralston przekonywał mnie, że owi panowie posiadają ogromne wpływy, że dzięki nim już wkrótce będę śpiewała w największych salach koncertowych świata i sama będę sobie wybierała repertuar.

- Dobry Boże, Frances - jęknął Lucius i mocno ścisnął jej dłoń, żeby nie mogła jej wyrwać. - I to jest ta straszna przeszłość, którą kryłaś przede mną? Ależ z ciebie głuptas, kochanie.

- Przez cały czas bywałam w towarzystwie - ciągnęła. - Nadal zapraszano mnie na przyjęcia. Ale plotki zaczęły już krążyć. Wreszcie dotarły do Charlesa. Dowiedział się, gdzie śpiewałam i dla kogo. Zapytał mnie o to i kazał z tym skończyć. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy. Ale już wcześniej zdecydowałam, że za niego nie wyjdę. Był bardzo zależny od swojej matki i w ogóle miał słaby charakter. Poza tym powiedział, że kiedy zostanę jego żoną, nie będę mogła występować publicznie.

- Co za idiota - mruknął Lucius.

- Z tobą byłoby tak samo - zauważyła, posyłając mu niechętnie spojrzenie. Skrzywiła się przy tym, bo powóz wziął ostry zakręt, kołysząc się niebezpiecznie. - Gdybym mogła skorzystać z pomocy barona Heatha, to znaczy gdybym nie była związana kontraktem z George'em Ralstonem, a on doprowadziłby do tego, że śpiewałabym na prestiżowych koncertach w Anglii i na kontynencie, nie chciałbyś się ze mną ożenić. Wicehrabinie nie wypada robić takich rzeczy.

- Pleciesz bzdury, Frances! - krzyknął Lucius, ale natychmiast umilkł. Nie miał w tej chwili głowy do szukania odpowiednich słów. Chwyił Frances w ramiona i przycisnął usta do jej ust. A ona rozluźniła się i oddała mu pocałunek. - Wydaje ci się, że mnie znasz -

powiedział, kiedy już oderwał się od niej. - To prawda, że często zachowuję się impulsywnie, ale musiałbym być niespełna rozumu, żeby najpierw ci się oświadczać, a potem organizować dla ciebie spotkanie z Heathem, wiedząc, że on pomoże ci zrobić karierę, a jednocześnie uważając, że jako moja żona nie powinnaś występować. Do diabła, jak zawsze szukasz problemów tam, gdzie ich nie ma.

- Mylisz się - odparła gorzko, odsunęła się i znów schowała w kącie. - Długi ojca były większe, niż przypuszczałam, no i podpisałam kontrakt, który wiązał mnie na całe życie. A lady Lyle, kiedy zaczęłam się na to uskarżać, zrobiła się dla mnie bardzo niemiła.

- Kontrakt - powtórzył Lucius. - Ile wtedy miałaś lat, Frances?

- Dziewiętnaście. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma. Kontrakt jest nieważny. Byłaś wtedy niepełnoletnia.

- Och, nie pomyślałam o tym. - Przyłożyła dłonie do twarzy i pokręciła głową. - Tak czy inaczej, sprawy układały się coraz gorzej. Aż doszło do najgorszego. Po sprzeczce z Charlesem odwiedziła mnie jego matka. Nie wiedziała o naszej kłótni, ale była zdecydowana nas ze sobą rozdzielić. Zaproponowała mi pieniądze, dużą sumę, żebym tylko wyjechała z Londynu i nigdy do niego nie wracała.

- Wzięłaś je, tak? - Lucius patrzył na nią zdumiony, ale lekko się uśmiechał.

- Wzięłam - przyznała. - Byłam taka wściekła. A co do przysięgi, musiałam ją złożyć.

Nie miałam wyboru, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Poza tym myślałam sobie: dlaczego nie? Dlaczego mam nie wziąć tych pieniędzy, nawet jeśli nie chcę już wyjść za jej syna? Więc wzięłam. Tłumaczyłam sobie, że są mi potrzebne, żebym mogła się uwolnić.

Dałam je lady Lyle, a potem się spakowałam i, korzystając z jej nieobecności, uciekłam. Nie miałam żadnego planu, ale już następnego dnia zobaczyłam w gazecie ofertę pracy panny Martin. Zgłosiłam się do jej londyńskiego przedstawiciela, a on zgodził się wysłać mnie do Bath na rozmowę kwalifikacyjną. Pragnęłam wyjechać z Londynu, Luciusie, i wyjechałam.

Chciałam uciec przed kontraktem, przed lady Lyle i lady Fontbridge, no i przed rychłym skandalem. Wyjeżdżałam z nadzieją, że zdołam stworzyć sobie nowe, lepsze życie. I choć byłam tym ogromnie zdumiona, udało mi się. Od tamtej pory byłam bardzo szczęśliwa. Do chwili spotkania ciebie.

- Och, kochanie. - Znow wziął ją za rękę, ale tym razem udało jej się wyrwać.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. Powóz właśnie z ostrym szarpnięciem zajechał na wyłożony brukiem podjazd przed małą wiejską gospodą. Dwukółka już tam stała. - Nie rozumiesz, dlaczego musiałam zgodzić się na ultimatum lady Fontbridge. Ona wiedziała coś, o czym się dowiedziała od lady Lyle. Coś, o czym nawet ja nie wiedziałam. Przypuszczam, że lady Lyle nie chciała, żebym wyszła za Charlesa, bo wtedy przestałabym śpiewać i spłacać długi ojca, które jak sądzę, wcale nie były aż tak duże, jak twierdziła. Mnie jednak zależało tylko na jednym: żeby ciotki nie poznały prawdy. Bo prawda ta straszliwie by je zraniła.

Wydawało się, że nie zauważyła, iż powóz się zatrzymał. Lucius uniesieniem dłoni powstrzymał Petersa przed otwarciem drzwiczek.

- Jestem kimś innym niż myślisz, Luciusie - dodała.

- Nie jesteś ani Francoise Halard, ani Frances Allard? - zapytał miękko.

- Nie jestem ani Francuzką, ani Angielką. Moja matka była Włoszką, ojciec chyba Włochem. Nie wiem, kto nim jest, ale....

Patrzył, jak opuszcza dłonie na kolana i wbija w nie wzrok.

- Matka była śpiewaczką. Ojciec się w niej zakochał i ożenił z nią, mimo że była wtedy w ciąży z innym mężczyzną. Po jej śmierci, miałam wtedy roczek, zabrał mnie ze sobą do Anglii i przedstawił jako swoją córkę. Nigdy nie wyjawiał mi prawdy o moim pochodzeniu, poznałam ją dopiero trzy lata temu.

- I nie masz wątpliwości, że taka właśnie jest ta prawda? - zapytał.

Uśmiechnęła się, choć nie oderwała dłoni od oczu.

- Czasami sama się zastanawiałam, czy nie jest to tylko diabelski wymysł lady Lyle -

odparła. - Ale ciotki potwierdziły jej słowa. Rozmawiałam z nimi dzisiaj przed wyjazdem, wyznając wszystko o mojej przeszłości. Okazało się, że od samego początku wiedziały o moim pochodzeniu.

Zorientowała się, że płacze, dopiero kiedy łzy spadły na suknię i powstała ciemna plama. Przyjęła chusteczkę, którą podał jej Lucius.

- Sam więc widzisz, że nie mogę wyjść za arystokratę. Nie mogę wyjść za ciebie. I zanim zaczniesz się ze mną spierać, opanuj się i pomyśl. Złożyłeś obietnicę swojemu dziadkowi, a także reszcie rodziny. Widziałam was razem. Wiem, że bardzo ci na nich zależy.

Więcej, ty kochasz swoją rodzinę. Wiem też, że twoja porywczosć zazwyczaj bierze się właśnie z miłości. Jesteś o wiele bardziej szlachetny, niż sam o sobie myślisz. Ze względu na rodzinę nie powinieneś żenić się ze mną.

Nagle to jemu zebrało się na płacz. To prawda? Czy rzeczywiście nie jest z niego aż tak bezduszny egoista, jak o sobie zazwyczaj myślał?

Wiem też, że twoja porywczosć zazwyczaj bierze się właśnie z miłości.

- Już zmierzcha - powiedział. - Mam nadzieję, że dostaniemy tu porządny placek z wołowiną, bo inaczej nie odpowiadam za siebie. Ty zapewne z chęcią wypijesz filiżankę herbaty.

Wydmuchała nos i spojrzała przez okno z taką miną, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że już nie jadą, a stoją przed gospodą.

- Och - roześmiała się lekko. - Nawet dwie.

- Coś jeszcze - powiedział, zanim dał znak Petersowi, żeby otworzył drzwiczki i rozłożył schodki. - Na dzisiejszą noc jesteśmy panią i panem Marshall. Nie będziemy zawstydzac naszego gospodarza, mówiąc, że przyjechaliśmy jednym powozem, ale nosimy różne nazwiska.

Nie pozostawił jej czasu na odpowiedź. Wyskoczył z powozu i odwrócił się, żeby pomóc jej wysiąść.

- Już myślałem, sir - mruknął Peters - że będę tu czekał na to stare pudło Thomasa aż do świtu.

Lucius zignorował ten żart.

To ma znaczenie - powiedziała. - To naprawdę ma znaczenie, Luciusie.

- Nawet najmniejszego - sprzeciwił się. Patrzył na nią wyraźnie rozdrażniony. - Dobry Boże, Frances, gdybyś mi to wszystko powiedziała wtedy w Sydney Gardens, byłibyśmy już teraz szczęśliwym małżeństwem.

- Nic podobnego - upierała się, choć serce zaciskało się jej z bólu. - Zastanów się.

Nie mogli kontynuować rozmowy, bo znaleźli się w sali, w której, w drugim kącie, siedzieli inni goście. W gospodzie nie było wydzielonych saloników. Właściciel postawił

przed nimi zamówioną potrawę - pieczeń wołową w warzywach - na której widok Frances pożałowała, że nie zamówiła po prostu chleba z masłem i herbaty.

Lucius wyglądał bardzo elegancko. Przed kolacją przebrał się i ogolił. A zrobił to na oczach Frances, w pokoju, który ze sobą dzielili. Ona siedziała na szerokim łóżku z rękami złożonymi na kolanach, on stał przed nią bez koszuli i się golił.

Scena była bardzo intymna. Frances mogła dokładnie przyjrzeć się umięśnionym ramionom towarzysza i jego szerokim plecóm. Lucius był naprawdę świetnie zbudowany.

Oczywiście nie przyglądała mu się wyłącznie z ciekawości - patrząc na niego, czuła rosnące podniecenie.

Nie potrafiła też wyrzucić z głowy myśli, że spędzą noc w jednym pokoju - a nawet w jednym łóżku. Jednak wcale jej to jakoś nie przerażało.

- Czy ty - zapytał Lucius, podnosząc sztucę i wbijając widelec w kawałek mięsa na jego talerzu - przejmujesz się tym, że Allard albo Halard nie był twoim ojcem?

- Początkowo bardzo się tym przejęłam. Nie chciałam w to uwierzyć. Ale choć wiedziałam, że lady Lyle zdolna jest do różnych podłości, jednak nie podejrzewałam, że wymyśliła sobie całą tę historię. Nie jest aż tak okrutna. W końcu, kiedy już uporałam się z pierwszym szokiem, zdałam sobie sprawę, że miłość ojca do mnie była przez to wszystko o wiele cenniejsza. Kochał mnie, mimo że nie byłam jego rodzoną córką. Lecz pojawił się nowy problem. Moje pochodzenie wykluczało mnie z eleganckiego towarzystwa. Nie mogłam wyjść za Charlesa, nawet gdybym go nadal kochała. Z tego samego powodu nie mogę wyjść za ciebie.

Włożyła do ust kawałek mięsa. Okazało się tak twarde, że aż nie do pogryzienia.

- Czy naprawdę jesteś aż tak naiwna, Frances? - zapytał Lucius. - Przecież mnóstwo osób z towarzystwa nie ma odpowiedniego pochodzenia. Nie wiesz, że mówi się, iż kiedy kobieta obdarzy już męża dziedzicem, wolno jej wieść życie, jakie tylko sobie wybierze, pod warunkiem że zachowa dyskrecję? Wiele kobiet z elity korzysta z tej zasady z wielkim entuzjazmem, a ich mężowie

wychowują potomków, z których poczęciem nie mieli nic wspólnego. Co ci powiedziały twoje ciotki?

- Powiedziały, że byłam malutka, miałam wielkie oczy i że kiedy tylko mnie zobaczyły, zakochały się we mnie na zabój. Powiedziały, że ojciec od razu wyjawiał im prawdę o moim pochodzeniu, ale dla nich po prostu nie miało to znaczenia. Ojciec był ich ukochanym bratankiem i jeśli postanowił uznać mnie za swoją córkę, one nie zamierzały się temu sprzeciwić. Twierdziły, że zawsze byłam ich oczkiem w głowie.

- Kiedy z nimi dzisiaj rozmawiałem, powiedziały, że jesteś także ich spadkobierczynią.

- Och! - krzyknęła Frances, upuszczając sztucę.

- Chyba nie zaczniesz znowu płakać? - zaniepokoił się Lucius.

- Gdybym wiedział, zabrałbym ze sobą cały stos chusteczek. Nie płacz, kochanie.

- Nie będę - zapewniła. - Tylko że kiedy przed trzema laty hrabina Fontbridge zjawiała się u mnie ze swoimi groźbami, to właśnie o ciotkach myślałam przede wszystkim. Robiło mi się słabo na myśl, że dowiedzą się, iż przez tyle lat były oszukiwane. Poza tym chyba bałam się utraty ich miłości. Ale gdy wczoraj, w altance, wyznałam im prawdę, zdumiały się, że o wszystkim wiem. A potem wyściskały mnie i wycalowały, nazywając mnie głuptasem za to, że nawet przez chwilę w nie wątpiłam.

- A widzisz - mruknął Lucius. Jego talerz był już prawie pusty.

- Podzielają moje zdanie o tobie, że jesteś głuptasem. Nigdy nie wolno poddawać się szantażowi i groźbom. Jeśli chcesz, odwiedzę lady Fontbridge i sprawię jej lanie, to znaczy zrobiłbym to, gdyby nie była kobietą.

- Och, Luciusie. - Frances wybuchnęła śmiechem. - Byłam u niej dzisiaj rano i powiedziałam, że choć wyjeżdżam do Bath, nie czuję się już związana daną jej przed trzema laty obietnicą, oczywiście poza małżeństwem z Charlesem, bo i tak nie chcę za niego wyjść.

Potem poszłam do lady Lyle i jej powiedziałam to samo: że nie czuję się już wobec niej i wobec Ralstona niczym zobowiązana. Zagroziła mi, że przyjedzie do Bath i rozpuści tu swoje paskudne plotki. Podałam jej więc adres szkoły, żeby nie musiała się kłopotać szukaniem.

Widelec w rękach wicehrabiego zawisł między talerzem a ustami. Uśmiech na jego twarzy sprawił, że serce Frances podskoczyło z radości.

- Brawo, kochanie! - krzyknął. Westchnęła.

- Luciusie - powiedziała. - Nazwałeś mnie tak już trzeci raz w ciągu godziny. Musisz przestać. Naprawdę musisz. Nie zapominaj o obietnicy złożonej dziadkowi. Nawet jeśli panna Hunt nie jest już kandydatką na narzeczoną, musisz znaleźć sobie inną.

- Ale ja już ją znalazłem. Znów westchnęła.

- Narzeczoną, którą zaakceptuje twoja rodzina. Czy wiesz, dlaczego, kiedy obawiałeś się o zdrowie dziadka, złożyłeś mu taką a nie inną obietnicę? Dlatego, że taki jest twój obowiązek. Tak, uważam, że traktujesz bardzo serio swoje powinności. Bo kochasz dziadka, kochasz matkę i siostry. Przynależeś, że się ożenisz i ustatkujesz, ponieważ kochasz ludzi, którzy obdarzyli cię miłością, i czujesz, że powinienes to dla nich zrobić.

- Widzę, że dzisiaj bardzo chętnie przypisujesz mi wiele sentymentalnych motywów mojego postępowania - mruknął. Jego talerz był już całkiem pusty. Odłożył sztućce i sięgnął

po kieliszek z winem. - Lecz nawet jeśli część z tego, co mówisz, jest prawdą, prawdą jest także to, co za chwilę powiem. Mianowicie, że chcę się ożenić, ale z miłości. Tak właśnie postanowiłem i to stawia cię w niezręcznej sytuacji. Ponieważ nie kocham nikogo innego tylko ciebie, Frances. Żadna inna kobieta nie wchodzi w grę. No i pozostaje moja obietnica, że ożenię się do końca lata.

Gospodarz zabrał brudne naczynia. Pokojówka doniosła dwa parujące puddingi.

Frances podziękowała za swój, a w zamian poprosiła o filiżankę herbaty.

- Twój ojciec uznał cię za swoją córkę zaraz po twoim urodzeniu, czy tak? - zapytał

Lucius, kiedy tylko znowu zostali sami. - Ożenił się z twoją matką i dał ci swoje nazwisko?

- Tak - potwierdziła - oczywiście.

- W takim razie jesteś dzieckiem z prawego łóża. W oczach Kościoła i prawa jesteś Frances Allard... albo Francoise Halard.

- Cóż z tego. Żaden dobrze urodzony mężczyzna nie zechce mnie, kiedy pozna prawdę.

- O Boże, Frances, dlaczego mówisz o innych? Wyjdź za mnie.

- Ta rozmowa nie ma sensu. Kręcimy się w kółko - westchnęła. Uśmiechnął się do niej znad puddingu.

- Dopiero teraz do mnie dotarło, że wtedy w gospodzie nie zrobiłaś ani puddingu, ani tarty z kremem. No cóż, twój placek był tak dobry, że nie szkoda mi puddingu.

Patrzyła na niego i powtarzała w myślach, że bardzo go kocha i że zakochała się w nim wtedy, gdy...

- I chyba zakochałem się w tobie po pierwszym kąsie twojego placka, Frances -

ciągnął Lucius. - A może wtedy, gdy wszedłem do kuchni, a ty zagniatałaś ciasto, a potem dałaś mi klapsa po ręce, bo podkradłem ci kawałek. Nie, to było wtedy, kiedy wyciągnąłem cię z powozu, a ty stałaś w śniegu i powiedziałaś, że chętnie wrzuciłabyś mnie do wrzącego oleju. Tak, myślę, że to było właśnie wtedy. Wcześniej żadna kobieta nie mówiła do mnie tak odważnie.

Nie przestawała mu się przyglądać.

- Muszę się koniecznie czegoś dowiedzieć, Frances. Proszę, odpowiedz mi. Czy ty mnie kochasz?

- To zupełnie nieistotne - oświadczyła, kręcąc wolno głową.

- Przeciwnie. To jest najważniejsze.

- Oczywiście, że cię kocham - wyznała. - Oczywiście. Ale nie mogę za ciebie wyjść.

Wyprostował się, zacisnął wargi i wpatrzył w nią tym swoim uważnym spojrzeniem, które nieraz już u niego widziała. Nie uśmiechał się, a jednak...

- Jutro - powiedział - pojedziesz dalej tym swoim starym pudłem. Wiem, że w szkole czekają na ciebie obowiązki, które traktujesz bardzo poważnie. Ja wrócę do Londynu do moich obowiązków, które także traktuję bardzo poważnie. Ale zanim to nastąpi, dzisiaj w nocy będziemy się kochali.

Oblizwała wyschnięte usta czubkiem języka. Lucius powiódł za nim wzrokiem.

A więc postanowił z niej zrezygnować. Poczwała w sercu ból. Została im tylko ta noc.

- Dobrze - zgodziła się.

Nie potrafił uwierzyć, jak wiele wniósł do ich zbliżenia fakt, że kochał się z Frances, czując do niej miłość, a nie tylko samo pożądanie.

Tak jak mówił przy kolacji, musiał zakochać się w niej już podczas ich pierwszego spotkania, bo inaczej dlaczego prosiłby ją, by pojechała z nim do Londynu, choć przecież nie miał co do niej żadnych planów ani powodów, żeby ją tam ze sobą zabierać? Dlaczego nie potrafił o niej zapomnieć, mimo upływu czasu, choć przekonywał sam siebie, że zapomniał?

Dlaczego pod wpływem impulsu zaproponował jej wtedy w Bath małżeństwo? I dlaczego ścigał ją tak uparcie?

Jednak - trudno ustalić, kiedy to się stało - jego uczucia do Frances zmieniły się, pogłębiły. Już nie był w niej tylko zakochany, on ją kochał. Piękno jej ciała i duszy, silne, czasami bardzo irytujące poczucie obowiązku, którym kierowała się w życiu, sposób, w jaki przechylała głowę, kiedy mu się przyglądała z rozdrażnieniem lub nieświadomą czułością, to, jak jaśniała jej twarz, gdy Frances zapominała się w radości, to, że potrafiła bawić się i śmiać jak dziecko - och, i jeszcze tysiące innych rzeczy sprawiło, że ją pokochał i chciał kochać do końca swoich dni.

Kiedy znaleźli się sam na sam, nadzy w szerokim łożu, objął ramionami jej szczupłe, ciepłe ciało i przyciągnął do siebie, drżąc cały. Przemknęła mu przez głowę przerażająca myśl, że mógłby ją stracić. Natychmiast pochylił się i przywarł ustami do jej ust, zatracając się w tym pocałunku.

Teraz liczyło się tylko to, że mają obok siebie, nagą i spragnioną miłości.

Najważniejsze, że są razem.



A na dodatek przyznała, że ona też go kocha. Wiedział o tym, czuł to głęboko w sercu.

Ale teraz usłyszał to z jej ust.

Oczywiście, że cię kocham. Oczywiście.

- Luciusie - wyszeptała - kochaj się ze mną.

- Myślałem, że to właśnie robię. - Uniósł głowę i spojrzał na nią z uśmiechem. Padało na nią światło ze stajni za oknem. - Czyżbym źle się starał?

Roześmiała się na całe gardło. Uwielbiał, kiedy tak się śmiała.

- Rzecz w tym, Frances - dodał, wsuwając ramię pod jej szyję, a nogę pomiędzy uda -

że niełatwo jest być twoim kochankiem. Jesteś tak rozpalona, że aż boję się ciebie dotknąć.

Chyba nie masz gorączki, prawda?

Znowu się roześmiała, sięgając dłonią do jego włosów. Przyciągnęła go do siebie, wtulając się piersiami w jego pierś.

- Chyba mam. I zanim mi się polepszy, może być jeszcze gorzej. A istnieje na to tylko jedno lekarstwo. Ty nim jesteś, Luciusie.

Mówiła niskim, gardłowym głosem, od którego dostawał gęsiej skórki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame - mruknął, zsuwając usta na jej podbródek i szyję. - Czy obejdziemy się więc tym razem bez gry wstępnej?

- Tym razem? - zdumiała się, skręcając między palcami kosmyk jego włosów. - To będzie jakiś następny?

- Ile godzin zostało do rana? - zapytał.

- Osiem?

- No to będzie - zapewnił. - Jedna godzina na miłość, jedna na odpoczynek. To daje cztery razy, tak? Może nawet pięć, bo zapowiada się, że ten nie zajmie nam całej godziny.

- Więc zapomnijmy o grze wstępnej - zgodziła się, znowu wybuchając serdecznym śmiechem.

Wspiął się na nią, wsunął dłonie pod jej plecy, i rozsunąwszy jej uda, wszedł w jej wilgotne łono.

Już po ich pierwszym zbliżeniu wiedział, że Frances jest kobietą namiętną. Ale tej nocy zapomniała o wszystkich zahamowaniach. Wcale nie przesadzał, mówiąc, że jest rozpalona. Zwarli się w dzikim, niemal zwierzęcym miłosnym tańcu, jęczeli i dyszeli, spływając potem, aż wstrząsnął nimi orgazm.

Pamiętając, że znajdują się w wiejskiej gospodzie, której ściany mogą nie być najgrubsze, w chwili gdy szczytowała, przywarł ustami do jej ust, by zdusić wydobywający się z nich okrzyk rozkoszy.

Potem przekręcił głowę na bok, opadł na nią i westchnął.

- Kiedy zamierza się spędzić na miłosnych igraszkach całą noc - powiedział - należy na początku oszczędzać energię, a wtedy każde następne zbliżenie jest coraz bardziej namiętne.

- I tak właśnie postępujemy, czyż nie? - wyszeptała mu do ucha. - Zaczekaj do rana, a ziemia z pewnością się pod nami zatrzęsie.

- Masz rację - zgodził się. Zamknął oczy i po chwili już spał.

Czy to możliwe, zastanawiała się Frances w przerwach między zbliżeniami, że niektórzy ludzie kochają się tak namiętnie dzień za dniem, tydzień za tygodniem, rok za rokiem? Dają i biorą radość, bez oglądania się na konsekwencje, nie myśląc o przyszłości, a żyjąc chwilą.

Rozsądna część niej podpowiadała, że popełnia błąd, a nawet że postępuje niemoralnie. Ale inna część mówiła, że jeśli teraz nie sięgnie po radość, nigdy więcej jej nie zazna. Do końca życia będzie żałowała, że nie przyjęła od losu tego prezentu.

Nie może wyjść za Luciusa. Nie może, ponieważ wie, że bez błogosławieństwa rodziny nie będzie szczęśliwy. A jak Marshallowie mają przystać na ich związek, skoro wybranka Luciusa jest córką włoskiej śpiewaczki i nieznanego nikomu mężczyzny?

Wyjść więc za niego nie może, ale może się z nim kochać tej nocy.

I uczyniła to, dając z siebie wszystko z wielką namiętnością. Kochali się raz za razem.

Czasami zbliżenie było krótkie i gorączkowe jak to pierwsze, a czasami poprzedzone długą, niemal bolesną grą wstępną, po której następował rytmiczny stosunek, tak zmysłowy i piękny, że oboje, zgodnie i świadomie, oddalali chwilę spełnienia, po czym osuwali się w spokojny, błogi sen.

Jego dłonie, ciało, silne uda, ramiona, usta, włosy, jego zapach - wszystko to stało się jej tej nocy tak bliskie, jakby własne. I tak drogie. Nagle pojęła znaczenie słów, że mężczyzna i kobieta mogą stać się jednością. Kiedy w nią wchodził, nie wiedziała, gdzie on się zaczyna, a ona kończy. Ich ciała zdawały się dla siebie stworzone.

- Szczęśliwa? - mruknął do jej ucha, kiedy do pokoju zaczął wdzierać się świt. Jedno ramię trzymał pod jej głową, drugą ręką leniwie gładził ją po brzuchu.

- Mmm.

Budził się dzień, przypominając bezlitośnie, że noc dobiega końca.

- Pewnie cieszysz się, że wreszcie wrócisz do pracy? - zapytał Lucius.

- Mmm - powtórzyła. Naprawdę się cieszyła. W szkole zawsze czuła się szczęśliwa, a praca sprawiała jej satysfakcję. Nigdy z nikim nie przyjaźniła się tak bardzo jak z koleżankami nauczycielkami. Po prostu kochała.

- Na pewno czeka cię wiele pracy do końca roku? - pytał dalej Lucius. Złapał zębami koniuszek jej ucha i dotknął go czubkiem języka. Aż się skuliła, tak ją to łaskotało.

- Tak. Czekają mnie końcowe egzaminy, wystawienie stopni. Trzeba będzie urządzić uroczyste pożegnanie dla dziewcząt z najstarszych klas, poszukać pracy dla tych z ochrony.

A potem przyjdzie czas na nabór na następny rok. Claudia wymaga, żeby nauczycielki zawsze były przy nim obecne. Nie wspominając już o wieczorku, na którym zostaną rozdane nagrody dla najlepszych uczennic i odbędzie się koncert dla rodziców. Już teraz mój chór się do niego przygotowuje. Tak, czeka mnie tyle zajęć, że nie będę miała czasu na myślenie o czym innym.

- Cieszysz się z tego powodu?

Miała zamknięte oczy. Przez chwilę milczała.

- Tak - odparła w końcu.

Przekreślił jej głowę w swoją stronę i pocałował w usta.

- Ty też będziesz zajęty. Udziałem w balach i przyjęciach.

- Tak, matka i siostry uwielbiają mnie na nie wyciągać.

- I będziesz się rozglądał za jakąś panną - dodała. - Może... Znowu ją pocałował.

- Nie pleć bzdur, kochanie - mruknął. - W ogóle przestań mówić. Czuję nowy przypływ energii.

Położył jej dłoń na nabrzmiałym członku, żeby jej to udowodnić. Objęła go mocno palcami.

- Tylko że jestem zbyt leniwy, żeby się podnieść. I żeby podnieść ciebie. Sprawdźmy, czy istnieje inny, mniej wyczerpujący sposób uprawiania miłości?

Obrócił ją na bok, uniósł jej jedną nogę i przerzucił sobie przez biodro. Przysunął się i wszedł we Frances. Wygięła się, żeby mu to ułatwić.

I zaczęli się kochać, wolno i leniwie. Kilka minut później osiągnęli spokojny, ciepły orgazm.

Lucius zsunął jej nogę z biodra i oboje, wciąż połączeni, pograżyli się we śnie.

Kiedy się obudzili, słońce już wstało i świeciło im prosto w oczy.

Jutro pojedziesz dalej... ja wrócę do Londynu...

Jutro, bezdyskusyjnie, właśnie się rozpoczęło.

Frances powinna wrócić razem z nim. Powinna zamieszkać u ciotek, pozwalając im ekscytować się najpierw zaręczynami, a potem ślubem przed końcem lata.

Powinna jeszcze raz spotkać się z Heathem, żeby ustalić szczegóły koncertu, który baron chciał dla niej zorganizować. Powinna ćwiczyć i przygotowywać się do kariery, bo tak czy inaczej jest jej pisana.

Jednak tak naprawdę powinna robić coś o wiele ważniejszego.

Wrócić do Bath, do panny Martin, do swoich uczennic i obowiązków zawodowych, do wszystkiego, co tak wzbogacało jej życie, co nadawało mu sens w ciągu ostatnich trzech lat.

Pomimo trudnych doświadczeń z przeszłości, gróźb hrabiny Fontbridge, wykorzystywania przez Ralstona i lady Lyle, nie załamała się, a przeciż była wcześniej wychuchaną córeczką tatusia. A jednak miała siłę i charakter, by zapomnieć o niefortunnym starcie w dorosłość i spróbować jeszcze raz.

Mylił się, nazywając ją tchórzem. Mylił się, kiedy zarzucał jej, że woli nudne zadowolenie niż szczęście u jego boku i na sali koncertowej.

Frances wcale nie uciekła od dawnego życia.

Ona biegła do nowego.

Nie miał prawa oczekiwać, że porzuci je tylko dlatego, że się w niej zadurzył i pragnął, żeby za niego wyszła. Nie chciała porzucić swojego nowego życia nawet dla śpiewu, choć przeciż od dziecka marzyła o karierze śpiewaczki.

Kochała swoje nowe życie i pracę w szkole i nie mógł się spodziewać, że ulegnie to nagle zmianie, przynajmniej nie przed końcem roku szkolnego.

Bardzo trudno było mu pozwolić jej odejść, nie przekonując, że powinna wrócić z nim do Londynu. Zdusił nawet chęć błagania jej, żeby zgodziła się, by przyjechał po nią w czerwcu.

Nie zrobił tego, bo uznał jej racje. Rzeczywiście było tak, że choć nie umiał już sobie wyobrazić ożenku z kobietą, której by nie kochał, uświadomił sobie, jak bardzo mu zależy na akceptacji matki, siostr i dziadka.

Nie miał pojęcia, czy gdyby nie uzyskał ich poparcia, jego miłość do Frances okazałaby się silniejsza od chęci spełnienia woli członków rodziny. Diabli wiedzą. Na razie jednak, zamiast myśleć o najgorszym, postanowił zrobić wszystko, by zdobyć ich zgodę na małżeństwo z Frances.

Będzie mu łatwiej, jeśli wróci do domu sam, jeśli nie postawi nikogo przed faktem dokonanym.

I tak po śniadaniu, którego żadne prawie nie tknęło, on i Frances pożegnali się przy stajni.

Thomas już siedział na koźle, a jego konie, stare chabety, czekały tylko na sygnał do odjazdu. Peters też zaprzągnął dwukólkę, do pary o wiele żywszych rumaków, gotowy do drogi, ale rozczarowany, bo dowiedział się, że nie on będzie powoził.

Lucius ujął dłonie Frances i mocno je uściśnął. Potem podniósł je do ust i, zamykając oczy, złożył na nich długi pocałunek.

- *Au revoir*, kochanie - powiedział. - Bezpiecznej podróży. I staraj się nie przepracowywać.

Utkwiła w nim wielkie ciemne oczy, jakby chciała nasycić się jego widokiem na całą resztę dnia.

- Żegnaj, Luciusie - wydusiła. - Żegnaj, mój najdroższy.

Wyrwała dłonie i bez pomocy wspięła się do powozu. Zajęła się rozkładaniem bagaży i nie podniosła głowy nawet wtedy, gdy Lucius skinieniem dał znać Thomasowi, że może ruszać.

Nie podnosiła jej aż do chwili, gdy pojazd wyjechał na drogę. Dopiero wtedy pomachała ręką.

Powóz znikł z widoku.

Frances odjechała.

Ale przecież, na Jowisza, nie na zawsze, pomyślał Lucius.

To nie jest ostateczne pożegnanie.

A jednak kiedy szedł do dwukółki, kiedy siadał na swoim miejscu i przejmował wodze od Petersa, czuł się tak, jakby rzeczywiście ostatecznie się pożegnali.

Był bliski łez.

- Lepiej mocno się trzymaj - ostrzegł Petersa. - Jak tylko wyjedziemy na drogę, ruszymy z kopyta.

- No myślę, sir - mruknął Peters. - Niektórzy nie przepadają za śniadaniem w gospodzie i spieszą się na obiad do domu.

Lucius strzelił z bata.

Kiedy po dwóch tygodniach od szokującego oświadczenia Luciusa w salonie Marshall House w żadnej z londyńskich gazet nie pojawił się anons o zaręczynach wicehrabiego, lady Balderston w sposób mniej lub bardziej zawołowany dała znać lady Sinclair, że jeśli lord Sinclair zgłosi się do Balderstonów ze stosownymi przeprosinami, zostanie przyjęty z wyrozumiałością i wszelkie przewinienia będą mu wybaczone. W końcu mówiło się, że podobno niemal połowa mężczyzn obecnych na koncercie zadurzyła się w pannie Allard - a przecież wiadomo, iż wicehrabia Sinclair jest impulsywny.

Do żadnych przeprosin jednak nie doszło i po następnych dwóch tygodniach po eleganckich salonach Londynu rozeszła się plotka, że Portia Hunt odrzuciła zaloty wicehrabiego Sinclaira i przyjęła awanse nie mniej szacownego markiza Attingsborough, syna i spadkobiercy księcia Anbureya. I nagle na dowód, że plotki nie kłamią, dwójkę tę zaczęto widywać razem niemal wszędzie - w Hyde Parku na spacerze, w loży teatralnej, na balach.

Tymczasem Lucius nie lenił się, choć też nie był tak aktywny jak niegdyś. Przede wszystkim spędzał czas z dziadkiem, który doznał drugiego, słabszego, zawału serca.

Lucius pobiegł do niego zaraz następnego dnia po powrocie do Londynu.

- Dziadku - powiedział, trzymając staruszkę za chłodne, bezwładne ręce. - Tak mi przykro, że mnie tu nie było. Pojechałem do Bath.

Hrabia uśmiechnął się do niego sennie.

- Za Frances - tłumaczył się Lucius. - Dowiedziałem się od jej ciotek, że wyjechała.

- A więc jednak panna Allard nie chce śpiewać? - zdziwił się starszy pan. - Mimo że Heath był nią tak zachwycony?

- Chce, ale jest nauczycielką i w tej chwili szkoła, uczennice i koleżanki są dla niej najważniejsze. Po prostu pragnęła już do nich wrócić.

Hrabia uważnie przyglądał się wnukowi.

- I ciebie także nie chce, Luciusie, prawda? - zapytał. Lucius potarł zimne dłonie staruszkę.

- Chce - odparł. - Pragnie mnie tak bardzo jak ja jej. Tylko że uważa, iż nie jest mnie warta.

- A ty nie potrafiłeś jej przekonać, że jest inaczej? - Hrabia zachichotał. - Chyba tracisz talent, chłopcze.

- Nie, nie potrafiłem, sir - przyznał Lucius. - I nie miałem prawa tego robić.

Powiedziała, że nie wyjdzie za mnie, jeśli nie uzyskam na to zgody całej mojej rodziny.

Hrabia przymknął oczy.

- Frances wie - ciągnął Lucius - tak samo jak ja, że pragniesz, abym ożenił się z Portią.

Staruszek spojrział bystro na wnuka.

- Od lat marzyliśmy o tym z Godsworthym - przyznał. - Powinieneś jednak przypomnieć sobie, co ci powiedziałem w Boże Narodzenie: że to ty sam musisz wybrać narzeczoną. Małżeństwo to intymna sprawa... związek ciał, umysłów, a nawet dusz. Może przynieść małżonkom wiele radości, jeśli tylko obdarzą się przyjaźnią, życzliwością i miłością. W przeciwnym razie jest cierpieniem.

- A więc nie będziesz bardzo zły, jeśli nie ożenię się z Portią? Uwierz mi, dziadku, nie mogę tego zrobić. Ona jest doskonała w każdym calu, ale ja taki nie jestem.

Hrabia znowu cicho zachichotał.

- Gdybym był młody - powiedział - i gdybym nie znał twojej babki, sam zakochałbym się w pannie Allard. Domyślałem się, że coś do niej czujesz.

- Frances miała dobre dzieciństwo - wyjaśniał Lucius - lecz po śmierci ojca została bez grosza. Wpadła w łapska lady Lyle i tego wstrętnego George'a Ralstona. Zmusił ją do podpisania kontraktu, obiecując wielką karierę. Możesz sobie wyobrazić, w jakich miejscach musiała śpiewać. Niezbyt przyzwoitych. On i lady Lyle ograbiali ją z zarobionych pieniędzy, tłumacząc Frances, że w ten sposób spłaca długi. Zainteresował się nią Fontbridge, ale jego matka jest zbyt zarozumiała, żeby patrzeć przychylnie na francuską emigrantkę. Zresztą do zerwania Frances z hrabią Fontbridge'em przyłożyła też rękę lady Lyle. Nie chciała, żeby Frances za niego wyszła, bo powiedział, że jako jego żona nie będzie mogła śpiewać. Lady Lyle bała się, że utraci źródło dochodu. Szepnęła więc zatrute słówko do ucha lady Fontbridge. Tyle tylko, że plan się nie powiódł, bo choć lady Lyle doprowadziła do rozbicia związku Frances z Fontbridge'em, nie przewidziała, że dziewczyna się zbuntuje i postanowi porzucić dotychczasowe życie. I tak Frances uciekła do Bath, gdzie podjęła pracę jako nauczycielka.

- Mój podziw dla panny Allard tylko wzrósł - stwierdził hrabia. - A fakt, że wróciła do Bath, choć Heath i my tak zachwycaliśmy się jej śpiewem, świadczy o sile jej charakteru.

Coraz bardziej ją lubię.

- Frances najbardziej przejęła się tym, co lady Lyle powiedziała lady Fontbridge -

wyjaśniał Lucius. - To z tego powodu Frances uważa, że nie może za mnie wyjść. Nie jest biologiczną córką Allarda. Ożenił się z jej matką jeszcze przed urodzeniem się Frances, i wiedział przed ślubem, że przyszła żona jest w ciąży z innym mężczyzną. Frances nie zna swojego ojca, ale przypuszcza, że jest Włochem tak jak matka. Allard uznał ją za własną córkę, wychował i nigdy nawet słowem się nie zdradził. Powiedział jednak prawdę pani Melford i pannie Driscoll, a także lady Lyle, która najwyraźniej była jego kochanką. Wobec prawa Frances jest dzieckiem ślubnym.

Hrabia leżał przez chwilę w milczeniu i z zamkniętymi oczami. Lucius pomyślał, że starszy pan

przysnął. Jego cera była szarawa, skóra cienka jak pergamin. Lucius poczuł, że zbiera mu się na płacz, już po raz drugi w ostatnim czasie. Pogłaskał dłoń dziadka.

- Luciusie, mój chłopcze - odezwał się w końcu hrabia, nie otwierając jednak oczu -  
masz moją zgodę na ślub z panną Allard. Możesz jej to przekazać.

- Być może będziesz miał okazję zrobić to osobiście, sir. Pod koniec roku w szkole panny Martin odbywa się uroczystość rozdania nagród najlepszym uczennicom wraz z koncertem. Występuje wtedy chór prowadzony przez Frances. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się na ten koncert wybrać.

- Zrobimy tak - zgodził się hrabia. - Ale teraz, Luciusie, muszę odpocząć.

Zanim jeszcze Lucius zdążył wsunąć jego rękę pod koc, hrabia już cicho chrapał.

Matkę i siostry przekonał jeszcze łatwiej.

Lady Sinclair cieszyła się, że syn mieszka w Marshall House i zachowuje się poprawnie, no, przynajmniej przez większość czasu. Opiekuje się dziadkiem i chętnie towarzyszy siostrom, kiedy gdzieś wychodzą. Co do narzeczonej, zaakceptowałyby każdą, ponieważ obawiała się, że syn już nigdy się nie ustatkuje. Nie przejmowała się pochodzeniem panny Allard, bo wiedziała, że nie jest wyjątkiem w towarzystwie. Poza tym osoby z wyższych sfer po prostu nie poruszają takich tematów.

Tydzień później Lucius dowiedział się, że matka rozmawiała z lady Fontbridge w Almack i że podczas rozmowy specjalnie wspomniała o Frances i o jej pochodzeniu. Niczego nie ukrywała, zarazem jednak podkreśliła, że uważają za wspaniałą, porządną kobietę, w dodatku bardzo utalentowaną. Napomknęła też, że być może już wkrótce Frances stanie się kimś więcej niż tylko przyjaciółką rodziny.

Oczywiście wspomniała też o tym, że Frances jest spadkobierczynią pani Melford i panny Driscoll, kuzynek barona Cliftona i że . obie panie są w tak bliskich stosunkach z Frances, że między nimi nie ma żadnych tajemnic.

- Nigdy nie słyszałam, żeby mama tak mówiła - komentowała podczas śniadania Emily, obecna przy rozmowie z lady Fontbridge. - Była słodka jak miód, a przy okazji strasznie przebiegła. A wyraz twarzy hrabiny zdradzał, że doskonale wie, o co chodzi.

- Emily - zawołała lady Sinclair ostrym głosem - przestań opowiadać bzdury.

Jednak wszyscy w jadalni wybuchnęli śmiechem.

Margaret, która jeszcze w Boże Narodzenie opowiadała się za Portią, teraz, po wyjściu za Taita z miłości, twierdziła, że jeśli tylko Lucius kocha pannę Allard, ona nie będzie stawiała mu na drodze. Wyznała przy okazji, że jej mąż już dawno mówił, iż Lucius raczej poderżnie sobie gardło, niż ożeni się z Portią.

Caroline, nadal żyjąca z głową w chmurach w związku z zaręczynami, mogła tylko przyklasnąć, że



brat zamierza ożenić się z kobietą, którą wyraźnie jest zauroczony. Poza tym podziwiała śpiew panny Allard i bardzo chciała mieć ją za bratową.

Co do Emily, była bardzo rozczarowana panną Hunt. Tej wiosny spędziła z nią sporo czasu i uważała, że Portią w ogóle nie pasuje do Luciusa. Panna Allard to co innego, zwłaszcza że miała tyle silnej woli, żeby wrócić do Bath, mimo że Luce pojechał za nią i namawiał do powrotu do Londynu.

Amy, naturalnie, była zachwycona.

Jakiś tydzień po rozmowie z lady Fontbridge w Almack wicehrabina wpadła podczas przyjęcia w ogrodzie, na które zabrała Caroline i Emily, na lady Lyle i z nią także pogawędziła o Frances - chociaż trudno to nazwać pogawędką, ponieważ mówiła głównie lady Sinclair, a lady Lyle słuchała z charakterystycznym dla niej kpiącym półuśmieszkiem.

- Ale jednak słuchała - zaznaczyła później Caroline.

Lucius jednak nie zamierzał pozwolić, żeby to matka walczyła o jego sprawy.

Pewnego dnia w salonie boksterskim Jacksona natknął się na Ralstona i choć normalnie panowie by się zignorowali - nie z powodu wrogości, a dlatego, że zazwyczaj obracali się w zupełnie innych kręgach - tym razem stało się inaczej. Lucius zaczepił Ralstona, kpiąc najpierw z jego niechlujnie zawiązanego fularu, a potem z brudnych butów. Zrobił też uszczypliwą uwagę na temat kiepskich lokajów. Znajomi Luciusa byli zdumieni jego zachowaniem.

A jeszcze bardziej się zdumieli, kiedy usłyszeli, że proponuje Ralstonowi sparing.

Jak się można było tego spodziewać, walce nie towarzyszyła przyjazna atmosfera.

Ralston był wściekły, że naigrawa się z niego ktoś tak poważany w towarzystwie, a Lucius tylko czekał, żeby dać przeciwnikowi możliwość wyładowania gniewu.

W chwili gdy Jackson osobiście przerwał walkę w szóstej rundzie, mimo że zaplanowano ją na dziesięć, policzki Luciusa płonęły, kostki rąk były pozdierane, a żebra tak obolałe, że wiedział, iż będą mu przypominały o walce przez cały następny tydzień.

Natomiast Ralston w miejscu jednego oka miał wąską szparkę, pod drugim głębokie rozcięcie, z nosa, chyba złamanego, ciekła krew, a ramiona i klatkę piersiową znaczyły liczne siniaki - biedak z pewnością nie zaśnie przez kilka nocy.

- Dziękuję - rzucił na koniec Lucius. - To była przyjemność, Ralston. Kiedy spotkam się z panną Allard, będę musiał jej powiedzieć, że spędziłem z panem godzinkę na miłej...

rozmowie. Ale może nie wie pan, o kim mówię. Może zna pan tę damę pod innym nazwiskiem, na przykład Halard? Słyszał pan już, że baron Heath chce patronować jej karierze? Jest wolna, więc może spokojnie przyjąć jego ofertę. Och, widzę, że rusza się panu ząb. Na twoim miejscu, chłopie, nie dotykałbym go, to może nie wypadnie. A teraz żegnam.

- Co to miało być, do diabła? - zapytał jeden z mniej rozgarniętych znajomych Luciusa, kiedy Ralston nie mógł już go słyszeć.

- Po prostu bokserki sparing - zakpił inny, bardziej błyskotliwy znajomy.

No właśnie.

Czas oczekiwania na nadejście końca roku szkolnego i na dzień koncertu, do którego zostały jeszcze dwa miesiące, dłużył się Luciusowi niemiłosiernie. Na dodatek dręczył go nieustanny lęk i niepokój, bo przecież nie wiedział, czy Frances ucieszy się na ich ponowne spotkanie i czy go zechce, nawet jeśli zjawi się przed nią uzbrojony w błogosławieństwa wszystkich członków rodziny.

Bo z Frances nigdy nic nie wiadomo.

Wystarczyło, że pomyślał tylko ojej uporze, i już się irytował.

Jeśli odmówi, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko ją porwać.

Albo paść na kolana i błagać.

Lub pograć się w rozpacz.

Nie zamierzał jednak myśleć o porażce. Na koncert mieli pojechać z nim: dziadek, który chciał ponownie skosztować wód z Bath, Amy, śmiertelnie już zmęczona Londynem, a także Tait i Margaret, którzy stwierdzili, że za nic nie chcieliby przepuścić takiego wydarzenia. Przynajmniej Tait tak mówił. Margaret, bardziej dystygowana, oświadczyła, że chce jechać do Bath, ponieważ nie była w nim już z pięć lat.

Pani Melford i panna Driscoll także zamierzały do nich dołączyć, po pierwsze dlatego, że do Bath było im po drodze - wracały do domu - a po drugie, chciały zobaczyć drogą Frances i poznać jej przyjaciółki.

Lucius podejrzewał jednak, że starszki postanowiły zjawić się w Bath dlatego, że dowiedziały się, iż on tam będzie. Bardzo chciały, żeby ożenił się z ich kuzynką.

A on, jeśli tylko niebiosa go wesprą, bardzo chętnie spełni ich pragnienie.

Ostatni miesiąc roku szkolnego jak zawsze był okresem wzmożonej pracy. Należało wymyślić testy na egzaminy, potem wystawić oceny, wypisać cenzurki, wybrać najlepsze uczennice - i przygotować się do końcowego koncertu.

Właśnie przygotowania do koncertu pochłaniały najwięcej energii. Wykorzystywano na nie każdą wolną chwilę nieposwieconą na naukę, jedzenie i spanie - w ostatnim tygodniu nawet sen i posiłki trzeba było ograniczyć do minimum.

Frances była jednym z najbardziej zajętych nauczycieli, ponieważ organizacja koncertu spoczywała głównie na jej barkach. Jednak inni pracownicy szkoły także nie mogli narzekać na nudę. Claudia,

jako mistrz ceremonii, musiała napisać mowę końcową. Susanna przygotowywała scenkę z życia szkoły. Niekończące się próby odbywały się za zamkniętymi drzwiami w atmosferze tajemnicy, ale też, sądząc po dochodzących z sali dźwiękach, ogromnej wesołości. Wystrojem sceny zajął się pan Upton, a rekwizytami Anne z pomocą kilku uczennic, a także jej syna, Davida. Wszyscy, kiedy tylko mogli oderwać się od innych obowiązków, znikali wieczorami w pracowni plastycznej.

Frances złożyła podanie z prośbą o zwolnienie z pracy wraz z końcem roku. Podjęła tę decyzję po kilku bezsennych, spędzonych na rozważaniach nocach. Kiedy przed trzema laty zjawiała się w Bath, nie poddała się, tylko próbowała ułożyć sobie nowe życie. I ta próba się powiodła - Frances znalazła dla siebie nowe miejsce, odnalazła też siebie. Była dumna z tego.

Jednak po długim zastanowieniu i szczerych rozmowach z przyjaciółkami uznała, że pozostanie w szkole oznaczałoby ucieczkę od rzeczywistości.

Tymczasem rzeczywistość i marzenia wreszcie się spotkały. Frances rozumiała, że jeśli i tym razem nie zechce przyjąć tego do wiadomości, jeśli ponownie przeciwstawi się losowi, może już nie otrzymać od niego następnej szansy.

Zamierzała odnaleźć barona Heatha i oddać się w jego ręce, aby sprawdzić, dokąd zaprowadzi ją kariera śpiewaczki.

Zamierzała pójść za głosem swojego marzenia.

Anne i Susanna rozpaczały z powodu jej odejścia, ale też obie zgodnie twierdziły, że Frances słusznie zdecydowała. Co nie znaczy, że nie będą za nią bardzo tęskniły. Bez niej życie w szkole nie będzie już takie samo.

Lecz nigdy więcej się do niej nie odezwą, groziła Susanna, jeśli zostanie.

Anne dodawała, że będą śledziły jej karierę i pękały z dumy, że mają tak sławną koleżankę.

Claudia postanowiła, że nie przyjmie od Frances wypowiedzenia, tylko zachowa dla niej posadę aż do Bożego Narodzenia. Po prostu znajdzie kogoś na zastępstwo. Dzięki temu Frances będzie mogła, jeśli zajdzie taka potrzeba, w każdej chwili wrócić do pracy.

- W żadnym razie, Frances, nie grozi ci porażka - przekonywała. - Jeśli wybierzesz śpiew, będziesz robiła to, do czego zostałaś stworzona. Jeśli jednak uznasz, że takie życie ci nie odpowiada, powrócisz do pracy, którą wykonujesz nadzwyczaj dobrze, o czym mogą zaświadczyć uczennice naszej szkoły.

Wreszcie nadszedł tak długo oczekiwany dzień zakończenia roku szkolnego. Wśród zamieszania nie obyło się bez katastrof, z których, na szczęście, wszystkim udawało się w ostatnim momencie jakoś uratować - tancerki nie mogły znaleźć baletek, chórzystki nut, Martha Wright, najmłodsza uczennica szkoły, która miała przywitać ze sceny gości, zapadła się pod ziemię. W końcu odnaleziono ją w schowku na szczotki, recytującą tekst powitania z zamkniętymi oczami i palcami w uszach.

Na krótko przed rozpoczęciem Susanna wyjrzała zza kurtyny, żeby sprawdzić, ilu gości siedzi na

widowni.

- Ojej! - krzyknęła do Frances, zajętej ustawianiem nut na stojaku. - Widownia pęka w szwach.

Jak co roku.

- I, och, zobacz! - dodała. - Chodź i zobacz, Frances. Sześć rzędów przed końcem sali, po lewej stronie.

Frances nie lubiła podglądać publiczności przed występem. Bała się, że ktoś ją na tym przyłapie. Nie mogła jednak odmówić Susannie, która oczy miała wielkie jak spodki, płonące policzki - a na ustach szelmowski uśmiech.

Spojrzała więc.

O dziwo, najpierw dostrzegła ciotki - siedziały bardziej w środku widowni niż na lewo. Jednak zanim zdążyła ucieszyć się na ich widok, uświadomiła sobie, że Susanna nigdy ich wcześniej nie widziała, więc nie mogła ciotek rozpoznać. Przeniosła wzrok na lewo.

Obok ciotki Marthy siedział hrabia Edgecombe, przy nim lady Tait, potem lord Tait, Amy i...

Frances nabrała głęboko powietrza i opuściła kurtynę.

- Frances, - Susanna chwyciła przyjaciółkę w ramiona, nie bacząc na szykujące się do występu uczennice. - Och, Frances, będziesz szczęśliwa. Jedna z nas będzie szczęśliwa. Ja już jestem... szczęśliwa.

Frances była zbyt oszołomiona, by czuć coś więcej niż zdumienie.

Nie miała jednak czasu na przeżywanie. Zbliżała się dziewiętnasta, a Claudii zawsze zależało na punktualności.

Pojawiła się Anne z Marthą Wright. Uścisnęła ramię dziewczynki, ucałowała ją w policzek i wysłała na scenę.

Próba generalna, która odbyła się po południu, poszła wyjątkowo źle. Ale panna Martin zapewniła zarówno uczennice, jak i nauczycielki, że to tylko dobry znak i że sam koncert wypadnie doskonale.

I miała rację.

Chór zaśpiewał bezbłędnie, tancerki nie zaplątały się we wstążki, zespół recytatorski mówił niemal jednym głosem, Elaine Rundel i David Jewell odśpiewali swoje solowe partie perfekcyjnie, Hannah Swan i Veronica Lane bez najmniejszego potknięcia wykonały w duecie utwór na pianinie, a scenka odegrana przez grupę Susanny, przedstawiająca nauczycieli i dziewczęta przygotowujących się do koncertu, rozśmieszyła publiczność i brawa rozległy się jeszcze przed jej zakończeniem.

Potem panna Martin wygłosiła mowę: wyliczyła najważniejsze osiągnięcia szkoły w minionym roku

oraz przedstawiła najlepsze uczennice.

Frances nie wiedziała, jak udało jej się przejść przez to wszystko. Ilekroć pojawiała się na scenie, żeby poprowadzić chór, i kiedy odwracała się do publiczności w czasie braw, widziała jaśniejące radością twarze ciotek, hrabiego i Amy. Na Luciusa nie patrzyła. Nie miała odwagi.

Ale wiedziała, że się do niej uśmiechał z tym blaskiem w oczach i z zaciśniętymi ustami, które wyrażały dumę, uczucie i pożądanie.

I miłość.

Nie miała już wątpliwości, że Lucius ją kocha.

Ani że ona kocha jego.

Wątpiła tylko, czy istnieje dla nich jakaś przyszłość.

Ale przecież towarzyszą mu hrabia Edgecombe, Amy, Taitowie, a także ciotki.

Co to może oznaczać?

Nie śmiała odpowiedzieć na to pytanie.

Nawet nie próbowała. Postanowiła skupić uwagę na dziewczętach, których występ był lepszy niż kiedykolwiek.

W końcu jednak ostatnia nagroda została wręczona, brawa ucichły i nie pozostawało już nic innego, jak wyjść wraz z uczennicami i nauczycielami do holu, gdzie czekali goście, racząc się ciastkami i lemoniadą.

Powitały ją w nim ciotki - najpierw ją wyściskały, a potem zachwyciły się koncertem.

Podbiegła do niej Amy. Lord Tait wykonał grzeczny ukłon, a jego żona uśmiechnęła się do Frances więcej niż życzliwie. Hrabia Edgecombe, który wyglądał na schorowanego, ujął obie jej dłonie, uścisnął je i powiedział, że Frances jest tak samo dobrą nauczycielką, jak śpiewaczką - a to o czymś świadczy. Lucius trzymał się z dala. Nie spieszył się z powitaniem. Frances, patrząc w jego stronę, czuła, że kolana się pod nią uginają, bo po prostu pożerał ją wzrokiem.

- Frances - powiedział, kiedy w końcu do niej podszedł. Podniósł jej dłoń do ust. -

Podczas naszego poprzedniego spotkania pożegnałem się z tobą po raz ostatni. Nigdy więcej już tego nie uczynię. Jeśli teraz mi odmówisz, odejdę bez słowa.

Czuła, że płoną jej policzki. Ciotki stały obok i wszystko słyszały. Podobnie hrabia, Taitowie i Amy. A także Anne i David.

- Luciusie! - szepnęła miękko.

Nie puszczał jej ręki, oczy mu się śmiały.

- Ostatnia przeszkoda została usunięta - oświadczył. Za jego plecami pojawiła się Susanna. - Otrzymaliśmy błogosławieństwo od każdego członka mojej rodziny. Nie prosiłem jeszcze o zgodę twoich ciotek, ale jestem pewny, że jej nam udzielią.

- Luciusie!

Zaczynała się czuć straszliwie zakłopotana. Goście spoglądali w ich stronę. Kilka dziewcząt zaczęło trzącać się łokciami i chichotać. Bo oto ich nauczycielka, panna Allard, stoi na środku holu, a przystojny, elegancko ubrany mężczyzna ściska jej rękę, uśmiecha się do niej i spogląda na nią pełnym uczucia wzrokiem.

Claudia dostrzegła zamieszanie i podeszła do nich.

Frances popatrzyła na wicehrabiego z milczącą prośbą.

I wtedy jej odważny, impulsywny, irytujący, cudowny Lucius, nie zważając na nic, zrobił coś niesamowitego. Zaryzykował wszystko.

- Frances - odezwał się, nie starając się nawet mówić ciszej. - Moja ukochana, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną?

Rozległy się sapnięcia, piski, pomruki i westchnienia. Ktoś się rozpląkał - albo Amy, albo któraś z ciotek.

To oświadczyły, o jakich marzy każda kobieta, przemknęło Frances przez myśl.

Oświadczyły, na jakie każda zasługuje. Zagryzła wargę. Po czym uśmiechnęła się promiennie.

- O tak, Luciusie. Tak, oczywiście.

Myliła się wcześniej, ostatnie brawa tego wieczoru jeszcze nie przebrzmiały.

Zarumieniła się, słysząc oklaski stojących wokół osób.

Wicehrabia pochylił się, jakby z zamiarem ucałowania jej dłoni, lecz pocałował ją prosto w usta.

A potem na parę rzucili się bliscy, goście i piszczące dziewczęta.

- Teraz już - westchnęła Claudia Martin, choć oczy jej się śmiały - chyba będę musiała przyjąć twoje wypowiedzenie, Frances. Ale przecież mówiłam, że w dobrej sprawie zawsze gotowa jestem to uczynić, czyż nie?

Ślub panny Frances Allard i wicehrabiego Sinclaira odbył się w Bath Abbey miesiąc po oświadczeniach.

Wicehrabina pragnęła, aby zaślubiny odbyły się w Londynie w kościele Świętego Jerzego na Hanower Square. Pani Melford natomiast mówiła o wiejskim kościółku w Mickledean w Somersetshire.

Ciotki należały do rodziny Frances, lecz koleżanki były jej tak samo drogie. Anne zamierzała spędzić lato w Kornwalii, lecz Susanna i Claudia nie mogły opuścić Bath, ponieważ musiały zaopiekować się dziewczętami z ochronki, które na okres wakacji pozostawały w szkole.

Frances po prostu nie umiała sobie wyobrazić, że na jej ślubie nie będzie wszystkich jej najbliższych przyjaciółek.

A Lucius nie stwarzał problemów.

- Najważniejsze, żebyś ty tam była, najdroższa. Zgodzę się nawet na ślub w szopie.

I tak Frances mogła włożyć suknię ślubną w swoim pokoju w szkole - miał to być już jej ostatni tu dzień - zanim zeszła do holu, gdzie czekał na nią baron Clifton. To on miał ją poprowadzić do ołtarza i oddać w ręce przyszłego męża.

- Frances - powiedziała Susanna, przyglądając się jasnoblękitnej sukni panny młodej i ozdobionemu kwiatami kapeluszowi. - Wyglądasz przepięknie. I zostaniesz dzisiaj wicehrabiną. Dobrze, że lord Sinclair nie jest księciem. Musiałabym wtedy z tobą o niego walczyć.

Roześmiała się głośno z własnego żartu, ale w oczach miała łzy.

- Nie martw się, kochana, twój książę jeszcze się pewnego dnia pojawi - zapewniła Frances, biorąc przyjaciółkę w objęcia.

- Ale jak on mnie znajdzie? - zastanawiała się dziewczyna. - Prawie nie opuszczam murów szkoły.

Zadała to pytanie lekkim tonem, lecz Frances domyślała się, że Susanna, młoda i piękna, martwi się, że nigdy nie wyjdzie za mąż, że nie będzie miała narzeczonego.

- Znajdzie cię, na pewno - przekonywała. - Tak samo jak Lucius mnie.

- O tak, on nie ustawał w poszukiwaniach - roześmiała się Susanna.

- Och, Frances, wyglądasz cudownie - powiedziała Anne, podchodząc do niej. -

Suknia i kapelusz są śliczne, ale to nie one, tylko wyraz szczęścia na twojej twarzy czyni cię tak piękną. Życzę ci, żebyś zawsze tak się czuła, choć nie mam wątpliwości, że tak będzie.

Wychodzisz za mąż z miłości, za niezwyklego mężczyznę, który nie będzie przeszkadzał ci w twojej karierze, a wręcz chce cię wspierać w jej rozwoju.

- Ty także będziesz szczęśliwa, Anne. - Frances objęła przyjaciółkę. - Na pewno.

- Och, ależ ja już jestem szczęśliwa. Mam Davida i wolność. Moje życie teraz jest sto razy lepsze od tego, które wiodłam wcześniej. Znalazłam swoje miejsce na ziemi.

Uśmiechała się, cieszyła z radości przyjaciółki. Ale Frances, jak zawsze, wyczuwała w słowach Anne cień smutku.

Jednak nie miała czasu o to zapytać, bo w drzwiach stanęła Claudia.

- Och, Frances - zawołała - jak bardzo będzie nam ciebie brakowało, moja droga. Lecz nie czas na rozczulanie się nad sobą. Jestem naprawdę przeschczęśliwa, że spotkał cię tak wspaniały los.

Panna Martin nie należała do osób, które lubią obściskiwanie. Rzadko też płakała.

Tym razem stało się inaczej - no może nie płakała, ale jednak z jej oczu skapnęło kilka łez.

- Dziękuję - wyszeptała Frances w objęciach Claudii. - Dziękuję, że dałaś mi szansę, kiedy byłam w rozpaczliwej sytuacji. Dziękuję, że pozwoliłaś mi poczuć się prawdziwą nauczycielką i twoją przyjaciółką, a nawet siostrą. Pragnę, żebyś ty także pewnego dnia była tak szczęśliwa jak ja teraz. Bardzo tego pragnę.

Niestety, czas naglił. Frances musiała już rozstać się z koleżankami i jechać do Abbey.

Miejscowa kongregacja nie była zbyt liczna, a jednak w czasie ceremonii w kościele niemal zabrakło miejsc, bo na ślub młodej pary ściągnęło z Londynu zdumiewająco dużo gości, łącznie z baronem Heathem, jego żoną i pasierbami.

Lecz przede wszystkim zjawili się na nim członkowie rodziny Frances, jej przyjaciółki i uczennice z ochronki oraz cała rodzina Luciusa.

A ten jeszcze rok temu kurczyłby się w sobie na myśl, że mógłby znaleźć się w podobnej sytuacji.

Jeszcze rok temu kurczyłby się na myśl o ślubie.

Z pewnością nie przychodziło mu wtedy do głowy, że będzie się zenił z miłości.

Zresztą „miłość” to za mało powiedziane.

On wprost uwielbiał Frances. Pożądał jej, kochał ją i podziwiał.

A teraz szła w jego stronę główną nawą, wsparta na ramieniu Cliftona, szczupła, elegancka i piękna.

Przypomniał sobie chwilę, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy - gdy mijał ją w burzy śnieżnej, a



potem wyciągał z zakopanego w zaspie powozu - przemarznąętą, a mimo to pałającą ogniem wściekłości.

Przypomniał sobie, jak przygotowywała dla niego placek z mięsem.

I jak zrobiła bałwanowi uśmiechnięte usta, a potem odsunęła się, żeby obejrzeć swoje dzieło, pochylając przy tym lekko głowę.

Przypomniał sobie, jak tańczyli w zimnym pokoju w wiejskiej gospodzie.

Jak wszedł do salonu u Reynoldsów i stwierdził, że śpiewaczką, która poruszyła jego duszę, jest nie kto inny, tylko sama Frances.

Przypomniał sobie...

Ale już od tego dnia nie będzie musiał żyć wyłącznie wspomnieniami. Teraz na oczach ich rodzin i przyjaciół przyrzekną sobie wierność aż po grób.

Frances stała u jego boku, jej ciemne oczy lśniły zachwytem.

Postanowił oddać się tej chwili w pełni - i zapamiętać ją do końca życia.

Uśmiechnął się do narzeczonej, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

- Drodzy państwo młodzi... - zaczął kapłan.

Dzień wstał pochmurny, ale kiedy wicehrabia Sinclair opuszczał kościół wraz z małżonką wspartą na jego ramieniu, przywitały ich czyste niebo i piękne słońce.

- Różnie bywało z tą pogodą, najdroższa - powiedział Lucius, spoglądając na Frances.

- Ale teraz wita nas słońce. Nie uważasz, że to dobry znak?

- To tylko ładny dzień - odparła. - Nie potrzeba nam znaków, potrzebujemy woli, by wieść nasze życie jak najlepiej.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum do powozu, na którego koźle oczywiście siedział Peters. Miał zawieźć młodą parę do szkoły, gdzie czekali na nią goście i uroczyste śniadanie.

- Przez ostatnie dwa dni nie wolno mi było zajrzeć do holu nawet na minutkę - mówiła Frances. - Domyślam się, że Claudia, Anne i Susanna wraz z dziewczętami przystrajały go na przyjęcie.

- I z pewnością dokonały cudów - stwierdził Lucius. - Już za chwilę będziemy podziwiali ich dzieło i witali naszych gości. Właśnie spełniłem obietnicę daną dziadkowi. Na dodatek mógł być on tego świadkiem. Dzisiaj też uszczęśliwiliśmy dwie starsze panie, twoje ciotki. Ale dzień ten przede wszystkim należy do nas i nie zamierzam go zmarnować.

Powóz skręcił ostro na Pulteney Bridge. Pasażerami rzuciło i padli na siebie.

Korzystając z okazji, Lucius objął ramieniem rozpromienioną żonę i pochylił się, by złożyć na jej ustach długi, namiętny pocałunek.

Żadne z nich nie przejmowało się tym, że w oknach powozu nie ma zasłonek.

Nowożeńcy zapraszali cały świat, by uczestniczył w ich radości.